

MICHAEL BLAKE

TAŃCZĄCY Z WILKAMI

Przełożył Wojciech Surman

(Dances With Wolves)

Data wydania oryginalnego 1988

Data wydania polskiego 1991

ROZDZIAŁ I

1

Porucznik Dunbar tak naprawdę nie był połknięty. Ale było to pierwsze słowo, jakie przyszło mu do głowy.

Wszystko tu było ogromne.

Wielkie bezchmurne niebo. Rozkołysany ocean traw. I nic innego, jak okiem sięgnąć. Żadnej drogi. Ani śladu kolein osadniczych zaprzęgów, których można by się trzymać. Tylko najzwyczajniejsza pusta przestrzeń.

Był zdany na łaskę losu. Na tę myśl dziwnie dotkliwie zabiło mu serce.

Kiedy tak siedział na płaskim, nie osłoniętym koźle, pozwalając ciału kołysać się w rytm falowania prerii, myśli jego skupiły się wokół mocno bijącego serca. Był rozdygotany. A przecież krew nie tętniła w nim. Krew płynęła spokojnie. Ta niespójność sprawiała, że jego umysł pracował cudownie. Słowa bezustannie przemykały mu przez głowę, gdy próbował opisać, co czuje, zaklinając to w zdania i wyrażenia. Tak trudno było to uchwycić.

Trzeciego dnia ich wyprawy jego wewnętrzny głos wypowiedział słowa „To religijne” i to zdanie wydało mu się jeszcze najbliższe prawdy. Lecz porucznik Dunbar nigdy nie był człowiekiem religijnym, więc choć zdanie wydało mu się prawdziwe, zupełnie nie wiedział, co ma z nim począć. Gdyby porucznik Dunbar nie dał się tak ponieść, prawdopodobnie znalazłby wyjaśnienie, ale przeoczył je w swoim zauroczeniu.

Porucznik Dunbar zakochał się. Zakochał się w tym dzikim, pięknym kraju i we wszystkim, co w nim było. Był to ten rodzaj miłości, jaki ludzie pragną odczuwać względem innych ludzi: bezinteresowny i pozbawiony wątpliwości, pełen czci i niezachwiany. Jego duch doznał natchnienia, a serce biło mu mocno. Może właśnie dlatego porucznik kawalerii o szorstkich, przystojnych rysach pomyślał o religii. Kątem oka zobaczył, że Timmons przekrzywia głowę i po raz tysięczny spluwa przez ramię w sięgającą piersi bizonią trawę. Jak to mu się często działo, ślina pociekła nierównym strumieniem, przez co woźnica musiał obcierać sobie usta rękawem. Dunbar nic nie powiedział, ale to nieustanne plucie Timmonsa sprawiało, że chronił się ucieczką w głąb siebie.

Był to akt zupełnie nieszkodliwy, a jednak drażnił go, podobnie jak czyjeś wieczne dłubanie w nosie.

Cały ranek przesiedzieli obok siebie. Ale tylko dlatego, że wiatr wiał z właściwej strony. Mimo że byli oddaleni od siebie zaledwie o parę stóp, silna bryza wiała z właściwej strony i porucznik Dunbar nie czuł zapachu Timmonsa. W ciągu swoich niecałych trzydziestu

lat życia wielokroć czuł zapach śmierci i nie było nad to nic gorszego. Ale śmierć zawsze można było odciągnąć gdzieś na bok, pochować w ziemi albo ominąć z daleka, a z Timmonsem nie dało się zrobić żadnej z tych rzeczy. Kiedy zmieniał się kierunek wiatru, bijący od niego smród ogarniał porucznika Dunbara niby niewidoczna, cuchnąca chmura.

Więc kiedy powiew szedł z niewłaściwej strony, porucznik wołał ześlizgnąć się z kozła i wdrapać na stertę zapasów żywności zwalonych na kupę na pace wozu. Czasami jechał w ten sposób całymi godzinami. A czasem wołał zeskoczyć w wysoką trawę, odwiązać Cisca i pognać milę lub dwie do przodu na zwiady.

Spojrzał teraz na Cisca, który włókł się stępą za wozem, z pyskiem zagrzebanym w worku z obrokiem i błyszczącą w słońcu bułaną sierścią. Dunbar uśmiechnął się na widok swojego konia i na krótko zapragnął, żeby konie żyły równie długo jak ludzie. Jeśli szczęście dopisze, mógł mieć Cisca przy sobie jeszcze przez dziesięć albo dwanaście lat. Potem będzie miał inne konie, ale takie zwierzę trafia się raz na całe życie. Kiedy jego zabraknie, żadne inne go nie zastąpi.

Gdy porucznik Dunbar przyglądał się zwierzęciu, drobny bułanek podniósł nagle bursztynowe oczy ponad obrzeże worka z obrokiem, jakby chciał zobaczyć, gdzie jest porucznik, a potem, uspokojony tym jednym spojrzeniem, znów zabrał się za przeżuwanie ziarna.

Dunbar poprawił się na siedzeniu i wsunął rękę pod kurtkę munduru, skąd wyciągnął kawałek złożonego papieru. Niepokoił go ten wojskowy dokument, ponieważ na nim spisano dla niego rozkazy. Od kiedy wyjechał z Fort Hays, co najmniej z pół tuzina razy przebiegł czarnymi jak węgiel oczami po tym skrawku papieru, ale choćby nie wiem jak go zgłębiał, nie czuł się przez to ani odrobinę lepiej.

Dwukrotnie przekreślono jego nazwisko. Cuchnący wódką major, który podpisał dokument, niezdarnie przejechał rękawem po atramencie, zanim przyłożył bibułę, toteż oficjalny podpis był paskudnie zamazany. Rozkaz nie był datowany, więc porucznik Dunbar sam wstawił datę, gdy tylko wyruszyli w drogę. Ale pisał ołówkiem i grafit odstawał wyraźnie od atramentowych bazgrołów majora i drukowanych nagłówków.

Porucznik Dunbar westchnął, patrząc na ten oficjalny dokument. Nie wyglądał jak rozkaz wojskowy. Wyglądał jak śmieć.

Widok rozkazu przypominał mu, jak do niego doszło, i to zaniepokoiło go jeszcze bardziej. Owa fatalna rozmowa z cuchnącym wódką majorem.

Pragnąc niecierpliwie otrzymać przydział, prosto z obozu szkoleniowego udał się do sztabu. Major był pierwszą i jedyną osobą, z którą rozmawiał od chwili przybycia do

momentu, kiedy tego samego popołudnia wgramolił się na wóz i siadł obok śmierdzącego Timmonsa.

Major długo wpatrywał się w niego przekrwionymi oczami. Kiedy w końcu przemówił, w jego głosie pobrzmiwał nie skrywany sarkazm.

- Zabójca Indian, eee?

Porucznik Dunbar nigdy nie widział Indianina, a tym bardziej nie walczył z żadnym.

- Na razie jeszcze nie, sir. Ale myślę, że mógłbym nim być. Mogę walczyć.

- Wojak, eee?

Porucznik Dunbar nic na to nie odpowiedział. Przypatrywali się sobie nawzajem przez chwilę, która wydawała się ciągnąć bardzo długo, aż wreszcie major zasiadł do pisania. Pisał z furją, nie zwracając uwagi na kaskady potu, które ściekały mu po skroniach. Dunbar mógł z daleka dostrzec oleiste krople tkwiące w równym szyku na czubku prawie całkiem łysej głowy. Thuste traki resztek włosów oblepiały czaszkę majora. To był styl, który dla porucznika Dunbara trącił czymś niezdrowym.

Major tylko raz przerwał pisanie. Wycharczał czop flegmy i wypluł go do stojącego koło biurka brzydkiego cebrzyka. W owej chwili porucznik Dunbar zapragnął, żeby to spotkanie już się skończyło. Wszystko, co łączyło się z tym człowiekiem, przywodziło mu na myśl chorobę.

Porucznik Dunbar był bliższy prawdy, niż sądził, ponieważ ten major od jakiegoś czasu kurczowo czepiał się cieniutkiej nitki łączącej go z normalnością i nitka ta ostatecznie pękła na dziesięć minut przed wejściem porucznika Dunbara do biura. Major zasiadł spokojnie za biurkiem z rękami grzecznie splecionymi przed sobą i zapomniał o całym swoim życiu. Było to życie bezmożne, napędzane litościwymi datkami, które spływają na tych, co służą potulnie i niczym się nie wyróżniają. Lecz wszystkie lata w pominięciu, wszystkie lata w samotnym starokawalerstwie, wszystkie lata zmagania z butelką zniknęły jak zaczarowane. W miejsce gorzkiego zgrzytu, jakim była egzystencja majora Fambrough, pojawiło się rychłe i cudowne wydarzenie. Na krótko przed kolacją zostanie ukoronowany na króla Fort Hays.

Major skończył pisać i wręczył mu papier.

- Przydzielam pana do Fort Sedgewick; zamelduje się pan bezpośrednio u kapitana Cargilla.

Porucznik Dunbar przyjrzał się niechlujnemu formularzowi.

- Tak jest, sir. Jak się tam dostanę, sir?

- Myśli pan, że wiem? - szorstko odrzekł major.

- Nie, sir. Absolutnie nie. Tyle że ja też nie wiem.

Major rozparł się na krześle, wytarł obie ręce o nogawki spodni i uśmiechnął się z samozadowoleniem.

- Jestem dziś w łaskawym nastroju i wyświadczę panu dobrodziejstwo. Niedługo odjeżdża wóz załadowany bogactwami tego królestwa. Niech pan znajdzie wieśniaka, który każe wołać na siebie Timmons, i zabierze się razem z nim. Wskazał teraz palcem na kartkę papieru, którą porucznik Dunbar trzymał w ręce.

- Moja pieczęć zapewni panu bezpieczny przejazd przez sto pięćdziesiąt mil pogańskiego terytorium.

Od samego początku żołnierskiej kariery porucznik Dunbar nauczył się nie kwestionować dziwactw oficerów liniowych. Sprężył się zsalutował, powiedział „Tak jest” i zrobił w tył zwrot. Odszukał Timmonsa, pognął z powrotem do pociągu po Cisca i nim minęło pół godziny, wyjeżdżał z Fort Hays.

A teraz, kiedy po przejechaniu stu patrzył na rozkazy, pomyślał, że może jednak wszystko skończy się dobrze.

Poczuł, że wóz zwalnia. Zatrzymali się, a Timmons przypatrywał się czemuś tuż obok w bizoniej trawie.

- Popatrz hen tam.

Niecałe dwadzieścia stóp od wozu leżała w trawie plama bieli i obaj mężczyźni zleźli, żeby ją zbadać.

Był to ludzki szkielet z kośćmi jasno wybielonymi słońcem i wpatrzoną w niebo czaszką.

Porucznik Dunbar przykłęknął obok kości. Spomiędzy żeber wyrastała trawa. I strzały, ze dwadzieścia albo i więcej, sterczące jak szpilki z poduszeczki. Dunbar wyciągnął jedną z ziemi i obracał ją w dłoniach.

Kiedy przesunął palcami po drzewcu, Timmons zagadał mu przez ramię:

- Ktoś tam na wschodzie się zastanawia, dlaczego nie pisze.

2

Tamtego popołudnia lało jak z cebra. Ale ulewa przychodziła falami, jak to się zwykle dzieje z burzami letnimi, które jakimś sposobem wydają się nie aż tak mokre jak w innych porach roku, i obaj podróżni błogo zasnęli pod zakrytym brezentową plandeką wozem.

Czwarty dzień minął bardzo podobnie do innych, bez wydarzeń. A także piąty i szósty. Porucznik Dunbar był rozczarowany brakiem bizonów. Nie widział ani jednej sztuki. Timmons powiedział, że wielkie stada czasami zupełnie znikają. Powiedział także, że nie ma

się czym martwić, bo kiedy się znowu pojawiają, są liczne jak szarańcza.

Nie widzieli także ani jednego Indianina i Timmons nie umiał na to znaleźć żadnego wytłumaczenia. Ale za to powiedział, że im wcześniej porucznik zobaczy Indianina, tym gorzej, i że o wiele lepiej nie być opadniętym przez sforę złodziei i żebraków.

Lecz siódmego dnia Dunbar słuchał Timmonsa już tylko jednym uchem.

W miarę jak połykali ostatnie mile drogi, coraz więcej myślał o chwili przybycia do miejsca swojej służby.

3

Kapitan Cargill obmacał palcem wnętrze ust i wbił oczy w sufit, próbując się skupić. Nagły przebłysk zrozumienia, szybko zastąpiony marsem na czole.

Jeszcze jeden się rusza, pomyślał. Cholera.

Zbolałym wzrokiem kapitan popatrzył najpierw po jednej, a potem po drugiej ścianie zawilgoconej, skleconej z darni kwatery. Nie było tam absolutnie nic do oglądania. Była jak cela.

Kwatera, pomyślał sarkastycznie. Sakramencka kwatera.

Od przeszło miesiąca wszyscy używali tego określenia, nawet kapitan. Używał go bezwstydnie, stojąc twarzą w twarz ze swoimi ludźmi. A oni twarzą w twarz z nim. Ale nie było w tym nic z zażyłości, z niefrasobliwego żartu w gronie współtowarzyszy. Było to prawdziwe przekleństwo.

A czas był niedobry.

Kapitan Cargill odjął rękę od ust. Siedział samotnie w mroku swojej sakramenckiej kwatery i nasłuchiwał. Na zewnątrz była cisza, i ta cisza złamała Cargillowi serce. W normalnych okolicznościach w powietrzu na zewnątrz pełno byłoby głosów ludzi pełniących służbę. Ale od wielu dni nie pełniono służb. Nawet wieżyczka wartownika leżała zwalona koło drogi. A kapitan nie mógł nic na to poradzić. Nad tym właśnie bolał.

Wsluchując się w okropną ciszę tego miejsca zrozumiał, że nie może dłużej czekać. Dzisiaj będzie musiał podjąć akcję, której od dawna się bał. Nawet jeśli oznaczała hańbę. Ruinę kariery. Albo i gorzej.

Odepchnął od swoich myśli to „albo i gorzej” i podniósł się ociężale. Po drodze do drzwi pogmerał chwilę przy odprutym guziku od kubraka. Guzik urwał się i odbił od podłogi. Nie trzymał się, żeby go podnieść. I tak nie było niczego, czym można by go było z powrotem przyszyć.

Wychodząc na jaskrawe słońce, kapitan Cargill po raz ostatni pozwolił sobie na

marzenie, że oto za chwilę ujrzy stojący na majdanie wóz z Fort Hays.

Ale nie było żadnego wozu. Tylko to ponure miejsce, ten wrzód na ziemi, który nie zasługiwał na nazwę.

Fort Sedgewick.

Kapitan Cargill, stojąc w drzwiach skleconej z darni celi, wyglądał na skacowanego. Był bez kapelusza, mundur miał wymięty i chyba ostatni raz dokonywał przeglądu.

Nie było żadnych koni w lichej zagrodzie, która kiedyś była domem dla pięćdziesięciu. W ciągu dwóch i pół miesiąca konie ukradziono i zastąpiono nowymi, a te znowu ukradziono. Komańcze uraczyli się nimi do ostatniej sztuki.

Jego wzrok spoczął na magazynie po drugiej stronie drogi. Oprócz jego własnej sakramenckiej kwatery była to jedyna trwała budowla w Fort Sedgewick. Od samego początku źle zrobiona. Nikt nie wiedział, jak budować z darni, więc w dwa tygodnie od zakończenia roboty zapadła się duża część dachu. Jedna ze ścian obsuwała się tak paskudnie, że wydawało się, iż w ogóle cudem jeszcze stoi. Na pewno niedługo się zawali.

Nieważne, pomyślał kapitan Cargill powstrzymując ziewanie.

Magazyn stoi pusty. Już przez większą część miesiąca stoi pusty. Żyli tym, co zostało z sucharów i co zdołali ustrzelić na prerii, przeważnie królikami i perliczkami. Tak gorąco pragnął, żeby wróciły bizona. Jeszcze teraz ciekła mu ślinka, gdy pomyślał o steku z bizoniego garbu. Cargill ściągnął usta i powstrzymał łzy, które napłynęły mu nagle do oczu.

Nie było nic do jedzenia.

Przespacerował się pięćdziesiąt jardów przez otwarty, nagi teren nad urwisko, na którym zbudowano Fort Sedgewick, i spojrzał w dół na spokojny strumień wijący się bezgłośnie o sto stóp niżej. Wzdłuż jego brzegów leżała warstwa odpadków i nie trzeba było nawet powiewu, żeby do nozdrzy kapitana doleciał obrzydliwy odór ludzkich odchodów. Ludzkie odchody wymieszane ze wszystkim, co tam gniło.

Kapitan omiółtł spojrzeniem łagodny stok urwiska i w tej samej chwili dwoje ludzi wynurzyło się z jednej z dwudziestu albo i więcej ziemianek wydłubanych w skarpie jak blizny po ospie. Powalana błotem para stanęła w jaskrawym słońcu, mrugając oczami. Spojrzeli posepnie na kapitana, ale nie dali znać po sobie, że go rozpoznają. Cargill także nie. Żołnierze zagrzebali się z powrotem w swojej dziurze, jakby widok dowódcy zmusił ich do powrotu, zostawiając kapitana samotnie stojącego na szczycie urwiska.

Pomyślał o małej delegacji, którą jego ludzie wysłali przed ośmioma dniami do skleconej z darni chaty. Ich petycja była rozsądna. Tak naprawdę to nawet nieodzowna. Ale kapitan zdecydował się ją odrzucić. Wciąż z nadzieją czekał na wóz. Czuł, że jego

obowiązkiem jest czekać z nadzieją na wóz.

W ciągu ośmiu dni, które upłynęły od tamtej chwili, nikt nie odezwał się do niego ani słowem. Wyjawszy popołudniowe wycieczki na polowanie, ludzie trzymali się w pobliżu ziemianek, nie kontaktując się ze sobą i rzadko się pokazując.

Kapitan Cargill ruszył z powrotem do swojej sakramenckiej kwatery, ale zatrzymał się w połowie drogi. Stał na środku majdanu, wpatrzony w czubki zdartych butów. Po kilku chwilach zastanowienia wymamrotał „Teraz” i zawrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Kiedy dotarł na skraj urwiska, krok miał bardziej sprężysty.

Trzy razy wzywał kaprała Guesta, zanim przed jedną z dziur zaczął się jakiś ruch. Pojawiła się para kościstych ramion odzianych w kaftan bez rękawów, a potem zasepiona twarz spojrzała w górę skarpy. Nagły atak kaszlu sparaliżował żołnierza i Cargill poczekał, aż ustanie, zanim przemówił.

- Za pięć minut zbiórka wszystkich ludzi przed moją sakramencką kwaterą. Wszyscy, nawet niezdolni do służby.

Żołnierz tępo przytknął palce do głowy i zniknął w dziurze.

W dwadzieścia minut później załoga Fort Sedgewick, która bardziej wyglądała na bandę odrażająco skatowanych więźniów niż na żołnierzy, zebrała się na płaskiej, otwartej przestrzeni przed okropną chatą Cargilla.

Było ich osiemnastu. Osiemnastu z początkowej liczby pięćdziesięciu ośmiu. Trzydziestu trzech ludzi poszło za wzgórze, ryzykując wszystko, co mogło ich spotkać na prerii. Za największą grupą dezertarów Cargill wysłał siedmioosobowy konny patrol. Może zginęli, a może także zdezerterowali. Nigdy nie wrócili.

A teraz tylko osiemnastu nędzarzy.

Kapitan Cargill chrząknął.

- Jestem z was wszystkich dumny, że pozostaliście - zaczął.

Małe zgromadzenie żywych trupów nic nie odpowiedziało.

- Zabierzcie broń i cokolwiek chcielibyście stąd zabrać. Jak tylko będziecie gotowi, wymaszerujemy z powrotem do Fort Hays.

Wszystkich osiemnastu ruszyło, zanim skończył mówić, gnając na oślep jak pijani do ziemianek pod urwiskiem, jakby się obawiali, że kapitan może jeszcze zmienić zdanie, jeśli się nie pośpieszą.

W niecałe piętnaście minut było po wszystkim. Kapitan Cargill i jego upiorny oddział wytoczyli się na prerię i ruszyli wschodnim szlakiem 150 mil z powrotem do Hays.

Kiedy odeszli, wokół obalonego pomnika armii zapadła kompletna cisza. Po pięciu

minutach na przeciwległym do Fort Sedgewick brzegu strumienia pojawił się samotny wilk i stanął, węsząc wiatr wiejący mu prosto w nozdrza. Zdecydowawszy, że to wymarłe miejsce lepiej zostawić w spokoju, pobiegł dalej.

I tak ostatecznie dokonano się porzucenie najbardziej wysuniętego posterunku armii, szpicy wielkiego planu zanieśienia cywilizacji w samo serce pogranicza. Armia może uznać to za zwykłe wycofanie, odroczenie ekspansji, która może będzie musiała poczekać, aż Wojna Domowa potoczy się swoim biegiem, aż będzie można ściągnąć właściwe środki, by zaopatrzyć cały łańcuch fortów. Powrócą tutaj oczywiście, lecz na razie w tym smętnym miejscu zatrzymała się pisana historia Fort Sedgewick. Ale już za chwilę miał się zacząć zaginiony rozdział historii Fort Sedgewick, jedyny zarazem, który mógł kiedykolwiek ubiegać się o tytuł do chwały.

4

Dzień zastał porucznika Dunbara w ochoczym nastroju. Kiedy otworzył powieki, wpatrując się przymrużonymi oczami w drewniane listwy wozu o parę stóp nad głową, myślał już o Fort Sedgewick. Zastanawiał się, jaki jest kapitan Cargill, ludzie i położenie tego miejsca, jak przebiegnie jego pierwszy patrol, i nad tysiącem innych rzeczy, które w ożywieniu przemykały mu przez głowę.

Był to dzień, w którym wreszcie otrzyma przydział, urzeczywistniając w ten sposób długoletnie marzenia o służbie na pograniczu.

Zsunął się z posłania i wyturlał spod wozu. Dygocąc z zimna w świetle poranka, włożył buty i niecierpliwie krążył przytupując.

- Timmons - wyszeptał schylając się pod wóz.

Cuchnący woźnica spał głęboko. Porucznik trącił go czubkiem buta.

- Timmons.

- Taa, co jest? - zabeczał woźnica, siadając w popłochu.

- Ruszajmy już.

5

Kolumna kapitana Cargilla zrobiła niecałe dziesięć mil do wczesnego popołudnia.

W sferze duchowej też uczyniono pewien postęp. Ludzie śpiewali dumne pieśni z serca pełnego otuchy, wlokąc się bezładnie po prerii. Ich dźwięki podniosły na duchu kapitana Cargilla nie mniej niż każdego innego. Śpiew zrodził w nim wielką stanowczość. Armia, jeśli chce, może postawić go przed plutonem egzekucyjnym, a on i tak będzie z uśmiechem palił ostatniego w życiu papierosa. Podjął właściwą decyzję. Nikt nie zdoła go

przekonać, że nie.

I kiedy tak włókł się przez otwarty step, poczuł, że na powrót opada go zagubione gdzieś dawno zadowolenie. Zadowolenie, że dowodzi. Znowu myślał jak dowódca. Pragnął prawdziwego marszu, takiego z kolumną żołnierzy na koniach.

Właśnie teraz wysłałbym zwiadowców z flanki, zadumał się. Wysłałbym ich na dobrą milę na północ i na południe.

Gdy przeszła mu przez głowę myśl o zwiadowcach z flanki, rzeczywiście patrzył na południe.

Potem Cargill odwrócił się, dalej nie wiedząc, czy w tej właśnie chwili, gdyby zwiadowcy z flanki zapuścili się na milę na południe, coś by znaleźli.

A natrafiliby na dwóch podróżnych, którzy zrobili sobie przerwę w wędrówce, żeby poszperać w spalonym wraku wozu leżącym w płytkim potoku. Za jednym ciągnąłby się odrażający smród, a drugi, młody człowiek o surowej urodzie, nosiłby mundur.

Ale nie było zwiadowców z flanki, więc na nic takiego nie natrafili.

Kolumna kapitana Cargilla śmiało maszerowała dalej, na wschód w kierunku Fort Hays, śpiewając po drodze.

A po krótkiej przerwie młody porucznik i furman byli już z powrotem na wozie, prac na zachód do Fort Sedgewick.

ROZDZIAŁ II

1

W drugim dniu drogi ludzie kapitana Cargilla ustrzelili tłustą krowę bizona z małego stada liczącego około tuzina sztuk i zrobili sobie parogodzinny postój, żeby poucztować w indiańskim stylu, zajadając się wyśmienitym mięsem. Uparli się, że upieką płat z garbu dla swojego kapitana, i radość była z oczu dowódcy, gdy zatapiał w nim resztki zębów i czekał, aż boskie mięso rozplynie mu się w ustach.

Szczęście nie opuszczało kolumny i około południa czwartego dnia wędrówki wpadła na dużą wojskową ekspedycję pomiarową. Dowodzący nią kapitan mógł poznać całą historię ich gehenny po stanie, w jakim znajdowali się ludzie Cargilla, i jego współczucie było natychmiastowe.

Mając pożyczonych pół tuzina koni i wóz dla chorych, kolumna kapitana Cargilla czuła się wyśmienicie i cztery dni później przybyła do Fort Hays.

2

Czasami zdarza się, że to, czego boimy się najbardziej, koniec końców przynosi nam najmniej uszczerbku, i tak właśnie było z kapitanem Cargillem. Nie został aresztowany za opuszczenie Fort Sedgewick, nic podobnego. Jego ludzie, którzy jeszcze kilka dni wcześniej byli niebezpiecznie bliscy buntu, opowiedzieli historię swoich wyrzeczeń w Fort Sedgewick i ani jeden żołnierz nie zapomniał podkreślić, że kapitan Cargill był dowódcą, do którego mieli całkowite zaufanie. Co do jednego oświadczyli, że bez kapitana Cargilla żaden z nich nie wyszedłby z tego cało.

Armia pogranicza, mając zasoby i morale nadwerżone do ostateczności, wysłuchała tych zeznań z radością.

Natychmiast podjęto dwa konkretne kroki. Dowódca placówki przekazał pełny opis odstąpienia z Fort Sedgewick generałowi Tide'owi ze sztabu okręgowego w St. Louis, kończąc swój raport zaleceniem, żeby Fort Sedgewick pozostawić opuszczony na stałe, przynajmniej do czasu otrzymania nowych rozkazów. Generał Tide skłonny był zgodzić się z tym całym sercem i w ciągu paru dni Fort Sedgewick przestał mieć jakikolwiek związek z rządem Stanów Zjednoczonych. Stał się żadnym miejscem na mapie.

Drugi krok dotyczył kapitana Cargilla. Został podniesiony do rangi pełnego bohatera, otrzymując, jedno po drugim, medal za odwagę i awans na majora. Na jego cześć wydano w kantynie oficerskiej „obiad zwycięstwa”.

To podczas tego właśnie obiadu, przy toastach po skończonym posiłku, kapitan Cargill usłyszał od jednego z przyjaciół dziwną historyjkę, która stała się pożywką dla większości rozmów w całej placówce, na krótko przed jego triumfalnym tutaj przybyciem.

Stary major Fambrough, średniej rangi administrator o bezbarwnym życiorysie, nagle zwariował. Któregoś popołudnia stanął na środku placu apelowego, bredząc bez ładu i składu o swoim królestwie i w kółko żądając swojej korony. Biednego faceta dopiero parę dni temu wysłano na wschód.

Gdy kapitan słuchał szczegółów tego niesamowitego zdarzenia, nie miał oczywiście pojęcia, że smutny wyjazd majora Fambrough zatarł zarazem wszelkie ślady po poruczniku Dunbarze. Oficjalnie młody oficer istniał jedynie w mętnych zakamarkach spaczonego umysłu majora Fambrough.

Cargill dowiedział się również, że jak na ironię wóz z zaopatrzeniem został w końcu wysłany przez tegoż samego nieszczęsnego majora, wóz skierowany do Fort Sedgewick. Musieli się rozminąć. Kapitan Cargill i jego znajomi nieźle się uśmiali, wyobraziwszy sobie, jak woźnica dowlecze się do tego okropnego miejsca i będzie zachodził w głowę, co u licha się wydarzyło. W swoich żartobliwych spekulacjach posunęli się do rozważań, co zrobi woźnica, i zdecydowali, że jeśli jest rozgarnięty, to pojedzie dalej na zachód, sprzedając po drodze zaopatrzenie w różnych kupieckich faktoriach. Kapitan Cargill, na wpół pijany, dotoczył się do swojej kwatery nad ranem, a jego głowa, owładnięta szczęśliwą myślą, że Fort Sedgewick jest już teraz tylko wspomnieniem, opadła na poduszkę.

I tak doszło do tego, że pozostała tylko jedna osoba na świecie, która miała jakieś pojęcie o miejscu pobytu, a nawet istnieniu porucznika Dunbara.

A osobą tą był źle domyty, nie żonaty cywil, który nic dla nikogo nie znaczył.

Timmons.

ROZDZIAŁ III

1

Jedynym znakiem życia był wystrzępiony kawał brezentu, który chybotał się łagodnie w drzwiach zwalonego magazynu. Czuło się późnopołudniowy powiew, ale jedyną rzeczą, jaka się poruszała, był ten strzep brezentu.

Gdyby nie napis niezdarnie wyłobiony na belce stropowej nad ostatnią rezydencją kapitana Cargilla, porucznik Dunbar nie uwierzyłby, że chodzi o to właśnie miejsce. Ale było to wyraźnie napisane.

„Fort Sedgewick.”

Mężczyźni usiedli w milczeniu na koźle wozu, rozglądając się po mizernej ruinie, która okazała się być celem ich podróży.

W końcu porucznik Dunbar zeskoczył z wozu i ostrożnie wkroczył przez drzwi do byłej kwatery Cargilla. W parę sekund później wyłonił się i spojrzał na Timmonsa, który wciąż jeszcze siedział na wozie.

- Trudno to nazwać kwitnącym interesem - krzyknął Timmons.

Ale porucznik nie odpowiedział. Podszedł do magazynu, odsunął brezentową zasłonę i wsadził głowę. Nie było tam nic do oglądania i za chwilę szedł już z powrotem do wozu.

Timmons spojrzał na niego z góry i potrząsnął głową.

- Może byś tak wyładował - powiedział rzeczowym tonem porucznik.

- Po co, poruczniku?

- Bo jesteśmy na miejscu.

Timmons wiercił się na siedzeniu. - Nic tu ni ma - zaskrzeczał.

Porucznik Dunbar rozejrzał się po swojej placówce.

- Na razie nie.

Upłynęła chwila ciszy, ciszy brzemiennej napięciem pełnym rezerwy. Dunbar luźno opuścił ramiona wzdłuż ciała, podczas gdy Timmons miał w palcach lejce zaprzęgu. Splunął przez barierkę wozu.

- Wszyscy uciekli... albo ich pozabijano. - Patrzył twardo na porucznika, jakby nie miał zamiaru mieć nic wspólnego z tym nonsensem. - Może byśmy tak zawrócili i ruszyli z powrotem.

Ale porucznik Dunbar nie miał zamiaru wracać. To, co wydarzyło się w Fort Sedgewick, należało zbadać. Może wszyscy uciekli, a może wszyscy nie żyli. Może zostały jakieś niedobitki przedzierające się do fortu zaledwie o godzinę drogi stąd.

Była też głębsza przyczyna, dla której zostawał, coś, co wykraczało poza jego surowe poczucie obowiązku. Niekiedy ktoś pragnie czegoś tak mocno, że cena i warunki przestają być przeszkodą. Porucznik Dunbar najbardziej ze wszystkiego pragnął pogranicza. A teraz był tutaj. Jak wyglądał Fort Sedgewick albo jakie w nim panowały warunki, nie miało dla niego znaczenia. Serce za niego postanowiło.

Dlatego kiedy przemówił stanowczym, beznamiętnym głosem, nie drgnęła mu nawet powieka.

- To moja placówka, a to jest zaopatrzenie tej placówki.

Zmierzyli się znowu wzrokiem. Na usta Timmonsa wypełził uśmiech. Zarechotał.

- Zwariowałeś, chłopcze?

Timmons powiedział tak, myśląc, że porucznik to szczeniak, że najpewniej nigdy nie był w walce, nigdy nie był na zachodzie i nie żył jeszcze dostatecznie długo, żeby się czegoś nauczyć. - Zwariowałeś, chłopcze? - Słowa te zabrzmiały, jakby wyszły z ust zniecierpliwionego ojca.

Pomylił się.

Porucznik Dunbar nie był szczeniakiem. Był łagodny i uważający, a niekiedy nawet przemiły. Ale nie był szczeniakiem.

Był w ogniu walki niemal całe swoje życie. I odnosił sukcesy w walce, ponieważ posiadał rzadką cechę. Dunbar miał wrodzony zmysł, jakiś szósty zmysł, który podpowiadał mu, kiedy być twardym. I gdy przychodził na niego ten krytyczny moment, coś nieuchwytnego zaczynało wierzgać mu w duszy i porucznik Dunbar stawał się bezmyślną, śmiercionośną maszyną, której nie dało się wyłączyć. W każdym razie nie wcześniej, niż osiągnęła swój cel. Kiedy natarcie przeradzało się w starcie, porucznik nacierał pierwszy. I ci, którzy próbowali go odeprzeć, żalowali tego.

Słowa „Zwariowałeś, chłopcze?” wyzwoliły mechanizm tej maszyny, a uśmiech powoli zaczął zamierać na ustach Timmonsa, gdy patrzył na ciemniejące oczy porucznika Dunbara. W chwilę potem Timmons zobaczył, że prawa ręka porucznika unosi się. Powoli i z rozmysłem. Zobaczył, że nasada dłoni Dunbara miękko opada na kolbę dużego marynarskiego rewolweru, który nosił na biodrze. Zobaczył, że palec wskazujący porucznika prześlizguje się gładko po bezpieczniku.

- Zabieraj tyłek z tego wozu i pomóż mi w rozładunku.

Ton tych słów wywarł głębokie wrażenie na Timmonsie. Powiedział mu, że na scenę nagle wkroczyła śmierć. Jego śmierć.

Timmons ani mrugnął okiem. I nic nie odpowiedział. Niemal jednym ruchem

przywiązał lejce do hamulca, zeskoczył z kozła, dziarsko poszedł na tył wozu, otwarł z trzaskiem burtę i ściągnął pierwszą pakę, jaka wpadła mu w ręce.

2

Ile się tylko dało, poupychali do magazynu z na wpół zawalonym stropem, a resztę ułożyli w stos w dawnej kwaterze Cargilla.

ROZDZIAŁ IV

1

Mówiąc, że noc będzie księżycowa i że chce zaoszczędzić czasu, Timmons wyruszył przed zmrokiem.

Porucznik Dunbar usiadł na ziemi, skrzył sobie papierosa i patrzył za malejącym w oddali wozem. Słońce zaszło mniej więcej w tym samym czasie, gdy wóz zniknął, a on siedział w ciemności, zadowolony z towarzystwa ciszy. Po godzinie zaczęły sztywnieć mu mięśnie, więc wstał i powłókł się do chaty kapitana Cargilla.

Nagle poczuł się zmęczony, zwałił się w ubraniu na małe łóżko, które wymościł sobie między workami zapasów, i przyłożył głowę do pośłania. Tej nocy dźwięki uderzały go ze szczególną siłą. Sen przychodził z trudem. Najłżejszy hałas w ciemnościach rodził pytania, na które Dunbar nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Nocą miejsce to było w jakiś sposób zagadkowe, czego nie czuł za dnia.

Już zapadał w sen, kiedy trzask gałązki albo cichutki, daleki plusk strumienia rozbudzał go na nowo. Trwało to długo i stopniowo wyczerpywało porucznika Dunbara. Przez uchylone drzwi bezsennego snu porucznika Dunbara wkraczało z wątpienie. Z wątpienie rzucało mu twarde wyzwanie tej pierwszej nocy. Szeptalo mu do ucha straszne rzeczy. Był głupcem. Miał o wszystkim mylne pojęcie. Był do niczego. Równie dobrze mógłby nie żyć. Tej nocy z wątpienie przywiodło go na skraj płaczu. Porucznik Dunbar stawiał opór, uspokajając się przyjemnymi myślami. Opierał się aż do rana i o wczesnej godzinie, blisko świtu, odegnał w końcu z wątpienie i zasnął.

2

Zatrzymali się.

Było ich sześciu.

Byli to Pawnisi, najstraszliwsze ze wszystkich plemion. Włosy spięte wysoko w czub, przedwczesne zmarszczki i zbiorowe spaczenie umysłu podobne jak w przypadku maszyny, w którą sporadycznie potrafił zamieniać się porucznik Dunbar. Lecz w sposobie widzenia rzeczy przez Pawnisów nie było nic sporadycznego. Patrzyli na nie nieskomplikowanymi, ale bezlitosnymi oczami, oczami, które raz spoczawszy na czymś, w okamgnieniu decydowały, czy to coś ma żyć, czy umrzeć. A jeśli zostało postanowione, że ma przestać żyć, Pawnisi dopatrzili jego śmierci z psychotyczną dokładnością. Kiedy dochodziło do zadawania śmierci, Pawnisi robili to machinalnie i wszyscy Indianie Preriowi bali się ich jak nikogo

innego.

Tym, co zatrzymało sześciu Pawnisów, było coś, co zobaczyli. I teraz siedzieli na grzbietach wychudzonych koni, patrząc na rząd pofałdowanych żlebów. Cienka smuga dymu wiła się we wczesnoporannym powietrzu o pół mili od nich.

Z punktu obserwacyjnego na niskim wzniesieniu wyraźnie widzieli dym. Ale nie widzieli jego źródła. Źródło ukryte było w ostatnim żlebie. A ponieważ nie mogli zobaczyć wszystkiego, co chcieli widzieć, zaczęli naradzać się, szwargocąc niskimi, gardłowymi głosami o dymie i o tym, czym mógł on być. Gdyby czuli się pewniej, mogliby natychmiast zjechać na dół, ale już od dłuższego czasu byli poza domem, a czas spędzony poza domem był klęską.

Wyruszyli w jedenastu, ciągnąc na południe, żeby okraść bogatych w konie Komanczów. Po niemal tygodniu spędzonym na koniu, przekroczywszy rzekę, dali się zaskoczyć dużym siłom Kiowów. Mieli szczęście, że umknęli tylko z jednym zabitym i jednym rannym.

Ranny trzymał się jeszcze przez tydzień z paskudnie przebitym płucem i ten balast opóźnił znacznie wyprawę.

Kiedy wreszcie umarł i dziewięciu żądnych łupów Pawnisów mogło nieskrępowanie podjąć poszukiwania, spotkały ich same nieszczęścia. Zgraje Komanczów zawsze były o krok lub dwa przed nieszczęsnymi Pawnisami i przed następnymi dwa tygodnie trafiali jedynie na nieświeże tropy.

Wreszcie znaleźli duże obozowisko z wieloma dobrymi końmi i uradowali się, że ulatuje zły obłok, który od tak dawna ich prześladował. Ale Pawnisi nie wiedzieli jeszcze, że ich szczęście wcale się nie odmieniło. Bo tak naprawdę to najgorszy z pechów przywiódł ich do tej wioski, ponieważ zaledwie przed paroma dniami ta właśnie wataha Komanczów została ciężko pobita przez duży oddział Utów, którzy zabili kilku dzielnych wojowników i czmychnęli z trzydziestoma końmi.

Cała wataha Komanczów była zaalarmowana i pałała chęcią zemsty. Pawnisów odkryto w chwili, gdy zakradali się do wioski, i musieli uciekać na oślep w niegościnną ciemność na zmordowanych kucach, czując na karku oddech połowy obozu. Dopiero podczas odwrotu powróciło do nich w końcu szczęście. Tamtej nocy wszyscy powinni byli zginąć. Stracili jednak wszystkiego trzech dalszych wojowników.

Teraz zatem tych sześciu zgnębionych ludzi, siedząc na tym samotnym wzniesieniu na wychudłych na wiór kucach, które za bardzo były zmęczone, by się poruszać, zastanawiało się, co zrobić z pojedynczą pierzastą wstęgą dymu o pół mili dalej.

Rozprawiać o zaletach ataku było czymś bardzo typowym dla Indian. Ale rozprawiać przez pół godziny o pojedynczej smudze dymu to całkiem co innego, i to najlepiej ukazywało, jak dalece ucierpiała pewność siebie tych Pawnisów. Cała szóstka podzieliła się, część była za wycofaniem się, druga część za sprawdzeniem. Gdy tak targani byli sprzecznymi myślami, tylko jeden człowiek, najzawzięty z nich, od początku pozostawał nieugięty. Chciał natychmiast rzucić się na dym, a gdy przeciągała się gadanina, robił się coraz bardziej posepny.

Po trzydziestu minutach odłączył się od swych współplemieńców i w cichości ruszył w dół zbocza. Pozostałych pięciu dołączyło do niego, dopytując się, co zamierza zrobić.

Ponury wojownik odrzekł zjadliwie, że nie są Pawnisami i że dłużej z kobietami jechać nie może. Powiedział, że powinni schować ogony pod siebie i wracać do domu. Powiedział, że nie są Pawnisami, oświadczył także, że raczej umrze, niżby miał użerać się z mężczyznami, którzy nie są mężczyznami.

Pogalopował w stronę dymu.

Reszta pojechała za nim.

3

Tak jak Timmons nie lubił Indian, tak też w istocie niewiele wiedział o ich zwyczajach. Przez dłuższy czas ten obszar był względnie bezpieczny. Ale on był tylko jednym człowiekiem, praktycznie bez środków obrony, i powinien być być na tyle rozsądny, żeby rozpaść ognisko bez dymu.

Lecz tego ranka wygramolił się ze śmierdzących derek z uczuciem potężnego głodu. W głowie miał tylko bekon i kawę, więc w pośpiechu sklecił zgrabne małe ognisko z mokrego drewna.

To ognisko Timmonsa przyciągnęło groźną małą watahę Pawnisów.

Gdy dosięgła go strzała, siedział w kucki przy ogniu z palcami zaciśniętymi na ręczce od rondla, wdychając zapach bekonu. Wbiła mu się głęboko w prawy pośladek, a jej pęd przewalił go na drugą stronę ogniska. Usłyszał wycie, zanim kogokolwiek zobaczył, i te okrzyki sprawiły, że wpadł w panikę. Wskoczył prosto do żlebu i nie zwalniając wdrapał się po stoku z jaskrawo upierzoną strzałą Pawnisów sterczącą z tyłka.

Widząc, że to tylko jeden człowiek, Pawnisi nie śpieszyli się. W czasie gdy pozostali plądrowali wóz, zawzięty wojownik, który zawstydził ich i zmusił do działania, leniwie pogalopował za Timmonsem.

Dopał woźnicy w chwili, gdy ten był już o krok od krawędzi stoku prowadzącego

poza żleb. Tutaj Timmons nagle potknął się i upadł na jedno kolano, a kiedy wstał, odwrócił głowę w kierunku, skąd dochodził odgłos kopyt.

Ale nie zobaczył nigdy ani konia, ani jeźdźca. Na ułamek sekundy dojrzał kamienny topór wojenny. Potem trzasnął go on w bok czaszki z taką siłą, że głowa Timmonsa dosłownie rozleciała się w kawałki.

4

Pawnisi przetrzasnęli zapasy, biorąc ile tylko zdołali udźwignąć. Wyprzęgli niezłą czwórkę wojskowych koni, spalili wóz i przejechali mimo okaleczonego ciała Timmonsa bez choćby jednego spojrzenia na ostatek. Skalp woźnicy trzepotał na ostrzu lancy jego zabójcy.

Ciało leżało cały dzień w wysokiej trawie, czekając, aż o zmroku odkryją je wilki. Lecz wypełnienie się dni Timmonsa miało większą doniosłość niż zgaśnięcie jednego życia. Wraz z jego śmiercią zamknął się krąg niezwykłych okoliczności.

Nie mogło być bardziej samotnego człowieka.

ROZDZIAŁ V

1

On także rozpałił ognisko tego ranka, ale paliło się ono o wiele wcześniej niż ogień Timmonsa. W istocie, na godzinę przed śmiercią furmana porucznik zdążył już wypić do połowy pierwszy kubek kawy.

W wykazie dostawy były dwa składane krzesła. Rozłożył jedno przed darniową chatą Cargilla i siedział długo z zarzuconym na plecy wojskowym kocem, trzymając w złożonych dłoniach zwykły kubek i patrząc, jak przed jego oczami rozpościera się pierwszy pełny dzień w Fort Sedgewick. Jego myśli szybko zwróciły się ku działaniu, a wtedy znowu wkroczyło zwątpienie.

Z zadziwiającą gwałtownością porucznik doznał uczucia przygnębienia. Zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, od czego zacząć, na czym ma polegać jego funkcja, a nawet za kogo ma się uważać. Nie miał obowiązków, żadnego planu, którego mógłby się trzymać, i żadnego statusu.

Gdy słońce z wolna wschodziło za jego plecami, Dunbar poczuł, że skostniał w lodowatym cieniu chaty, więc ponownie napełnił kubek i przeniósł składane krzesło prosto w plamę słońca na majdanie.

Właśnie siadał, gdy zobaczył wilka. Stał na skarpie, naprzeciw fortu, po drugiej stronie rzeki. Pierwszym instynktownym odruchem porucznika było odstraszyć go paroma strzałami, ale im dłużej przyglądał się przybyszowi, tym mniej sensowny wydawał mu się ten pomysł. Nawet z tej odległości można było stwierdzić, że zwierzę jest po prostu ciekawe. I w jakiś niejasny sposób, który nigdy nie uzewnętrznił się w jego myślach, był zadowolony z tej odrobiny towarzystwa.

Cisco parsknął na wybiegu i porucznik zerwał się na baczność. Całkiem zapomniał o koniu. Po drodze do magazynu obejrzał się przez ramię i zobaczył, że poranny gość odwrócił się i zniknął właśnie pod linią horyzontu za skarpa.

2

To przyszło na niego w zagrodzie, kiedy sypał Ciscowi ziarno w płytką nieckę. Było to proste rozwiązanie i raz jeszcze odeгнаło zwątpienie.

Na razie wymyślił sobie obowiązki.

Dunbar dokonał szybkiej inspekcji chaty Cargilla, magazynu i rzeki. Potem wziął się do roboty, zaczynając od śmietniska nad brzegami strumyka.

Choć z natury nie był wybredny, uznał zaśmiecony teren za rozpaczliwy. Wszędzie rozsiane były butelki i odpadki. Porwane kawałki oporządzenia i strzepy mundurów leżały na brzegach wdeptane w ziemię. Najgorsza ze wszystkiego była padlina w różnych stadiach rozkładu, którą bezmyślnie ciśnięto wzdłuż rzeki. W większości była to drobna zwierzyna, króliki i perliczki. Była też cała antylopa i połowa drugiej.

Przeгляд tego plugastwa podsunął Dunbarowi pierwszą myśl na drodze do wyjaśnienia, co też mogło wydarzyć się w Fort Sedgewick. Najwidoczniej fort stał się miejscem, z którego nikt nie był dumny. A potem, sam o tym nie wiedząc, prawie że odgadł prawdę.

Może to było jedzenie, pomyślał. Może głodowali.

Pracował bez przestanku do południa, rozebrany do długiego podkoszulka, pary znoszonych kalesonów i starych butów, systematycznie przegrzebując śmietnik nad rzeką.

Więcej ścierwa zatopionego było w samym strumieniu i jego żołądek zareagował mdłościami, gdy stojąc w płytkiej wodzie wywlekał z cuchnącego mułu pokryte szlamem ciała zwierząt.

Układał wszystko w stos na brezentowej płachcie, a kiedy było już tego dosyć na jeden załadunek, związywał rogi płachty jak worek. Potem z Ciskiem dostarczającym siły pociągowej włókł ohydne brzemie na szczyt skarpy.

Wczesnym popołudniem strumień był oczyszczony i porucznik, choć nie był tego pewien, mógłby przysiąc, że płynie szybciej. Skręcił sobie papierosa i chwilę odpoczywał, patrząc na przepływającą obok rzekę. Uwolniona od plugawych odpadków, znów wyglądała jak prawdziwy strumień i porucznik poczuł, że wzbiera w nim dumą z tego, co zrobił.

Wstając na nogi poczuł, jak napinają mu się plecy. Nie przyzwyczajony do tego rodzaju pracy, uznał ten ból nawet za przyjemny. Oznaczał on, że czegoś dokonał.

Sprzątnąwszy ostatnie, drobne resztki odpadków, wspiął się na szczyt skarpy i stanął wobec sterty nieczystości, która sięgała mu prawie do ramienia. Wylał na stos galon nafty i podłożył ogień.

Przez pewien czas przypatrywał się, jak wielki słup tłustego czarnego dymu kłębi się ku czystemu niebu. Ale w tej samej chwili serce w nim zamarło, gdy zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Nie powinien był nigdy rozpalać ognia. W tych stronach luna tej wielkości była jak wystrzelenie racy w bezksiężycową noc. Była jak wypuszczenie wielkiej płonącej strzały zaproszenia do Fort Sedgewick.

Z pewnością kogoś przyciągnie słup dymu, a tym kimś będą najpewniej Indianie.

3

Porucznik Dunbar siedział przed chatą do zmierzchu, stale lustrując na wszystkie strony horyzont.

Nikt nie nadjeżdżał.

Poczuł ulgę. Ale gdy siedział tak całe popołudnie ze strzelbą Springfielda i wielkim marynarskim rewolwerem w zasięgu ręki, pogłębiło się w nim uczucie osamotnienia. W pewnym momencie wkradło się w jego myśli słowo rozbitek. Wzdrygnął się na nie. Wiedział, że to właściwe słowo. I wiedział, że może będzie musiał być sam jeszcze przez jakiś czas. W głębi duszy w jakiś niejasny sposób chciał być sam, ale w byciu rozbitkiem nie było nic z euforii, którą odczuwał podczas podróży z Timmonsem.

To było trzeźwiące.

Zjadł skromny obiad i sporządził raport z pierwszego dnia. Porucznik Dunbar był dobrym pisarzem, co sprawiało, że nie miał aż takiego wstrętu do papierkowej roboty jak większość żołnierzy. I bardzo mu zależało na prowadzeniu drobiazgowego zapisu ze swego pobytu w Fort Sedgewick, szczególnie wobec jego dziwnych okoliczności.

12 kwietnia, 1863

Fort Sedgewick znalazłem zupełnie opuszczonym przez załogę. Wydaje się, że miejsce to od jakiegoś czasu ulegało rozkładowi. Jeśli na krótko przed moim przybyciem był tutaj jakiś kontyngent, on również ulec musiał rozkładowi.

Nie wiem, co robić.

Fort Sedgewick to moja placówka, lecz nie ma się tu komu zameldować. Łączność może zostać nawiązana jedynie w wypadku, jeśli stąd wyjadę, ja zaś nie chcę opuszczać swojego posterunku.

Zapasów jest w bród.

Sam sobie przydzieliłem obowiązki porządkowe. Podejmę próbę wzmocnienia magazynu, nie wiem jednak, czy jeden człowiek podoła tej pracy.

W tej części pogranicza panuje całkowity spokój.

Por. John J. Dunbar, USA

Tej nocy, będąc na krawędzi snu, miał pomysł na zadaszenie. Zadaszenie nad chatą. Długi okap ciągnący się od wejścia. Miejsce do posiedzenia i popracowania w dni, kiedy upał wewnątrz kwatery stawał się nie do zniesienia. Jeden dodatek do fortu.

I okno, wycięte w darni. Z oknem będzie zupełnie inaczej. Mógł ścieśnić zagrodę dla koni i zużyć zbędne paliki do budowy czego innego. Może coś uda się mimo wszystko zrobić z magazynem.

Dunbar zasnął, zanim zdołał sobie sporządzić wykaz wszystkich możliwych zajęć. To był głęboki sen i śniło mu się wyraziście.

Był w polowym szpitalu w Pensylwanii. Doktorzy skupili się w nogach jego łóżka, a było ich z pół tuzina, w długich, białych fartuchach przesiąkniętych krwią innych „przypadków”.

Dyskutowali, czy odjąć mu stopę w kostce, czy w kolanie. Dyskusja przerodziła się w sprzeczkę, sprzeczką zrobiła się nieprzyjemna i na oczach przerażonego porucznika zaczęli się bić.

Tłukli się poobrzynanymi kończynami pochodzącymi z poprzednich amputacji. A kiedy tak płasali po całym szpitalu, wymachując swoimi groteskowymi maczugami, pacjenci, którzy stracili kończyny, zeskakiwali albo szczołgiwali się z prycz i przeszukiwali kłębowisko walczących doktorów w poszukiwaniu swoich rąk i nóg.

W najgorętszym momencie bijatyki wymknął się przez główne drzwi, galopując jak szalony na urwanej w połowie stopie.

Pokuśtykał na lśniącej, zielonej łące usianej ciałami zwolenników Unii i konfederatów. Jak klocki domina na opak, ciała siadały, kiedy przebiegał obok, i celowały do niego z pistoletów.

Czuąc nagle, że w ręce ma broń, porucznik Dunbar zastrzelił wszystkie ciała, zanim zdążyły nacisnąć spust. Dawał ognia raz za razem i każda jego kula trafiała w jedną głowę. I każda głowa odlatywała od uderzenia. Wyglądały jak długi szereg dyń, z których każda kolejno eksplodowała, odpadając z żerdzi na ramionach trupa.

Porucznik Dunbar widział siebie w oddali - dziką postać w krwawej szpitalnej koszuli nocnej, pędzącą przez szpaler ciał, których głowy ulatywały w powietrze, gdy tylko przeszedł.

Nagle nie było już więcej ciał i nie było już strzelaniny.

Ale ktoś stał za jego plecami, wołając pięknym głosem.

„Najdroższy... najdroższy.”

Biegła za nim kobieta, przystojna kobieta z wystającymi kośćmi policzkowymi, gęstymi rudoblond włosami i oczami tak pałającymi namiętnością, że poczuł, jak serce zabiło mu szybciej. Ubrana była tylko w męskie spodnie i biegła z zakrwawioną stopą w wyciągniętej dłoni, jakby chciała mu ją ofiarować.

Porucznik spuścił wzrok na własną okaleczoną stopę i zobaczył, że zniknęła. Biegł na białym kościanym kikucie.

Ocknął się w szoku, usiadł wyprostowany, obłąkańczo sięgnął po omacku, szukając stopy na krańcu łóżka. Była tam.

Koce przesiąkły potem. Pogrzebał pod łóżkiem, znalazł tornister i zrobił sobie skręta. Skopał z siebie lepkie koce, podłożył poduszkę pod plecy i szybko zaciągnął się parę razy, czekając, aż się rozżarzy.

Doskonale wiedział, co wywołało ten sen. Podstawowe elementy naprawdę się wydarzyły. Dunbar pozwolił sobie powrócić myślami do tamtych wydarzeń.

Był ranny w stopę. Szrapnelem. Spędził jakiś czas w polowym szpitalu, była mowa o odjęciu stopy, a nie mogąc znieść myśli o tym, porucznik Dunbar uciekł. W środku nocy pełnej straszliwych jęków rannych, które odbijały się echem od ścian szpitalnej sali, wyslizgnął się z łóżka i ukradł najniezbędniejsze części ubrania. Posypał stopę środkiem odkażającym, grubo owinął ją gazą i jakoś wcisnął do buta.

Potem wymknął się bocznymi drzwiami, ukradł konia i nie mając dokąd pójść, dołączył o świcie do swojego oddziału, opowiedziawszy bajeczkę o powierzchownej ranie palca u nogi.

Teraz uśmiechnął się do siebie i pomyślał: „O czym mogłem wtedy myśleć?”

Po dwóch dniach ból był tak nieznośny, że porucznik chciał już tylko umrzeć. Kiedy nadarzyła się sposobność, uchwycił się jej.

Dwa stojące naprzeciw siebie oddziały ostrzeliwały się ponad trzystujardowym ogołoconym polem przez większą część popołudnia. Ukryci byli za niskimi, kamiennymi wałami ciągniętymi się wzdłuż przeciwnych krańców pola, niepewni co do siły przeciwnika, niepewni, czy przypuścić szarżę.

Oddział porucznika Dunbara wypuścił balon obserwacyjny, ale rebelianci szybko go zestrzelili.

Wszystko pozostało w martwym punkcie, a gdy późnym popołudniem napięcie doszło do zenitu, porucznik Dunbar osiągnął kres swej własnej wytrzymałości. Myśli jego skupiły się niezachwianie na skończeniu ze sobą.

Zgłosił się na ochotnika, że wyjedzie w pole i ściągnie na siebie nieprzyjacielski ogień.

Dowodzący regimentem pułkownik nie nadawał się na wojnę. Miał słaby żołądek i głupie pomysły.

Normalnie nigdy by na coś takiego nie pozwolił, ale tego popołudnia był w

rozpaczliwej sytuacji. Biedaczek zupełnie nie wiedział, co począć, a na dodatek z jakiejś nie wyjaśnionej przyczyny nieustannie nawiedzały go myśli o dużej porcji lodów śmietankowych z brzoskwinia.

Na domiar złego generał Tipton ze swoimi adiutantami zajął pozycję obserwacyjną na wysokim wzgórzu od zachodu. Przyglądano się jego poczynaniom, a on był niezdolny do poczynania.

Pierwszorzędnym wprost rozwiązaniem był ten młody porucznik ze śmiertelnie bladą twarzą, który mówił przez zaciśnięte zęby o ściągnięciu na siebie ognia. Jego dzikie, czarne jak węgle oczy wystraszyły pułkownika.

Nieudolny dowódca przystał na plan.

Ponieważ jego własny wierzchowiec paskudnie kaszłał, pozwolono Dunbarowi wybrać sobie, co tylko uznał za stosowne, spośród remontów. Wybrał nowego konia, niedużego, silnego bułanka o imieniu Cisco, i zdołał na oczach całego oddziału umieścić się w siodle, nie wyjąc przy tym z bólu.

Kiedy podjechał stępą na bułanku do niskiego kamiennego wału, kilka karabinowych kul przecięło ze świstem pole, ale poza tym panowała martwa cisza i porucznik Dunbar zastanawiał się, czy ta cisza jest prawdziwa, czy też zawsze odbywa się to w ten sposób na parę chwil przed śmiercią człowieka.

Ostro spiął Cisca piętami pod zębra, przeskoczył wał i pognął przez nagie pole, podążając prosto w środek skalistego wału, za którym ukrywał się nieprzyjaciel. Przez chwilę rebelianci byli zbyt zaszokowani, żeby strzelać, i porucznik przemierzył pierwsze sto jardów w bezgłośniej próżni.

Potem zaczęło się. Kule lunoły w powietrzu jak strumień z odszypuntowanej beczki. Porucznik nie zaprzętał sobie głowy ostrzeliwaniem się. Siedział wyprostowany, żeby stanowić lepszy cel, i znowu spiął Cisca. Konik położył po sobie uszy i pomknął pod wał. W każdej chwili Dunbar oczekiwał, że trafi go jedna z kul.

Ale żadna nie trafiła, a kiedy był już dostatecznie blisko, żeby widzieć oczy nieprzyjaciół, on i Cisco zrobili zwrot w lewo, pędząc w prostej linii na północ, o pięćdziesiąt jardów od wału. Cisco uderzał tak mocno kopytami, że błoto bryzgało mu spod tylnych nóg jak kilwater szybkiej łodzi. Porucznik nadal stał wyprostowany w strzemionach i temu nie mogli się już oprzeć konfederaci. Podnieśli się jak tarcze na strzelnicy, miotając salwy ognia karabinowego na cwałującego opodal jeźdźca.

Nie zdołali go trafić.

Porucznik Dunbar usłyszał, że ogień zamiera. Linia strzelców została w tyle. Kiedy

osadził konia, poczuł palący żar w górnej części ramienia, i stwierdził, że został draśnięty w biceps. Palące ukłucie oprzytomniło go. Spojrzał po linii, którą dopiero co minął, i zobaczył, że konfederaci kłębią się za wałem, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Jego uszy znowu zaczęły funkcjonować normalnie i posłyszał okrzyki zachęty dobiegające od strony własnej linii, hen z przeciwnej strony pola. Wtedy stopa raz jeszcze dała o sobie znać, pulsując w bucie jak jakaś ohydna pompa.

Wykonał z Ciskiem w tył zwrot, a kiedy mały bułanek szarpał się w wędzidle, porucznik Dunbar usłyszał gromkie wiwaty. Popatrzył na drugi kraniec pola. Jego towarzysze broni masowo powstawali za wałem.

Dotknął piętami boków Cisca i pocałowali naprzód drogą, którą przybyli - tym razem, by wystawić na próbę drugą flankę konfederatów. Ludzie, których mijał, przyłapywani bywali ze spuszczonej spodniami i przejeżdżając widział, jak gorączkowo ładują broń.

A przed sobą, w głębi nie rozpoznanej flanki, zobaczył, że strzelcy zrywają się na nogi i przykładają karabiny do obojczyka.

Zdecydowany nie zawieść samego siebie, porucznik raptem puścił gwałtownie wodze i unióś wysoko w górę oba ramiona. Mógłby przypominać cyrkowego jeźdźca, ale to, co czuł, było nieodwołalne. Podniósł ramiona w nieodwołalnym geście pożegnania z życiem. Przez kogoś, kto się temu przyglądał, mogło to zostać opacznie zrozumiane. Mogło to wyglądać na gest triumfu.

Oczywiście nie było to pomyślane jako sygnał dla nikogo. Porucznik Dunbar chciał tylko umrzeć. Lecz jego towarzyszom z Unii i tak już serca skoczyły do gardła, a gdy ujrzeli, jak porucznik wyrzuca w górę ramiona, było to więcej, niż mogli znieść.

Ruszyli lawiną przez wał, samorzutna fala przyływu walczących, rycząca z zapamiętaniem, które zmroziło krew w żyłach konfederatów.

Ludzie w mundurach koloru buczyny złamali szyki i jak jeden mąż rzucili się do ucieczki, biegnąc bezładną kupą w stronę kępy drzew za plecami.

W tym samym czasie gdy porucznik Dunbar osadził w miejscu Cisca, ubrani na granatowo żołnierze Unii byli już poza wałem, ścigając przerażonych rebeliantów w zagajniku.

Nagle jego głowa zrobiła się lekka.

Świat wokół niego zawirował.

Pułkownik z adiutantami zajeżdżał z jednej strony, generał Tipton ze swoimi ludźmi z drugiej. Obaj widzieli, jak pada, waląc się bez czucia z siodła, a kiedy zlatywał, obaj popędzili konie. Pędząc do miejsca na pustym polu, gdzie Cisco stał spokojnie obok leżącej u

jego nóg bezkształtnej postaci, pułkownik i generał Tipton doznawali tych samych uczuć, uczuć rzadkich u oficerów wysokiej rangi, a już szczególnie w czasie wojny.

Każdy z nich doznawał uczucia głębokiej i szczerzej troski o pojedynczą istotę.

Z nich dwóch bardziej przygnębiony był generał Tipton. W ciągu dwudziestu siedmiu lat wojaczki był świadkiem wielu aktów brawury, ale nic nawet w przybliżeniu nie równało się z widowiskiem, którego świadkiem był tego popołudnia.

Kiedy Dunbar przyszedł do siebie, generał klęczał u jego boku z żarliwością ojca nad ciałem syna.

A kiedy zorientował się, że ten dzielny porucznik już wyruszając w pole był ranny, generał pochylił głowę, jakby odmawiał modlitwę, i zrobił coś, czego nie robił od dzieciństwa. Łzy potoczyły się na jego siwiejącą brodę.

Porucznik Dunbar nie był w stanie wiele mówić, ale zdołał wykrztusić jedną prośbę. Powiedział to kilka razy.

„Nie amputujcie mi stopy.”

Generał Tipton usłyszał i zapamiętał tę prośbę, jakby to było przykazanie od samego Boga. Porucznika Dunbara zabrano z pola osobistym ambulansiem generała, zawieziono do pułkowej kwatery głównej generała, a kiedy już się tam znalazł, powierzono go bezpośredniej opiece osobistego lekarza generała.

Kiedy tam przybyli, doszło do małej scysji. Generał Tipton rozkazał lekarzowi uratować stopę młodzieńca, ale po pobieżnym zbadaniu lekarz odrzekł, że jest duże prawdopodobieństwo, iż będzie musiał ją jednak amputować.

Generał Tipton wziął doktora na stronę i powiedział mu: „Jeśli pan nie uratujesz temu chłopcu stopy, każę pana zdegradować za brak kompetencji. Każę pana zdegradować, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobię”.

Powrót do zdrowia porucznika Dunbara stał się obsesją generała. Codziennie znajdował czas, żeby rzucić okiem na młodego porucznika, a zarazem zajrzeć przez ramię doktorowi, który w ciągu dwóch tygodni, jakie zabrało ratowanie stopy porucznika Dunbara, ani na chwilę nie przestał się pocić.

Wówczas generał niewiele powiedział pacjentowi. Wyraził tylko ojcowską troskę. Ale kiedy stopa nie była już w żadnym stopniu zagrożona, wsunął pewnego popołudnia głowę do namiotu, przysunął sobie krzesło bliżej łóżka i zaczął mówić beznamiętnie o czymś, co zrodziło się w jego umyśle.

Dunbara zatkało, kiedy generał wyłożył mu swój pomysł. Chciał, żeby wojna skończyła się dla porucznika Dunbara, ponieważ jego dokonań w polu, dokonań, o których

generał nie przestawał myśleć, starczało dla jednego człowieka w jednej wojnie.

I chciał, żeby porucznik poprosił go o coś, ponieważ, i tu generał zniżył głos, „wszyscy jesteśmy pańskimi dłużnikami. Ja jestem pańskim dłużnikiem”. Porucznik pozwolił sobie na nikły uśmiech i powiedział: „Cóż... mam stopę, sir”.

Generał Tipton nie zrewanżował się uśmiechem.

- Czego pan chce? - rzekł.

Dunbar zamknął oczy i zastanawiał się.

Wreszcie powiedział: „Zawsze chciałem zostać wysłany na pogranicze”.

- Dokąd?

- Gdziekolwiek... po prostu nad granicę.

Generał podniósł się z krzesła. - W porządku - powiedział i ruszył do wyjścia z namiotu.

- Sir?

Generał przystanął, a kiedy spojrzał za siebie na łóżko, zrobił to z rozbrajającą czułością.

- Chciałbym zatrzymać konia... Czy mogę?

- Może pan oczywiście.

Porucznik Dunbar przez resztę popołudnia rozpamiętywał rozmowę z generałem. Był podniecony nagłą, nową perspektywą w swoim życiu. Ale miał także poczucie winy, kiedy pomyślał o czułości, którą ujrzał na twarzy generała. Nikomu nie powiedział, że usiłował jedynie popełnić samobójstwo. Było już chyba na to o wiele za późno. Tego popołudnia postanowił, że nigdy tego nie powie.

A teraz, leżąc na lepkich kocach, Dunbar skręcił trzeciego papierosa w ciągu pół godziny i zadumał się nad tajemniczymi zrządzzeniami losu, które ostatecznie przywiodły go do Fort Sedgewick.

W pomieszczeniu pojaśniało i tak samo zmienił się nastrój porucznika. Oderwał myśli od przeszłości i skierował je ku teraźniejszości. Z zapalem człowieka zadowolonego ze swego miejsca zaczął myśleć o dzisiejszej fazie kampanii oczyszczania.

ROZDZIAŁ VI

1

Jak dzieciak, który chętnie zostawi jarzyny i zabierze się od razu do deseru, tak i porucznik Dunbar odłożył na potem trudne zadanie podstemplowania magazynu, przedkładając przyjemne możliwości, jakie oferowała budowa zadaszania.

Grzebiąc w zapasach, znalazł komplet namiotów polowych, które mogły dostarczyć brezentu, ale żadne poszukiwania nie przyniosły niczego, czym można by je pozszywać, i żałował, że tak się pośpieszył ze spalaniem padliny.

Przez większą część ranka przetrząsał brzegi w dole strumienia, zanim trafił na mały szkielet, który dostarczył kilku mocnych odłamków kości mogących posłużyć do szycia.

Wróciwszy do magazynu, znalazł tam krótki kawałek liny, którą rozplótł, aż uzyskał nić o zamierzonej grubości. Rzemień byłby trwalszy, ale wprowadzając te wszystkie ulepszenia porucznik Dunbar cieszył się myślą, że może przypisywać im charakter tymczasowy. Byle utrzymać fort, dumał, chichocząc do siebie. Byle utrzymać fort, aż znowu w pełni odżyje wraz z nadejściem świeżych oddziałów.

Choć unikał starannie rozbudzania w sobie nadziei, był pewien, że wcześniej czy później ktoś przybędzie.

Szycie było brutalne. Przez pozostałą część drugiego dnia zawzięcie robił ściegi w brezentowym płótnie, czyniąc w tym niezłe postępy. Ale późnym popołudniem, kiedy odłożył robotę, ręce miał tak obolałe i spuchnięte, że z trudnością zaparzył sobie wieczorną kawę.

Rankiem palce miał jak z kamienia, o wiele za sztywne do igły. Odczuwał pokusę, żeby mimo wszystko spróbować, bo był już blisko końca. Ale nie spróbował.

Zamiast tego zajął się zagrodą dla koni. Po starannym zbadaniu wymontował z niej cztery najwyższe i najmocniejsze pale. Nie były głęboko wkopane i wyciągnięcie ich nie zabrało mu wiele czasu.

Cisco na pewno nigdzie by się nie oddalił i porucznik przez chwilę rozważał pomysł pozostawienia otwartej zagrody. W końcu jednak zdecydował, że brak zagrody byłby pogwałceniem ducha kampanii oczyszczania, więc następną godzinę poświęcił na przebudowę palisady.

Potem rozpostarł brezent przed chatą sypialną i wbił pale głęboko, ciasno upychając wokół ciężką ziemią.

Dzień zrobił się ciepły i kiedy porucznik skończył już z palami, powlókł się w cień darniowej chaty. Usiadł na brzegu łóżka i oparł się o ścianę. Powieki ciążyły mu coraz

bardziej. Położył się na pryczy, żeby chwilę odpocząć, i natychmiast zapadł w głęboki, błogi sen.

2

Obudził się z piersią wezbraną dojmującym posmakiem całkowitej porażki, tym razem w starciu z sennością. Przeciagając się gnuśnie, spuścił rękę z krawędzi łóżka i jak senne dziecko muskał lekko końcami palców brudną podłogę.

Czuł się cudownie, leżąc tak i nie mając nic do roboty, i przyszło mu wtedy do głowy, że oprócz wynajdywania sobie obowiązków może narzucić sobie własne tempo. Przynajmniej na razie. Uznał, że podobnie jak uległ senności, będzie teraz pozwalał sobie na inne przyjemności. Nie zaszkodzi, jak trochę sobie poleniuchuje, pomyślał.

Cienie wpłynęły przez drzwi chaty i Dunbar, ciekaw, jak długo spał, wsunął rękę do kieszeni spodni i wyciągnął prosty, stary kieszonkowy zegarek, który niegdyś należał do jego ojca. Kiedy przysunął go blisko twarzy, zobaczył, że stanął. Przez chwilę rozważał, czy nie spróbować nastawić go na przybliżoną godzinę, ale zamiast tego położył stary, wytarty chronometr na brzuchu i popadł w zamyślenie.

Jakie znaczenie ma teraz dla niego czas? Jakie kiedykolwiek miał znaczenie? Może i był konieczny, na przykład przy przewożeniu rzeczy, ludzi i materiałów. Albo żeby dobrze coś ugotować. W szkołach, przy ślubach, nabożeństwach, i żeby zdążyć do pracy.

Ale jakie znaczenie miał tutaj?

Porucznik Dunbar skręcił sobie papierosa i powiesił schedę po ojcu na haku, dwie stopy nad łóżkiem. Paląc papierosa przyglądał się cyfrom na tarczy zegarka i zastanawiał się, o ile owocniej byłoby pracować, gdy człowiek czuje chęć do pracy, jeść, gdy człowiek jest głodny, spać, gdy człowiek jest śpiący.

Zaciągnął się głęboko papierosem i z zadowoleniem rozprostowując ramiona nad głową, wydmuchał wstęgę niebieskawego dymu.

Jak dobrze będzie żyć jakiś czas bez czasu, pomyślał.

Nagle rozległ się na zewnątrz odgłos ciężkiego stąpania. Pojawił się, zniknął i pojawił znowu. Jakiś ruchomy cień przeszedł przez wejście do chaty i za chwilę wielki łeb Cisca zawisnął w drzwiach. Strzygł uszami, a oczy miał szeroko otwarte ze zdziwienia. Wyglądał jak dziecko, które wtargnęło w niedzielny poranek do sanktuarium rodzicielskiej sypialni.

Porucznik Dunbar głośno się roześmiał. Bułanek położył uszy po sobie i potrząsnął niedbale łbem, jakby udawał, że żadna kłopotliwa sytuacja nie ma miejsca. Jego wzrok niedbale omiótł pomieszczenie. A potem spojrzał natarczywie na porucznika i stuknął

kopytem jak konie, które chcą strząsnąć z siebie muchy.

Dunbar wiedział, że czegoś chce.

Prawdopodobnie przejażdżki.

Stał koło domu już od dwóch dni.

3

Porucznik Dunbar nie miał zamiłowania do jazdy konnej. Nigdy nie szkolono go w subtelnościach jeździectwa. Jego konstytucja fizyczna, mocna pomimo złudnej szczupłości, nie zaznała systematycznej gimnastyki.

Ale w koniach było jednak coś specjalnego. Kochał je od chłopięcych lat; może to właśnie była przyczyna. Ale tak naprawdę przyczyna nie miała znaczenia. Znaczenie miało jedynie to, że działo się coś dziwnego, gdy Dunbar wskakiwał na grzbiet konia, a zwłaszcza konia tak obdarzonego przez naturę jak Cisco.

Między końmi a porucznikiem Dunbarem nawiązywało się porozumienie. Miał dar rozszyfrowywania języka konia. A gdy raz go już opanował, mógł ulecieć pod niebiosa. Dialekt Cisca opanował prawie od razu i niewiele było takich rzeczy, których nie byli w stanie razem dokonać. Kiedy jechali, robili to z wdziękiem pary tancerzy.

Im bardziej nieskalanie, tym lepiej. Dunbar zawsze przedkładał jazdę na oklep nad siodło, ale armia oczywiście nie zezwalała na takie rzeczy. Ludzie kaleczyli się i przy długich kampaniach było to wykluczone.

Kiedy więc porucznik wkroczył do mrocznego magazynu, automatycznie sięgnął ręką w kąt po siodło.

Wstrzymał się. Jediną armią tutaj był on sam, a porucznik Dunbar wiedział, że się nie pokaleczy.

Sięgnął więc w zamian po uzdę Cisca, zostawiając siodło.

Nie ujechali nawet dwudziestu jardów od zagrody, kiedy znowu zobaczył wilka. Przyglądał się im z tego samego miejsca, które zajął poprzedniego dnia, na krawędzi skarpy po drugiej stronie rzeki.

Wilk poruszył się, ale gdy zobaczył, że Cisco przystaje, niespiesznie powrócił do pierwotnej pozycji i znów zaczął wpatrywać się w porucznika.

Dunbar przyjrzał mu się ze swej strony z większym niż poprzedniego dnia zainteresowaniem. W porządku, to był ten sam wilk, dwie białe łaty na przednich łapach. Był duży i silny, ale było w nim coś, co podszeptywało porucznikowi Dunbarowi, że najlepsze lata ma już za sobą. Sierść miał wyliniałą i porucznikowi zdawało się, że widzi postrzępioną

ryse wzdłuż pyska, najpewniej starą ranę. Była w nim jakaś czujność świadcząca o wieku. Wydawało się, że widzi wszystko, nie poruszywszy ani jednym mięśniem. Mądrość była tym słowem, które nasunęło się porucznikowi. Mądrość była premią za przeżycie wielu lat, a płowy stary basior z czujnymi oczami żył dłużej, niż zwykle żyją wilki.

Zabawne, że wrócił, pomyślał porucznik Dunbar.

Lekko spiął konia i Cisco ruszył naprzód. W tym samym momencie Dunbar pochwycił wzrokiem jakiś ruch i spojrzał na drugi brzeg rzeki.

Wilk ruszył także.

Naprawdę szedł z nimi krok w krok. Trwało to jeszcze przez następnych sto jardów, zanim porucznik nie kazał Ciscowi znów się zatrzymać.

Wtedy wilk zatrzymał się także.

Pod wpływem nagłego impulsu porucznik wykonał z Ciskiem przepisowy zwrot i stanął twarzą do rozpadliny. Patrzył teraz wilkowi prosto w oczy i był pewny, że coś w nich czyta. Jakaś tęsknotę.

Właśnie zaczynał się zastanawiać, czym naprawdę jest ta tęsknota, gdy wilk ziewnął i zawrócił. Przeszedł w kłus i zniknął.

4

13 kwietnia, 1863

Choć jestem dobrze zaopatrzony, postanowiłem racjonować sobie żywność.

W każdej chwili powinien nadejść nieobecny garnizon albo nowa zmiana. Trudno mi sobie wyobrazić, by to długo jeszcze trwało.

W każdym razie dokładam starań, by spożywać zapasy w taki sposób, w jaki robiłbym to, będąc jednym z załogi placówki, nie zaś jedynym. Będzie to trudne, gdy chodzi o kawę, lecz zrobię, co będę mógł.

Zacząłem zadaszanie. Jeśli do jutra rana odzyskam czucie w rękach, które są teraz w kiepskim stanie, może skończę do popołudnia.

Dziś po południu pojechałem na krótki patrol. Niczego nie wykryłem.

Jest tu wilk, który uparcie powraca. Jednakże nie wydaje się, by był skłonny sprawiać jakiegokolwiek kłopoty, a jest on, nie licząc mego konia, jedynym gościem, jakiego tu mam. Od ostatnich dwóch dni pojawia się każdego popołudnia. Jeśli jutro wpadnie z wizytą, dam mu na imię Dwie Skarpety. Na obu przednich łapach ma dwie mlecznobiałe łaty.

Por. John J. Dunbar, USA

ROZDZIAŁ VII

1

Kilka następnych dni minęło gładko.

Ręce porucznika Dunbara wyzdrowiały, a nad chatą wyrosło zadaszanie. Upłynęło dwadzieścia minut, odkąd je wzniosł, i właśnie szukał wytchnienia pod rozwieszonym brezentowym dachem, pochylając się nad baryłką i skręcając sobie papierosa, kiedy w budowlę uderzył podmuch wiatru i zadaszanie zawaliło się.

Czuł się ośmieszony i wydostawszy się spod spodu, przyglądał się przez parę minut rumowisku, po czym wpadł na pomysł, żeby zastosować druty odciągające. Zamiast drutu użył sznura i przed zachodem słońca znów siedział w cieniu z zamkniętymi oczami i pociągał następnego skręta, wsłuchując się w przyjemny dźwięk łagodnie łopoczącego nad głową brezentu.

Za pomocą bagnetu wypiłował w darniowej chacie szerokie okno i udrapował nad nim płat brezentu.

Długo i ciężko pracował nad magazynem, ale poza usunięciem dużego kawałka osiadającej ściany nie zrobił dużych postępów. Końcowym rezultatem była pusta wyrwa. Stara darń kruszyła się za każdym razem, kiedy próbował ją odbudowywać, więc porucznik Dunbar zakrył dziurę jeszcze jedną brezentową płachtą, a od reszty umył ręce. Od samego początku magazyn był czystą stratą czasu.

Leżąc późnymi popołudniami na pryczy, Dunbar wciąż wracał myślą do magazynu, ale w miarę upływu dni poświęcał mu coraz mniej uwagi. Pogoda była piękna i nie miała nic z wiosennej gwałtowności. Temperatura była wprost doskonała, powietrze jak puch, a wiatr, który pod wieczór trzepotał nad jego głową brezentową zasłoną w oknie, wiał łagodnie.

W miarę upływu czasu codzienne kłopoty wydawały się łatwiejsze do rozwiązania, a po skończonej pracy porucznik kładł się na pryczy z papierosem, zdumiony spokojem, jaki odczuwał. Powieki nieodmiennie zaczynały mu ciążyć i przywykł ucinać sobie półtoragodzinną drzemkę przed kolacją.

Dwie Skarpety również stał się nawykiem. Zjawiał się w zwykłym miejscu na skarpie każdego popołudnia i po dwóch czy trzech dniach porucznik Dunbar zaczął traktować nadejścia i odejścia milczącego gościa jako coś oczywistego. Niekiedy zauważał, jak wilk zjawia się truchtem, ale najczęściej porucznik podnosił wzrok znad jakiejś drobnej roboty, a on tam był - siedział na tylnych łapach, patrząc na drugi brzeg rzeki tym dziwnym, ale jedynym w swoim rodzaju tęsknym spojrzeniem.

Pewnego wieczoru, gdy Dwie Skarpety siedział na czatach, porucznik położył na swoim brzegu rzeki kęs skóry z bekonu wielkości ludzkiej pięści. Następnego ranka nie było śladu po bekonie i Dunbar, choć nie miał na to dowodu, był pewien, że wziął go Dwie Skarpety.

2

Porucznikowi Dunbarowi brakowało kilku rzeczy. Brakowało mu ludzkiego towarzystwa. Brakowało mu przyjemności, jaką daje mocny alkohol. Najbardziej ze wszystkiego brakowało mu kobiet, a raczej kobiety. Myśli o seksie raczej go nie nachodziły. Ale pojawiały się myśli o dzieleniu się z kimś. Im bardziej oswajał się ze swobodnym i łatwym modelem życia w Fort Sedgewick, tym bardziej chciał je z kimś dzielić, a kiedy pomyślał o tym brakującym elemencie, jego twarz smutniała i posepnie wpatrywał się w pustkę.

Na szczęście te chwile upadku ducha szybko mijały. To, czego mu było brak, bladło wobec tego, co miał. Umysł jego był wolny. Nie było pracy ani zabawy. Wszystko było jednym i drugim. Nie miało znaczenia, czy czerpie wodę ze strumyka, czy przykłada się do pysznego obiadu. Było to bowiem to samo i nie uznawał tego za nudne. Myślał o sobie jak o pojedynczym prądzie w głębokiej rzece. Był oddzielony i był połączony, wszystko to równocześnie. Było to cudowne uczucie.

Uwielbiał codzienne wyprawy na zwiad na nagim grzbiecie Cisca. Każdego dnia wyjeżdżali w innym kierunku, czasami nawet pięć lub sześć mil od fortu. Nie widział żadnych bizonów ani Indian. Ale nie był tym bardzo rozczarowany. Preria była wspaniała, w płomieniach dzikich kwiatów, pełna zwierzyny. Najlepsza była bizonia trawa, żywa jak ocean, jak okiem sięgnąć falująca na wietrze. Wiedział, że jest to widok, którego nigdy nie będzie miał dosyć.

Po południu w wigilię dnia, w którym porucznik Dunbar urządzał pranie, on i Cisco wyjechali na niecałą milę od placówki, a kiedy przypadkiem obejrzał się przez ramię, był tam Dwie Skarpety, biegnący za nimi lekkim truchtem o paręset jardów z tyłu.

Porucznik Dunbar ściągnął konia i wilk zwolnił.

Ale nie zatrzymał się.

Zatoczył szeroki łuk, ruszając ponownie truchtem. Kiedy stary wilk zrównał się z nimi, przystanął w wysokiej trawie, po lewej ręce porucznika w odległości pięćdziesięciu jardów, i przysiadł na tylnych łapach, jakby czekał na sygnał, by znów ruszyć.

Pojechali głębiej w prerię i Dwie Skarpety poszedł razem z nimi. Dunbar z ciekawości

parokrotnie po drodze zatrzymywał się i znów ruszał. Dwie Skarpety z nie słabnącą czujnością w żółtych oczach za każdym razem dotrzymywał im towarzystwa.

Nawet gdy Dunbar zmieniał trasę i gdzieś jechał zygzakami, nie odstępował ich, stale utrzymując dystans pięćdziesięciu jardów.

Kiedy porucznik puścił Cisca w lekki cwał, zdumiał się, widząc, że Dwie Skarpety także sady susami.

Gdy się zatrzymali, rozejrzał się za swym nieodstępnym towarzyszem i spróbował znaleźć jakieś wytłumaczenie. Z pewnością to zwierzę spotkało już gdzieś na drodze swojego życia człowieka. Może było półpsem. Ale kiedy porucznik omiół wzrokiem dzikie pustkowie, jak okiem sięgnąć ciągnące się wokół na wszystkie strony aż po horyzont, nie potrafił sobie wyobrazić, by Dwie Skarpety mógł nie być wilkiem.

- W porządku - zawołał porucznik.

Dwie Skarpety zastrzygł uszami.

- Ruszajmy.

Wszyscy trzej przemierzili jeszcze jedną milę, zanim spostrzegli nieduże stadko antylop. Porucznik przyglądał się widłorożcom o biało nakrapianych zadach skupionym w stadko na prerii, aż zniknęły niemal całkiem z oczu.

Kiedy obrócił się, by sprawdzić reakcję Dwóch Skarpet, nie zobaczył go już.

Wilk odszedł.

Chmury piętrzyły się na zachodzie, dźwigając wysoko w górę burzowe głowy pełne błyskawic. Gdy ruszyli z Ciskiem z powrotem, Dunbar nie spuszczał z oka czoła nawałnicy. Przesuwała się w ich kierunku i na perspektywę deszczu porucznik zrobił kwaśną minę.

Naprawdę musiał zrobić pranie.

Koce zaczynały już śmierdzieć jak brudne skarpetki.

ROZDZIAŁ VIII

1

Porucznik Dunbar podtrzymywał odwieczną tradycję przepowiadania pogody.

Pomylił się.

Spektakularna burza przemknęła nocą, nie uroniwszy ani jednej kropli deszczu nad Fort Sedgewick, a dzień, który wstał następnego ranka, był najczystsze pastelowo błękitnego koloru, powietrze było jak napój, a litościwe słońce przypiekało wszystko, czego dotknęło, nie spalając przy tym ani jednego źdźbła trawy.

Przy kawie porucznik ponownie przeczytał swoje oficjalne raporty z minionych dni i uznał, że przedstawiając fakty tak, jak to zrobił, odwalił kawał dobrej roboty. Jakiś czas rozważał kwestie subiektywne. Niejednokrotnie brał już pióro do ręki, żeby wykreślić jakąś linijkę, ale w końcu niczego nie zmienił.

Nalewał sobie właśnie drugi kubek, gdy daleko na zachodzie zauważył dziwną chmurę. Była to brązowa, ciemnobrązowa chmura, nisko i płasko leżąca u podnóża nieba.

Jak na chmurę była zbyt zamglona. Wyglądała jak dym z ogniska. Pewnie piorun zeszedł nocy w coś uderzył. Może preria stanęła w ogniu. Zakonotował sobie w pamięci, że musi mieć tę dymną chmurę na oku, a jeśli się utrzyma, ruszyć w tamtym kierunku na popołudniowy patrol. Słyszał od kogoś, że pożary prerii bywają ogromne i szybko się rozprzestrzeniają.

2

Nadjechali poprzedniego dnia i w przeciwieństwie do porucznika Dunbara byli złani deszczem.

Ale nie podkopało to w najmniejszym stopniu ich ducha. Skończył się ostatni odcinek długiej wędrówki z obozu zimowego, daleko na południu. To, a także nadejście wiosny, zapowiadało najszcześniejszy okres w ich życiu. Z każdym dniem ich kuce obrastały w tłuszcz i nabierały sił, droga ukoła ich po miesiącach względnej bezczynności i zaraz zaczęły się przygotowania do letnich polowań. To sprawiało, że byli jeszcze szczęśliwsi, szczęśliwi w głębi wygłodniałych brzuchów. Nadciągały bizona. Ucztowanie było tuż tuż.

A skoro to było od pokoleń ich letnie obozowisko, mocne poczucie powrotu do domu cieszyło wszystkie serca, serca wszystkich 172 mężczyzn, kobiet i dzieci.

Zima była łagodna i horda przeżyła ją w doskonałej kondycji. Dzisiaj, w pierwszy poranek w domu, był to roześmiany obóz. Młodzież swawoliła wśród stada kuców,

wojownicy prześcigali się w opowieściach, a kobiety brnęły przez mozoły gotowania porannego posiłku pogodniej niż zazwyczaj.

Byli to Komańcze.

Obłok dymu, który porucznik Dunbar uznał za pożar prerii, unosił się znad ich ognisk.

Rozłożyli się obozem nad tym samym strumieniem, osiem mil na zachód od Fort Sedgewick.

3

Dunbar pozgarniał wszystko, co wpadło mu w ręce, a wymagało prania, i poupychał do plecaka. Potem ułożył sobie na ramionach stertę cuchnących koców, poszukał kostki mydła i skierował się nad rzekę. Kiedy kucał nad strumieniem, wyciągając z worka pranie, pomyślał: z wielką chęcią wyprałbym to, co mam na sobie.

Ale nie miałby co na siebie włożyć, zanim by wszystko nie wyschło.

Był jeszcze płaszcz.

Ale ze mnie głupiec, powiedział do siebie. Zachichotał i głośno powiedział: „Jestem tu tylko ja i preria”.

To było przyjemne uczucie być nago. W tym duchu odłożył nawet na bok oficerski kapelusz.

Gdy pochylił się nad wodą z naręczem ubrań, ujrzał w szklistej powierzchni własne odbicie, pierwsze od ponad dwóch tygodni. To go zatrzymało.

Włosy miał dłuższe. Twarz wyglądała na wychudzoną, nawet z brodą, którą porosła. Niewątpliwie stracił na wadze. Ale porucznik uznał, że wygląda całkiem dobrze. Jego oczy spoglądały bystro jak nigdy i uśmiechnął się po chłopięcemu do swojego odbicia, jakby wyznawał komuś uczucie.

Im dłużej patrzył na swoją brodę, tym mniej mu się podobała. Pobiegł po brzytwę.

Goląc się porucznik nie myślał o skórze. Skórę miał zawsze taką samą. Biali występują w różnych odcieniach. Niektórzy są biali jak śnieg.

Porucznik Dunbar był dość biały, żeby kłuć w oczy.

4

Wierzgający Ptak wyjechał z obozu przed świtem. Wiedział, że nikt nie będzie oponował przeciw jego wyjazdowi. Nigdy nie musiał zdawać sprawy ze swoich ścieżek, a rzadko kiedy ze swoich czynów. Chyba że byłyby to czyny niewłaściwe. Niewłaściwe czyny mogły prowadzić do katastrofy. Ale chociaż był nowy, choć w pełni opierzonym czarownikiem był dopiero od roku, żaden z jego czynów nie doprowadził do katastrofy.

Naprawdę dobrze się sprawował. Dwukrotnie dokonał drobnych cudów. Odczuwał satysfakcję z cudów, ale odczuwał także satysfakcję z chleba powszedniego swojej pracy, z codziennej dbałości o zdrowie hordy. Ciężyły na nim miliony obowiązków administracyjnych, bywał obecny przy co bardziej doniosłych sprzeczkach, miał sporą praktykę lekarską i zasiadał na nie kończących się naradach, które odbywały się niemal codziennie. Tyle tego wszystkiego, oprócz zapewnienia bytu dwóm żonom i czworgu dzieci. A robił to przecież z jednym uchem i jednym okiem wzniesionym do Wielkiego Ducha, wciąż nasłuchując, wciąż wypatrując najniklejszego dźwięku albo znaku.

Wierzgający Ptak zaszczytnie dźwigał swoje rozliczne obowiązki i każdy to wiedział. Wiedział to, bo znał tego człowieka. Ani jedna kość Wierzgającego Ptaka nie służyła własnemu ciału i dokądkolwiek jechał, jechał obarczony brzemieniem ludzkiego szacunku.

Niektórzy spośród rannych ptaszków mogli dziwić się, dokąd się udaje tego pierwszego poranka, ale nawet nie śniło im się o to spytać.

Wierzgający Ptak nie jechał w specjalnej misji. Udał się na prerię, by rozjaśnić sobie w głowie. Nie lubił wielkich wędrowek: z zimy na lato, z lata na zimę. Towarzyszący im potworny jazgot rozpraszał go. Rozpraszał jego słuch i wzrok, który starał się wznosić ku Wielkiemu Duchowi, i tego pierwszego poranka po długiej podróży wiedział, że zgiełk rozbijanego obozu będzie ponad jego siły.

Wziął zatem najlepszego kuca, kasztanka z szerokim zadem, i pojechał w kierunku rzeki, jadąc kilka mil wzdłuż jej brzegów, aż dotarł na guzowate wzniesienie, które znał od dzieciństwa.

Tam czekał, aż preria mu się objawi, a kiedy to się stało, Wierzgający Ptak odczuł zadowolenie. Nigdy w jego oczach nie wyglądała tak dobrze. Wszystkie znaki wróżyły obfite lato. Będą oczywiście nieprzyjaciele, ale horda była teraz bardzo silna. Wierzgający Ptak nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Był pewien, że będzie to pora dobrobytu.

Po godzinie jego rozradowanie nie opadło. Wierzgający Ptak powiedział sobie: przejadę się po tym pięknym kraju, i spał kuca, kierując się na wschodzące właśnie słońce.

5

Zanurzył w wodzie oba koce, zanim przypomniał sobie, że pranie trzeba przyłożyć czymś ciężkim. W zasięgu wzroku nie było ani jednego kamienia.

Przyciskając do piersi ociekające wodą koce i resztę ubrań, porucznik Dunbar, nowicjusz w praniu, powlókł się w dół strumienia, lekko stąpając gołymi stopami.

Ćwierć mili dalej trafił na płytki żleb prowadzący na dogodny podest. Narobił sporo

piany i jak każdy nowicjusz raczej niemrawo wcierał mydło w jeden z koców.

Stopniowo połapał się, w czym rzecz. Z każdą sztuką odzienia nabierał coraz większej wprawy w mydleniu, tłuczeniu kijanką i płukaniu, a pod koniec Dunbar śmigał z robotą ze skupieniem, jeśli już nie dokładnością, godnym dojrzałej praczki.

W ciągu zaledwie dwóch tygodni spędzonych tutaj wyrobił w sobie pietyzm dla drobiazgów i wiedząc, że pierwsze kawałki spartaczył, wyprał je jeszcze raz.

Kawałek wyżej na urwisku rósł karłowaty dąb i tam powiesił pranie. Było to dobre miejsce, nasłonecznione i niezbyt wietrzne. Jednak chwilę zajmie, zanim wszystko powysycha, a on zapomniał zabrać przyborów do skręcania papierosów.

Nagi porucznik postanowił nie czekać.

Ruszył z powrotem do fortu.

6

Wierzgający Ptak słyszał niepokojące opowieści o ich liczbie. Przy niejednej okazji słyszał, jak ludzie mówili, że jest ich tyle co ptaków, i wtedy w głębi duszy szaman odczuwał trwogę.

Ale przecież z tego, co było widać, owłosione usta budziły jedynie litość.

To była chyba smutna rasa.

Ci biedni żołnierze w forcie, tak bardzo bogaci w użyteczne rzeczy, a tak bardzo biedni we wszystkim innym. Kiepsko strzelali z karabinów, kiepsko jeździli na swoich dużych, powolnych koniach. Rzekomo mieli to być wojownicy białych ludzi, ale wcale nie byli czujni. I tak łatwo było ich przestraszyć. Porwać im konie to zabawka, jak zbieranie jagód z krzaka.

Dla Wierzgającego Ptaka byli wielką zagadką ci biali ludzie. Nie potrafił zastanawiać się nad nimi, żeby się nie uwikłać w domysłów.

Na przykład żołnierze z fortu. Żyli bez swoich rodzin. I żyli bez swoich największych wodzów. I mimo że obecność Wielkiego Ducha przejawiała się wszędzie i każdy mógł ją dostrzec, czcili to, co napisane było na papierze. I byli tacy brudni. Nawet o własną czystość nie dbali.

Wierzgający Ptak nie mógł pojąć, jak te owłosione usta mogły utrzymać się choćby przez rok. A przecież mówiono o nich, że prą do przodu. Nie rozumiał tego.

Przypomniawszy sobie to wszystko, kiedy pomyślał o forcie, o podejściu do niego bliżej. Miał nadzieję, że sobie poszli, ale w każdym razie trzeba to było sprawdzić. A teraz, siedząc na swoim kucu i patrząc po prerii, od pierwszego wejrzenia stwierdził, że to miejsce

ulepszono. Fort białego człowieka był czysty. Wielka skóra łopotała na wietrze. Nieduży koń, dobrze wyglądający, stał w zagrodzie. Nie było żadnego ruchu. Ani nawet odgłosu. Miejsce to musiało być wymarłe. Ale ktoś utrzymywał je przy życiu.

Wierzgający Ptak popędził kuca.

Musiał przyjrzeć się z bliska.

7

Porucznik Dunbar nie śpieszył się w drodze powrotnej wzdłuż strumienia. Tyle było do oglądania.

Zaskakujące było to, że bez ubrania czuł się mniej widzialny. Może i tak było. Najdrobniejsza roślina, wszelki bzycający owad zdawały się przyciągać jego uwagę. Wszystko było niezwykle żywe.

Na wprost niego rudoogoniasty jastrząb ze zwisającą u szponów ziemną wiewiórką przeciął niebo, nie wyżej niż dwanaście stóp nad głową.

W połowie drogi powrotnej zatrzymał się w cieniu topoli, żeby przyjrzeć się, jak bóbr wykopuje sobie jamę parę stóp nad powierzchnią wody. Co jakiś czas bóbr obrzucał nagiego porucznika spojrzeniem, ale nie przestawał kopać.

Niedaleko fortu Dunbar przystanął, by zobaczyć splot dwojga kochanków. Para czarnych wodnych węży skręcała się ekstatycznie na płyciźnie strumienia, jak wszyscy kochankowie zapominając o bożym świecie, nawet gdy cień porucznika padł na wodę.

Zachwycony, wdrapał się na urwisko, czując się równie silny jak wszystko tutaj, czując się prawdziwym obywatelem prerii.

Kiedy wystawił głowę nad krawędź wzniesienia, zobaczył kasztanowego kuca.

W tej samej chwili spostrzegł sylwetkę przykucniętą w cieniu zadaszenia. Ułamek sekundy później postać weszła w plamę słońca i Dunbar schylił głowę i usadowił się w rozpadlinie tuż pod skrajem skarpy. Kucnął na nogach jak z waty, nadstawił uszu i nasłuchiwał w takim skupieniu, jakby słuch był jedynym zmysłem, jaki posiada.

Myśli przelatywały mu przez głowę. Pod powiekami zamkniętych oczu porucznika tańczyły fantastyczne obrazy. Spodnie obszyte frędzlami. Wyszywane paciorkami mokasyny. Topór ze zwisającymi włosami. Napierśnik z wypolerowanych kości. Ciężki splot czarnych włosów rozsypujących się do połowy pleców. Czarne, głęboko osadzone oczy. Wydatny nos. Skóra koloru gliny. Z tyłu głowy pióro huśtające się w podmuchach wiatru.

Wiedział, że to Indianin, ale nigdy nie spodziewał się czegoś tak dzikiego i szok wywołany tym widokiem ogłuszył go nie gorzej niż cios w głowę.

Dunbar siedział skulony pod urwiskiem, szorując pośladkami o ziemię, a czoło pokryło mu się kroplami zimnego potu. Nie mógł pojąć tego, co ujrzał. Obawiał się wyrzeć po raz drugi.

Usłyszał rzenie konia i zebrał się na odwagę, wyrzwał powoli zza urwiska.

Indianin był w zagrodzie dla koni. Podchodził do Cisca ze zwiniętym w pętlę sznurem w ręku.

Gdy porucznik Dunbar to zobaczył, paraliż zniknął jak ręką odjął. Całkiem przestał myśleć, skoczył na równe nogi i przełaził przez szczyt urwiska. Krzyknął, a jego wrzask złamał ciszę jak strzał.

- Hej, ty!

8

Wierzgający Ptak zerwał się jednym skokiem.

Kiedy czarownik Komanczów obrócił się w kierunku głosu, który zdjął go dreszczem przerażenia, stanął twarzą w twarz z najdziwniejszym widokiem, jakiego kiedykolwiek doświadczył.

Z nagim mężczyzną. Z nagim mężczyzną nadchodzącym przez majdan z zaciśniętymi pięściami, wysuniętą szczęką i skórą tak białą, że aż kłuła w oczy.

Wierzgający Ptak w przerażeniu cofnął się niezdarnie i zamiast przeskoczyć przez płot zagrody, przedarł się przez nią. Pobiegł przez podwórze, dosiadł jednym susem kuca i pogalopował, jakby diabeł siedział mu na ogonie.

Ani razu się nie obejrzał.

ROZDZIAŁ IX

1

27 kwietnia, 1863

Pierwszy raz zetknąłem się z dzikim Indianinem.

Przyszedł do fortu i próbował ukraść mi konia. Kiedy się pojawiłem, przestraszył się i uciekł. Nie wiem, ilu jeszcze może być w pobliżu, ale zakładam, że tam, gdzie jest jeden, muszą być także inni.

Podaję kroki, żeby przygotować się na następną wizytę. Nie jestem w stanie zorganizować odpowiedniej obrony, ale kiedy znowu przyjdą, postaram się wyrzucić na nich mocne wrażenie.

Wciąż jednak jestem sam i jeśli wkrótce nie nadejdą oddziały, wszystko może zostać zaprzepaszczone. Człowiek, którego spotkałem, był mężczyzną o wspaniałym wyglądzie.

Por. John J. Dunbar, USA

Dunbar spędził następne dwa dni, podejmując środki, z których wiele obliczonych było na stworzenie wrażenia siły i stanowczości. Mogło się to wydać wariactwem, jeden człowiek próbujący przygotować się na najazd niezliczonych nieprzyjaciół, lecz porucznik miał dość siły charakteru, która pozwalała mu ciężko pracować, mimo że nic z tego nie miał. To była dobra cecha i czyniła z niego dobrego żołnierza.

Krzętał się wokół przygotowań, jakby po prostu był jednym z załogi placówki. Nakazem chwili było ukrycie zapasów żywności. Posortował cały inwentarz, odkładając na bok tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Resztę bardzo starannie zakopał w dziurach wokół fortu.

Zadekował naftę do lamp, kilka baryłek gwoździ i rozmaite inne materiały budowlane w jednej z dawnych ziemianek. Potem przykrył to kawałkiem brezentowej płachty, przysypał miejsce paroma jardami ziemi i po paru godzinach drobiazgowego maskowania kryjówka wyglądała jak naturalny skrawek zbocza.

Przydźwigał na step dwie skrzynie karabinów i pół tuzina małych baryłek prochu strzelniczego i kul. Potem wyciął łopatą ponad dwadzieścia kawałków prerii, każdy o powierzchni stopy kwadratowej, spojonych darnią i trawą. W tych samych miejscach wykopał głębokie dziury, mniej więcej sześć na sześć stóp, i schował w nich tę artylerię. Późnym popołudniem założył na powrót wycinki darni i trawy, ubijając je tak dokładnie, że nawet najwprawniejsze oko nie dostrzegłoby żadnej różnicy. Zaznaczył to miejsce zbiegającym na słońcu zębem bizona, które wbił pod kątem w ziemię o parę jardów przed schowkiem.

W magazynie znalazł parę amerykańskich flag i posłużywszy się dwoma palami z ogrodzenia jako masztami, rozwiesił je, jedną na dachu magazynu, drugą na dachu własnej kwatery.

Popołudniowe wyprawy ograniczył do krótkich, okrężnych patroli wokół fortu, nie tracąc nigdy placówki z pola widzenia.

Dwie Skarpety jak zwykle zjawiał się na skarpie, ale Dunbar był zbyt zajęty, żeby poświęcać mu wiele uwagi.

Zaczął teraz cały czas chodzić w pełnym umundurowaniu, dbając o to, by jego wysokie buty do konnej jazdy zawsze błyszczały, kapelusz był wyczyszczony z kurzu, a twarz ogolona. Nigdzie się nie oddalał, nawet do strumienia, bez karabinu, pistoletu i pasa z amunicją.

Po dwóch dniach gorączkowej krzątaniny czuł, że jest na tyle gotów, na ile to możliwe.

29 kwietnia, 1863

Moja obecność tutaj z pewnością stała się już znana. Poczyniłem wszystkie przygotowania, jakie przyszły mi na myśl. Czekam.

Por. John J. Dunbar, USA

2

Ale obecność porucznika Dunbara w Fort Sedgewick nie stała się znana.

Wierzgający Ptak zamknął Człowieka Który Błyszczycy Jak Śnieg w swoich myślach. Przez dwa dni czarownik trzymał się na uboczu, głęboko wzburzony tym, co zobaczył, usilnie starając się uchwycić znaczenie tego, co początkowo skłonny był uznać za koszmarną halucynację.

Po dłuższym zastanowieniu jednak przekonał sam siebie, że to, co widział, było rzeczywiste.

W pewien sposób taki wniosek rodził więcej problemów. Mężczyzna był rzeczywisty. Był żywy. Był tam. Wierzgający Ptak doszedł następnie do wniosku, że Człowiek Który Błyszczycy Jak Śnieg musi być w jakiś sposób związany z losami plemienia. W innym wypadku Wielki Duch nie zaprzętałby sobie głowy ukazywaniem mu jego widoku.

Uznał za swoje zadanie odgadnąć, co on oznacza, ale mimo wysiłków nie potrafił. Cała ta sytuacja zaniepokoiła go bardziej niż cokolwiek, czego dotychczas doświadczył.

Jego żony zorientowały się, że są jakieś kłopoty, natychmiast po jego powrocie z

proroczej wyprawy do Fort Sedgewick. Spozrzedly jakas odmiane w wyrazie jego oczu. Lecz poza otoczeniem meza dodatkowa opieka nic nie mowily, krzatajac sie przy swoich pracach.

3

Byla garstka ludzi, ktorzy - podobnie jak Wierzgajacy Ptak - wywierali wielki wplyw na zycie hordy. Nie bylo bardziej wplywowego niz Dziesiec Niedzwiedzi. Byl najbardziej powazany i w wieku sześćdziesieciu lat jego krzepkosc, wiedza i niezawodnie pewna reka, jaka przewodzil watasze, mogly rownac sie jedynie z jego niesamowita zdolnoscia przewidywania, w jakim kierunku powieja za chwile wiatry fortuny, niewazne, czy te male, czy te wielkie.

Dziesiec Niedzwiedzi od pierwszego spojzenia zorientowal sie, ze cos dzieje sie z Wierzgajacym Ptakiem, ktorego uwazal za waznego czlonka rady. Lecz i on niczego nie powiedzial. Jego zwyczajem bylo czekac i patrzec i zwyczaj ten dobrze mu sluzyl.

Pod koniec drugiego dnia dla Dziesieciu Niedzwiedzi stalo sie oczywiste, ze musialo wydarzyc sie cos powaznego, i poznym popoludniem zlozyl niezobowiazujaca wizyte w domu Wierzgajacego Ptaka.

Przez dwadziescia minut w milczeniu palili tytoń czarownika, zanim niezauwazalnie przeszli do luznych uwag na nieistotne tematy.

We wlasciwym momencie Dziesiec Niedzwiedzi zaczal glębiej drążyć, zadajac pytanie natury ogólnej. Spytal, jak z duchowego punktu widzenia czuje sie Wierzgajacy Ptak i jakie sa proroctwa na lato.

Nie wdajac sie w szczegoly, czarownik odrzekl mu, ze znaki sa pomyslne. Kaplan, ktory staral sie umyslnie nie rozwodzic na temat swojej pracy, byl dla Dziesieciu Niedzwiedzi nieprzenikniony jak martwy glaz. Byl pewien, ze cos sie za tym krylo.

Potem z wprawą mistrza dyplomacji Dziesiec Niedzwiedzi zapytal o ewentualne niepomyslne znaki.

Spojzenia obu mezczyzn spotkaly sie. Dziesiec Niedzwiedzi zlupal go w pulapke w najdelikatniejszy sposob. - Jest jeden - powiedzial Wierzgajacy Ptak.

Powiedziawszy to, Wierzgajacy Ptak natychmiast poczul gwałtowną ulgę, jakby rozwiązano mu ręce i wszystko się wysypało: wyprawa, fort, piękny bułanek i Człowiek Który Błyszczycy Jak Śnieg.

Kiedy skonczyl, Dziesiec Niedzwiedzi ponownie zapalil fajke, pykal ja w zamyśleniu, a potem polozyl na srodku.

- Czy wygladal na boga? - zapytal.

- Nie. Wyglądał na człowieka - odpowiedział Wierzgający Ptak. - Chodził jak człowiek, brzmiał jak człowiek. Był ludzkich kształtów. Nawet jego członek był taki sam jak u każdego mężczyzny.

- Nigdy w życiu nie słyszałem o białym człowieku bez ubrania - rzekł Dziesięć Niedźwiedzi, a jego twarz nabrała wyrazu podejrzliwości. - Naprawdę jego skóra odbijała słońce?

- Kłůła w oczy.

Mężczyźni raz jeszcze pogrążyli się w milczeniu.

Dziesięć Niedźwiedzi wstał.

- Pójdę teraz to przemyśleć.

4

Dziesięć Niedźwiedzi wyprosił wszystkich ze swojego wigwamu i siedział na osobności przez ponad godzinę, myśląc o tym, co powiedział mu Wierzgający Ptak.

To było trudne myślenie.

Tylko kilka razy zdarzyło mu się widzieć białych ludzi i podobnie jak Wierzgający Ptak nie umiał wyobrazić sobie ich zwyczajów. Z racji swojej powszechnie znanej liczebności trzeba by ich pilnować i w jakiś sposób kontrolować, ale jak dotąd byli jedynie natrętną przykrą myślą.

Dziesięć Niedźwiedzi nigdy nie lubił o nich myśleć. Jak może jakakolwiek rasa być tak wymieszana? - pomyślał.

Ale odbiegał od kwestii zasadniczej i w głębi duszy Dziesięć Niedźwiedzi skarcił się za niechlujne myślenie. Co naprawdę wiedział o białych ludziach? Prawie nic... Musiał się do tego przyznać.

To dziwne stworzenie w forcie. Może to był duch. Może to był jakiś inny rodzaj białego człowieka. To jest możliwe. Dziesięć Niedźwiedzi przychyłał się do tego, że stworzenie, które zobaczył Wierzgający Ptak, było pierwszym z całej nowej rasy ludzkiej.

Stary wódz westchnął w duchu, gdy głowa zaczęła mu pękać od nawału myśli. Tyle było roboty przy letnich polowaniach. A teraz jeszcze to.

Nie doszedł do żadnego wniosku.

Dziesięć Niedźwiedzi postanowił zwołać radę.

5

Zgromadzenie zebrało się przed zachodem słońca, ale przedłużyło się długo w noc, wystarczająco długo, żeby przyciągnąć uwagę całej wioski, a szczególnie młodzieży, która

skupiła się w małych grupkach, roztrząsając, o czym to starsi mogą dyskutować.

Po godzinnych przedmowach przeszli do sprawy. Wierzgający Ptak opowiedział swoją historię. Kiedy skończył, Dziesięć Niedźwiedzi poprosił towarzyszy o wyrażenie zdania.

Było ich wielu i byli bardzo wpływowi.

Najmłodszym wśród nich był Wiatr W Jego Włosach, porywczy, ale dojrzały wojownik. Sądził, że powinni natychmiast wysłać oddział, oddział, który pojechałby tam i zasypał białego człowieka strzałami. Jeśli był bogiem, strzały nie odniosą skutku. Jeśli był śmiertelnikiem, będzie o jedne owłosione usta mniej. Wiatr W Jego Włosach byłby szczęśliwy, dowodząc oddziałkiem.

Jego sugestia została odrzucona przez pozostałych. Jeśli osoba ta była bogiem, obsypywanie jej strzałami nie było dobrym pomysłem. A decyzja o zabiciu białego człowieka musi być podejmowana z pewnym wyczuciem. Martwy biały człowiek mógł zaowocować bardzo wieloma żywymi.

Rogaty Byk znany był jako konserwatysta. Nikt nie ośmieliłby się podawać w wątpliwość jego odwagi, ale prawdą jest też, że zazwyczaj w większości spraw opowiadał się za przezornością. Rzucił prosty pomysł. Wysłać delegację na rozmowy z Człowiekiem Który Błyszczący Jak Śnieg.

Wiatr W Jego Włosach zaczekał, aż Rogaty Byk skończy to raczej przydługie oświadczenie. Potem rzucił się na ten pomysł z zajądłością. Istota jego mowy zamykała się w punkcie, którego nikt nie ośmielił się podważyć. Komańcze nie wysyłają szacownych wojowników dla wyjaśnienia sprawy pojedynczego, cherlawego białego intruza.

Po tym nikt już wiele nie powiedział, a kiedy znów zaczęli, rozmowy przeszły na inne tematy, takie jak przygotowania do polowań i możliwość wysłania wypraw wojennych przeciw różnym plemionom. Przez dalszą godzinę mężczyźni przesiewali okruchy plotek i pewnych wiadomości, które mogły mieć jakieś znaczenie dla dobrobytu hordy.

Kiedy w końcu wrócili do drażliwej kwestii, co zrobić z białym człowiekiem, Dziesięciu Niedźwiedziom zamykały się już oczy, a głowa opadała mu na pierś. Nie miało żadnego sensu ciągnąć tego dalej dzisiejszej nocy. Kiedy opuszczali wigwam, stary człowiek już pochrapywał.

Sprawa pozostała nie rozstrzygnięta.

Ale nie oznaczało to, że nie podejmie się żadnej akcji.

Ludzie w każdej niewielkiej, blisko ze sobą związanej grupie znajdują się pod ogromnym naciskiem, chcąc dochować sekretu, a nieco później tej samej nocy czternastoletni

syn Rogatego Byka usłyszał, jak jego ojciec mamrocze do składającego wizytę wuja o najistotniejszych sprawach poruszonych w dyskusjach rady. Usłyszał o forcie i o Człowieku Który Błyszczący Jak Śnieg. I usłyszał o pięknym bułanku, dzielnym małym wierzchowcu, którego Wierzgający Ptak przyrównał do dziesięciu kuców. To rozpało jego wyobraźnię.

Z głową pełną tych informacji syn Rogatego Byka nie mógł zasnąć i późną nocą wyczołgał się z wigwamu, żeby szepnąć o tym, co wie, dwójce przyjaciół i powiedzieć im, jak wielka okazja im się trafia.

Tak jak tego oczekiwał, Żabi Grzbiet i Ten Który Dużo Się Śmieje w pierwszej chwili się wzdragali. Był tylko jeden koń. Jak jednego konia można podzielić na trzech? Ale to jeszcze mało. A prawdopodobieństwo natknięcia się na grasującego tam białego boga? Było się nad czym zastanawiać.

Lecz syn Rogatego Byka był na to przygotowany. Miał wszystko przemyślane. Biały bóg to najlepsze, co w tym było. Czyż nie chcą wszyscy wstąpić na wojenną ścieżkę? A gdy nadejdzie czas, czy nie musieliby towarzyszyć doświadczonym wojownikom? A czy nie było możliwe, że wówczas mało mieliby okazji uczestniczyć w bezpośrednim starciu? Czy nie było możliwe, że nie mieliby wielkich szans się wyróżnić?

Ale wyruszyć przeciw białemu bogu? Trzech chłopców przeciw bogu. To byłoby coś. Ludzie układaliby może nawet o tym pieśni. Gdyby im się udało, mieli wszelkie szansę poprowadzić we trzech wyprawy wojenne, zamiast zwyczajnie brać w nich udział.

I jeszcze koń. Cóż, syn Rogatego Byka byłby właścicielem konia, ale dwaj pozostali mogliby na nim jeździć. Gdyby chcieli, mogliby się na nim ścigać.

Czy można zatem odmówić temu planowi wielkości? Serce waliło im jak młotem, kiedy przekradali się przez rzekę i wybierali ze stada kuców trzy dobre wierzchowce. Pieszko podprowadzili konie kawałek za wioskę, a potem obeszlą ją szerokim łukiem.

Gdy chłopcy w końcu znaleźli się na wolnej przestrzeni, spięli kuce do galopu i z pieśnią na ustach dla podtrzymania się na duchu popędzili pogrążoną w ciemności prerię, trzymając się blisko strumienia, który miał zaprowadzić ich prosto do Fort Sedgewick.

6

Przez dwie noce porucznik Dunbar był stuprocentowym żołnierzem, śpiąc z nadstawionym jednym uchem.

Ale nastolatki, które nadeszły, nie przyszły w charakterze psotników próbujących kogoś nastraszyć. To byli chłopcy z plemienia Komanczów i brali udział w najpoważniejszej akcji w swoim młodym życiu.

Porucznik Dunbar nic nie słyszał, gdy weszli do środka. Tętent galopujących kopyt i okrzyki chłopców zbudziły go, ale były to jedyne odgłosy, które wtapiały się w bezmiar preriowej nocy, w momencie gdy wypadał przez drzwi chaty.

7

Chłopcy ostro galopowali. Wszystko poszło doskonale. Zabranie konia nie sprawiło trudności, a najlepsze, że nawet nie widzieli białego boga.

Ale nie ryzykowali. Bogowie potrafią robić wiele fantastycznych rzeczy, zwłaszcza kiedy są rozgniewani. Chłopcy nie zatrzymali się nawet, żeby sobie powinszować. Pędzili jak najdalej od tego miejsca, postanowiwszy nie zwalniać, dopóki nie znajdą się w bezpiecznym otoczeniu wioski.

Nie ujechali jednak nawet dwóch mil od fortu, gdy Cisco postanowił przejawić swoją wolę. A nie było jego wolą jechać z tymi chłopcami.

Byli w pełnym cwale, gdy Cisco zrobił nagły zwrot w tył. Syna Rogatego Byka zmiotło z kuca, jakby ściął go niski konar drzewa.

Żabi Grzbiet i Ten Który Dużo Się Śmieje próbowali puścić się w pogoń, ale Cisco ani na chwilę nie zwolnił, wlokąc za sobą długie lasso. Był naprawdę szybki, a kiedy nie starczało już szybkości, nadrabiał to wytrzymałością.

Indiańskie kuce nie zdołałyby go dopaść, nawet gdyby były wypoczęte.

8

Dunbar właśnie nastawił imbryk kawy i siedział posepnie przy ognisku, gdy Cisco, jak gdyby nigdy nic, nadbiegł truchtem w krąg migoczącego światła.

Porucznik odczuł więcej ulgi niż zaskoczenia. Po tym, jak ukradziono mu konia, był wściekły jak osa. Ale Cisca kradziono już przedtem, dokładnie dwa razy, i jak wierny pies zawsze odnajdywał drogę powrotną do domu.

Porucznik Dunbar zgarnął lasso Komanczów, sprawdził, czy koń nie ma skaleczeń, i sprowadził bułanka ze skarpy do wodopoju.

Siedząc nad strumieniem, Dunbar przyglądał się powierzchni wody. Małe rzeczne rybki zaczynały pożerać roje niewidocznych owadów, które połyskiwały na wodzie, i porucznik poczuł się nagle bezbronny jak jętka.

Indianie mogli zabić go równie łatwo, jak ukradli mu konia.

Myśl o śmierci trapiła go. Już po południu mogę nie żyć, pomyślał. A jeszcze bardziej trapiła go perspektywa umierania jak owad.

Kiedyś już tam postanowił, że jeśli ma umierać, to nie w łóżku.

Wiedział, że coś puszczono w ruch, coś, co tak wystawiało go na ciosy, że przesywał go dreszcz. Mógł sobie być obywatelem prerii, ale to wcale nie znaczyło, że był akceptowany. Był nowym uczniem w szkole. Będą na nim spoczywać wszystkie oczy.

Z nadal odczuwalnym mrowieniem w plecach wyprowadził Cisca z powrotem na skarpe.

9

Syn Rogatego Byka złamał rękę.

Przekazano go pod opiekę Wierzgającemu Ptakowi natychmiast po wjeździe zmaltretowanej trójki niedoszłych wojowników do wioski.

Chłopcy zaczęli się niepokoić od chwili, gdy syn Rogatego Byka stwierdził, że nie jest w stanie władać ręką. Gdyby nikt nie został ranny, może udałoby się im utrzymać ten partacki wypad w tajemnicy. Ale i tak zaraz byłoby mnóstwo pytań, a chłopcy, chociaż skłonni do koloryzowania faktów, byli Komańczami. A Komańczom kłamstwo przychodziło z wielkim trudem. Nawet chłopcom Komanczów.

Podczas gdy Wierzgający Ptak zajmował się jego ręką, a ojciec i Dziesięć Niedźwiedzi słuchali, syn Rogatego Byka powiedział prawdę o tym, co się wydarzyło.

Nie było to czymś niezwykłym, że skradziony koń wyrzywa się porywaczom i wraca do domu, ale ponieważ mogli mieć do czynienia z duchem, sprawa konia nabrała wielkiej wagi i starszy człowiek dokładnie przepytał poturbowanego chłopca.

Kiedy powiedział im, że koń się nie spłoszył, że wyrwał im się z premedytacją, w widomy sposób wydłużyły się twarze starszych.

Zwołano następną radę.

Tym razem wszyscy wiedzieli, na jaki temat, bowiem opowieść o nieszczęśliwej przygodzie chłopców szybko stała się w obozowisku tematem plotek. Niektórzy z co bardziej przewrażliwionych mieszkańców wioski, dowiedziawszy się, że być może czyha w okolicy dziwny biały bóg, doznawali krótkich napadów niepokoju, ale przeważnie każdy zajmował się swoimi sprawami w przekonaniu, że rada Dziesięciu Niedźwiedzi już coś wymyśli.

A jednak wszyscy byli w napięciu.

Tylko jedna osoba spośród nich była prawdziwie przerażona.

ROZDZIAŁ X

1

Była przerażona już zeszłego lata, kiedy odkryto, że do kraju nadciągali biali żołnierze. Horda nigdy nie zetknęła się przedtem z owłosionymi ustami, nie licząc kilku, których zabito w poszczególnych przypadkach. Miała nadzieję, że nigdy się z nimi nie zetkną.

Kiedy u schyłku zeszłego lata skradziono konie białym żołnierzom, wpadła w panikę i uciekła. Była pewna, że biali żołnierze przyjdą do wioski. Ale nie przyszli.

A jednak siedziała jak na rozżarzonych węglach, zanim nie wywnioskowano, że bez koni biali żołnierze byli praktycznie bez szans. Wtedy mogła się trochę odprężyć. Ale straszliwy obłok strachu, który towarzyszył jej przez całe lato, nie rozwiał się dopóty, dopóki nie zwinęli obozu i nie pociągnęli zimowym szlakiem.

Teraz znów mają lato i przez całą wędrówkę z obozu zimowego modliła się żarliwie, żeby owłosionych ust już nie było. Modlitwy jej nie zostały wysłuchane i ponownie, godzina po godzinie, niepokój mącił jej dni.

Na imię miała Ta Która Stoi Z Pięścią.

Ona jedna spośród Komanczów wiedziała, że biały człowiek nie jest bogiem. A jednak opowieść Wierzgającego Ptaka wydała jej się zagadkowa. Samotny nagi biały człowiek? Tutaj? W kraju Komanczów? To nie miało sensu. Ale nieważne. Nie wiedząc dokładnie dlaczego, była przekonana, że nie jest bogiem. Coś z dawnych czasów jej to podpowiadało. Usłyszała opowieść tamtego ranka, po drodze do comiesięcznego wigwamu, wzniesionego opodal dla miesięczkujących kobiet. Myślała o swoim mężu. Zazwyczaj nie lubiła chodzić do tego wigwamu, bo brakowało jej jego towarzystwa. Był wspaniałym, dzielnym, przystojnym i pod każdym względem wyjątkowym mężczyzną. Przykładnym mężem. Nigdy jej nie uderzył i chociaż obydwójce ich dzieci zmarło (jedno przy porodzie, drugie w parę tygodni później), uparczywie odmawiał wzięcia sobie innej żony.

Ludzie nakłaniali go do wzięcia innej żony. Nawet Ta Która Stoi Z Pięścią to sugerowała. Lecz on odpowiedział po prostu: „Ty mi w zupełności wystarczasz”, i nigdy więcej o tym nie wspomniała. W głębi duszy była dumna, że sama wystarcza mu do szczęścia.

Teraz strasznie za nim tęskniła. Zanim zwinęli zimowy obóz, wziął udział w dużej wyprawie przeciwko Utom. Minął już prawie miesiąc bez słowa wieści o nim i o innych wojownikach. Ale skoro i tak była go pozbawiona, pobyt w comiesięcznym wigwamie nie wydał jej się aż tak ciężki jak zwykle. Kiedy przygotowywała się tamtego ranka do

przeprowadzki, młodą kobietę Komanczów pocieszała myśl o jednej czy dwóch bliskich przyjaciółkach, które będą skazane na odosobnienie razem z nią i z którymi szybciej upłynie czas.

Ale po drodze do wigwamu usłyszała dziwną opowieść Wierzgającego Ptaka. Potem usłyszała opowieść o niewczesnym wypadzie. Tego ranka świat zwałił się na głowę Tej Która Stoi Z Pięścią. Raz jeszcze wielka trwoga przygniotła jej proste, kwadratowe ramiona jak żelazny koc, toteż weszła do comiesięcznego wigwamu dogłębnie wstrząśnięta.

Lecz była bardzo silna. Jej piękne jasnobrązowe oczy, oczy błyszczące inteligencją, niczego nie dawały znać po sobie, gdy szyla i gawędziła z przyjaciółkami.

Znały niebezpieczeństwo. Cała horda je znała. Ale mówienie o tym nikomu nie służyło. Więc nikt nie mówił.

Przez całe popołudnie jej krzepkie, drobne ciało krzątało się po wigwamie, nie pokazując po sobie, jak ciężki koc na nim zawisł.

Ta Która Stoi Z Pięścią miała dwadzieścia sześć lat.

Z czego przez prawie dwanaście była Komanczem.

Przedtem była biała.

Przedtem była... jak to brzmiało?

O swoim imieniu myślała tylko w tych rzadkich sytuacjach, kiedy nie mogła uniknąć myślenia o białych. I wtedy z jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny stawało jej nagle przed oczami.

O tak - myślała w języku Komanczów - pamiętam je. Byłam Christine.

I wtedy myślała o tym, co było przedtem, i zawsze działało się to samo. To było jak przejście przez starą, mglistą zasłonę i dwa światy stawały się jednym, stary mieszał się z nowym. Ta Która Stoi Z Pięścią była Christine, a Christine była Tą Która Stoi Z Pięścią.

Z upływem lat cera jej ściemniała, a cały wygląd nabrał jakiegoś dzikiego kolorytu. Ale pomimo dwóch donoszonych ciąży nadal miała figurę białej kobiety. A jej włosy, które nie chciały rosnąć niżej ramion i nie chciały rosnąć prosto, nadal zachowywały wyrazisty jasnorudy odcień. I dochodziła jeszcze oczywiście para jasnobrązowych oczu.

Strach Tej Która Stoi Z Pięścią był uzasadniony. Nie mogła mieć nadziei, że kiedykolwiek się go pozbędzie. W oczach białych zawsze będzie coś dziwnego w tej kobiecie w comiesięcznym wigwamie. Coś nie całkiem indiańskiego. A w znających prawdę oczach jej własnego ludu też było w niej coś nie całkiem indiańskiego, nawet po tych wszystkich latach.

Był to straszliwy, przygniatający ciężar, lecz Ta Która Stoi Z Pięścią nigdy o tym nie

mówiła, a tym bardziej nie skarżyła się. Dźwigała go w milczeniu i bardzo dzielnie przez wszystkie dni swego indiańskiego życia, i dźwigała go z jednej podstawowej przyczyny.

Ta Która Stoi Z Pięścią chciała zostać tam, gdzie jest.

Była bardzo szczęśliwa.

ROZDZIAŁ XI

1

Rada Dziesięciu Niedźwiedzi zakończyła się bez podjęcia jakiegokolwiek postanowienia, ale to nie było niczym niezwykłym.

Najczęściej w krytycznych momentach rady pozostawały nie rozstrzygnięte, zaznaczając w ten sposób początek całkowicie nowej fazy w życiu politycznym hordy.

To właśnie w takich momentach ludzie, jeśli powinni dokonać jakiegoś wyboru, podejmowali niezależne działania.

2

Wiatr W Jego Włosach twardo forsował swój nowy plan. Pojechać tam i zabrać konia, nie robiąc krzywdy białemu. Lecz tym razem zamiast chłopców wysłać mężczyzn. Rada odrzuciła ten drugi jego pomysł, ale Wiatr W Jego Włosach nie gniewał się na nikogo.

Słuchał skwapliwie wszystkich opinii i zaproponował własne rozwiązanie. Rozwiązanie nie zostało przyjęte, ale argumenty wysunięte przeciwko niemu nie przekonały Wiatru W Jego Włosach, że plan jest do niczego.

Był szanowanym wojownikiem i jak każdy szanowany wojownik był sam dla siebie prawem.

Mógł robić, co mu się podoba.

Gdyby rada była nieugięta albo gdyby wprowadził swój plan w życie i doznał niepowodzenia, niewykluczone, że wypędzono by go z plemienia.

Wiatr W Jego Włosach już to rozważył. Rada nie była nieugięta; była zamroczona. A co do niego... cóż... Wiatr W Jego Włosach nigdy nie doznał niepowodzenia.

Więc gdy rada wreszcie się skończyła, podążył jedną z najruchliwszych alejek wioski, zaglądając po drodze do kilku przyjaciół i powtarzając w każdym wigwamie to samo.

- Jadę ukraść tego konia. Przyłączysz się?

Każdy z przyjaciół odpowiadał pytaniem na pytanie.

- Kiedy?

A Wiatr W Jego Włosach udzielał wszystkim tej samej odpowiedzi.

- Teraz.

3

To był mały oddział. Pięciu ludzi.

Wyjechali z wioski i przemierzali prerię w dobrze obliczonym tempie. Nie

przejmowali się. Nie znaczy to, że byli weseli.

Jechali posepnie jak blade twarze udające się na pogrzeb dalekiego krewnego.

Wiatr W Jego Włosach powiedział im, co mają robić, kiedy poszli po kuce.

Zabierzemy konia. Pilnujcie go w drodze powrotnej. Otaczajcie go w drodze ze wszystkich stron. Jeśli będzie tam biały człowiek, nie strzelajcie do niego, chyba że zacznie strzelać do was. Jeśli będzie próbował rozmawiać, nie odpowiadajcie. Zabierzemy konia i zobaczymy, co będzie.

Wiatr W Jego Włosach nie przyznałby się nikomu, ale odczuł ulgę, gdy fort znalazł się w zasięgu wzroku.

W zagrodzie stał koń, niebrzydki koń.

Ale nie było białego człowieka.

4

Biały człowiek położył się spać dobrze przed południem. Spał kilka godzin. Wczesnym popołudniem obudził się, zadowolony, że jego nowy pomysł zdaje egzamin.

Porucznik Dunbar postanowił spać w ciągu dnia, a nocą czuwać przy ognisku. Ci, którzy ukradli Cisca, nadeszli przed świtem, a we wszystkich opowieściach, które słyszał, zawsze podkreślano, że świt jest ich ulubioną porą ataku. W ten sposób będzie na nogach, kiedy nadejdą.

Po długiej drzemce czuł się trochę rozbity. I mocno się spocił. Ciało miał lepkie. Pora na kąpiel była równie dobra jak każda inna.

To dlatego kiedy usłyszał tętent pięciu jeźdźców na skarpie, kucał zanurzony w wodzie po ramiona z głową w mydlinach.

Wyskoczył ze strumienia i instynktownie rzucił się do spodni. Poszperał w spodniach, a potem rzucił je, wydobywszy wielki marynarski rewolwer. Wtedy popędził na czworakach w górę skarpy.

5

Ujrzeli go wszyscy, kiedy odjeżdżali z Ciskiem.

Stał na skraju urwiska. Ociekał wodą. W ręce miał broń. Wszystko to dostrzeżono w krótkich, rzucanych za siebie spojrzeniach. Ale tylko to. Każdy pamiętał o poleceniach Wiatru W Jego Włosach. Z Ciskiem prowadzonym przez jednego z wojowników, podczas gdy reszta skupiała się dookoła, wypadli z fortu zwartym szykiem.

Wiatr W Jego Włosach trzymał się z tyłu.

Biały człowiek nie poruszył się. Stał nieruchomo wyprostowany na skraju urwiska ze

zwisającą wzdłuż boku ręką z rewolwerem. Wiatru W Jego Włosach biały człowiek mógłby nie obchodzić tak bardzo. Ale bardzo obchodziło go to, co biały człowiek sobą przedstawiał. Coś, co było niezłomnym wrogiem każdego wojownika. Biały człowiek przedstawiał sobą strach. Czym innym było wycofać się z pola bitwy po ciężkim boju, a czym innym pozwolić, by strach zaglądał mu w oczy i nie zrobić nic... Wiatr W Jego Włosach wiedział, że na to nie może pozwolić.

Ściągnął swojego rozszalałego kuca, zawrócił go i pogalopował na porucznika.

6

Gramoląc się rozpaczliwie na szczycie urwiska porucznik Dunbar był stuprocentowym żołnierzem. Rzucił się na spotkanie nieprzyjaciół. Owładnięty był tylko tą jedną myślą.

Ale w chwili, gdy pokonał zbocze, nic z tego nie pozostało.

Wyposażył się przeciwko zbrodniarzom, bandzie przestępców, zasługującym na karę włamywaczom.

Zamiast tego porucznik ujrzał widowisko, widowiskową akcję zapierającą dech w piersiach do tego stopnia, że jak dzieciak na pierwszej w swoim życiu wielkiej paradzie, stał jak sparaliżowany i przyglądał się.

Wściekły pęd przelatujących obok kuców. Ich połyskująca sierść, pióra powiewające na uzdach, grzywach i ogonach, ozdoby na zadach. A na ich grzbietach mężczyźni jadący ze swobodą dzieci na drewnianych konikach. Ich soczyste ciemnego koloru skóra, wyraziste linie żyłastych mięśni. Lśniące, splecione w warkocz włosy, łuki, włócznie i strzelby, grube linie malunków pokrywających twarze i ramiona.

A wszystko to w tak doskonałej harmonii. Ludzie i konie pospołu wyglądali jak ogromny lemiesz pędzący przez krajobraz pługa, którego ostrze ledwie drasnęło powierzchnię ziemi.

Było to tak kolorowe, szybkie i cudowne, że przekraczało jego wyobraźnię. To była tylekroć opiewana wojenna chwała, uchwycona w jednym żywym fresku, i Dunbar stanął oniemiały, bardziej będąc teraz parą oczu niż mężczyzną.

Był w gęstym oparze, który właśnie zaczynał się rozwiewać, gdy Dunbar zorientował się, że jeden z nich wraca.

Jak pogrążony we śnie, usilnie pragnął się obudzić. Jego mózg usiłował wysyłać jakieś polecenia, ale połączenia nadal były przerwane. Nie był w stanie poruszyć ani jednym mięśniem.

Jeździec zbliżał się szybko, cwałując prosto na niego, jakby chciał się z nim zderzyć.

Porucznik Dunbar nie myślał o ucieczce, nie myślał o śmierci. Stracił w ogóle zdolność myślenia. Stał nieporuszony, wpatrując się jak w transie w rozszerzone chrapy kuca.

7

Kiedy Wiatr W Jego Włosach był o trzydzieści stóp od porucznika, osadził konia tak ostro, że wierzchowiec dosłownie przysiadł na chwilę na ziemi. Potężnym skokiem w górę podniecony kuc poderwał się na nogi i natychmiast zaczął tańczyć, szarpać się i płasać. Wiatr W Jego Włosach przez cały czas trzymał go krótko i niemal nie docierały do niego nieustanne wirowania konia pod nim.

Wpatrywał się w nagiego, nieruchomego białego człowieka. Postać stała w całkowitym bezruchu. Wiatr W Jego Włosach poczuł szacunek dla nieustraszonego białego człowieka, ale zarazem go to zdenerwowało. Ten człowiek powinien się bać. Jak to możliwe, że się nie boi? Wiatr W Jego Włosach poczuł, jak jego własny strach pełźnie mu po plecach. Skóra mu od niego cierpła.

Uniósł nad głową strzelbę i wrzasnął trzy napuszone zdania.

- Jestem Wiatr W Jego Włosach!

- Widzisz, że się ciebie nie boję?

- Widzisz?

Biały człowiek nie odpowiedział, a Wiatr W Jego Włosach nagle poczuł się usatysfakcjonowany. Podjechał do tego domniemanego wroga i stanął z nim twarzą w twarz. Rzucił nagiemu białemu człowiekowi wyzwanie, a biały człowiek nie uczynił nic. To wystarczyło.

Zakręcił kucem, puścił mu wolno cugle i pognał, by dołączyć do przyjaciół.

8

Porucznik Dunbar jak błędny odprowadził wzrokiem odjeżdżającego wojownika. Jego słowa wciąż dźwięczały mu w uszach. W każdym razie echo tych słów, jak szczekanie psa. Choć nie miał pojęcia, co znaczą, brzmiały jak oświadczenie, jakby wojownik coś do niego mówił.

Stopniowo zaczął się z tego otrząsać. Pierwszą rzeczą, jaką poczuł, był rewolwer w dłoni. Ciężył mu osobliwie. Upuścił go.

Potem opadł wolno na kolana i przetoczył się na pośladki. Długi czas siedział, wyczerpany jak nigdy dotąd, słaby jak nowo narodzone szczenię.

Przez jakiś czas myślał, że nigdy już nie zdoła się poruszyć, ale w końcu wstał i powłókł się chwiejnie do chaty. Z największym wysiłkiem jedynie udało mu się skrócić

papierosa.

Ale był za słaby, żeby go palić, i po dwóch czy trzech sztachnięciach porucznik zapadł w sen.

9

Powtórna ucieczka różniła się jedną czy dwiema sztuczkami, ale zasadniczo wszystko potoczyło się jak przedtem.

Jakieś dwie mile od fortu pięciu Komanczów puściło konie swobodnym kłusem. Jeźdźcy byli z tyłu i z obu stron, więc Cisco ruszył jedyną drogą, jaka mu pozostała.

Pobiegł naprzód.

Mężczyźni właśnie zamieniali ze sobą parę słów, gdy bułanek skoczył jak uządlony w zad i pomknął naprzód.

Człowiek, który trzymał lasso, przekoziółkował do przodu przez głowę swojego kuca. Przez kilka krótkich sekund Wiatr W Jego Włosach był o krok od chwycenia lassa, które odbijało się od ziemi za Ciskiem, ale chwilę się spóźnił. Wyślizgnęło mu się z palców.

Potem pozostawał jedynie pościg. Nie był on dla Komanczów taki znów wesoły. Człowiek, który spadł z konia, w ogóle nie miał szans, a pozostała czwórka goniących nie miała szczęścia.

Jeden z ludzi stracił konia, gdy ten najechał na norę pieska preriowego i strzaskał sobie przednią nogę. Tego popołudnia Cisco był szybki jak kot i dalsi dwaj jeźdźcy spadli z koni, próbując na swoich kucach naśladować jego błyskawiczne zygzaki.

Pozostał jedynie Wiatr W Jego Włosach. Przez kilkaset mil dotrzymywał kroku, ale kiedy w końcu jego własny koń zaczął wysiadać, nie zbliżywszy się ani odrobinę, zdecydował, że nie warto zajeździć własnego kuca na śmierć w pogoni za czymś, czego i tak nie złapie.

Póki kuc nie złapał tchu, Wiatr W Jego Włosach patrzył za bułankiem dostatecznie długo, by stwierdzić, że kieruje się mniej więcej w stronę fortu, a jego rozczarowanie łagodziła myśl, że być może Wierzgający Ptak miał rację. Może to zaczarowany koń, coś, co należy do zaczarowanej istoty. Wracając spotkał pozostałych. Dla wszystkich było oczywiste, że Wiatr W Jego Włosach przegrał, i nikt nie zadawał pytań o szczegóły.

Nikt nie rzekł ani słowa.

Długą drogę do domu przebyli w milczeniu.

ROZDZIAŁ XII

1

Wiatr W Jego Włosach i reszta mężczyzn zastali wioskę pogrążoną w żałobie.

Wyprawa przeciw Utom, która tak długo nie wracała, w końcu przybyła do domu.

I wieści nie były dobre.

Ukradli tylko sześć koni, zbyt mało, żeby wyrównać własne straty. Po tak długim czasie na wojennym szlaku wracali z pustymi rękami.

Było z nimi czterech ciężko rannych, z których tylko jeden mógł przeżyć. Ale prawdziwy ogrom tragedii mierzył się liczbą sześciu zabitych, sześciu świetnych wojowników. A co gorsze, na saniach były tylko cztery okryte całunem z koców ciała.

Nie byli w stanie odbić dwóch zabitych, i choć to bolesne, imiona tych ludzi nigdy nie będą mogły być wypowiedziane.

Jednym z nich był mąż Tej Która Stoi Z Pięścią.

2

Ponieważ była w comiesięcznym wigwamie, nowina musiała przedostać się z zewnątrz za sprawą dwóch przyjaciół jej męża.

Z początku wydawało się, że przyjęła wieść beznamiętnie, siedząc na podłodze wigwamu jak posąg, z rękami splecionymi na podołku i lekko pochyloną głową. Przesiedziała w ten sposób większą część popołudnia, pozwalając, by żalność powoli wgryzała się w jej serce, podczas gdy inne kobiety zajęte były własnymi sprawami.

Przyglądały się jej jednak, po części dlatego, że wiedziały, jak blisko byli ze sobą Ta Która Stoi Z Pięścią i jej mąż. Ale ona była białą kobietą i to - bardziej niż cokolwiek innego - było powodem obserwacji. Żadna z nich nie wiedziała, jak w takim przypadku działa umysł białego. Więc przyglądały jej się z mieszaniną troski i ciekawości.

Dobrze, że to robiły.

Ta Która Stoi Z Pięścią była tak dogłębnie załamana, że przez całe popołudnie nawet nie podniosła wzroku. Nie uroniła ani jednej łzy. Po prostu siedziała. Jej myśli pędziły nieustannie z niebezpieczną szybkością. Myślała o swojej stracie, o swoim mężu, wreszcie o sobie.

Przywoływała z pamięci wydarzenia ze swojego życia z nim, a wszystkie ukazywały jej się w postrzępionych, ale wyraźnych szczegółach. Raz za razem powracał do niej pewien szczególny moment... jeden jedyny moment, kiedy płakała.

Było to pewnej nocy, niedługo po śmierci ich drugiego dziecka. Trzymała się, próbując zrobić wszystko, żeby nie poddać się cierpieniu. Trzymała się nawet wtedy, gdy już polały się łzy. Próbowwała powstrzymać je, kryjąc twarz w nocnej koszuli. Byli już po rozmowie o drugiej żonie, a on powiedział już słowa: „Ty mi wystarczasz”. Ale nie było tego dość, żeby uśmierzyć żal po odejściu drugiego dziecka, żal, którą wiedziała, że dzieli wraz z nią, i ukryła mokrą twarz w koszuli. Ale nie mogła się powstrzymać i łzy przeszły w szloch.

Kiedy przestała i uniosła głowę, siedział przy ognisku i grzebał w nim bezmyślnie, patrząc błędnym wzrokiem na przestrzał płomieni.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, powiedziała: „Jestem niczym”. Z początku nie odpowiedział. Spojrzał tylko wzrokiem sięgającym duszy z tak spokojnym wyrazem twarzy, że nie mogła oprzeć się jego kojącemu działaniu. Potem zobaczyła, że na usta zakrada mu się błądy cień uśmiechu, kiedy ponownie wypowiada te słowa.

„Ty mi wystarczasz.”

Tak dobrze to pamięta: jak niespiesznie wstaje znad ogniska, jego gest mówiący „Podejdź”, jego dłonie wślizgujące się spokojnie pod koszulę, jego ramiona przygarniające ją tak delikatnie.

I pamięta zatracenie w miłości tamtej nocy, bez ruchu, słów i energii. To było jak narodzić się w przestworzach i unosić się bez końca w jakimś niewidzialnym, niebiańskim strumieniu. To była ich najdłuższa noc. Ilekroć zapadali już w sen, zaczynali od nowa. I znów. I znów. Dwoje ludzi w jednym ciele.

Nie zatrzymało ich nawet nadejście słońca. Pierwszy i jedyny raz w życiu obojga żadne nie wyszło tego ranka z wigwamu.

Kiedy sen w końcu ich zmorzył, stało się to równocześnie i Ta Która Stoi Z Pięścią pamiętała odpłynięcie z uczuciem, że ciężar bycia dwiema osobami nagle stał się tak lekki, że przestał odgrywać rolę. Pamiętała, że nie czuła się już Indianką albo białą. Czuła się jak jedna istota, jedna osoba, niepodzielna.

Ta Która Stoi Z Pięścią mrugając oczami powróciła do rzeczywistości comiesięcznego namiotu.

Nie była już żoną, Komanczem ani nawet kobietą. Nie była teraz niczym. Na co czeka?

Skrobaczka do skór leżała na klepisku nie dalej niż o kilka stóp. Widziała już na niej swoją zaciśniętą dłoń. Widziała, jak zatapia się głęboko w jej pierś aż po rękojeść.

Ta Która Stoi Z Pięścią wyczekała momentu, kiedy uwaga wszystkich będzie

zwrócona gdzie indziej. Zakołysała się kilkakrotnie w przód i w tył, a potem rzuciła się do przodu, pokonując tych kilka stóp na czworakach. Pewnie uchwyciła ją dłonią i za moment miała przed oczyma ostrze. Uniosła je wyżej, krzyknęła i pociągnęła w dół obiema rękami, jakby przytulała do serca ukochany przedmiot.

W tym samym ułamku sekundy, w którym skrobak już miał zakończyć swój lot, nadbiegła pierwsza kobieta. Chociaż nie zdołała uchwycić rąk trzymających nóż, wystarczyło samo zderzenie z nimi, by odchylić ich tor. Ostrze zboczyło, pozostawiając niewielki ślad na staniku sukni Tej Która Stoi Z Pięścią, gdy przeszło ponad lewą piersią, przebiło irchowy rękaw i zagłębiło się w umięśnioną część ramienia nad łokciem.

Walczyła jak szatan i niełatwo przyszło kobietom wyłuskać jej skrobak z rąk. Kiedy już go jej odebrano, drobną białą kobietę opuściła cała chęć do walki. Osunęła się w siostrzane ramiona przyjaciółek i jak struga, która wytryska, gdy odkręci się uparty zawór, zaczęła konwulsyjnie szlochać.

Częściowo zaniósł, częściowo zaciągnęły do łóżka drobną kulkę spazmów i łez. Podczas gdy jedna z przyjaciółek kołysała ją w ramionach jak dziecko, dalsze dwie zatamowały krwawienie i opatrzyły jej ramię.

Płakała tak długo, że kobiety musiały ją podtrzymywać na zmianę. Wreszcie oddech jej się uspokoił, a szloch przycichł do jednostajnego skomlenia. Wtedy nie otworzywszy zapuchniętych od łez oczu, odezwała się, powtarzając w kółko te same słowa, intonując je miękko do samej siebie.

„Jestem niczym. Jestem niczym. Jestem niczym.”

Pod wieczór napelniły wydrążony róg cienkim bulionem i nakarmiły ją z niego. Z początku pociągnęła z wahaniem, lecz im więcej piła, tym bardziej jej smakowało. Długim haustem dopiła resztkę i położyła się na posłaniu z szeroko otwartymi oczyma, wpatrzona w sufit ponad głowami przyjaciółek.

- Jestem niczym - znów powiedziała. Lecz teraz jej wypowiedź stonowana była nutą pogody i kobiety wiedziały, że przeszła już przez najniebezpieczniejsze stadium żałoby.

Z czule szeptanym dobrym słowem otuchy pogłaskały ją po rozczochranej głowie i otuliły jej drobne ramiona fałdami koca.

3

Mniej więcej w czasie, gdy wyczerpanie sprowadziło na Tę Która Stoi Z Pięścią głęboki sen bez snów, porucznik Dunbar obudził się na odgłos kopyt u wrót darniowej chaty.

Nie rozpoznawszy dźwięku, z umysłem zamglonym od długiego snu, porucznik leżał

spokojnie, mrugając oczyma, żeby się rozbudzić, a równocześnie próbując namacać na podłodze marynarski rewolwer. Zanim go znalazł, rozpoznał odgłos. To był Cisco, na powrót w domu.

Nie przestając się mieć na baczności, Dunbar bezszelestnie ześlizgnął się z pryczy i przemknąwszy skulony koło konia, wydostał się na zewnątrz.

Było ciemno, ale jeszcze wcześniej. Gwiazda wieczorna samotnie świeciła na niebie. Porucznik nasłuchiwał i wypatrywał. Nikogo w pobliżu nie było.

Cisco poszedł za nim na podwórze, a kiedy porucznik Dunbar bezwiednie położył mu rękę na szyi, poczuł, że sierść ma sztywną od zaschniętego potu. Uśmiechnął się na to szeroko i głośno powiedział:

- Zdaje się, że dałeś im wycisk, co? Damy ci teraz pić.

Prowadząc Cisca nad strumień, dziwił się swojemu poczuciu siły. Paraliż na widok popołudniowego rajdu, choć doskonale go pamiętał, wydawał się teraz czymś odległym. Nie mglistym, ale odległym, jak historia. To był chrzest, stwierdził ostatecznie, chrzest, który wystrzelił go jak z procy ze świata marzeń do rzeczywistości. Wojownik, który podjechał i naszcekał na niego, był rzeczywisty. Ludzie, którzy porwali Cisca, byli rzeczywisci. Teraz ich znał.

Kiedy Cisco igrał z wodą, rozpryskując ją wargami, porucznik Dunbar pozwolił myślom podążać tą zyłą i trafił na bogate złożo.

Czekałem, pomyślał. Po prostu czekałem.

Pokiwał głową, śmiejąc się w duchu. Czekalem. Cisnął kamień do wody. Na co czekałem? Że ktoś mnie znajdzie? Że Indianie zabiorą mi konia? Że zobaczę bizona?

Nie mógł wprost uwierzyć. Nigdy nie obchodził się z życiem jak ze śmierdzącym jajkiem, a mimo to właśnie tak postępował przez ostatnie tygodnie. Jak ze śmierdzącym jajkiem, czekając, aż coś się wydarzy.

Lepiej położyć temu kres od razu, powiedział do siebie.

Zanim jednak zdążył pomyśleć o czymś innym, jego wzrok coś pochwycił. Po drugiej stronie strumienia na wodzie odbił się jakiś kolor.

Porucznik Dunbar zerknął na skarpe za sobą.

Wschodził ogromny letni księżyc.

Pod wpływem nieodpartego impulsu wskoczył na grzbiet Cisca i wyjechał na szczyt urwiska.

To był wspaniały widok, ten wielki księżyc, jasny jak żółtko jajka, wypełniający nocne niebo, jakby cały nowy świat przyszedł zawołać właśnie jego.

Zeskoczył z Cisca, skręcił sobie papierosa i jak urzeczony wpatrywał się w szybko pnący się nad głową księżyc z wyraźnym jak na mapie ukształtowaniem terenu.

Kiedy wschodził, preria rozwidniała się coraz bardziej. Znał jedynie ciemności poprzednich nocy, a ten zalew poświaty był jak ocean, z którego nagle spuszczone całą wodę.

Musiał się weń zanurzyć.

Przez pół godziny jechali stępa i Dunbar cieszył się każdą minutą. Gdy w końcu zawrócili, przepelniała go ufność we własne siły. Teraz był zadowolony ze wszystkiego, co się przydarzyło. Nie będzie już więcej bolał nad żołnierzami, którzy nie chcieli nadejść. Nie będzie zmieniał pór spoczynku. Nie będzie jeździł na patrole lęklivymi zakolami i nie spędzi już żadnej nocy, nadstawiając uszu.

Nie będzie już dłużej czekał. Wyjdzie naprzeciw zdarzeniom.

Jutro z rana pojedzie odnaleźć Indian.

A co będzie, jeśli go pożrą?

A jeśli go pożrą, niech diabeł porwie szczątki.

Ale nie będzie już więcej czekania.

4

Kiedy o świcie otwarła oczy, pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, była druga para oczu. Potem zdała sobie sprawę, że wpatruje się w nią wiele par oczu. Wszystkie gwałtownie się cofnęły i Ta Która Stoi Z Pięścią poczuła zakłopotanie z powodu całej tej pieczy. Dokonała na sobie zamachu w tak niegodny, nietypowy dla Komanczów sposób.

Pragnęła ukryć twarz.

Spytali ją, jak się czuje i czy chce jej się jeść, a Ta Która Stoi Z Pięścią odpowiedziała, że tak, czuje się lepiej i miałyby ochotę coś zjeść.

Jedząc przyglądała się kobietom krzątającym się wokół swoich drobnych zajęć i miało to, obok snu i pożywienia, krzepiącą właściwość. Życie toczyło się naprzód i ten widok sprawił, że znów poczuła się sobą.

Lecz kiedy sięgnęła ręką do serca, sądząc po kłującym bólu, mogła stwierdzić, że było złamane. Jeśli miała pozostać przy doczesnym życiu, musiało zostać wyleczone, a tego najlepiej dokonać rozsądną i sumienną żałobą.

Musi odbyć żałobę po swoim mężu.

By ją odbyć stosownie, musi opuścić wigwam.

Było jeszcze wcześniej, kiedy spakowała się do odejścia. Zapleciono jej rozczochrane włosy i posłano dwóch chłopców: jednego, by przyniósł jej najlepszą sukienkę, drugiego, by

wybrał jednego kuca z mężowskiego stada.

Nikt nie sprzeciwił się, kiedy Ta Która Stoi Z Pięścią przewlekła pasek przez pochwę swojego najlepszego noża i przywiązała go w talii. Poprzedniego dnia zapobiegli czemuś irracjonalnemu, ale teraz była spokojniejsza, i jeśli Ta Która Stoi Z Pięścią nadal chce odebrać sobie życie, to niech tak będzie. Wiele kobiet tak uczyniło w minionych latach.

Powlekli się za nią, gdy wychodziła z wigwamu, taka piękna i dziwna, i smutna. Jeden z nich podsadził ją na kuca. Potem kuc i kobieta odeszli, kierując się do wyjścia z niecki, w której mieścił się obóz, na otwartą prerię.

Nikt nie krzyknął za nią, nikt nie zaszlochał, nikt nie pokiwał na pożegnanie ręką. Tylko patrzyli, jak odchodzi. Ale każdy z jej przyjaciół miał nadzieję, że nie będzie dla siebie zbyt twarda i powróci.

Wszyscy lubili Tę Która Stoi Z Pięścią.

5

Porucznik Dunbar śpieszył się z przygotowaniami. Przespał już wschód słońca, a chciał być gotowy o świcie. Więc śpieszył się z kawą, zaciągając się pierwszym papierosem, podczas gdy w myślach próbował uporządkować wszystko na tyle sprawnie, na ile było to możliwe.

Najpierw zabrał się do brudnej roboty, zaczynając od flagi na magazynie. Była nowsza od tej, która powiewała nad jego własną kwaterą, więc wdrapał się na zmurszałą darniową ścianę i ściągnął ją. Rozłupał pal z ogrodzenia, wetknął go sobie za cholewę, buta i po dokładnej przymiarce obciął parę cali od góry. Potem przytwierdził flagę. Nie wyglądała źle.

Ponad godzinę pracował przy Ciscu, wycinając mu wokół kopyt włosy pęcino-we, wyczesując grzywę i ogon i natłuszczając je słoniną.

Większość czasu pochłonęła sierść. Porucznik Dunbar nacierał ją i szczotkował z pół tuzina razy, aż w końcu odsta-pił o krok i zobaczył, że nie ma już nic więcej do zrobienia. Bułanek lśnił jak malunek z książki z obrazkami.

Skre-pował konia krótko, żeby nie wytarzał się w kurzu, i popędził do darniowej chaty. Tam ściągnął polowy mundur i przejechał cal po calu cienką szczotką, wylapując każdy odstający włos, szc-szując najdrobniejsze kłębki pozostawione przez bandażę. Wypolerował wszystkie guziki. Gdyby miał farbę, mógłby poprawić epolety i żółte lampasy na nogawkach spodni. Poradził sobie za pomocą szczotki i odrobiny śliny. Kiedy był gotów, mundur wyglądał co najmniej przyzwoicie.

Wybłyszczzył długie do kolan, nowe buty do konnej jazdy i ułożył je obok munduru na

łóżku.

Kiedy wreszcie nadszedł czas, by zająć się sobą, chwycił szorstki ręcznik, przybory do golenia i co tchu zaniósł je nad strumień. Wskoczył, namydlił się cały, opłukał i wyskoczył z powrotem, a cała operacja nie zabrała mu nawet pięciu minut. Bacząc, by się nie zaciąć, porucznik ogolił się dwukrotnie. Gdy mógł przeciągnąć dłonią po szczęce i szyi, nie zaczepiając o zarost, pognął na szczyt skarpy i ubrał się.

6

Cisco pochylił łeb i spojrzał figlarnie na zbliżającą się do niego postać, zwracając szczególną uwagę na jasnoczerwoną szarfę, która trzepotała wokół talii mężczyzny. Nawet gdyby nie było tam szarfy, prawdopodobnie Cisco i tak wybałuszyłby oczy. Nikt nigdy przedtem nie widział takim porucznika Dunbara. Z pewnością nie Cisco, a znał swojego pana nie gorzej od innych.

Porucznik zawsze ubierał się, byle by uszło, niewiele się przykładając, by błyszczeć na paradach, inspekcjach lub spotkaniach z generałami.

Ale gdyby nawet zebrały się najteższe umysły armii, aby sfabrykować niedościgły wzór młodszego oficera, pozostałyby daleko w tyle za tym, co wyczelował porucznik Dunbar owego krystalicznie czystego, majowego poranka.

Aż po wielki marynarski rewolwer kołyszący się miękko u biodra był marzeniem każdej młodej dziewczyny o mężczyźnie w mundurze. Obraz, jaki sobą przedstawiał, był tak pełen dziarskości i blasku, że żadne kobiece serce nie omieszkałoby zabić szybciej na jego widok. Najbardziej nawet cyniczna głowa musiałaby się obejrzeć, a najbardziej zaciśnięte wargi ułożyłyby się bezwiednie w kształt słów:

„Kto to jest?”

Wsunął w pysk Cisca wędzidło, złapał za kłębek grzywy i bez wysiłku wskoczył na lśniący grzbiet bułanka. Pokłusowali do magazynu, gdzie porucznik pochylił się w siodle i chwycił proporczyk i flagę opartą o ścianę. Wetknął ją za cholewę lewego buta, ujął sztandar lewą ręką i skierował Cisca na otwartą prerię.

Kiedy ujechali sto jardów, Dunbar zatrzymał się i obejrzał za siebie, wiedząc, że być może nigdy już nie ujrzy tego miejsca. Zerknął na słońce i stwierdził, że jest jeszcze wczesne rano. Będzie miał sporo czasu, żeby ich znaleźć. Na zachodzie widział płaską chmurę dymu, która ukazywała się przez trzy poranki z rzędu. To musieli być oni.

Porucznik skierował wzrok na czubki butów. Odbijał się w nich blask słońca. Wydarło mu się z piersi lekkie westchnienie niewiary i przez ułamek sekundy żałował, że nie może

pociągnąć sobie głębokiego haustu whisky. Potem cmoknął na Cisca i konik przeszedł w galop, który poniósł ich na zachód. Był lekki wiatr i Odwieczna Chwała łopotała, gdy jechał na spotkanie... na spotkanie nie wiadomo czego.

Ale jechał.

7

W całkiem nie zaplanowany sposób żałoba Tej Która Stoi Z Pięścią była ściśle rytualna.

Teraz nie miała zamiaru umierać. Chciała jedynie wyrzucić z siebie pokłady żałości. Pragnęła jak najstaranniejszego oczyszczenia, więc nie śpieszyła się.

Spokojnie i metodycznie jechała prawie godzinę, zanim nie znalazła się w miejscu, które jej odpowiadało, na obszarze, gdzie bogowie pewnie chętnie się gromadzą.

Dla kogoś, kto żył na prerii, mogłoby to uchodzić za wzgórze. Każdy inny uznałby je za zwykłe wybrzuszenie terenu, jak małe spiętrzenie fal na szerokim, płaskim morzu. Na jego grzbiecie rosło samotne drzewo, węzlasty stary dąb, który jakimś cudem trzymał się kurczowo życia, mimo że w ciągu lat tylekroć kaleczony był przez przejezdnych. Było to jedyne drzewo, w którąkolwiek stronę by spojrzeć.

To było bardzo osamotnione miejsce. Wydawało się odpowiednie. Wspięła się na wierzchołek, zsunęła z kuca, podeszła parę kroków do zbocza skarpy i usiadła na ziemi ze skrzyżowanymi nogami.

Podmuchy huštały jej warkoczami, więc sięgnęła za głowę, rozplotła oba i pozwoliła swoim włosom o miedzianym odcieniu swobodnie się rozsypać na wietrze. Potem przymknęła oczy, zaczęła kołysać się to w przód, to w tył, i skupiła się na straszliwym wypadku, który przydarzył jej się w życiu, skupiła się na nim tylko, z pominięciem wszystkiego innego.

Nim upłynęło kilka minut, a słowa w myślach zaczęły układać jej się w pieśń. Otworzyła usta i wysypały się wiersze tak pewnie i bez zająknięcia, jak coś pilnie i po wielokroć powtarzanego.

Śpiewała wysokim głosem. Załamywał jej się czasem. Lecz śpiewała z całego serca, a piękno jej pieśni daleko wykraczało poza coś po prostu miłego dla ucha.

Pierwsza pieśń była prostym hymnem, opiewającym jego cnoty wojownika i męża. Pod koniec nasunęła jej się pewna strofa. Brzmiała tak:

„Był wielkim mężczyzną wielkim,

Wielki był dla mnie”.

Zrobiła przerwę przed odśpiewaniem tej zwrotki. Wznosząc oczy ku niebu, Ta Która Stoi Z Pięścią dobyła noża z pochwy i z pełną świadomością zrobiła sobie dwucalowe nacięcie na przedramieniu. Spuściła głowę i zerknęła na nacięcie. Krew płynęła swobodnie. Podjęła śpiew, kurczowo trzymając w ręce nóż.

W ciągu następnej godziny pozacinała się jeszcze kilkakrotnie. Skaleczenia były płytkie, ale mocno krwawiły i to cieszyło Tę Która Stoi Z Pięścią. Im lżejszą miała głowę, tym bardziej była skupiona.

To był dobry śpiew. Opowiedział on całą historię ich życia w taki sposób, w jaki rozmowa z kimś nie mogłaby tego uczynić. Nie wdając się w szczegóły, niczego nie opuściła.

Na końcu, gdy ułożyła piękny wiersz błagalny do Wielkiego Ducha, by dał mu zaszczytne miejsce w świecie po drugiej stronie słońca, ogarnęła ją nagła fala wzruszenia. Niewiele pominęła. Zbliżała się teraz do końca, a to oznaczało pożegnanie.

Łzy napłynęły jej do oczu, gdy podkasała irchową suknię, by zaciąć się w udo. Pośpiesznie przejechała ostrzem po nodze i sapnęła. Tym razem nacięcie było bardzo głębokie. Musiała uszkodzić jakąś większą żyłę albo tętnicę, ponieważ spojrzawszy na siebie, Ta Która Stoi Z Pięścią ujrzała czerwone bluzgi pulsujące w rytm bicia jej serca. Mogła próbować zatamować krwawienie albo dalej śpiewać.

Ta Która Stoi Z Pięścią wybrała to drugie. Siedziała z wyciągniętą nogą, pozwalając, by krew wsiąkała w ziemię, a sama wysoko zadarła głowę i wyjęczała te słowa:

„Dobrze będzie umrzeć.

Dobrze będzie z nim iść.

Będę szła za nim.”

8

Ponieważ wiatr wiał jej prosto w twarz, nie usłyszała, że zbliża się jeździec.

On sam zauważył skarpę z daleka i postanowił, że skoro niczego dotąd nie zobaczył, będzie to dobre miejsce, by się rozejrzeć. Jeśli z wierzchołka nadal nic nie zobaczy, może wdrapać się na to stare drzewo.

Porucznik Dunbar był już w połowie stoku, gdy wiatr przyniósł dziwny, smutny dźwięk. Posuwając się ostrożnie, pokonał krawędź skarpy i ujrzał przed sobą postać siedzącą o kilka stóp poniżej szczytu. Była odwrócona plecami. Nie potrafił z całą pewnością powiedzieć, czy był to mężczyzna, czy kobieta. Ale z pewnością był to Indianin.

Śpiewający Indianin.

Siedział jeszcze na grzbiecie Cisca, gdy postać odwróciła się twarzą do niego.

9

Ta Która Stoi Z Pięścią nie umiałaby powiedzieć, co to było, ale nagle poczuła, że coś za nią stoi, i odwróciła się.

Zdołała jedynie rzucić okiem na twarz przesłoniętą kapeluszem, zanim nagły poryw wiatru owinął barwną flagę wokół głowy mężczyzny.

Ale jeden rzut oka wystarczył. Zorientowała się, że to biały żołnierz.

Nie uskoczyła ani nie uciekała. Było coś urzekającego w widoku samotnego żołnierza na koniu. Wielka kolorowa flaga, lśniący koń i słońce połyskujące na szamerunkach odzienia. A teraz znów twarz, gdy rozpostarła się flaga: surowa, młoda twarz z błyszczącymi oczami. Ta Która Stoi Z Pięścią zamrugnęła parokrotnie powiekami, niepewna, czy to zjawa, czy człowiek. Poruszała się tylko flaga.

Wtedy żołnierz poprawił się w siodle. Był rzeczywisty. Przetoczyła się na kolana i zaczęła osuwać się w dół skarpy. Nie wydała żadnego dźwięku ani nie rzuciła się do ucieczki. Ta Która Stoi Z Pięścią obudziła się z jednego koszmaru, by znaleźć się w drugim, tym razem rzeczywistym. Poruszała się powoli, ponieważ była zbyt przerażona, żeby biec.

10

Dunbar był wstrząśnięty, ujrawszy jej twarz. Nie wypowiedział tych słów nawet w myślach, ale gdyby to zrobił, słowa porucznika brzmiałyby jakoś tak: „A cóż to za kobieta?”

Drobna twarz o ostrych rysach, zmierzwione miedziane włosy i inteligentne oczy, dość dzikie, by z równą żarliwością kochać lub nienawidzić, zupełnie go zawojowały. Nie przyszło mu do głowy, że może nie być Indianką. W tym momencie owładnięty był tylko jedną myślą.

Nigdy nie widział kobiety, która wyglądałaby tak oryginalnie.

Zanim zdołał się ruszyć albo coś powiedzieć, przetoczyła się na kolana i wtedy zobaczył, że jest złana krwią.

- O mój Boże - wykrztusił. Dopiero kiedy cofnęła się na sam dół skarpy, podniósł rękę i łagodnie zawołał:

- Zaczekaj.

Na dźwięk tego słowa Ta Która Stoi Z Pięścią puściła się niezdarnym biegiem. Porucznik Dunbar pobiegł za nią truchtem, błagając ją, by się zatrzymała. Gdy zbliżył się na parę jardów, Ta Która Stoi Z Pięścią obejrzała się, straciła równowagę i upadła w wysoką trawę.

Kiedy jej dopadł, czołgała się i za każdym razem, gdy próbował wyciągnąć do niej

ręce, musiał się cofnąć, jakby obawiając się dotknąć rannego zwierzęcia. Kiedy w końcu objął ją za ramiona, przekreśliła się na plecy i wpiła mu się paznokciami w twarz.

- Jesteś ranna - powiedział odtrącając jej ręce. - Jesteś ranna.

Przez parę sekund walczyła zawzięcie, ale szybko uszły z niej siły i w jednej chwili trzymał już ją za nadgarstki. Jeszcze leżąc pod nim, ostatkiem sił kopała. I wtedy właśnie wydarzyło się coś dziwnego.

W gorączce walki wymknęło jej się stare angielskie słowo, słowo, którego nie wypowiadała przez wiele lat. Wyrwało jej się z ust, zanim zdążyła je powstrzymać.

- Nie - powiedziała.

Na to oboje znieruchomieli. Porucznik Dunbar nie mógł uwierzyć, że to naprawdę usłyszał, a Ta Która Stoi Z Pięścią nie mogła uwierzyć, że to naprawdę powiedziała.

Odrzuciła głowę do tyłu, a ciało jej osunęło się bezwładnie na ziemię. Było już tego dla niej za wiele. Wyjęczała kilka słów w języku Komanczów i zemdląła.

11

Kobieta w trawie nadal oddychała. Większość jej ran była powierzchowna, ale ta na udzie była niebezpieczna. Krew sączyła się z niej nieustannie i porucznik przeklinał siebie za to, że wyrzucił szarfę jedną czy dwie mile wcześniej. Świetnie nadałaby się na opaskę.

Był już gotów wyrzucić więcej. Im dłużej jechał i im mniej widział, tym śmieszniejszy wydawał mu się jego plan. Wyrzucił szarfę jako coś bezużytecznego, prawdziwie głupiego, i był już gotów zwinąć flagę (która także wydawała mu się głupia) i wrócić do Fort Sedgewick, gdy zobaczył wzniesienie i samotne drzewo.

Jego pas był zbyt nowy i za sztywny, więc nożem kobiety odciął podłużny skrawek flagi i przewiązał nim wysoko udo. Upływ krwi natychmiast się zmniejszył, ale nadal potrzebny był kompres. Zdjął mundur, wyskoczył z długich kalesonów i rozciął bieliznę na pół. Potem górną część zwinął w tampon i mocno go przyłożył do rozplatanego ciała.

Przez dziesięć straszliwych minut porucznik Dunbar klęczał przy niej w trawie, nago, mocno przyciskając kompres obiema rękami. W ciągu tego czasu raz już myślał, że pewnie umarła. Przyłożył jej na próbę ucho do piersi i nasłuchiwał. Serce wciąż biło.

Ciężko było tu być zdanym na własne siły i szarpało to nerwy, jeśli nie wiedziało się, kim jest ta kobieta, i nie wiedziało się, czy będzie żyć, czy umrze. W trawie u podnóża skarpy było gorąco, a za każdym razem, kiedy ocierał sobie pot zalewający mu oczy, zostawiał na twarzy smugę jej krwi. Co chwilę unosił kompres i doznawszy zawodu patrzył, jak krew nie przestaje płynąć. Wówczas zmieniał kompres.

Ale przetrzymał to.

Wreszcie, gdy upływ krwi zmniejszył się do małej strużki, wkroczył do akcji. Udo powinno zostać zszyte, ale to było niemożliwe. Odciął z bielizny długą nogawkę, zwinął ją w bandaż i przyłożył płasko na ranę. Potem, najszybciej jak potrafił, porucznik odciął następny wąski skrawek flagi i ciasno owiązał go wokół opatrunku. Powtórzył te czynności z drobniejszymi ranami na ramieniu.

Kiedy to robił, Ta Która Stoi Z Pięścią zaczęła pojękiwać. Kilkakrotnie otworzyła oczy, ale była za słaba, żeby oponować, nawet wtedy, gdy uniósł manierkę i wlał jej do ust parę łyków wody.

Gdy Dunbar uczynił już jako lekarz wszystko, co było można, założył na powrót mundur i pozapinał guziki od spodni i kurtki, zastanawiając się, co robić.

Zobaczył na prerii jej kuca i pomyślał, że warto byłoby go złapać. Ale kiedy popatrzył na kobietę na trawie, zrozumiał, że nie ma to sensu. Może i była zdolna do jazdy, ale potrzebowałyby pomocy.

Dunbar zerknął na niebo od zachodniej strony. Chmura dymu prawie się rozwiała. Pozostało tylko kilka smużek. Gdyby się pośpieszył, mógł skierować się na ten punkt, zanim chmura zniknie.

Wsunął ramiona pod pachy Tej Która Stoi Z Pięścią, podniósł ją z ziemi i usadził najłagodniej jak potrafił na grzbiecie Cisca, sam mając zamiar prowadzić go za uzdę. Ale dziewczyna była półprzytomna i gdy tylko znalazła się w siodle, zaczęła mdleć.

Podtrzymując ją jedną ręką, zdołał wskoczyć z tyłu za nią na konia. Potem obrócił ją do siebie i tuląc jak ojciec powaloną chorobą córkę, Dunbar skierował konia ku chmurze dymu.

Gdy Cisco niósł ich przez prerię, porucznik pomyślał o swoim planie zaimponowania dzikim Indianom. Teraz nie wyglądał bardzo władczo ani bardzo oficjalnie. Na kurtce i na rękach miał krew. Dziewczyna była obandażowana jego bielizną i flagą Stanów Zjednoczonych.

Na pewno tak było lepiej. Kiedy porucznik pomyślał o tym, co zrobił, głupio paradując po okolicy w wyglancowanych butach i z idiotyczną czerwoną szarfą, a do tego wszystkiego powiewającą u boku flagą, uśmiechnął się z politowaniem.

Ale ze mnie idiota, pomyślał.

Spojrzał na miedziane włosy tuż przy swoim podbródku i zastanawiał się, co też ta biedna kobieta musiała sobie pomyśleć, kiedy ujrziała go w tym przebraniu dandysa.

Ta Która Stoi Z Pięścią w ogóle nie myślała. Była na granicy snu i jawy. Jedyne

czuła. Czuła kołysanie konia pod sobą, czuła ramię na plecach i czuła dotyk dziwnej tkaniny na policzku. A nade wszystko Ta Która Stoi Z Pięścią czuła się bezpieczna i przez całą drogę powrotną nie otwierała oczu, obawiając się, że jeśli je otworzy, uczucie to zniknie.

ROZDZIAŁ XIII

1

Ten Który Dużo Się Śmieje nie był chłopcem sumiennym.

Nikt nie nazwałby go swawolnikiem, ale Ten Który Dużo Się Śmieje nie lubił pracować i w przeciwieństwie do większości indiańskich chłopców myśl o braniu na siebie odpowiedzialności była mu obca.

Był marzycielem, i jak to marzyciele, Ten Który Dużo Się Śmieje szybko się nauczył, że jednym z najlepszych wybiegów, by uniknąć nudy związanej z pracą, jest trzymanie się na uboczu.

Toteż nieudaczny chłopak spędzał jak najwięcej czasu przy dużym stadzie kuców należącym do hordy. Podejmował się tego zadania regularnie, częściowo dlatego, że zawsze gotów był gdzieś jechać, a częściowo dlatego, że w wieku dwunastu lat stał się znawcą koni.

Ten Który Dużo Się Śmieje potrafił z dokładnością do kilku godzin przewidzieć czas żrebia się klaczy. Miał talent do kielznania narowistych ogierów. A gdy przychodziło do leczenia, wiedział o uzdrawianiu końskich dolegliwości tyle samo, albo i więcej od każdego dorosłego współplemieńca. Konie po prostu lepiej się miały, kiedy był w pobliżu.

Wszystko to było drugą naturą Tego Który Dużo Się Śmieje... drugą i drugorzędną. Najbardziej bowiem lubił przebywać z końmi dlatego, że pasły się daleko od obozu, czasami nawet o milę, a to pozwalało Temu Który Dużo Się Śmieje także trzymać się z dala, z dala od wszystkowiedzących ojcowskich oczu, z dala od katorgi doglądania młodszych braci i sióstr, i z dala od nie mającej końca pracy przy porządkowaniu obozowiska.

Zazwyczaj także inni chłopcy i dziewczęta snuli się koło stada, ale z wyjątkiem szczególnych wypadków Ten Który Dużo Się Śmieje rzadko przyłączał się do ich zabaw i kompanii.

Wolał wdrapać się na jakiegoś spokojnego wałacha, wyciągnąć się na końskim grzbiecie i marzyć, czasem godzinami, patrząc, jak przesuwają się nad nim nieustannie zmieniające się niebo.

Marzył tak przez większą część popołudnia, szczęśliwy, że jest z dala od wioski, która wciąż wzburzona była tragicznym powrotem wyprawy przeciwko Utom. Ten Który Dużo Się Śmieje wiedział, że chociaż walka mało go interesuje, wcześniej czy później będzie musiał wstąpić na wojenną ścieżkę i już teraz zakonotował sobie w pamięci, że ma się wystrzegać wypraw przeciwko Utom.

Przez ostatnią godzinę cieszył się z niecodziennego luksusu przebywania sam na sam

ze stadem. Pozostałe dzieci zostały z takiej czy innej przyczyny zawołane do domu, ale nikt nie przyszedł po Tego Który Dużo Się Śmieje, a to uczyniło go najszcześniejszym z marzycieli. Przy odrobinie szczęścia nie będzie musiał wracać do zmierzchu, a do zachodu słońca zostało jeszcze kilka godzin.

Był akurat w samym środku stada, marząc o posiadaniu własnego stada, takiego, co byłoby jak wielka gromada wojowników, którym nikt nie ośmieliłby się rzucić wyzwania, kiedy zauważył jakiś ruch w trawie.

Był to wielki żółty zaskroniec. Jakimś sposobem zabłąkał się w gąszczu poruszających się kopyt i pełzał z rozpaczliwą szybkością, szukając drogi wyjścia.

Ten Który Dużo Się Śmieje lubił węże, a ten był tak duży i tak stary, że z pewnością musiał być dziadkiem. Dziadek w kłopotach. Zsunął się ze swojej konnej kanapy z myślą o schwyтaniu staruszka i wyniesieniu go poza obręb tego niebezpiecznego miejsca. Wielkiego węża nie było łatwo doścignąć. Poruszał się bardzo szybko i Ten Który Dużo Się Śmieje ciągle grzązł w zbitej masie kuców. Chłopiec stale nurkował pod szyjami i brzuchami i jedynie dzięki zawziętemu uporowi Dobrego Samarytanina udało mu się nie stracić z oczu żółtego, wijącego się po ziemi ciała.

Skończyło się dobrze. Blisko krańca stada wielki wąż trafił w końcu na dziurę, gdzie mógł się wczłgać, i jedyną rzeczą, jaką Temu Który Dużo Się Śmieje udało się pochwycić, był widok jego ogona, kiedy zniknął pod ziemią.

A gdy stał nad dziurą, zarżało kilka koni i Ten Który Dużo Się Śmieje zobaczył, że strzygą uszami. Zobaczył, że nagle wszystkie głowy wokół niego zwróciły się w jednym kierunku.

Konie zobaczyły, że coś się zbliża.

Dreszcz przebiegł chłopca i błoga samotność za jednym zamachem obróciła się przeciwko niemu. Bał się, ale ukradkiem posuwał się naprzód między końmi, trzymając się nisko przy ziemi, w nadziei, że zobaczy, zanim jego zobaczą.

Gdy ujrzał przed sobą skrawki pustej prerii, Ten Który Dużo Się Śmieje przypadł do ziemi i posuwał się z pochyloną głową koło końskich nóg. Konie nie spłoszyły się i to dodało mu otuchy. Ale wciąż wypatrywały czegoś z niezmiennym zaciekawieniem, więc chłopiec pilnował się, żeby nie wydać żadnego dźwięku.

Przystanął, gdy w odległości dwudziestu albo trzydziestu jardów śmignął obok niego koń. Nie mógł go dojrzeć, bo był zasłonięty, ale był pewien, że widział także nogi.

Powoli podniósł się i wyjrzał zza końskiego grzbietu. Temu Który Dużo Się Śmieje zjeżyły się wszystkie włosy. Zawiroowało mu w głowie, jakby miał w niej rój brzęczących

pszczoł. Chłopcu odjęło mowę i wzrok. Nawet nie mrugnął. Nigdy przedtem go nie widział, ale wiedział doskonale, na co patrzy.

To był biały człowiek. Biały żołnierz z zakrwawioną twarzą.

I kogoś ze sobą wiózł. Wiózł tę obcą kobietę, Tę Która Stoi Z Pięścią.

Wyglądało, że jest ranna. Ramiona i nogi owinięte miała czymś śmiesznym. Może nie żyła.

Kiedy przejechali, koń białego żołnierza puścił się kłusem. Kierowali się prosto do wioski. Było za późno, żeby ich wyprzedzić i podnieść alarm. Ten Który Dużo Się Śmieje wycofał się i zaczął przedzierać się do środka stada. Był w niezłym kłopotcie. Co mógł w tej sytuacji zrobić?

Chłopiec nie potrafił jasno myśleć; wszystko mu w głowie telepało jak ziarnka w grzechotce. Gdyby był trochę bardziej zrównoważony, poznałby po twarzy białego żołnierza, że nie może przybywać we wrogich zamiarach. Nic w jego postawie na to nie wskazywało. Ale w głowie Tego Który Dużo Się Śmieje kołatały jedynie słowa „Biały żołnierz, biały żołnierz”.

Nagle pomyślał: A może jest ich więcej. Może tam na prerii czeka cała armia owłosionych ust. Może są blisko.

Myśląc jedynie o odpokutowaniu za swoje niedbalstwo, Ten Który Dużo Się Śmieje ściągnął uzdę z wierzbiny, którą nosił na szyi, nałożył ją mocno zbudowanemu kucowi i wyprowadził go jak najciszej ze stada.

Potem wskoczył i przynaglił kuca do biegu, pędząc w kierunku przeciwnym do wioski i rzucając niespokojnie ukradkowe spojrzenia na horyzont, czy aby nie dostrzeże śladów obecności białych żołnierzy.

2

Adrenalina krążyła w żyłach porucznika Dunbara. To stado kuców... Z początku pomyślał, że to preria się rusza. Nigdy nie widział koni w tak wielkiej liczbie. Sześćset albo i siedemset. Był to widok budzący taką grozę, że kusiło go, by stanąć i patrzeć. Ale oczywiście nie mógł.

W ramionach trzymał kobietę.

Trzymała się nadspodziewanie dobrze. Oddychała równo i nie krwawiła mocno. Była także bardzo spokojna, ale nawet przy swojej drobnej figurze ciążyła mu ogromnie. Wiózł ją ponad godzinę, a teraz, kiedy byli blisko, pragnął tylko znaleźć się już na miejscu. Wkrótce rozstrzygnie się jego los i to utrzymywało poziom adrenaliny w jego żyłach, ale przede

wszystkim myślał o potwornym bólu między łopatkami. Ten ból go zabijał.

Teren przed nimi opadał, a kiedy podjechali bliżej, zobaczył przecinające prerię odnogi strumienia, a potem czubki czegoś; później, gdy dotarł na krawędź skarpy, przed jego oczyma rozpostarł się widok na obozowisko, wstający jak księżyc zeszłej nocy.

Podświadomie porucznik ściągnął wodze. Musiał się teraz zatrzymać. Przez cały czas wpatrywał się w ten widok.

Było tam pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt stożkowatych, pokrytych skórą domów rozbitych wzdłuż brzegu strumienia. W popołudniowym słońcu wyglądały przytulnie i spokojnie, ale z powodu cieni, które rzucały, wydawały się większe niż w rzeczywistości, jak starożytne, wciąż żywe budowle.

Wokół domów widział pracujących ludzi. Doszły do niego głosy ludzi chodzących po alejkach wydeptanych pomiędzy wigwamami. Doszedł go śmiech i to w pewnym stopniu go zaskoczyło. Więcej ludzi było nad strumieniem. Niektórzy z nich w wodzie.

Porucznik Dunbar siedział na Ciscu, podtrzymując znaną kobietę, ze zmysłami odurzonymi mocą ponadczasowej panoramy, która rozpościerała się przed nim, rozciągała się jak nitki żywej tkaniny. Pierwotna, całkowicie nie naruszona cywilizacja. A on tu był.

To przekraczało jego wyobraźnię, a równocześnie wiedział, że po to właśnie tu przybył, że właśnie to kryło się za jego pragnieniem otrzymania przydziału na pogranicze. Tego widoku właśnie, sam o tym nie wiedząc, łaknął.

Te nieuchwytnie chwile na krawędzi skarpy już nigdy nie powrócą w jego doczesnym życiu. Dla tych ulotnych momentów stał się częścią czegoś tak wielkiego, że przestał być porucznikiem, człowiekiem, a nawet ciałem złożonym z funkcjonujących części. Dla tych chwil był duchem, błakającym się w beczasowej, pustej przestrzeni wszechświata. Przez tych kilka bezcennych sekund poznał, co znaczy wieczność.

Kobieta zakaszła. Poruszyła się na jego piersi, a Dunbar czule pogłaskał ją po głowie.

Cmoknął wargami i Cisco ruszył w dół skarpy. Ujechali zaledwie parę stóp, gdy zobaczył kobietę i dwoje dzieci wychodzących z nadrzecznych zarośli.

Oni też go zobaczyli.

3

Kobieta wrzasnęła wypuszczając wiadro wody, porwała dzieci i rzuciła się do wioski, krzycząc co sił w płucach: Biały żołnierz, biały żołnierz. Dziesiątki indiańskich psów wypadły jak ognie sztuczne, kobiety pokrzykiwały na dzieci, a spłoszone konie pędziły

między wigwamami, rżąc dziko. Było to prawdziwe pandemonium.

Cała horda myślała, że nastąpił atak.

Gdy podjechali bliżej, porucznik Dunbar zobaczył mężczyzn biegających na wszystkie strony. Ci, którzy dzierżyli już swoją broń, biegli po konie z pokrzykiwaniem, które przypominało mu ogarnięte paniką łowne ptaki. Wioska w stanie wrzenia była równie nie z tego świata jak wioska w stanie spoczynku. Była jak wielkie gniazdo roju szerszeni, w które wsadzono kij.

Mężczyźni, którzy dosiedli koni, gromadzili się w grupy gotowe w jednej chwili ruszyć mu na spotkanie, może go zabić. Nie spodziewał się, że wywoła tyle zamieszania, ani nie spodziewał się, że ci ludzie są tak prymitywni. Lecz było coś innego, co ciążyło mu, gdy zbliżał się do wioski, coś, co przesłoniło wszystko inne. Po raz pierwszy w życiu porucznik Dunbar poznał, jakie to uczucie być najeźdźcą. Było to uczucie, którego nie lubił i które miało wiele wspólnego z akcją, jaką następnie podjął. Ostatnią rzeczą, której pragnął, było uchodzić za najeźdźcę, i kiedy wyjechał na nagą ziemię polany u wejścia do wioski, gdy był już tak blisko, że poprzez podniesioną bieganiną zasłoną z kurzu mógł zajrzeć w ludzkie oczy, raz jeszcze ściągnął wodze i przystanął.

Potem zsiadł z konia i biorąc kobietę w ramiona, wystąpił dwa lub trzy kroki do przodu. Tam stanął nieruchomo z zamkniętymi oczami, trzymając ranną dziewczynę jak jakiś dziwny podróźny przynoszący dziwny dar.

Porucznik w napięciu nasłuchiwał, jak wioska na przeciąg kilku sekund osobliwie się uspokaja. Zasłona z kurzu zaczęła osiadać, a Dunbarowi słuch podpowiedział, że masa ludzka, która jeszcze przed chwilą podniosła tak straszliwe wycie, teraz pełźnie w jego stronę. W niesamowitej ciszy słyszał sporadyczny szczęk jakiejś części uzbrojenia, szuranie kroków, parskanie wierzgającego niecierpliwie i narowiącego się konia.

Otwarł oczy i ujrzał, że cała horda zgromadziła się u wejścia do wioski, z wojownikami i młodymi mężczyznami na przodzie, a kobietami i dziećmi z tyłu. To był dziki lud ze snu, odziany w skóry i kolorowe tkaniny, cała odrębna ludzka rasa, która wstrzymując oddech przyglądała mu się z odległości niecałych stu jardów.

Dziewczyna ciążyła mu w ramionach, a kiedy Dunbar zmienił pozycję, wśród tłumu podniósł się szmer i zaraz zamarł. Ale nikt nie ruszył mu na spotkanie.

Grupka starszych mężczyzn, na wygląd ważnych ludzi, zbiła się w gromadkę z dala od pozostałych, szeptając między sobą gardłowymi głoskami, tak obcymi dla ucha porucznika, że z trudem przypominało to rozmowę.

Podczas ciszy, która zapadła, porucznik pozwolił sobie na odwrócenie uwagi, a kiedy

spojrzał na garstkę około dziesięciu jeźdźców, oczy jego padły na znajomą twarz. To był ten sam człowiek, wojownik, który naszczeakał na niego tak srogo w dniu najazdu na Fort Sedgewick. Wiatr W Jego Włosach odpowiedział spojrzeniem tak natarczywym, że Dunbar niemal odwrócił się, żeby zobaczyć, czy nikt nie stoi mu za plecami.

Ramiona ciążyły mu jak z ołowiu i nie był pewien, czy kiedykolwiek jeszcze zdoła nimi poruszać, ale pod wpływem wciąż utkwionego w nim wzroku wojownika uniósł kobietę trochę wyżej, jakby chciał powiedzieć: „Tutaj... proszę, weź ją”.

Zbity z tropu tym nagłym, nieoczekiwanym gestem, wojownik zawahał się i rzucił szybkie spojrzenie po tłumie, najwidoczniej zastanawiając się, czy ta wymiana bez słów została jeszcze przez kogoś zauważona. Kiedy popatrzył po raz drugi, porucznik nadal wpatrywał się mu prosto w twarz, nie opuszczając rąk.

Westchnąwszy w duchu z ulgą porucznik Dunbar zobaczył, że Wiatr W Jego Włosach zeskoczył z kuca i ruszył przez polanę, wymachując trzymanym w ręce kamiennym toporem wojennym. Zbliżał się i jeśli wojownik w ogóle odczuwał jakiś strach, świetnie go maskował, bo twarz miał nieprzeniknioną i niezmaconą, z której przebijała, jak się wydawało, gotowość wymierzenia kary.

W zgromadzeniu zapadła cisza, gdy przestrzeń dzieląca nieruchomego porucznika Dunbara i Wiatr W Jego Włosach, który nadchodził szybkimi krokami, skurczyła się do zera. Było już za późno, by zatrzymać coś, co miało się wydarzyć. Wszyscy stali w bezruchu i patrzyli.

W obliczu tego, co się zbliżało, porucznik Dunbar nie mógł zachować się dzielnie. Stał w miejscu bez zmrużenia oka i twarz jego nie zdradzała bólu, nie było w niej także śladu strachu.

Kiedy Wiatr W Jego Włosach znalazł się w odległości kilku stóp i zwolnił kroku, porucznik odezwał się czystym, mocnym głosem:

- Ona jest ranna.

Przesunął trochę swoje brzemie, gdy wojownik wpatrywał się w twarz kobiety, i wtedy Dunbar zauważył, że ją rozpoznaje. I rzeczywiście, Wiatr W Jego Włosach był tak niekłamanie wstrząśnięty, że porucznikowi przez chwilę przemknęła przez głowę straszna myśl, że może umarła. Popatrzył na nią również.

W chwili gdy to robił, wyrwano mu ją z ramion. Jednym mocnym, pewnym szarpnięciem została wydarta z jego uścisku i zanim Dunbar się zorientował, wojownik wracał już z powrotem do wioski, wlokąc brutalnie za sobą Tę Która Stoi Z Pięścią, jakby to pies włócił szczenię. Idąc rzucił głośno coś, co wywołało u Komanczów zbiorowy okrzyk

zaskoczenia. Rzucili się naprzeciw niego.

Porucznik stał nieporuszony przed swoim koniem, a kiedy mieszkańcy wioski zawirowali wokół Wiatru W Jego Włosach, poczuł, że upada na duchu. To nie był jego lud. Nigdy ich nie będzie znał. Równie dobrze mógłby być o tysiąc mil stąd. Chciał być mały, dość mały, żeby wślizgnąć się do najmniejszej, najciemniejszej dziury.

Czego od tych ludzi oczekiwał? Pewnie myślał, że przybiegną i rzucą mu się w ramiona, będą do niego mówić w swoim języku, ugoszczą go kolacją, będą się śmiali z jego żartów, nie czekając nawet, aż się przedstawi. Jakże jest samotny. Jakże żaloszny był, żywiąc jakiegokolwiek nadzieje, porywając się na jazdę na te zakazane trawiska, snując tak szeroko zakrojone plany, że nie potrafił być uczciwy wobec siebie. Udało mu się oszukać siebie we wszystkim, oszukał siebie myśląc, że jest czymś, gdy w istocie nie był niczym.

Te straszliwe myśli przelatywały mu przez głowę jak burza chaotycznych iskier i tu, gdzie teraz stał, przed frontem tej dziewiczej wioski, nie miały żadnego znaczenia. Porucznik Dunbar chylił się pod naporem chorobliwego kryzysu osobowości. Jak masa kredy startej z tablicy jednym pociągnięciem gąbki, jego duch i nadzieja opuściły go w jednej chwili. Gdzieś na dnie duszy przykręcono knot i światło porucznika Dunbara zgasło.

Zapomniawszy o bożym świecie z wyjątkiem próżni, którą odczuwał, nieszczęsny porucznik wskoczył na Cisca, zawrócił go w miejscu i ruszył z powrotem drogą, którą przybył pełen animuszu. Stało się to tak dalece bez fanfar, że zajęci teraz Komańcze nie zdali sobie sprawy, że odjeżdża, zanim nie oddalił się na pewną odległość.

Dwóch kilkunastoletnich śmiałków ruszyło za nim, ale zostali powstrzymani przez trzeźwo myślących ludzi z najbliższego kręgu Dziesięciu Niedźwiedzi. Byli na tyle mądrzy, żeby wiedzieć, że zrobiono dobry uczynek, że biały żołnierz przywiózł z powrotem jedną z nich i że ruszając za nim w pościg, niczego się nie zyskuje.

4

Jazda powrotna była najdłuższą męczarnią w życiu porucznika Dunbara. Przez wiele mil jechał w oszołomieniu z umysłem targanym tysiącem ponurych myśli. Oparł się pokusie płaczu tak, jak człowiek powstrzymuje wymioty, ale politowanie dla samego siebie nękało go ustawicznie, fala za falą, i w końcu się załamał.

Osunął się w przód z opadniętymi ramionami, a łzy potoczyły się mu bezgłośnie z oczu. Ale kiedy zaczął pociągać nosem, szeroko otwarły się śluzy. Twarz wykrzywiła mu się groteskowo i zaczął pojękiwać z histeryczną rozpaczą. Pośród tych pierwszych spazmów złożył głowę na karku Cisca i podczas gdy pokonywał kolejne mile w zupełnej

nieświadomości, pozwolił swemu sercu krwawić do woli, szlochając żałośnie jak nie utulone dziecko.

5

Nawet nie zobaczył fortu. Kiedy Cisco się zatrzymał, porucznik podniósł wzrok i ujrzał, że stoją przed kwaterą. Uszły z niego wszystkie siły i przez parę sekund jedyna rzecz, którą był w stanie zrobić, to siedzieć w letargu na końskim grzbiecie. Gdy w końcu ponownie podniósł głowę, zobaczył Dwie Skarpety, który sterczał na swoim zwykłym miejscu na urwisku po drugiej stronie rzeki. Widok wilka, siedzącego cierpliwie jak królewski pies myśliwski, z tak łagodnie badawczym wyrazem pyska, sprawił, że gardło Dunbara ścisnęło nowy supel smutku. Ale brakło już łez.

Zsunął się z Cisca, wyciągnął mu z pyska mundsztuk i wtoczył się przez drzwi. Rzuciwszy uzdę na podłogę, opadł na posłanie, naciągnął na głowę koc i zwinął się w kłębek.

Mimo całego wyczerpania nie mógł zasnąć. Z jakiejś przyczyny nie przestawał myśleć o Dwóch Skarpetach, tak cierpliwie czekającym na zewnątrz. Nadludzkim wysiłkiem zwał się z łóżka, chwiejnym krokiem wyszedł w półmrok i zerknął na drugi brzeg rzeki.

Stary wilk nadal siedział na swoim miejscu, więc porucznik krokiem lunatyka udał się do magazynu i odciął z pościa gruby plaster boczku. Zaniósł mięso nad urwisko, gdzie Dwie Skarpety przyglądał mu się natarczywie, i upuścił je na porośniętą trawą ziemię koło szczytu urwiska. Potem, myśląc z każdym krokiem o spaniu, podrzucił Ciscowi trochę siana i wycofał się do swojej kwatery. Jak walący się na ziemię żołnierz runął na pryczę, naciągnął koc i zakrył sobie oczy.

Ukazała mu się kobieca twarz, dobrze mu znana twarz z dawnych czasów. Na jej wargach igrał nieśmiały uśmiech, a oczy lśniły blaskiem, który mógł pochodzić jedynie z serca. W trudnych chwilach zawsze przywoływał tę twarz, a ona pojawiała się, by przynieść mu ulgę. Za tą twarzą kryło się znacznie więcej, cała długa historia z nieszczęśliwym zakończeniem, ale porucznik Dunbar nie sięgał tak daleko. Sama twarz i jej cudowne spojrzenie były wszystkim, co chciał pamiętać i czego uporczywie się trzymał. Używał jej jak leku. Był to najsilniejszy znany mu środek uśmierzający. Nieczęsto myślał o tej kobiecie, ale nosił ze sobą jej twarz, sięgając po nią tylko wówczas, gdy bliski był znalezienia się na dnie.

Leżał nieruchomo na łóżku jak palacz opium i powoli obraz noszony w sercu zaczynał skutkować. Chrapał już, gdy weszła Wenus, otwierając paradę gwiazd na bezkresnym niebie nad prerią.

ROZDZIAŁ XIV

1

W parę minut po odjeździe białego człowieka Dziesięć Niedźwiedzi zwołał następną radę. Inaczej niż podczas ostatnich zebrań, które rozpoczynały się i kończyły zamętem, Dziesięć Niedźwiedzi tym razem dokładnie wiedział, czego chce. Był zdecydowany na pewien plan, zanim jeszcze ostatni z mężczyzn zajęli miejsca w jego wigwamie.

Biały żołnierz z zakrwawiona twarzą przywiózł z powrotem Tę Która Stoi Z Pięścią i Dziesięć Niedźwiedzi był przekonany, że ta niespodzianka była pomyślnym znakiem, którego należało się trzymać. Myśli o pojawieniu się białej rasy nękały go zbyt długo. Latami nie był w stanie dostrzec w ich przybyciu niczego dobrego. Ale rozpaczliwie pragnął. Dzisiaj w końcu ujrzał coś dobrego i postanowił teraz nie przepuścić tego, co uważał za wyśmienitą okazję.

Biały żołnierz wykazał się najwyższą brawurą, przyjeżdżając samotnie do obozu. I najwidoczniej przybył w jednym tylko zamiarze... nie żeby kraść, oszukiwać albo walczyć, lecz by zwrócić coś, co znalazł, coś, co do nich należało. Możliwe, że ten głos niebios był fałszywy, ale jedno pozostawało dla Dziesięciu Niedźwiedzi aż nadto jasne. Dla dobra wszystkich należało przepytac tego żołnierza. Człowiek, który tak postępował, najpewniej piastuje wśród białych wysokie stanowisko. Może nawet już ma wielkie znaczenie i wpływy. Z takim człowiekiem można by dojść do porozumienia. A bez porozumienia z pewnością przyjdą cierpienia i wojny. Tak więc Dziesięć Niedźwiedzi był pełen otuchy. Pierwsze kroki, których świadkiem był dzisiejszego popołudnia, chociaż było to tylko odosobnione wydarzenie, jawiły mu się jak światelko wśród nocy i gdy mężczyźni kolejno wchodzili do środka, przemyślał, jak tu najlepiej wprowadzić swój plan w życie.

Słuchając przedmów, a czasami dorzucając tu i ówdzie własny komentarz, Dziesięć Niedźwiedzi dokonywał w myślach przeglądu rzetelnych ludzi, próbując wybrać kogoś, kto najlepiej nadawałby się do realizacji jego pomysłu.

Dopiero kiedy przybył Wierzgający Ptak, którego zatrzymało czuwanie nad Tą Która Stoi Z Pięścią, stary człowiek zdał sobie sprawę, że nie jest to zadanie dla jednego człowieka. Powinien posłać dwóch ludzi. Gdy raz się na to zdecydował, szybko nasunęły mu się konkretne osoby. Powinien posłać Wierzgającego Ptaka z racji jego zmysłu obserwacyjnego i Wiatr W Jego Włosach z racji agresywnej natury. Charakter każdego z nich był reprezentatywny dla niego i jego ludu i doskonale się wzajemnie uzupełniali.

Dziesięć Niedźwiedzi narzucił radzie zwięzłość. Nie chciał rozwlekłych dyskusji,

które mogły prowadzić do niepodjęcia decyzji. We właściwym czasie wygłosił elokwentne, pięknie uzasadnione przemówienie, powołując się na liczne opowieści o przewadze liczebnej białych i o ich bogactwach, szczególnie zaś o zasobach karabinów i koni. Zakończył konkluzją, że człowiek w forcie jest z pewnością emisariuszem i że jego dobre uczynki powinny dać początek rozmowom, nie zaś walce.

Gdy skończył przemowę, zapadło długie milczenie. Wszyscy wiedzieli, że ma rację.

Wówczas przemówił Wiatr W Jego Włosach.

- Nie sędzę, żeby było słuszne, byś jechał i rozmawiał z tym białym człowiekiem - powiedział. - On nie jest bogiem, jest tylko jednym z białych ludzi, którzy zbłądzili po drodze. Maleńki błysk zamigotał w oczach starego człowieka, gdy wygłaszał odpowiedź.

- Ja nie pojedę. Ale powinni pojechać świetni mężowie. Mężowie, którzy potrafią pokazać, kim jest Komańcz.

W tym miejscu przerwał, zamykając oczy dla uzyskania dramatycznego efektu. Minęła minuta i niektórzy myśleli już, że zasnął. Ale w ostatniej sekundzie otworzył je szeroko i powiedział Wiatrowi W Jego Włosach:

- Ty powinieneś pojechać. Ty i Wierzgający Ptak.

Potem znów zamknął oczy i zdrzemnął się, kończąc naradę dokładnie w miejscu, w którym należało ją skończyć.

2

Tej nocy nadciągnęła pierwsza o tej porze roku wielka burza z piorunami, długi na wiele mil front maszerujący w takt głuchego huku piorunów i jaskrawych zakosów rozwidlonych błyskawic. Deszcz, który ze sobą przyniosła, siekł prerie ogromnymi, toczącymi się ścianami wody, zmuszając wszystko, co żyje, do szukania schronienia.

To zbudziło Tę Która Stoi Z Pięścią.

Deszcz bębnił o skórzane ściany wigwamu jak gasnąca kanonada z tysiąca strzelb i przez kilka chwil nie wiedziała, gdzie jest. Wewnątrz było światło i obróciła się na bok, żeby spojrzeć na małe ognisko, które wciąż buzoowało na środku wigwamu. Robiąc to, zawadziła dłonią o ranę na udzie i przypadkowo zahaczyła o coś obcego. Namacała ostrożnie i stwierdziła, że zszyto jej nogę.

Wówczas wszystko stanęło jej z powrotem przed oczami.

Sennie rozejrzała się po wigwamie, zastanawiając się, kto w nim mieszka. Wiedziała, że to nie jej własny.

Usta miała wysuszone na pieprz, więc wysunęła rękę spod przykrycia, żeby poszukać

po omacku. Pierwszą rzeczą, na którą natrafiły jej palce, była miseczka do połowy napełniona wodą. Podniosła się na ramieniu, pociągnęła kilka głębokich haustów i opadła z powrotem na plecy.

O wielu rzeczach chciała się dowiedzieć, ale ciężko jej było teraz myśleć. Pod derką było jej gorąco jak w upalne lato. Cienie ogniska tańczyły radośnie nad jej głową, deszcz nucił jej nad uchem swoją głośną kołysankę i czuła się bardzo słabo.

Może umieram, pomyślała, a powieki zaczęły jej opadać, przesłaniając ostatnie blaski ogniska. Tuż przed zaśnięciem powiedziała sobie: To nie takie straszne.

Lecz Ta Która Stoi Z Pięścią nie umierała. Wracała do zdrowia, a to, co przecierpiała, gdy ustąpi, uczyni ją silniejszą niż kiedykolwiek.

Dobre rzeczy narodzą się ze złych. W istocie już się zaczęły dobre rzeczy. Leżała w dobrym miejscu, miejscu, które na długo stanie się jej domem.

Leżała w wigwamie Wierzgającego Ptaka.

3

Porucznik Dunbar spał jak zabity, jedynie mgliście zdając sobie sprawę ze spektakularnego widowiska na niebie. Deszcz godzinami pastwił się nad chatą z darni, ale on czuł się tak przytulnie i bezpiecznie pod stertą wojskowych koców, że nie zorientowałby się nawet, gdyby nadszedł czas Apokalipsy.

Nawet nie drgnął i było już dobrze po wschodzie słońca, a burza dawno już minęła, gdy uporczywy śpiew skowronka przywrócił w końcu go do rzeczywistości. Deszcz odświeżył każdy cal kwadratowy prerii i słodycz jej woni uderzyła go w nozdrza, zanim jeszcze otworzył oczy. Za pierwszym mrugnięciem powiek zdał sobie sprawę, że leży na plecach, a kiedy otworzył je szeroko, patrzył ponad palcami u nóg prosto na wejście do chaty.

Nagle błyskawicznym ruchem coś niskiego i włochatego mignęło w drzwiach. Porucznik usiadł, mrugając oczami. W chwilę potem odrzucił na bok koce i niepewnie podszedł na palcach do drzwi. Nie wychodząc na zewnątrz, wyjrzał jednym okiem zza framugi.

Dwie Skarpety wybiegł właśnie spod zadaszenia i kręcił się w kółko, zanim usiadł w słońcu na podwórzu. Zobaczył porucznika i zeszytniał. Przez kilka sekund wpatrywali się w siebie. Wtedy porucznik przetarł oczy z resztek snu, a kiedy opuścił dłonie, Dwie Skarpety przywarował z pyskiem przy ziemi między wyciągniętymi do przodu łapami, jak wierny pies oczekujący swego pana.

Cisco zarżał przenikliwie w zagrodzie, a porucznik natychmiast szarpnął głową w

tamtym kierunku. Kątem oka pochwycił równocześnie błyskawiczny ruch i obrócił się na tyle szybko, żeby dojrzeć, jak Dwie Skarpety galopem znika za urwiskiem z pola widzenia. Później, gdy ponownie zwrócił oczy ku zagrodzie, zobaczył ich.

Siedzieli na kucach, nie dalej niż sto jardów od niego. Nie liczył dokładnie, ale było ich ośmiu.

Dwóch nagle ruszyło do przodu. Dunbar ani drgnął, ale w przeciwieństwie do poprzednich spotkań, stał w miejscu odprężony. Było coś w sposobie, w jaki nadjeżdżali. Kuce stapały mozolnie ze zwieszonymi łbami, a oni jechali mozolnie jak fornale wracający do domu po długim, powszednim dniu.

Porucznik był pełen niepokoju, lecz jego niepokój mało miał wspólnego z życiem lub śmiercią.

Zastanawiał się, co im powie i jak uda mu się przekazać im pierwsze słowa.

4

Wierzgający Ptak i Wiatr W Jego Włosach zastanawiali się dokładnie nad tym samym. Biały żołnierz był bardziej odmienny niż cokolwiek, z czym dotychczas się spotkali, i żaden z nich nie wiedział, czym to się wszystko skończy. Widok wciąż powalanej krwią twarzy żołnierza nie nastrajał ich wcale lepiej do spotkania, które za moment miało się rozpocząć. Co do roli jednakże, jaką spełniali, różnili się między sobą. Wiatr W Jego Włosach jechał przodem jako wojownik, walczący Komańcz. Wierzgający Ptak miał o wiele więcej z męża stanu. To był ważny moment w jego życiu, w życiu hordy, w życiu całego plemienia. Dla Wierzgającego Ptaka rozpoczynała się nowa przyszłość, a on był w środku historii.

5

Gdy twarze ich przybliżyły się na tyle, że można je było rozróżnić, Dunbar w jednej chwili rozpoznał wojownika, który odebrał z jego rąk kobietę. W drugim mężczyźnie też było coś znajomego, ale nie potrafił go umiejscowić. Nie miał na to czasu.

Zatrzymali się dwanaście stóp przed nim.

W blaskach słońca wszyscy wyglądali na ożywionych, promiennych. Wiatr W Jego Włosach nosił kościany napierśnik, a na szyi Wierzgającego Ptaka wisiał duży metalowy medalion. Rzeczy te połyskiwały w świetle. Nawet w ich ciemnobrązowych oczach były skry, a lśniące czarne włosy obydwu mężczyzn migotały w promieniach słonecznych.

Mimo że porucznik Dunbar dopiero przed chwilą się obudził, i w nim także był jakiś połysk, chociaż o wiele bledszy niż u jego gości.

Jego wewnętrzny kryzys już minął, pozostawiając go takim, jak burza zeszłej nocy

pozostawiła prerię: świeżym i pełnym wigoru.

Porucznik Dunbar pochylił się do przodu w czymś, co miało być rodzajem ukłonu, i przytknął rękę do głowy, salutując powoli i z namysłem. W chwilę potem Wierzgający Ptak odpowiedział na to powitanie dziwnym ruchem ręki, obracając ją dłonią do góry.

Porucznik nie wiedział, co to oznacza, ale słusznie zinterpretował to jako gest przyjazny. Rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, że nadal wszystko jeszcze stoi na swoim miejscu, i powiedział: - Witajcie w Fort Sedgewick.

Co miały znaczyć te słowa, było całkowitą zagadką dla Wierzgającego Ptaka, lecz podobnie jak przedtem porucznik Dunbar, wziął je za rodzaj pozdrowienia.

- Przybyliśmy z obozu Dziesięciu Niedźwiedzi na pokojowe rozmowy - rzekł ściągając na siebie puste, nie rozumiejące spojrzenie porucznika.

Skoro już okazało się, że nikt nie będzie w stanie prowadzić konwersacji, po obu stronach zapadło milczenie. Wiatr W Jego Włosach skorzystał z ciszy, by przypatrzeć się szczegółom zabudowań białego człowieka. Długo i badawczo przyglądał się zadaszeniu, które zaczynało falować na wietrze.

Wierzgający Ptak siedział beznamiętnie na swoim kucu, podczas gdy sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Dunbar tupnął czubkiem buta w ziemię i potarł się po podbródku. W miarę jak czas uciekał, robił się coraz bardziej nerwowy i w zdenerwowaniu przypomniał sobie o porannej kawie, której nie zdążył wypić, i o tym, jak bardzo pragnął choćby jednego kubka. Chciało mu się także palić.

- Kawy? - spytał Wierzgającego Ptaka.

Czarownik przekrzywił głowę z zaciekawieniem.

- Kawy? - powtórzył porucznik. Zwinął dłonie na kształt kubka i zrobił gest picia. - Kawy? - znów zapytał. - Pić?

Wierzgający Ptak tylko wpatrywał się w porucznika. Wiatr W Jego Włosach zadał jakieś pytanie, a Wierzgający Ptak odpowiedział. Obaj omijali spojrzeniem swego gospodarza. Po chwili, która Dunbarowi wydawała się wiecznością, Wierzgający Ptak skinął w końcu głową przyzwalająco.

- Dobrze, dobrze - powiedział porucznik, klepiąc się po udzie. - Chodźcie więc. - Gestem nakazał im zsiąść z koni i dał znak, żeby szli za nim, a sam udał się pod zadaszenie.

Komańcze podążyli za nim ostrożnie. Wszystko, na co padał ich wzrok, miało posmak tajemnicy, a porucznik robił z siebie pajaca, panikując jak człowiek, którego goście zaskoczyli w trakcie przygotowań, przyjeżdżając o godzinę za wcześnie.

Na palenisku nie było ognia, ale na szczęście złożył tam dość suchego drewna, żeby

naparzyć kawy. Przycupnął przy stosie bierwion i zaczął rozpalać ognisko.

- Siadajcie - rzekł. - Proszę.

Ale Indianie nie zrozumieli i musiał im powtórzyć, odgrywając przy tym pantomimicznie czynność siadania.

Kiedy już siedzieli, popędził do chaty z zapasami i wrócił niemal równie szybko, niosąc pięcioletni worek ziarnistej kawy i młynek. Rozpaliwszy ognisko, porucznik Dunbar nasypał ziaren przez wycięcie w lejku młynka i zaczął kręcić korbką.

Zobaczył, że w miarę, jak ziarna znikają z metalowego stożka młynka, Wierzgający Ptak i Wiatr W Jego Włosach pochylają się z ciekawością. Nie zdawał sobie sprawy, że coś tak zwyczajnego jak młynek do kawy może być magią. Ale dla Wierzgającego Ptaka i Wiatru W Jego Włosach był magią. Żaden z nich nigdy nie widział młynka do kawy.

Porucznik Dunbar był przejęty ludzkim towarzystwem po tak długim czasie i pragnął, żeby jego goście chwilę zostali, więc wydusił z operacji mielenia kawy wszystko, co się dało. Przerwawszy ją raptownie, przesunął maszynkę parę stóp bliżej Indian, dając im lepszy wgląd w proces mielenia. Kręcił korbką powoli, pozwalając im się przyglądać, jak znikają ziarenka, a kiedy zostało tylko kilka na dnie, zakończył ozdobnikiem, kręcąc z dzikim, teatralnym zacięciem. Potem przerwał z dramatycznym efektem magika, zostawiając publice czas na reakcję.

Wierzgający Ptak był zaintrygowany samą maszyną. Przesunął lekko końcami palców po gładkich drewnianych ściankach młynka. Zgodnie ze swoją naturą Wiatr W Jego Włosach uznał miażdżącą maszynę za nader interesującą. Wsadził długi ciemny paluch do lejka i obmacał otwór w dnie w nadziei, że dowie się, co stało się z ziarenkami.

Był już czas na finał i Dunbar przerwał te dociekania, unosząc rękę. Obracając maszynką, przekręcił w palcach małą gałkę na dnie. Indianie nachylili głowy, zaciekawieni jak nigdy.

Wyczekawszy możliwie do ostatniego momentu, gestem, jakim można by odsłaniać jakiś bajeczny klejnot, porucznik Dunbar, otwierając szeroko oczy i uśmiechając się, raptem wydobyl szufladkę napelnioną swiezym, czarnym kawowym proszkiem.

Obaj Komańcze byli pod silnym wrazeniem. Każdy wziął małą szczyptę zmielonych ziaren i powachał. Potem już siedzieli spokojnie, podczas gdy gospodarz zawiesił imbryk nad ogniskiem i nastawił wodę do zagotowania, czekając na dalszy rozwój wypadków.

Dunbar podał kawę, wręczając każdemu z gości parujący, czarny kubek. Mężczyźni poczekali, aż aromat dojdzie do ich nozdrzy, i wymienili doświadczone spojrzenia. To pachniało jak dobra kawa, o wiele lepsza niż to, co rabowali od tyłu lat Meksykanom. O wiele

mocniejsza.

Dunbar patrzył wyczekująco, gdy zaczęli siorbać, i był zaskoczony, że się skrzywili. Coś było nie w porządku. Obaj równocześnie powiedzieli kilka słów, chyba o coś pytali.

Porucznik potrząsnął głową. - Nie rozumiem - powiedział wzruszając ramionami.

Indianie naradzali się krótko, ale bez wyraźnych efektów. Wówczas Wierzgający Ptak wpadł na pomysł. Zwinął dłoń w pięść, przytrzymał ją nad kubkiem, a potem rozwarł dłoń, jakby upuszczał coś do kawy. Potem uda wał, że miesza patyczkiem to, co wrzucił.

Porucznik Dunbar powiedział coś, czego nie zrozumie li, a potem Wierzgający Ptak patrzył, jak biały człowiek zrywa się, idzie do niedbale skleconej ziemianki, wraca z innym workiem i puszcza go w obieg wokół ogniska.

Wierzgający Ptak zajrzał do środka, pochrząkując, gdy zobaczył brązowe kryształki.

Porucznik Dunbar spostrzegł, że na twarzach Indian błąka się uśmiech, i wiedział już, że odgadł właściwie. Właśnie cukru chcieli.

6

Szczególnie Wierzgającego Ptaka ośmielił entuzjazm białego żołnierza. Chciał prowadzić rozmowy, a kiedy się przedstawiali, Por Rucz NIK spytał ich kilkakrotnie o imiona, zanim zaczął zwracać się do nich bezpośrednio. Biały człowiek wyglądał dziwnie i robił dziwne rzeczy, ale słuchał z zapalem i chyba były w nim duże pokłady energii. Może dlatego, że Wierzgający Ptak był tak wielkim zwolennikiem pokoju, wielce cenił siłę i energię u innych.

Mówił więcej, niż Wierzgający Ptak przywykł słuchać. Kiedy o tym myślał, odnosił wrażenie, że biały człowiek przez cały czas nie przestaje mówić.

Ale był zabawny. Odańczył dziwne tańce i robił dziwne znaki rękami i twarzą. Zrobił nawet parę min, które rozśmieszyły Wiatr W Jego Włosach, a to nie było łatwe.

Niezależnie od ogólnego wrażenia, Wierzgający Ptak dowiedział się paru rzeczy. Por Rucz Nik nie może być bogiem. Jest na to o wiele za ludzki. I jest sam. Nikt inny tu nie mieszka. Ale nie dowiedział się, dlaczego jest sam. Ani nie dowiedział się, czy ma nadejść więcej białych ludzi i jakie mają plany. Wierzgający Ptak z niecierpliwością czekał odpowiedzi na te pytania.

Wiatr W Jego Włosach był na przodzie. Jechali gęsiego szlakiem wijącym się poprzez topolowy zagajnik nad rzeką.

Słychać było tylko gąbczasty plusk końskich kopyt na mokrym piasku i zastanawiał się, o czym też to myśli Wiatr W Jego Włosach. Nie porównali jeszcze swoich obserwacji ze

spotkania. To go trochę niepokoiło.

Wierzgający Ptak niepotrzebnie się martwił, bo Wiatr W Jego Włosach odniósł również korzystne wrażenie. I to pomimo faktu, że myśl o zabiciu białego żołnierza wielokrotnie przychodziła mu do głowy. Długo czasu myślał, że biali ludzie tylko niepotrzebnie drażnią, są jak kojoty zlatujące się do mięsa. Ale niejednym razem ten biały żołnierz wykazał się zuchwałością. Był także przyjazny. I zabawny. Bardzo zabawny.

Wierzgający Ptak spojrzał na dwa worki, z kawą i z cukrem, zwisające u boków konia, i nasunęła mu się myśl, że właściwie lubi białego żołnierza. To była dziwna myśl i musiał się nad tym zastanowić.

A jeśli naprawdę go lubię, to co? - pomyślał w końcu czarownik.

Posłyszał zduszony śmiech. Dolatywał chyba od Wiatru W Jego Włosach. Znowu rozległ się głośny śmiech i groźny wojownik odwrócił się na kucu, odzywając się przez ramię:

- To było zabawne - wykrztusił - kiedy biały człowiek zrobił z siebie bizona.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się z powrotem przodem do kierunku jazdy. Lecz Wierzgający Ptak widział, jak ramiona Wiatru W Jego Włosach podskakują w takt stłumionych chichotów.

To było zabawne. Por Rucz Nik chodził na kolanach, a z głowy wyrastały mu ręce zamiast rogów. I ten koc, ten koc upchany pod koszulą jako garb.

Nie, Wierzgający Ptak uśmiechnął się pod nosem, nie ma nic dziwniejszego niż biały człowiek.

7

Porucznik Dunbar rozłożył na prycy ciężką derę i zachwycił się nią.

Nigdy nie widziałem bizona, pomyślał z dumą, a mam już derę z bizoniej skóry.

Potem usiadł z nabożeństwem na skraju łóżka, opadł na plecy i przesunął dłońmi po miękkiej grubej skórze. Uniósł jeden ze zwisających z prycy końców i przyjrzał się wyprawie. Przytknął twarz do futra i rozkoszował się dziką wonią.

Jak szybko to się zmienia. Jeszcze przed paroma godzinami był wstrząśnięty aż do głębi, a teraz miał wrażenie, że fruwa.

Zmarszczył lekko brwi. Czasami jego zachowanie, na przykład ta sprawa z bizonem, może być na granicy przyzwoitości. I chyba sam gadał przez większą część czasu, może zbyt dużo. Ale to były tylko drobne wątpliwości. Kiedy przypominał sobie swoją wielką derę, nie pozostawało mu nic, jak tylko czuć przypływ otuchy z powodu tego pierwszego prawdziwego

spotkania.

Podobali mu się obaj Indianie. Najbardziej podobał mu się ten z gładkimi, pełnymi dostojeństwa manierami. Była w nim jakaś siła, było coś pociągającego w jego łagodnym, cierpliwym charakterze. Był spokojny, ale mężny. Drugi, ten w gorącej wodzie kapany, który wziął dziewczynę z jego ramion, z pewnością nie był kimś, kto dałby się wystrychnąć na dudka. Ale był fascynujący.

I ta dera. Dali mu ją. Ta dera to było naprawdę coś. Porucznik przywoływał kolejne wspomnienia, odpoczywając na pięknej pamiętce, którą dostał. Przy tylu nowych myślach, które przelatywały mu przez głowę, nie miał czasu ani chęci dogrzebywać się prawdziwej przyczyny swojej euforii.

Dobrze spożytkował czas samotności, czas dzielony jedynie z koniem i wilkiem. Odwalił kawał dobrej roboty przy forcie. To był punkt dla niego. Ale czekanie i zamartwianie się przywarło do niego jak smar do załamów skóry, a ciężar tego balastu był nielekki.

Teraz ustąpił, zdjęty przez dwóch prymitywnych ludzi, których językiem nie mówił, których upodobań nie znał i których całokształt życia był dla niego obcy.

Przychodząc, nieświadomie wyświadczyli mu wielką przysługę. Korzeni euforii porucznika Dunbara można by się doszukiwać w oswobodzeniu. Oswobodzeniu od siebie samego.

Już nie był sam.

ROZDZIAŁ XV

1

17 maja, 1863

Przez wiele dni niczego nie zapisałem w dzienniku. Tak wiele się wydarzyło, że nieomal nie wiem, od czego zacząć.

Jak dotąd Indianie przybywali z wizytą trzykrotnie i nie mam wątpliwości, że wizyt będzie więcej. Zawsze ci sami dwaj z eskortą sześciu czy siedmiu innych wojowników. (Zdumiewa mnie, że wszyscy ci ludzie są wojownikami. Jak dotąd nie spotkałem mężczyzny, który by nim nie był.)

Nasze spotkania były wysoce przyjazne, choć na zawadzie stała wielce bariera językowa. Wszystko, czegom się do dziś dowiedział, jest tak nikłym w porównaniu z tym, co mógłbym wiedzieć. Wciąż nie wiem, jakim są rodzajem Indian, lecz podejrzewam, że to Komańcze.

Odnoszę wrażenie, że po kilkakroć słyszałem słowo brzmiące jak Komańcze.

Znam imiona moich gości, ale wciąż nie umiem ich zapisać. Odkryłem w nich przyjemnych i interesujących ludzi. Różni są jak noc i dzień. Jeden jest nadto zapalczywy i bez wątpienia to przedni wojownik. Jego fizyczna postura (a jest to coś, co warto zobaczyć) i jego posępne, podejrzliwe usposobienie sprawiają, iż w walce musi być straszliwy. Mam szczerą nadzieję, że nigdy nie będę musiał się z nim zmierzyć, gdyby bowiem do tego doszło, znalazłbym się w ciężkich opałach. Ten osobnik, którego mimo blisko osadzonych oczu nazwać by trzeba przystojnym, wielce zazdrości mi mojego konia i nigdy nie przepuści okazji wyciągnięcia mnie na rozmowę o Ciscu. Rozmawiamy na migi, rodzajem pantomimy, w której obaj Indianie zaczynają się połapywać. Lecz idzie to bardzo powoli i więcej wspólnych ustaleń zawdzięczamy potknięciom niż sukcesom w porozumiewaniu się.

Ten zuchwały wsypuje do kawy nieprawdopodobne ilości cukru. Nie potrwa długo, jak skończy się zapas. Na szczęście ja nie słodzę. Aha! Ten zuchwały (jak go nazywam) da się lubić pomimo małomównej natury; jest trochę w typie króla ulicznych zabijaków, który z racji fizycznej dzielności napawa szacunkiem. Szanuję go w ten właśnie sposób, jako że sam czas jakiś spędziłem na ulicach.

Poza tym jest w nim jakaś surowa prawość i dobroć intencji, które mi się podobają.

Jest osobą bezpośrednią.

Drugiego mężczyznę nazywam spokojnym i lubię go ogromnie. W odróżnieniu od zuchwałego, jest cierpliwy i dociekliwy.

Sądę, że jest równie jak ja zawiedziony trudnościami językowymi. Nauczył mnie kilku słów ich mowy, a ja to samo uczyniłem z nim. Znam słowa Komanczów oznaczające głowę, rękę, konia, ogień, kawę, dom i kilka innych, a także witaj i do widzenia. Jednakże nie dosyć wiem, by zbudować zdanie. Wiele czasu zabiera właściwe uchwycenie dźwięków. Nie mam wątpliwości, że jest to równie trudne dla niego.

Ten spokojny nazywa mnie Por Rucz Nik i z jakiejś przyczyny nie używa Dunbar. Jestem pewien, że nie przez zapomnienie (przypominałem mu wiele razy), więc przyczyna musi być inna. Z pewnością pobrzmiwa to znacząco... Por Rucz Nik.

Uderza mnie jego pierwszorzędną inteligencją. Słucha pilnie i wszystko, zdaje się, zauważa. Każdy powiew wiatru, każdy nieoczekiwany krzyk ptaka może równie dobrze przyciągnąć jego uwagę jak coś o wiele bardziej dramatycznego. Bez języka jestem skazany na odczytywanie jego reakcji za pomocą zmysłów, lecz wszystko wskazuje na to, że jest do mnie życzliwie nastawiony. Zdarzył się incydent z Dwoma Skarpetami, który jest trafną tego ilustracją. Stało się to pod koniec jednej z ostatnich wizyt. Wypiliśmy znaczną ilość kawy i właśnie wprowadzałem ich w cudowny świat plastrów bekonu. Ten spokojny nagle zauważył na urwisku po drugiej stronie rzeki Dwie Skarpety. Powiedział parę słów do zuchwałego i obaj zaczęli wpatrywać się w wilka. Pragnąc pokazać im, co wiem o Dwóch Skarpetach, wziąłem do ręki nóż i bekon i poszedłem na skraj urwiska po naszej stronie rzeki.

Zuchwały zajęty był sypaniem cukru do kawy i kosztowaniem bekonu, toteż przyglądał się ze swojego miejsca. Ale spokojny wstał i poszedł za mną. Zazwyczaj zostawiam skrawki dla Dwóch Skarpet po swojej stronie rzeki, ale gdy odciąłem jego porcję, coś mnie podkusiło i cisnąłem ją na drugi brzeg. To był dobry rzut i wylądowała zaledwie o kilka stóp od Dwóch Skarpet. On jednak siedział tylko i przez jakiś czas myślałem, że nie zrobi nic. Ale niech mnie dunder świśnie, jeśli nie podszedł, nie obwąchał bekonu, a potem nie porwał go. Nigdy przedtem nie widziałem, jak zabiera mięso, i odczuwałem coś w rodzaju dumy z niego, gdy odbiegał truchtem ze swoją zdobyczą.

Dla mnie było to jedynie pomyślne zdarzenie i nic więcej. Lecz spokojny wydawał się nawet nadmiernie poruszony tym widowiskiem. Kiedy odwróciłem się do niego, jego twarz robiła wrażenie jeszcze spokojniejszej niż zazwyczaj. Kiwnął do mnie kilkakroć głową przytakująco, potem podszedł i położył mi rękę na ramieniu, jakby to pochwalał.

Wróciwszy do ogniska, wykonał całą serię gestów, które w końcu udało mi się odczytać jako zaproszenie do złożenia następnego dnia wizyty w jego domu. Chętnie na to przystałem i wkrótce potem wyjechali.

Niemożliwą rzeczą jest dać pełny obraz moich wrażeń wyniesionych z obozu

Komanczów. Jeśli miałyby tak być, musiałbym pisać w nieskończoność. Ale spróbuję dać krótki szkic w nadziei, że moje spostrzeżenia okażą się w pewnej mierze przydatne w przyszłych stosunkach z tymi ludźmi. O milę od obozu wyszła mi na spotkanie niewielka delegacja ze spokojnym na czele. Bezzwłocznie podążyliśmy do wioski. Ludzie na spotkanie z nami przywdziali najlepszą garderobę. Barwa i piękno tych kostiumów to coś, co warto zobaczyć. Byli dziwnie onieśmieleni i muszę to przyznać, że mną było nie inaczej. Kilkoro małych dzieci wyłamało się ze szpaleru i podbiegło, by mnie obmacać rękami po nogach. Wszyscy pozostali trzymali się w słusznej odległości.

Zsiedliśmy z koni przed jednym ze stożkowatych domów i wówczas nastąpił krótki moment zawahania, gdy mniej więcej dwunastoletni chłopiec podbiegł i usiłował odprowadzić Cisca. Na krótko wstąpiliśmy na ścieżkę wojenną, wyrywając sobie wodze, lecz wmieszał się spokojny. Ponownie położył mi dłoń na ramieniu, a spojrzenie jego oczu podpowiedziało mi, że nie mam się czego obawiać. Pozwoliłem chłopcu odprowadzić Cisca. Wydawał się tym zachwycony.

Wtedy spokojny wprowadził mnie do swej siedziby. Miejsce to było ciemne, lecz nie przygnębiające. Pachniało dymem i mięsem. (Cała wioska ma odmienny zapach, który nie jest mi niemiły. Najbliżej, jak potrafię go opisać, to zapach dzikiego życia.) Wewnątrz były dwie kobiety i kilkoro dzieci. Spokojny zaprosił mnie, bym usiadł, a kobiety przyniosły miseczki z pożywieniem. Zaraz potem wszyscy zniknęli, pozostawiając nas samych.

Przez jakiś czas jedliśmy w milczeniu. Myślałem, czyby nie rozpytać o dziewczynę, którą znalazłem na prerii. Nie widziałem jej od tamtej pory i czy żyje jeszcze, nie wiedziałem. (I nie wiem wciąż jeszcze.) Lecz biorąc pod uwagę nasze ograniczenia, temat wydał mi się nazbyt skomplikowany, rozmawialiśmy więc jak umieliśmy o jedzeniu (rodzaj słodkiego mięsa, które zda mi się wyśmienitym.)

Kiedy skończyliśmy, skrzyłem sobie papierosa i ćmiłem go, podczas gdy spokojny siedział naprzeciw mnie. Jego uwaga nieustannie zwracała się ku wejściu. Nabrałem pewności, że czekamy na kogoś lub na coś. Mój domysł był słuszny, albowiem niedługo potem skórzana zasłona rozchyliła się i zjawiono się dwóch Indian. Powiedzieli coś do spokojnego, ten zaś natychmiast wstał, gestem nakazując mi podążyć za sobą.

Na zewnątrz oczekiwał nas znaczny tłum gapiów i jakoś przepchano mnie przez ludzką cizbę, gdy brnęliśmy opodal kilku innych domów, by zatrzymać się w końcu przed jednym, ozdobionym wielkim jednobarwnym niedźwiedziem. Tutaj zostałem delikatnie wepchnięty do środka przez spokojnego.

Było tam pięciu mężczyzn siedzących nieregularnym kręgiem wokół zwyczajowego

paleniska, lecz spojrzenie moje padło natychmiast na najstarszego spośród nich. Był to potężnie zbudowany mężczyzna, którego omocnił na ponad sześćdziesiąt lat, choć nawet na pierwszy rzut oka widać było, że wciąż jest sprawny. Nosił skórzaną koszulę przyozdobioną aplikacjami z paciorków o wymyślnej piękności, a rysunku precyzyjnym i barwnym. Do pukla siwiejących włosów przypięty miał pazur, który, jak oceniłem po wizerunku na zewnątrz, niegdyś należał do niedźwiedzia. Z rękawów koszuli co kawałek zwisały włosy i zrozumiałem, że muszą to być skalpy. Jeden z nich był jasnokasztanowy. To budziło mój niepokój.

Lecz cechą ze wszystkich najbardziej uderzającą była jego twarz. Nigdy podobnej twarzy nie oglądał. Oczy były blaskiem niby w gorączce. Kości policzkowe miał nad wyraz wysokie i krągłe, a nos zakrzywiony jak dziób. Podbródek miał bardzo kanciasty. Bruzdy przecinały skórę jego twarzy w takiej obfitości, że nazwać je zmarszczkami znaczyłoby nie oddać rzeczywistości. Jedna strona czoła nosiła wyraźną wklęsłość, prawdopodobnie rezultat jakiejś zadawnionej bitewnej rany.

Wszystko to razem składało się na pyszny wizerunek sędziwej mądrości i siły. A przecież mimo to podczas mego krótkiego tam pobytu ani na moment nie poczułem lęku. Wydaje się oczywiste, że to ja byłem przyczyną tej konferencji. Byłem też pewien, że przyprawiono mnie w tym jednym celu, by starzec mógł przyjrzeć mi się z bliska.

Pojawiła się fajka i mężczyźni zaczęli ją palić. Miała długi cybuch, a tytoń był tęgą, rodzimą mieszanką, o ile mogę to stwierdzić, bowiem mnie jednego wykluczono z ceremonii palenia.

Pragnąłem wyrzucić dobre wrażenie i sam marząc o papierosie, wyjąłem kapciuch i zaferowałem go starcowi. Spokojny rzekł coś do niego i wódz sięgnął poń sękatą dłonią i wziął woreczek i bibułki. Starannie przyjrzał się tym przedmiotom. Potem spojrzął na mnie surowo spod ciężkich powiek oczami o dość okrutnym wejrzeniu i zwrócił mi kapciuch z powrotem. Nie wiedząc, czy moja oferta została przyjęta, skrzyłem sobie tak czy inaczej papierosa. Gdy byłem tym zajęty, starzec wykazał zainteresowanie.

Podsunałem mu papierosa i wziął go. Spokojny znowu coś powiedział i starzec wręczył mi go z powrotem. Na migi spokojny poprosił mnie, bym zapalił, i przystałem na jego życzenie.

Na oczach wszystkich zapaliłem, zaciągnąłem się i wypuściłem dym. Zanim zdołałem to powtórzyć, starzec wyciągnął rękę. Podałem mu go. Z początku spoglądał na niego z pewną obawą, potem zaciągnął się jak ja przedtem. I podobnie jak ja przedtem wydmuchał kłęb dymu. Potem przysunął papierosa blisko twarzy.

Ku mojemu żalowi zaczął go szybko obracać w palcach tam i z powrotem. Żar wypadł, a tytoń się rozsypał. Pustą bibułkę zmiął w kulkę i niedbale cisnął do ogniska.

Powoli zaczął się uśmiechać i wkrótce wszyscy mężczyźni wokół ogniska śmiali się.

Być może zostałem znieważony, lecz ich dobry humor był tego rodzaju, że szybko zatarł w sobie tę skazę.

Następnie zawiedziono mnie do konia i odwieziono pod eskortą na około milę od wioski, gdzie spokojny rzucił mi zwięzłe do widzenia.

Oto zasadnicze wspomnienie z mej pierwszej wizyty w indiańskim obozie. Nie wiem, co teraz sobie myślą.

Przyjemnie było znów zobaczyć Fort Sedgewick. To mój dom. A przecież wyczekuję następnej wizyty u moich „sąsiadów”.

Kiedy spoglądam na horyzont po wschodniej stronie, rzadko kiedy nie zastanawiam się, czy nie nadciąga aby stamtąd wojskowa kolumna. Mogę mieć jedynie nadzieję, że moje tu czuwanie i moje „negocjacje” z dzikim preriowym ludem przyniosą do tego czasu owoce.

Por. John J. Dunbar, USA

ROZDZIAŁ XVI

1

W kilka godzin po pierwszej wizycie porucznika Dunbara w wiosce Wierzgający Ptak i Dziesięć Niedźwiedzi odbyli rozmowy na wysokim szczyblu. Były krótkie i na temat.

Dziesięciu Niedźwiedziom spodobał się porucznik Dunbar. Spodobało mu się spojrzenie jego oczu, a Dziesięć Niedźwiedzi przywiązywał wielką wagę do tego, co widział w ludzkich oczach. Spodobał mu się także sposób bycia porucznika. Był skromny i uprzejmy, a Dziesięć Niedźwiedzi wielce sobie cenili te cechy. Sprawa z papierosem była zabawna. Urażało logice, jak można palić coś tak niematerialnego, ale nie brał tego za złe porucznikowi Dunbarowi i zgodził się z Wierzgającym Ptakiem, że biały człowiek, jako źródło informacji wywiadowczych, wart jest poznania.

Stary wódz milcząco wyraził zgodę na pomysł Wierzgającego Ptaka dotyczący przełamania bariery językowej. Ale pod pewnymi warunkami. Wierzgający Ptak będzie musiał zaaranżować swoje posunięcia nieoficjalnie. Za Por Rucz Nika będzie odpowiadał on, i tylko on. Już krążyła pogłoska, że być może biały człowiek jest odpowiedzialny za niedostatek zwierzyny. Nikt nie mógł przewidzieć, jak ludzie odniosą się do białego żołnierza, jeśli będzie ponawiał odwiedziny w wiosce. Ludzie mogą zwrócić się przeciw niemu. A całkiem możliwe, że ktoś go zabije.

Wierzgający Ptak przyjął warunki, zapewniając Dziesięć Niedźwiedzi, że zrobi wszystko co w jego mocy, by przeprowadzić plan w pokojowy sposób. To postanowiwszy, podjęli ważniejszy temat.

Bizony nadciągały z opóźnieniem.

Zwiadowcy całymi dniami przemierzali prerię wzdłuż i wszerz, lecz jak dotąd zauważyli tylko jednego bizona. Był to podstarzały samotnik oderwany od stada przez dużą watahę wilków. Nie warto zabierać jego ścierwa na mięso.

Morale hordy gwałtownie spadało, w miarę jak szczyptały zapasy żywności, i nie upływie wiele dni, a braki staną się drastyczne. Żywili się mięsem miejscowych jeleni, lecz to źródło szybko uległo wyczerpaniu. Jeśli prędko nie nadciągną bizony, obietnica obfitego lata wkrótce rozbije się o płacz dzieci.

Obaj mężczyźni zdecydowali, że oprócz wysłania większej liczby zwiadowców pilnie trzeba tańca. Powinien on trwać przez okres tygodnia.

Wierzgający Ptak będzie odpowiedzialny za przygotowania.

To był dziwny tydzień, tydzień, w którym czas czarownika uległ pomieszaniu. Gdy potrzebował czasu, godziny ulatywały, a gdy zależało mu na szybkim upływie czasu, wlokły się minuta za minutą. Próbować wszystko wyważyć, to była ciężka walka.

By urządzić taniec, trzeba było rozpatrzeć miliardy subtelnych szczegółów. To ma być inwokacja, najświętsza, i weźmie w niej udział cała horda. Zaplanowanie i podział rozmaitych obowiązków przy wydarzeniu tej wagi pochłaniało dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Na dodatek dochodziły codzienne obowiązki męża wobec dwóch żon, ojca czworga dzieci i duchowego przewodnika świeżo adoptowanej córki. Jakby tego wszystkiego było mało, miał powszednie problemy i niespodzianki, które wyskakiwały z każdym dniem: odwiedziny u chorego, odbywane naprędce narady z nie zapowiedzianymi gośćmi i własna lekarska praktyka.

Wierzgający Ptak był najbardziej zapracowanym z ludzi.

I było coś jeszcze, coś, co ustawicznie go rozpraszało. Jak przytłumiony, uporczywy ból głowy, jego myślami zawładnął porucznik Dunbar. Przy całym pochłonięciu dniem dzisiejszym, Wierzgający Ptak nie mógł nie odpowiedzieć na zew przyszłości, a przyszłość to był Por Rucz Nik. Teraźniejszość i przyszłość zajmowały tyle samo miejsca w dniu czarownika. Był to bardzo wypełniony czas.

To, że miał koło siebie Tę Która Stoi Z Pięścią, nie ułatwiało mu życia. Ona była kluczową postacią jego planu i Wierzgający Ptak nie mógł patrzeć na nią, nie myśląc zarazem o Por Rucz Niku, co nieuchronnie wpędzało go w zawilości całkiem nowych ścieżek spekulacyjnego myślenia. Musiał mieć ją na oku. Ważne było, żeby poruszyć sprawę o właściwym czasie i we właściwym miejscu.

Szybko zdrowiała, poruszając się teraz bez trudności, i wpisała się w rytm życia jego wigwamu. Szybko zostawszy ulubienicą dzieci, pracowała równie długo i ciężko jak każdy mieszkaniec obozu. Pozostawiona sama sobie, zamykała się w myślach, lecz to było zrozumiałe. Tak naprawdę, leżało to zawsze w jej naturze.

Czasami, przyjrawszy jej się przez chwilę, Wierzgający Ptak ciężko w cichości ducha wzdychał. W takich chwilach zatrzymywał się o krok od zadawania sobie pytań, z których naczelne brzmiało, czy Ta Która Stoi Z Pięścią rzeczywiście do nich należy, czy nie. Ale nie mógł pozwolić sobie na odpowiedź, a odpowiedź i tak w niczym by mu nie pomogła. Liczyły się tylko dwie rzeczy. Była tu, a on jej potrzebował.

Aż po dzień tańca nie udało mu się znaleźć sposobności, by przemówić do niej w

sposób, w jaki pragnął to uczynić. Tamtego ranka przebudził się ze świadomością, że on, Wierzgający Ptak, będzie musiał wprowadzić swój plan w życie, jeśli w ogóle chce, żeby został zrealizowany.

Wyprawił trzech młodych mężczyzn do Fort Sedgewick. Był za bardzo zajęty, by sam jechać, a w czasie gdy ich nie było, znajdzie sposób, by porozmawiać z Tą Która Stoi Z Pięścią.

Wierzgającemu Ptakowi oszczędzono uciążliwych zabiegów, gdy cała jego rodzina wyprawiła się późnym rankiem nad rzekę, zostawiając w domu Tę Która Stoi Z Pięścią, by oparła ze skóry świeżo ustrzelonego jelenia.

Wierzgający Ptak przyglądał się jej z wnętrza wigwamu. Nie odrywała wzroku od śmigającego w jej ręku noża, ściągając skórę z taką łatwością, z jaką delikatne mięso odchodzi od kości. Poczekał, aż przerwie na chwilę pracę i poświęci parę chwil, by poobserwować dzieci bawiące się w berka przed namiotem po drugiej stronie drogi.

- Ta Która Stoi Z Pięścią - odezwał się miękko, wychylając się przez otwór wejściowy wigwamu.

Podniosła na niego szeroko otwarte oczy, ale nic nie powiedziała.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - rzekł znikając w czeluściach wigwamu.

Weszła za nim.

3

Atmosfera w środku była napięta. Wierzgający Ptak miał zamiar powiedzieć rzeczy, których prawdopodobnie nie chciałaby usłyszeć, i czuł się z tego powodu niezręcznie.

Stojąc przed nim, Ta Która Stoi Z Pięścią doznała tego rodzaju przeczucie, które nachodzą człowieka przed przesłuchaniem. Nie zrobiła nic złego, ale jej życie stało się egzystencją z dnia na dzień. Nigdy nie wiedziała, co za chwilę jej się przydarzy, i od śmierci męża nie czuła się na siłach, by podejmować wyzwania. Pocichę czerpała z mężczyzny, który stał teraz przed nią. Był powszechnie szanowany i przyjął ją do siebie jak członka rodziny. Jeśli w ogóle był ktoś, komu mogła ufać, był nim Wierzgający Ptak.

Ale teraz robił wrażenie zdenerwowanego.

- Usiądź - powiedział, i oboje osunęli się na podłogę.

- Jak tam rana? - zagaił.

- Zabliźnia się - odrzekła, prawie nie patrząc mu w oczy.

- Ból ustąpił?

- Tak.

- Odzyskałaś siły.

- Jestem teraz silniejsza; pracuję dobrze.

Bawiła się grudą ziemi pod stopami, zgarniając ją na kupkę, a Wierzgający Ptak usiłował dobrać właściwe słowa. Nie lubił pośpiechu, ale nie chciał także, żeby mu przerwano, a w każdej chwili mógł ktoś nadejść.

Spojrzała nagle na niego i Wierzgającego Ptaka uderzył smutek na jej twarzy.

- Jesteś nieszczęśliwa tutaj - powiedział.

- Nie - potrząsnęła głową. - Jestem zadowolona.

Bawiła się ziemią bez przekonania, rozrzucając ją palcami.

- Jest mi smutno bez mojego męża.

Wierzgający Ptak zamyślił się przez chwilę, a ona zaczęła budować drugą kupkę z piasku.

- On już odszedł - rzekł czarownik - ale ty nie. Czas się zmienia, a ty się zmieniasz wraz z nim, nawet jeśli nie wiesz ci się szczęśliwie. Wydarzy się jeszcze wiele rzeczy.

- Tak - odrzekła zaciskając usta - ale nie bardzo mnie interesuje, co się wydarzy.

Ze swojego punktu obserwacyjnego na wprost wejścia Wierzgający Ptak zobaczył, jak kilka cieni przesuwa się przed zasłoną wigwamu, a potem podąża dalej.

- Nadchodzą biali - powiedział nagle. - Z każdym rokiem będzie ich przybywało więcej do naszego kraju.

Dreszcz przebiegł Tej Która Stoi Z Pięścią po plecach. Rozszedł się po ramionach. Oczy jej stwardniały, a ręce mimowolnie zacisnęły się w pięści.

- Nie pójdę z nimi - powiedziała.

Wierzgający Ptak uśmiechnął się. - Nie - rzekł - nie pójdziesz. Nie ma wśród nas ani jednego wojownika, który nie byłby gotów walczyć, by cię powstrzymać.

Słyszac te podtrzymujące na duchu słowa, kobieta o jasnorudych włosach pochyliła się lekko do przodu, teraz naprawdę zaciekawiona.

- Ale oni będą przybywać - ciągnął dalej. - Są dziwną rasą z ich zwyczajami i wierzeniami. Trudno powiedzieć, co robić. Ludzie mówią, że jest ich wielu, i to mnie martwi. Jeśli przyjdą jak potop, będziemy musieli ich zatrzymać. Stracimy wtedy wielu naszych dzielnych mężczyzn, takich jak twój mąż. I będzie, o wiele więcej wdów o smętnych twarzach.

Gdy Wierzgający Ptak zbliżał się do sedna, Ta Która Stoi Z Pięścią spuściła głowę, zamyśliwszy się nad jego słowami.

- Ten biały człowiek, ten który przywiózł cię do domu. Widziałem się z nim. Byłem w

jego wigwamie w dole rzeki, piłem jego kawę i rozmawiałem z nim. Jest dziwny w swoim zachowaniu. Ale przyjrzałem mu się i myślę, że jego serce jest dobre...

Podniosła głowę i spojrzała przelotnie na Wierzgającego Ptaka.

- Ten biały człowiek jest żołnierzem. Może być wśród białych wpływową osobą...

Wierzgający Ptak przerwał. Zwyczajny wróbel przedostał się przez uchyloną zasłonę i wleciał z furkotem do wigwamu. Zobaczywszy, że znalazł się w pułapce, ptaszek szaleńczo zatrzepotał skrzydłami, objając się o skórzane ściany. Wierzgający Ptak przyglądał się, jak wróbel wzbil się w pobliże dymnika i raptem zniknął na wolności.

Popatrzył teraz na Tę Która Stoi Z Pięścią. Nie zauważyła tego wtargnięcia i siedziała z wzrokiem wlepionym w ręce złożone na podolku. Czarownik zamyślił się, próbując podjąć wątek monologu. Zanim jednak zdążył zacząć, znów usłyszał łagodny trzepot skrzydełek.

Spojrzawszy w górę, zobaczył wróbla, wiszącego w powietrzu dokładnie w dymniku. Śledził wzrokiem jego lot, gdy ten rozmyślnie zanurkował ku podłodze i wdzięcznie pikując, zatrzymał się i spokojnie usiadł na głowie miedzianej barwy. Nie poruszyła się, a ptak zaczął stroszyć sobie piórka tak swobodnie, jakby siedział na gnieździe wśród gałęzi wysokiego drzewa. Bezwiednie machnęła ręką nad głową, a wróbel, jak dziecko na skakance, podskoczył w powietrze na stopę, zawisł na moment, w którym jej ręka zamiotła pustkę pod jego łapkami, i ponownie wylądował. Ta Która Stoi Z Pięścią siedziała niepomna na wszystko, gdy maleńki gość napuszył się, nadał pierś i raptem wzleciał jak pocisk, w prostej linii do wyjścia. W okamgnieniu już go nie było.

Z czasem Wierzgający Ptak doszedłby do pewnych wniosków co do wagi i znaczenia przylotu wróbla oraz roli, jaką Ta Która Stoi Z Pięścią odegrała w jego wyczynach. Nie było czasu, by przespacerować się i przeżuć to w myślach, lecz Wierzgający Ptak w pewien sposób poczuł się umocniony tym, co zobaczył.

Zanim zdążył coś powiedzieć, podniosła głowę.

- Czego ode mnie chcesz? - spytała.

- Chcę słyszeć słowa białego żołnierza, lecz moje uszy ich nie rozumieją.

Stało się. Twarz Tej Która Stoi Z Pięścią przygasła.

- Boję się go - powiedziała.

- Stu białych żołnierzy na stu koniach ze stu strzelbami... to jest coś, czego należy się bać. Ale on to tylko jeden człowiek. Nas jest wielu i to jest nasz kraj.

Wiedziała, że ma rację, ale słuszność nie zwiększała ani trochę jej poczucia bezpieczeństwa. Poruszyła się z zakłopotaniem.

- Nie pamiętam białego języka - powiedziała bez przekonania. - Jestem Komanczem.

Wierzgający Ptak przytaknął.

- Tak, jesteś Komanczem. Nie proszę cię, żebyś została kimkolwiek innym. Proszę cię, żebyś postawiła swój strach na drugim miejscu, a swój lud na pierwszym. Spotkaj się z białym człowiekiem. Spróbuj odnaleźć z nim swój biały język, a gdy to się stanie, wszyscy troje odbędziemy rozmowę, która przysłuży się wszystkim ludziom. Myślałem o tym bardzo długo.

Pogrążył się w milczeniu i w całym wigwamie zapadła cisza.

„Rozejrzała się wokół, zatrzymując wzrok tu i ówdzie, jakby upłynęło wiele czasu, odkąd widziała to miejsce po raz ostatni. Nigdzie nie odjeżdżała, ale w myślach Ta Która Stoi Z Pięścią robiła jeszcze jeden krok ku pożegnaniu z życiem, które tak szczerze ukochała.

- Kiedy się z nim zobaczę? - spytała.

Cisza znów wypełniła wigwam.

Wierzgający Ptak powstał.

- Udaj się w ustronne miejsce - pouczył ją - z dala od obozu. Usiądź na chwilę i spróbuj przywołać z pamięci słowa twojego dawnego języka.

Szła ze spuszczonego podbródkiem, gdy Wierzgający Ptak odprowadzał ją do wyjścia.

- Schowaj głęboko swój strach, a wszystko będzie dobrze - powiedział, gdy wynurzała się z wigwamu.

Nie był pewien, czy dosłyszała tę ostatnią radę. Nie odwróciła się do niego, a teraz oddalała się już.

4

Ta Która Stoi Z Pięścią zrobiła to, o co ją poproszono.

Z pustym dzbanem na wodę opartym o biodro udała się głównym szlakiem nad rzekę. Było już koło południa i poranna krzątanina, ludzie czerpiący wodę i myjący się, konie, rozradowane dzieci, wszystko to niemal znikło. Szła powoli, rozglądając się po obu stronach szlaku za rzadko uczęszczaną dróżką, która zawiodłaby ją do miejsca odosobnienia. Serce zabiło jej szybciej, gdy dostrzegła zarośniętą ścieżkę, która wychodziła z głównego szlaku i biegła zaroślami o sto jardów od rzeki.

Nikogo nie było w pobliżu, ale pilnie nadśluchiwała, czy ktoś nie nadchodzi. Nic nie usłyszawszy, ukryła nieporęczny dzban pod krzewem dzikiej wiśni i wślizgnęła się w gęstą zasłonę starej ścieżki dokładnie w chwili, gdy nad samym brzegiem wody odezwały się głosy.

Pośpiesznie przedarła się przez płataninę gałęzi zwisających nad ścieżką i ulżyło jej, gdy po kilku jardach wydeptana dróżka rozrosła się w szlak w całym tego słowa znaczeniu.

Teraz poruszała się z łatwością, a głosy dobiegające z głównego szlaku wkrótce zamarły w oddali.

Poranek był śliczny. Lekkie powiewy wyginały wierzby na kształt kołyszących się tancerzy, skrawki nieba nad głową były koloru jaskrawoniebieskiego, a jedynymi dźwiękami były odgłosy królika lub spłoszonej jej krokami jaszczurki. Był to dzień stworzony do uciech, ale w sercu Tej Która Stoi Z Pięścią nie było radości. Było ono jak marmur poprzecinany długimi żyłkami goryczy i zwolniwszy kroku, biała dziewczyna Komanczów dała się ponieść nienawiści.

Część jej skierowana była przeciw białemu żołnierzowi. Nienawidziła go za to, że przybył do ich kraju, za to, że jest żołnierzem, za to, że się narodził. Nienawidziła Wierzgającego Ptaka za to, że poprosił ją, by to zrobiła, i za to, że wiedział, iż nie może mu odmówić. I nienawidziła Wielkiego Ducha za to, że jest tak okrutny. Wielki Duch złamał jej serce. Ale nie wystarczało mu zabić czyjeś serce.

Dlaczego wciąż mnie ranisz? - pytała. - Przecież już jestem martwa.

Stopniowo zaczynały trzeźwieć jej myśli. Lecz jej gorycz się nie zmniejszy łąj zastygła w coś twardego i łamliwego.

Odnajdź swój biały język. Odnajdź swój biały język.

Doszło do niej, że ma już dość bycia ofiarą, i to ją rozgniewało.

Chcesz mojego białego języka, pomyślała w narzeczu Komanczów. Dostrzegasz we mnie z tego powodu jakąś wartość. Więc odnajdę go. A jeśli w konsekwencji stanę się nikim, będę największym nikim. Będę nikim, którego popamiętacie.

Podczas gdy jej mokasyny miękko drapały o porośniętą kępami trawy ścieżkę, zaczęła cofać się myślami w przeszłość, szukając miejsca, od którego by zacząć, miejsca, w którym mogłaby sobie przypomnieć słowa.

Ale wszędzie była tylko luka. Choćby nie wiem jak się skupiała, nic nie przychodziło jej na myśl i przez kilka minut doznawała strasznego zawodu, zapomniawszy całej mowy. Zamiast się rozwiać, mroki przeszłości zgęstniały jak mgła.

Była zmordowana, gdy doszła w końcu do małej, otwartej ku wodzie polanki, o milę w górę rzeki od wioski. Było to miejsce rzadkiej piękności, trawiasta weranda zacieniona srebrzącymi się topolami i otoczona z trzech stron naturalnym parawanem. Rzeka była szeroka, płytka i usiana ławicami zwieńczonymi trzcina. W któryś z minionych dni byłaby oczarowana, znalazłszy takie miejsce. Ta Która Stoi Z Pięścią zawsze była wrażliwa na piękno.

Lecz dzisiaj ledwie to zauważyła. Pragnąc jedynie odpocząć, ciężko usiadła pod topolą

i oparła się plecami o pień. Skrzyżowała nogi indiańskim sposobem i podciągnęła koszulę, pozwalając chłodnemu wiatrowi znad rzeki igrać wokół swych ud. W końcu zamknęła oczy i zdecydowała się przypomnieć sobie.

Ale nadal nie mogła sobie niczego przypomnieć. Ta Która Stoi Z Pięścią zacisnęła zęby. Podniosła ręce i przycisnęła dłonie do zmęczonych oczu.

Gdy tarła powieki, pojawił się obraz.

Uderzył ją jak jaskrawa plama koloru.

5

Obrazy nachodziły ją ubiegłego lata, gdy odkryto, że w pobliżu są biali żołnierze. Pewnego ranka, gdy leżała w łóżku, na ścianie pojawiła się jej lalka. W samym środku tańca zobaczyła swoją matkę. Ale oba obrazy były matowe.

Te, które widziała teraz, były żywe i poruszały się jak we śnie. Była w nich nieprzerwanie mowa białego człowieka. I rozumiała każde słowo.

To, co pojawiło się najpierw, zdumiało ją swoją jasnością. Był to oderwany rąbek kraciastej sukni. Rąbek trzymała jakaś ręka, bawiąc się lamówką. Gdy tak patrzyła poprzez zamknięte oczy, obraz narastał. Ręka należała do ledwie kilkunastoletniej dziewczynki. Stała ona w surowym pokoju z glinianą polepą, wyposażonym jedynie w małe twarde łóżko, oprawną w ramkę gałązkę kwiatów powieszoną przy oknie i kredens, nad którym wisiało ubite na brzegu lustro. Dziewczynka była odwrócona, przyglądając się rozdarciu, a jej niewidoczna twarz pochylała się nad ręką trzymającą lamówkę.

Gdy ją badała, sukienka uniosła się wysoko, ukazując krótkie, patykowate nogi.

Nagle z głębi pokoju kobiecy głos zawołał:

„Christine...”

Głowa dziewczynki odwróciła się i Ta Która Stoi Z Pięścią w sekundzie olśnienia rozpoznała swoje dawne ja. Jej dawna twarz słuchała, a potem jej dawne usta wypowiedziały słowa: „Już idę, mamó”.

Ta Która Stoi Z Pięścią otworzyła oczy. Była przestraszona tym, co ujrzała, ale jak słuchacz siedzący u stóp opowiadającego baśnie, pragnęła więcej.

Znów zamknęła oczy i z wysokości konara dębu, poprzez gęstwą szeleszczących liści otworzyła się scena. Dom z darni z długim frontonem, ocieniony parą topoli, zbudowany był tuż nad brzegiem strugi. Przed domem stał sklecony z desek, prymitywny stół. A przy stole siedziało czworo dorosłych ludzi, dwaj mężczyźni i dwie kobiety. Wszyscy czworo mówili, a Ta Która Stoi Z Pięścią rozumiała każde słowo.

Troje dzieci bawiło się w głębi podwórka w ciuciubabkę, a kobieta nie przestawała mieć ich na oku, podczas gdy rozprawiali o gorączce, którą ostatnio złapało jedno z dzieci.

Mężczyźni palili fajki. Na stole przed nimi leżały w nieładzie resztki późnopołudniowego niedzielnego posiłku: miska gotowanych ziemniaków, kilka półmisek z warzywami, stos obgryzionych kaczanów kukurydzy, szkielet indyka i do połowy opróżniony dzbanek mleka. Mężczyźni rozmawiali o szansach na deszcz.

Rozpoznała jednego z nich. Był wysoki i zylasty. Miał zapadnięte policzki i wysokie kości policzkowe. Włosy miał prosto zaczesane do tyłu. Krótka, rzadka broda porastała mu szczękę. To był jej ojciec.

Ponad ich głowami dostrzegła sylwetki dwojga młodych ludzi leżących w bizoniej trawie, która wyrastała z dachu. Z początku nie wiedziała, kim oni są, ale nagle znalazła się bliżej i zobaczyła ich dokładnie.

Była z chłopcem mniej więcej w jej wieku. Miał na imię Willy. Był nieokrzesany, chudy i blady. Leżeli na plecach obok siebie, trzymając się za ręce, i patrzyli na linię wysokich chmur zasnuwających okazałe niebo.

Rozmawiali o dniu, w którym się pobiorą. - Wolałabym, żeby nikogo nie było - powiedziała w rozmarzeniu Christine. - Wolałabym, żebyś którejs nocy przyszedł pod okno i porwał mnie.

Ścisnęła go za rękę, ale Willy nie oddał uścisku. Wpatrywał się z napięciem w chmury.

- Jeśli o to chodzi, to nie wiem. - rzekł.

- Czego nie wiesz?

- Moglibyśmy mieć kłopoty.

- Z czyjej strony?

- Od twoich rodziców.

Christine spojrzała mu w twarz i uśmiechnęła się na widok jego zatroskania.

- Ale przecież pobralibyśmy się. Nasze sprawy byłyby tylko naszymi sprawami i nikogo więcej.

- Chyba tak - odrzekł ze ściągniętymi jeszcze brwiami.

Niczego więcej nie zaproponował i Christine wraz z nim na powrót zajęła się obserwowaniem nieba.

Po dłuższym czasie chłopiec westchnął. Spojrzał na nią kątem oka, a ona na niego.

- Myślę, że wszystko mi jedno, co za awantura z tego będzie... bylebyśmy się tylko pobrali.

- Mnie też jest wszystko jedno - powiedziała.

Nie objęli się, ale ich twarze zwróciły się nagle ku sobie, a wargi ułożyły się do pocałunku. Christine w ostatnim momencie zmieniła zdanie.

- Nie możemy - wyszeptła.

W jego oczach pojawił się przelotnie ból.

- Zobaczą nas - szepnęła znowu. - Zmykajmy stąd.

Willy uśmiechał się, widząc, jak odsuwa się nieco dalej w kierunku tylnego skrzydła dachu. Zanim za nią podążył, obejrzał się za siebie na ludzi siedzących w dole na podwórku.

Z prerii nadciągali Indianie. Było ich z tuzin, na koniach. Włosy mieli upięte w czuby, a twarze pomalowane na czarno.

- Christine - chwycił ją, nakazując milczenie.

Podpełzli do krawędzi na brzuchach, żeby lepiej widzieć. Kiedy wyciągali szyje, Willy odciągnął kurek swojej strzelby na wiewiórki.

Kobieta z dziećmi musiała już wejść do środka, bowiem na podwórku został jedynie ojciec i jego przyjaciel. Trzech Indian podjechało pod sam dom. Reszta czekała w bezpiecznej odległości.

Ojciec Christine zaczął rozmawiać na migi z jednym z trzech emisariuszy, wielkim Pawnisem z chmurną twarzą. Natychmiast spostrzegła, że rozmowy nie idą dobrze. Indianin wciąż pokazywał na dom, wykonując gest picia. Ojciec Christine ciągle potrząsał odmownie głową.

Indianie przychodzili już przedtem i ojciec Christine zawsze dzielił się z nimi tym, co było pod ręką. Ci Pawnisi chcieli czegoś, czego nie miał... albo czegoś, czym nie mógł się dzielić.

Willy szepnął jej do ucha:

- Wyglądają na rozsierdzonych... Może chcą whisky.

To może być to, pomyślała. Jej ojciec nie pochwalał mocnych trunków w żadnej postaci, a patrząc teraz, widziała, że powoli traci cierpliwość. A cierpliwość była jednym z jego charakterystycznych rysów.

Kiwnął ręką, żeby odjechali, ale nie poruszyli się. Zaczął wymachiwać rękami w powietrzu i kuce zachnęły się. Indianie się nie poruszyli, ale teraz już wszyscy trzej byli rozsierdzeni.

Ojciec Christine powiedział coś do stojącego obok białego przyjaciela i odwróciwszy się plecami, skierowali się do domu.

Nikommu nie starczyło czasu, by wykrzyczeć ostrzeżenie. Wielki topór Pawnisa

skończył już zataczać łuk, zanim ojciec Christine zdążył całkiem się odwrócić. Na całą długość ostrza wbił mu się głęboko poniżej ramienia. Zacharczał, jakby topór wycisnął z niego całe powietrze, i skoczył na bok przez podwórzec. Zanim zdołał ująć choćby kilka kroków, wielki Pawnis siedział mu już na plecach, rąbiąc go wściekle i obalając na ziemię.

Drugi biały człowiek próbował uciekać, lecz w pół drogi do drzwi darniowej chaty zwała go świszcząca strzała.

Fala straszliwych dźwięków zalała uszy Christine. Z wnętrza domu dochodziły wrzaski rozpacz, a Indianie, którzy dotąd trzymali się z tyłu, wyli jak szaleni, rzuciwszy się naprzód galopem. Ktoś ryczał jej prosto w twarz. To był Willy.

- Uciekaj, Christine... uciekaj!

Willy przyłożył jej podeszwę buta do pośladka i zepchnął dziewczynę w miejscu, gdzie kończył się dach, a zaczynała preria. Obejrzała się i zobaczyła nieokrzesanego, chudego chłopaka na krawędzi dachu, ze strzelbą na wiewiórki wymierzoną w podwórze. Wypaliła i przez chwilę Willy stał w bezruchu. Potem chwycił strzelbę za lufę jak maczugę, skoczył cicho w pustkę i zniknął.

Uciekała w dzikim popłochu, a jej chude czternastoletnie nogi rozbryzgiwały ruczaj za domem jak młyński kołowrót.

Słońce oślepiało ją z ukosa i kilkakroć padała, zdzierając sobie skórę z kolan. Lecz za każdym razem w okamgnieniu stawała na nogi, bo strach przed śmiercią pchał ją dalej mimo bólu. Gdyby ceglany mur wyrósł nagle na środku strugi, wpadłaby prosto na niego.

Wiedziała, że długo nie zdoła utrzymać tego tempa, a nawet gdyby dała radę, oni nadjadą na koniach, więc gdy ruczaj zmienił kierunek, a jego brzegi zrobiły się bardziej strome, zaczęła rozglądać się za jakąś kryjówką.

Jej szaleńcze poszukiwania niczego nie przyniosły i ból w piersiach rozrywał ją jak nóż, gdy nagle dostrzegła w połowie urwiska po lewej stronie ciemną rozpadlinę, częściowo zakrytą przez grubą kępę traw.

Charcząc i popłakując, wdrapała się na usianą skałami groblę i jak chowająca się do dziury mysz, rzuciła się do otworu. Głowa jej się zmieściła, ale nie ramiona. Był za mały. Szarpnęła się do tyłu na kolanach i zaczęła walić pięściami w brzeg otworu. Ziemia była miękka. Zaczęła odpadać. Christine kopała jak w malignie i po paru chwilach było już dość miejsca, żeby wcisnąć się do środka.

Było bardzo ciasno. Zwinięta w kulkę w pozycji płodowej, niemal natychmiast doznała mdłącego uczucia, że jakimś cudem wepchnęła się do słoja. Prawym okiem widziała nad krawędzią wejścia do jamy, co dzieje się na paręset jardów w dół ruczaju. Nikt nie

nadjeżdżał. Ale od strony domu podnosił się czarny dym. Złapała się rękami za gardło i wtedy jedna z dłoni natrafiła na miniaturowy krzyżyk, który nosiła zawsze od niepamiętnych czasów. Chwyliła go mocno i czekała.

6

Kiedy za jej plecami słońce zaczęło zachodzić, wzrosły nadzieje dziewczynki. Bała się, że jeden z nich zobaczył, jak ucieka, ale z każdą mijającą godziną jej szanse rosły. Modliła się o nadejście nocy. Wówczas odnalezienie jej będzie dla nich niepodobieństwem.

W godzinę po zachodzie słońca wstrzymała oddech, gdy w dole nad strugą przeszedł konie. Była bezksiężycowa noc i nie mogła dostrzec żadnych postaci. Zdawało jej się, że słyszy płacz dziecka. Stukot kopyt powoli zamarł i więcej nie powrócił.

Gardło miała tak spierzchnięte, że bolało ją przy przełykaniu, a pulsujący ból w odartych ze skóry kolanach zdawał się promieniować na całe ciało. Oddałaby wszystko, by móc się położyć. Ale w żadną stronę nie mogła poruszyć się więcej niż na cal lub dwa. Nie mogła się odwrócić i lewy bok, bok, na którym leżała, całkiem jej zdrętwiał.

Podczas gdy najdłuższa noc w życiu dziewczynki wlokła się powoli, jej przygnębienie narastało i opadało falami jak gorączka i musiała uzbroić się przeciw nagłym napadom paniki. Gdyby się poddała, mogłaby była umrzeć w szoku, ale za każdym razem Christine znajdowała sposób zwalczania tych przyływów hysterii. Jeśli była w tym jakaś zbawcza łaska, to dlatego, że niewiele rozmyślała o tym, co przydarzyło się jej rodzinie i przyjaciołom. Raz za razem miała w uszach śmiertelny charkot ojca, jaki wydał w chwili, gdy topór Pawnisa rozplatał mu plecy. Lecz za każdym razem, gdy słyszała ten charkot, udawało jej się na tym zatrzymać, nie dopuszczając myśli o całej reszcie. Była zawsze znana z tego, że jest dzielną dziewczynką, i ta dzielność ją uratowała.

Koło północy zapadła w sen, by w parę minut później obudzić się w klaustrofobicznym szale. Jak w pętli, im bardziej się szarpała, tym mocniej była skrępowana.

Jej żałosne wrzaski rozległy się w dole i w górze strumyka.

W końcu nie mogła już więcej krzyczeć i wybuchnęła długim, oczyszczającym płaczem. Kiedy i tego zabrakło, była już spokojna, słaba z wyczerpania, jakiego doznaje zwierzę po wielu godzinach w sidłach.

Zaniechawszy ucieczki z jamy, skupiła się na drobnych czynnościach, by usadowić się trochę wygodniej. Poruszała tam i z powrotem stopami, odliczając każdy palec, jeśli mogła poruszać nim niezależnie od reszty. Ręce miała względnie swobodne, więc ścisnęła razem opuszki palców, aż wyczerpała wszystkie kombinacje, jakie przyszły jej na myśl. Policzyła

sobie zęby. Odmówiła Ojciec Nasz, przeliterowując każde słowo. Ułożyła długą piosenkę o byciu w dziurze. A potem ją odśpiewała.

7

Kiedy pojawiły się pierwsze zorze, znów zaczęła płakać, wiedząc, że może nie przeżyć nadchodzącego dnia. Miała już dość. A gdy usłyszała konie nad strugą, perspektywa śmierci z czyjejs ręki wydała jej się o wiele lepsza od umierania w dziurze.

- Na pomoc - krzyknęła. - Pomóżcie mi.

Usłyszała, że stukot końskich kopyt gwałtownie się urwał. Zboczem nadchodzili ludzie, szurając po kamieniach. Szuranie ustało i indiańska twarz wyłoniła się przed jamą. Nie mogła znieść tego widoku, ale nie była w stanie odwrócić głowy. Zamknęła oczy na widok zdziwionego Komańcza.

- Proszę... wyciągnijcie mnie - wyszeptwała.

Zanim zorientowała się, co się dzieje, silne dłonie wyciągnęły ją na światło słoneczne. Z początku nie mogła ustać na nogach i kiedy siedziała na ziemi, cał po calu rozprostowując opuchnięte stopy, Indianie naradzali się między sobą.

Byli niejednomysłni. Większość nie widziała żadnego pożytku w zabieraniu jej ze sobą. Mówili, że jest chuda, mała i słaba. A gdyby zabrali tę kupkę nieszczęścia, mogliby zostać pomówieni o to, co Pawnisi zrobili białym ludziom z ziemianki.

Ich wódz przeciwstawił się temu. Niepodobiestwem było, by ludzie z ziemianki, tak daleko od innych białych, zostali natychmiast odnalezieni. Wtedy będą już daleko od tych stron. Horda miała teraz tylko dwóch jeńców, Meksykanów, a jeńcy zawsze byli w cenie. Jeśli ta mała umrze po drodze do domu, zostawią ją na szlaku i nikt się nie połapie. Jeśli przeżyje, przyda się do roboty albo, gdy zajdzie potrzeba, jako towar na wymianę. Wódz przypomniał jeszcze pozostałym, że istnieje tradycja jeńców, którzy z czasem zostawali dobrymi Komańczami, a dobrych Komanczów trzeba było wciąż więcej i więcej.

Dość szybko sprawa została załatwiona. Ci, którzy opowiadali się za zabiciem jej na miejscu, może i mieli lepsze argumenty, ale mężczyzna, który był za pozostawieniem jej przy życiu, był szybko awansującym młodym wojownikiem z przyszłością i nikt nie pragnął mu się przeciwstawiać.

8

Przeżyła wszystkie trudy, głównie dzięki dobroci młodego wojownika z przyszłością, który na imię miał, jak w końcu się dowiedziała, Wierzgający Ptak.

Z czasem stwierdziła, że ten lud jest jej ludem i że jest zasadniczo różny od tych,

którzy zamordowali jej rodziców i przyjaciół. Komańcze stali się jej światem i kochała ich równie mocno, jak mocno nienawidziła Pawnisów. Lecz podczas gdy nienawiść do morderców przetrwała, pamięć o rodzinie zatarła się powoli, jak coś pochłoniętego przez ruchome piaski. W końcu wspomnienia zupełnie znikły sprzed jej oczu.

Aż do dzisiejszego dnia, dnia, w którym odgrzebała przeszłość.

Przy całej żywości obrazów z pamięci, Ta Która Stoi Z Pięścią nie rozmyślała o nich, gdy wstała ze swego miejsca pod topolą i udała się nad rzekę. Kucając w wodzie i opryskując sobie nią twarz, nie myślała o matce i ojcu. Od dawna ich nie było, a ich wspomnienie nie było jej do niczego przydatne.

Omiatając wzrokiem przeciwny brzeg, myślała jedynie o Pawnisach, zastanawiając się, czy tego lata będą najeżdżali terytorium Komańców.

W duchu miała nadzieję, że tak. Pragnęła jeszcze jednej sposobności do zemsty.

Sposobność taka nadarzyła się przed kilkoma sezonami, a ona w pełni ją wykorzystała. Stało się to pod postacią butnego wojownika, który został wzięty żywcem dla okupu.

Ta Która Stoi Z Pięścią wraz z delegacją kobiet wyszła na skraj obozu na spotkanie mężczyzn, którzy go prowadzili. Osobiście poprowadziła straszliwą szarżę, której nie był w stanie powstrzymać oddział wracający z wojennej wyprawy. Ściągnęły go z konia i rozsiekały na miejscu na kawałki. Ta Która Stoi Z Pięścią pierwsza zatopiła w nim nóż i nie odeszła, aż nie zostały z niego strzępy. To, że w końcu dokonała zemsty, napawało ją głębokim zadowoleniem, ale nie na tyle głębokim, by codziennie nie marzyła o następnej okazji.

Odwiedziny w przeszłości były środkiem kojącym i idąc rzadko uczęszczaną ścieżką, czuła się bardziej niż kiedykolwiek Komańcem. Głowę niosła wysoko, a serce jej było silne.

Biały żołnierz wydawał się teraz blahostką. Postanowiła, że jeśli w ogóle będzie z nim rozmawiać, to tylko tyle, ile spodoba się Tej Która Stoi Z Pięścią.

ROZDZIAŁ XVII

1

Pojawienie się trzech nieznanym młodzieńców na kucach było niespodzianką. Onieśmieleni i pełni szacunku, mieli wygląd posłańców, ale porucznik Dunbar miał się na baczności. Nie nauczył się jeszcze rozpoznawać różnic plemiennych i dla jego niewprawnego oka mógł to być ktokolwiek.

Z opartym na przedramieniu karabinem wyszedł im na spotkanie, sto jardów za magazynem. Gdy jeden z młodych ludzi uczynił powitalny gest, którego zwykł używać spokojny, Dunbar odpowiedział zwyczajnym lekkim skinieniem głowy.

Rozmowa za pomocą rąk była krótka i prosta. Poprosili go, by pojechał z nimi do wioski, i porucznik się zgodził. Gdy zakładał uprzęż Ciscowi, stali obok, rozmawiając po cichu o bułanku, ale porucznik Dunbar poświęcał im niewiele uwagi.

Z niecierpliwością pragnął się dowiedzieć, o co chodzi, i był zadowolony, gdy wreszcie galopem opuścili fort.

2

Była to ta sama kobieta i chociaż siedziała z dala od nich w głębi wigwamu, wzrok porucznika bez przerwy zbacał w jej stronę. Suknię z jeleniej skóry naciągniętą miała na kolana i nie potrafił powiedzieć, czy wyleczyła się z paskudnej rany na nodze. Na zewnątrz wyglądała ładnie, ale z wyrazu jej twarzy nie mógł niczego wyczytać. Był to cień posepny, a przede wszystkim bez wyrazu. Jego wzrok nieustannie biegł ku niej, ponieważ porucznik był teraz pewien, że to ona jest powodem wezwania go do wioski. Wolałby, żeby już przeszli do sprawy, ale jego skromne doświadczenie z Indianami nauczyło go cierpliwości.

Więc odczekał, aż czarownik pieczołowicie nabije fajkę. Porucznik spojrział znów na Tę Która Stoi Z Pięścią. Na ułamek sekundy jego spojrzenie zetknęło się z jej oczami i to przypomniało mu, jak były jasne w porównaniu z ciemnobrązowymi oczami całej reszty. Potem przypomniał sobie, jak powiedziała „Nie” tamtego dnia na prerii. Włosy miedzianego koloru nagle stanęły mu przed oczami w zupełnie nowym świetle i poczuł mrowienie u nasady karku.

O mój Boże, pomyślał, ta kobieta to biała.

Dunbar mógł stwierdzić, że Wierzgający Ptak jest świadom obecności kobiety w półmroku. Gdy po raz pierwszy zaproponował fajkę swemu specjalnemu gościowi, zrobił to z przeciągłym spojrzeniem w jej kierunku.

Porucznik Dunbar potrzebował pomocy przy paleniu i Wierzgający Ptak uprzejmie wyświadczył mu tę grzeczność, układając jego dłonie na długim gładkim cybuchu i ustawiając kąt nachylenia. Tytoń był równie ostry jak jego woń, ale Dunbar uznał go za pełen aromatu. Dobra rzecz do palenia. Sama fajka była fascynująca. Na pozór ciężka, gdy brał ją do ręki, podczas palenia robiła wrażenie niezwykle lekkiej, jakby miała odpłynąć w powietrzu, gdyby poluzował uścisk.

Pykali z niej na przemian przez kilka minut. Potem Wierzgający Ptak ostrożnie odłożył na bok fajkę. Spojrzał z ukosa na Tej Która Stoi Z Pięścią i skinął lekko nadgarstkiem, nakazując jej podejść.

Zawahała się na moment, potem oparła się dłonią o ziemię i wstała. Porucznik Dunbar, jak zawsze dżentelmeński, natychmiast poderwał się z miejsca, co czyniąc wywołał dziką awanturę.

Wszystko to wydarzyło się z błyskawiczną gwałtownością. Dunbar nie dostrzegł noża, zanim nie przebyła połowy dzielącej ich odległości. Następną rzeczą, jaka do niego dotarła, było ramię Wierzgającego Ptaka, które szturchnęło go w pierś z taką siłą, że upadł na plecy. Gdy znalazł się na ziemi, ujrzał skuloną, nadbiegającą kobietę, która wyrzucała z siebie z sykiem jakieś słowa, paskudnie wygrażając nożem.

Wierzgający Ptak równie szybko skoczył na nią, jedną ręką wyluskał jej nóż, a drugą równocześnie pchnął ją na ziemię. Podczas gdy porucznik siedział wyprostowany w bezruchu, Wierzgający Ptak odwrócił się do niego. Oczy czarownika spoglądały na niego z lękiem.

Rozpaczliwie pragnąc rozładować okropną sytuację, Dunbar zerwał się na nogi. Kilkakrotnie pomachał przecząco rękami, jakby mówił „nie”. Potem złożył jeden z lekkich ukłonów, którymi zwykł pozdrawiać Indian przybywających do Fort Sedgewick. Pokazał palcem na siedzącą na ziemi kobietę i znów skinął głową.

Wtedy Wierzgający Ptak zrozumiał. Biały człowiek próbował tylko być uprzejmy. Nie zamierzał nikomu wyrządzić krzywdy. Rzucił kilka słów do Tej Która Stoi Z Pięścią i ta z powrotem wstała. Wbiła wzrok w ziemię, unikając wszelkiego kontaktu z białym żołnierzem.

Przez chwilę cała trójca w wigwamie stała w bezruchu.

Porucznik Dunbar czekał i przyglądał się, jak Wierzgający Ptak gładzi się długim ciemnym palcem po nosie, rozmyślając nad tym wszystkim. Potem miękko wymamrotał coś do Tej Która Stoi Z Pięścią i kobieta podniosła oczy. Wydawały się jeszcze jaśniejsze niż przedtem. I jeszcze bardziej pozbawione wyrazu. Teraz wpatrywały się prosto w oczy Dunbara.

Na migi Wierzgający Ptak poprosił porucznika, by z powrotem zajął swoje miejsce. Usiedli jak przedtem, zwróceniu ku sobie twarzami. Następne delikatne słowa padły pod adresem Tej Która Stoi Z Pięścią i kobieta przysunęła się bliżej, sadowiąc się lekko jak piórko zaledwie o stopę lub dwie od Dunbara.

Wierzgający Ptak spojrział na nich dwoje z oczekiwaniem. Dotknął palcami warg, ponaglając porucznika tym gestem, aż wreszcie Dunbar zrozumiał, że go prosi, by mówił, by powiedział coś do siedzącej obok niego kobiety.

Porucznik nachylił głowę w jej kierunku, czekając, aż uchwyci choćby ślad jej spojrzenia.

- Witaj - powiedział.

Zamrugła oczami.

- Witaj - powtórzył znowu.

Ta Która Stoi Z Pięścią pamiętała słowa. Ale jej biały język był tak zaśnieżony jak stare zawiasy. Bała się, co z tego wyjdzie, a jej podświadomość nadal przeciwstawiała się samemu pomysłowi tej rozmowy. Uczyniła kilka bezgłośnych prób, zanim coś z tego wyszło.

- Wytaj - odpowiedziała, szybko spuszczać głowę.

Wierzgający Ptak był tak rozradowany, że zupełnie nie w swoim stylu klepnął się po nodze. Wyciągnął rękę i klepnął Dunbara po wierzchu dłoni, zachęcając go, by kontynuował.

- Mówisz? - zapytał porucznik, łącząc słowa z gestem, którym posłużył się Wierzgający Ptak. - Mówisz po angielsku?

Ta Która Stoi Z Pięścią dotknęła palcem skroni i przytaknęła, próbując powiedzieć mu słowa, które siedziały jej w głowie. Przyłożyła dwa palce do warg i potrząsnęła głową, próbując powiedzieć mu, jakie kłopoty ma z językiem.

Porucznik nie całkiem zrozumiał. Wyraz twarzy miała ciągle nieprzenikniony i wrogi, ale w jej gestach była jakaś swoboda, którą odczuł jako chęć przekazania mu czegoś.

- Jestem... - zaczął, stukając palcem w kaftan. - Jestem John. Jestem John. Jej martwe oczy zawisły na jego ustach.

- Jestem John - powtórzył.

Ta Która Stoi Z Pięścią poruszyła bezgłośnie wargami, ćwicząc słowo. Gdy w końcu głośno je wypowiedziała, słowo zabrzmiało całkiem wyraźnie. To nią wstrząsnęło. I wstrząsnęło porucznikiem Dunbarem.

Powiedziała „Willie”.

Wierzgający Ptak wiedział, że strzeliła jak kulą w płot, gdy zobaczył na wyraz twarzy porucznika. Przyglądał się bezradnie, jak Ta Która Stoi Z Pięścią przeżywa falę bezładnego

zamętu. Zakryła oczy i potarła twarz. Zatkąła sobie nos, jakby chciała stłumić jakiś odór, i wściekle potrząsnęła głową. W końcu położyła dłonie płasko na ziemi i głęboko westchnęła, znów układając małe usta w bezgłośnie słowa. W owej chwili Wierzgający Ptak upadł na duchu. Może żądał zbyt wiele, urządzając cały eksperyment.

Porucznik Dunbar także nie wiedział, co z nią zrobić. Pomyślał, że długa niewola mogła z niej uczynić wariatkę.

Lecz eksperyment Wierzgającego Ptaka, choć strasznie trudny, nie był niewykonalny. A Ta Która Stoi Z Pięścią nie była wariatką. Słowa białego żołnierza, jej wspomnienia i pomieszanie języka nałożyły się na siebie. Ułożenie tej gmatwaniny było jak rysowanie z zamkniętymi oczami. Wpatrzona w przestrzeń, zmagła się ze sobą, by nad tym wszystkim zapanować.

Wierzgający Ptak zaczął coś mówić, ale przerwała mu szorstko potokiem słów w języku Komanczów.

Jeszcze przez kilka sekund jej oczy pozostawały zamknięte. Gdy znów je otworzyła, spojrzała poprzez zmierzwiłone włosy na porucznika Dunbara i spostrzegł, że złagodniały. Skinawszy spokojnie ręką, poprosiła go w języku Komanczów, by znów mówił.

Dunbar odchrząknął.

- Jestem John - powiedział, wymawiając starannie słowa. - John... John.

Raz jeszcze jej wargi trzymały się nad słowem, i raz jeszcze spróbowała je wypowiedzieć.

- Jan.

- Tak - przytaknął Dunbar w uniesieniu. - John.

- Jan - powiedziała znowu.

Porucznik Dunbar odchylił do tyłu głowę. Słodko brzmiał dla niego ten dźwięk, dźwięk własnego imienia. Od miesięcy go nie słyszał.

Ta Która Stoi Z Pięścią uśmiechnęła się mimo woli. Jej życie było ostatnio tak pełne zgryzot. To dobrze, że jest coś, choćby nie wiem jak małego, z czego można się śmiać.

Jednocześnie zerknęła na Wierzgającego Ptaka.

Na jego ustach nie było uśmiechu. Ale w jego oczach pojawił się, choć bardzo wątpliwy, blask szczęścia.

3

Tego popołudnia sprawy w wigwamie Wierzgającego Ptaka posuwały się powoli. Czas pochłaniały mozolne usiłowania podejmowane przez Tę Która Stoi Z Pięścią, by

powtórzyć proste słowa i zwroty porucznika Dunbara. Czasami wymówienie jednego jednosylabowego słowa wymagało tuzina dokuczliwie nudnych prób. A nawet wtedy jej wymowa daleka była od doskonałości. To nie było coś, co można by nazwać rozmową.

Lecz Wierzgający Ptak był bardzo podniesiony na duchu. Ta Która Stoi Z Pięścią powiedziała mu, że dobrze pamięta białe słowa. Ma jedynie trudności z językiem. Czarownik wiedział, że ćwiczenie rozrusza zardzewiały język, i myślą wybiegał do wspaniałych perspektyw, jakie otworzą się w chwili, gdy rozmowa między nimi potoczy się swobodnie i pełna będzie informacji.

Poczuł ukłucie irytacji, gdy jeden z jego pomocników przybył z wiadomością, że wkrótce będzie potrzebny, by doglądnąć ostatnich przygotowań do wieczornego tańca. Ale mimo to Wierzgający Ptak uśmiechnął się, podając białemu człowiekowi rękę i zegnając się z nim słowami owłosionych ust.

- Wytaj, Jan.

4

Ciężko było to pojąć. Spotkanie skończyło się tak raptownie. A o ile wiedział, do tej pory szło dobrze. Musiało wyskoczyć coś ważniejszego.

Dunbar stał przed wigwamem Wierzgającego Ptaka i patrzył w dół dzikiej alejki. Wydawało się, że ludzie gromadzą się na otwartej przestrzeni, przy końcu ulicy, obok tipi z namalowanym znakiem niedźwiedzia. Chciał zostać i zobaczyć, co się wydarzy.

Ale spokojny zniknął już w powoli narastającym tłumie. Dostrzegł kobietę, tak małą wśród i tak drobnych Indian, idącą między dwiema innymi kobietami. Nie obejrzała się za nim, lecz gdy porucznik odprowadzał wzrokiem jej niknącą w oddali sylwetkę, widział, że jej chód ma w sobie coś z obu ludów: indiańskiego i białego.

Nadbiegł Cisco i Dunbar był zaskoczony, widząc, że na jego koniu jedzie chłopiec z nieodstępnym uśmiechem. Młodzieniec osadził konia, zsunął się na ziemię, poklepał Cisca po szyi i szaszwargotał coś, co porucznik Dunbar słusznie zinterpretował jako chwałbę zalet jego konia.

Strumień ludzki teraz napływał na polankę i nie zwracano uwagi na mężczyznę w mundurze. Porucznik znów pomyślał o pozostaniu, lecz mimo że tak bardzo tego chciał, wiedział, iż bez formalnego zaproszenia nie będzie mile widziany. A żadne zaproszenie nie nadeszło.

Słońce zaczynało zachodzić i w brzuchu już mu burczało. Jeśli zamierza zdążyć do domu przed zmierzchem i w ten sposób uniknąć grzebaniny tylko po to, żeby przygotować

sobie obiad, musi się uwinąć. Wskoczył na siodło, zawrócił Cisca i lekkim cwałem opuścił wioskę.

Mijając ostatni wigwam, dojrzał mimochodem dziwne zgromadzenie. Za jednym z ostatnich wigwamów zebrał się z tuzin mężczyzn. Obwieszeni byli najrozmaitszymi ozdobami, a ciała pomalowane mieli w krzykliwe desenie. Głowa każdego z mężczyzn przykryta była bizonim łbem, w którym nie brakowało nawet poskręcanych kudłów i rogów. Spod dziwnych hełmów widać było jedynie ciemne oczy i wydatne nosy.

Dunbar, cwałując obok nich, uniósł dłoń. Kilku spojrzło w jego kierunku, ale żaden nie odwzajemnił gestu i porucznik pojechał dalej.

5

Odwiedziny Dwóch Skarpet nie ograniczały się już do późnych popołudni i wczesnych ranków. Teraz mógł wyłonić się o każdej porze, a kiedy tak się zdarzało, stary wilk czuł się jak u siebie w domu, wędrując wzdłuż krańców małego światka porucznika Dunbara, jakby był wiejskim psem. Odległość, jaką niegdyś zachowywał, kurczyła się, w miarę jak rosła ich zażyłość. Najczęściej gdy samotny porucznik krzątał się wokół drobnych zajęć, wilk był nie dalej niż o dwadzieścia lub trzydzieści stóp. Gdy pisał kolejny rozdział dziennika, Dwie Skarpety zwykle przeciągał się i kładł, wpatrzony ze zdziwieniem mrugającymi, żółtymi ślepiami, jak porucznik skrobie po stronicach papieru.

Droga powrotna była samotną drogą. Zakończone nie w porę spotkanie z kobietą, która należała do dwóch ludów, i dziwaczne ożywienie w wiosce (ożywienie, w którym nie brał udziału) pogrzyły Dunbara w jego odwiecznej pokucie - ponurym poczuciu opuszczenia. Przez całe życie łaknął czynnego w nim uczestnictwa i jak w przypadku każdej innej ludzkiej istoty, samotność była czymś, z czym musiał się stale borykać. W przypadku porucznika samotność stała się dominującą cechą życia, więc widok płowej sylwetki Dwóch Skarpet wyrastającej pod zadaszeniem, gdy podjeżdżał o zmierzchu, był kojący.

Wilki odbiegł truchtem na podwórzec i usiadł, przyglądając się, jak porucznik rozkulbacza Cisca.

Dunbar natychmiast zauważył, że pod zadaszeniem było coś jeszcze. Na ziemi leżał martwy duży kurak stepowy, a gdy przystanął, by mu się przyjrzeć, odkrył, że ptak został dopiero co zabity. Krew na jego szyi była jeszcze lepka. Lecz wyjąwszy ukąszenia wokół gardła, kurak był nienaruszony. Niemal każde piórko było na swoim miejscu. Była to zagadka, którą można było rozwiązać tylko w jeden sposób i porucznik spojrzął niedwuznacznie na Dwie Skarpety.

- Czy to twoje? - powiedział głośno.

Wilk podniósł oczy i zamrugał, podczas gdy porucznik Dunbar jeszcze jakąś chwilę przypatrywał się ptakowi.

- No dobrze - wzruszył ramionami - myślę, że to twoje.

6

Dwie Skarpety stał nie opodal, nie odrywając wąskich oczu od Dunbara, gdy porucznik skubał, patroszył i piekł ptaka na wolnym ogniu. Podczas gdy ptak był na rożnie, podążył w ślad za porucznikiem do zagrody i cierpliwie patrzył, jak ten podsypuje Ciscowi codzienną porcję ziarna. Potem wrócił do ogniska w oczekiwaniu na ucztę.

To był smaczny ptak, kruchy i mięsisty. Porucznik jadł powoli, obierając pulchne mięso włókno po włóknie i co chwilę ciskając kawałek Dwóm Skarpetom. Kiedy skończył jeść swoją porcję, rzucił wysokim łukiem szkielet na podwórzec i stary wilk uniósł go w mroki nocy.

Porucznik Dunbar siedział na jednym ze składanych krzeseł i palił papierosa, pochłonięty nasłuchiowaniem odgłosów nocy. Pomyślał, że to zadziwiające, jak daleko zaszedł w tak krótkim czasie. Nie tak dawno temu te same odgłosy trzymały go w skrajnym napięciu. Kradły mu sen. Teraz były tak powszednie, że nawet dodawały otuchy.

Przemyślał od początku wydarzenia tego dnia i doszedł do wniosku, że był to bardzo dobry dzień. Gdy dopalało się ognisko i drugi papieros, uświadomił sobie, jak bardzo czymś wyjątkowym był dla niego osobisty i bezpośredni kontakt z Indianami. Sam sobie pogratulował, pomyślawszy, że jak dotąd kompetentnie wykonał swoją robotę jako przedstawiciel Stanów Zjednoczonych Ameryki. I to bez żadnych wskazówek, na których mógłby się oprzeć.

Raptem pomyślał o Wielkiej Wojnie. Możliwe, że już nie jest przedstawicielem Stanów Zjednoczonych. Może wojna się skończyła. Konfederacja Stanów Ameryki... Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Ale mogło tak być. Od długiego czasu nie miał żadnych wiadomości.

Te rozmyślenia przypomniały mu jego własną karierę i w duchu przyznał, że coraz mniej myśli o armii. To, że znajdował się teraz w samym środku wielkiej przygody, zawdzięczał w dużym stopniu temu zaniedbaniu, ale gdy tak siedział przy dogasającym ogniu, wsłuchując się w skowyt kojotów w dole rzeki, przyszło mu na myśl, że może oto zahaczył o lepsze życie. W tym życiu brakowało mu bardzo niewiele. Cisco i Dwie Skarpety nie byli ludźmi, ale ich niezachwiana lojalność była tak satysfakcjonująca, jak nigdy żadne

związki międzyludzkie. Był z nimi szczęśliwy.

I oczywiście byli Indianie. W nich pociągało go coś innego. Byli co najmniej znakomitymi sąsiadami, uprzejmymi, otwartymi i gościnnymi. Choć był o wiele za biały jak na ich tubylcze obyczaje, w ich towarzystwie było mu bardziej niż miło. Było w nich coś mądrego. Może dlatego właśnie od samego początku tak go pociągali. Porucznik nigdy nie miał zapалу do nauki. Zawsze był człowiekiem czynu, czasami aż do przesady. Ale wy czuł, że ta strona jego osobowości się zmienia.

Tak, pomyślał, w tym rzecz. Od nich można się niejednego nauczyć. Wiedzą wiele rzeczy. Jeśli nawet armia nigdy nie nadciągnie, nie sędzę, żeby była to aż tak wielka strata.

Nagle Dunbar poczuł rozleniwienie. Ziewając cisnął niedopałek papierosa na żarzące się u jego stóp węgle i przeciągnął się.

- Spać - powiedział. - Teraz prześpię całą noc jak zabity.

7

Porucznik Dunbar obudził się roztrzęsiony w ciemnościach wczesnego poranka. Ziemia także się trzęsła, a po wietrze wypełniał głuchy odgłos łomotu.

Wyskoczył z łóżka i pilnie nadśluchiwał. Łomot dobiegał gdzieś z pobliza, z dołu rzeki.

Naciągając spodnie i buty, porucznik wymknął się na zewnątrz. Tam dźwięk był jeszcze donośniejszy, napelniając nocną prerię potężnym, zwielokrotnionym echem.

Będąc w samym jego środku, poczuł się mały.

Dźwięk nie zbliżał się w jego kierunku i sam nie wiedząc dokładnie dlaczego, wykluczył, by tę ogromną energię wytworzył jakiś kaprys natury, jakieś trzęsienie ziemi albo potop. To coś żywego wywoływało ten dźwięk. Coś żywego wprawiało ziemię w drzenie, i musiał zobaczyć, co to takiego.

Światło latarni wydawało się nikłe, gdy ruszył gdzieś przed siebie, w kierunku nawały dźwięków. Nie uszedł nawet stu jardów, gdy w słabym świetle niesionej latarni pochwycił coś wzrokiem. To był kurz: ogromna, przetaczająca się ściana kurzu, która wzbijała się w górę w nocny mrok.

Porucznik zwolnił i zbliżywszy się, niemal zaczął się skradać. W jednej chwili zorientował się, że gromki dźwięk wydają kopyta i że kurz został wzniecony przez pędzące, tak duże zwierzęta, iż nigdy by nie uwierzył w to, co widzi teraz na własne oczy.

Bizony.

Jeden z nich zboczył, wydostając się z obłoku kurzu. Jeszcze jeden. I jeszcze jeden.

Zdażył tylko rzucić na nie okiem, gdy przewaliły się obok niego, lecz ich widok był tak wspaniały, że równie dobrze mogłyby stać jak wryte. W tej bowiem chwili wryły się na zawsze w pamięć porucznika Dunbara.

W tym momencie, stojąc samotnie z latarnią, pojął, co one znaczyły dla świata, w którym żył. Były tym, czym ocean jest dla ryb, niebo dla ptaków, powietrze dla ludzkich płuc.

One były życiem prerii.

A były ich tysiące i przelewały się przez urwisko, i dalej w dół, nad rzekę, którą przekroczyły, tyle o nią dbając co pociąg o kałużę. A potem pod górę na drugim brzegu i dalej w prerię, pędząc z łomotem do siebie tylko znanego celu - nawałnica kopyt, rogów i mięsa, która przecinała tę krainę w pół z siłą ponad wszelką wyobraźnię.

Dunbar rzucił latarnię tam gdzie stał i puścił się biegiem. Zatrzymał się tylko na tyle, by założyć uprzęż Ciscovi, i nawet nie wkładał koszuli. Natychmiast wskoczył na konia i spiął go do galopu. Przycisnął się nagą pierśią do szyi bułanka i puścił mu cugle.

8

Wioska jarzyła się poświatą ognisk, gdy porucznik Dunbar wpadł do kotliny, w której rozbite były wigwamy, i z tętentem kopyt pędził główną aleją obozu. Widział teraz płomienie największego ogniska i zgromadzony wokół niego tłum. Widział tancerzy z łbami bizonów i słyszał jednostajny łomot bębnów. Słyszał głębokie, miarowe pienia.

Ale był tylko na w pół świadomy widowiska, które roztaczało się przed jego oczami, tak jak tylko na w pół świadomy był drogi, którą przebył, gnając milami co koń wyskoczy przez prerię. Nie zdawał sobie sprawy z potu, którym okrył się Cisco od łba po ogon. Popędzając konia przez aleję, w głowie miał tylko jedno... słowo oznaczające w języku Komanczów bizona. Powtarzał je w nieskończoność, próbując przypomnieć sobie dokładną jego wymowę.

Teraz wykrzykiwał to słowo na głos. Ale w zgiełku bębnów i zaśpiewów nie usłyszeli jeszcze, że nadjeżdża. Gdy zbliżył się do ogniska, próbował osadzić Cisca, ale koń w rozszalałym pędzie nie słuchał cugli.

Wtargnął w sam środek tańca, rozpędzając Komanczów na wszystkie strony. Z najwyższym wysiłkiem porucznik osadził Cisca, lecz gdy jego zad szorował po ziemi, głowa i szyja uniosły się pionowo w górę. Przednie nogi szaleńczo wpiły się w pustkę. Dunbar nie zdołał utrzymać się w siodle. Ześlizgnął się z gładkiego od potu grzbietu i z donośnym łoskotem walnął o ziemię.

Zanim zdołał się poruszyć, wpiło się w niego z pół tuzina rozwścieczonych

wojowników. Jeden człowiek z kamiennym toporem mógł położyć wszystkiemu kres, ale sześciu ludzi splątało się razem i żaden nie mógł wymierzyć porucznikowi pewnego ciosu.

Tarzali się po ziemi w chaotycznym kłębowisku. Dunbar wrzeszczał „bizony”, broniąc się przed kułakami i kopnięciami. Ale nikt nie rozumiał, co mówił, i sporo ciosów zaczęło dochodzić do celu.

Nagle niejasno zdał sobie sprawę, że zelżał ciężar przygniatający go do ziemi. Ktoś przekrzykiwał tumult, a głos jego był znajomy.

Wkrótce nie było już na nim nikogo. Leżał na ziemi sam, spoglądając do góry w oczy na wpół ogłupiałej chmary indiańskich twarzy. Jedna z twarzy pochyliła się nad nim.

Wierzgający Ptak.

Porucznik powiedział: „Bizony”.

Dyszał całym ciałem, próbując złapać oddech, a jego głos wydobywał się szeptem.

Twarz Wierzgającego Ptaka nachyliła się bardziej.

- Bizony - wykrztusił porucznik.

Wierzgający Ptak chrząknął i potrząsnął głową. Przyłożył ucho o włos od ust Dunbara i porucznik jeszcze raz powtórzył to słowo, z całej siły starając się nadać mu właściwy akcent.

- Bizony.

Oczy Wierzgającego Ptaka na powrót znalazły się na wprost porucznika Dunbara.

- Bizony?

- Tak - powiedział Dunbar, a na jego twarzy zaświecił błady uśmiech. - Tak... bizony... bizony.

Wyczerpany, przymknął na chwilę oczy i usłyszał niski głos Wierzgającego Ptaka, wykrzykujący w ciszy to samo słowo.

W odpowiedzi rozległ się ryk radości z wszystkich gardeł Komanczów i przez ułamek sekundy porucznik pomyślał, że jego potęga porywa go ze sobą. Mrugając oczami, by pozbyć się mgiełki, poczuł, że mocne indiańskie ramiona stawiają go na nogi.

Podniósłszy tedy wzrok, powitany został widokiem setek rozpromienionych twarzy. Cisnęły się zewsząd wokół niego.

ROZDZIAŁ XVIII

1

Wyruszyli wszyscy.

Obóz nad rzeką niemal całkiem opustoszał, gdy o świcie wyruszyła wielka karawana.

Na wszystkie strony powysyłano zwiadowców. Na czele jechała czereda wojowników na koniach. Potem szły kobiety i dzieci, część konno, a część nie. Piechurzy maszerowali obok kuców ciągnących sanie załadowane sprzętem. W ogonie jechało kilku starców. Pochód zamykało wielkie stado kuców.

Niejedno można było podziwiać. Choćby same rozmiary kolumny, szybkość, z jaką się posuwała, niewiarygodny harmider, jaki jej towarzyszył, wspaniałą organizację, dzięki której każdy znał swoje miejsce i swoje zadania.

Lecz za najniezwyklesze ze wszystkiego porucznik Dunbar uznał traktowanie jego własnej osoby. Dosłownie z dnia na dzień z kogoś, na kogo horda spogląda podejrzliwie lub obojętnie, stał się osobą o niezaprzeczalnej pozycji społecznej. Kobiety otwarcie teraz uśmiechały się do niego, a wojownicy posunęli się aż do wymieniania z nim żartów. Dzieci, których było wiele, nieustannie szukały jego towarzystwa i niekiedy stawały się uciążliwe.

Traktując go w ten sposób, Komańcze ukazywali się z całkiem nowej strony, będącej odwrotnością stoickiej i pełnej rezerwy postawy, którą prezentowali wobec niego w przeszłości. Teraz byli bezceremonialnymi, z gruntu pogodnymi ludźmi i to sprawiało, że porucznik Dunbar zachowywał się tak samo. Nadejście bizonów tak czy inaczej wprowadziłoby trochę pogody ducha w oświecone serca Komanczów, lecz gdy kolumna przedzierała się przez prerię, porucznik wiedział, że jego tu obecność dodaje przedsięwzięciu trochę blasku, i na myśl o tym prostował się z dumą w siodle.

Na długo przed dotarciem do Fort Sedgewick szpice przyniosły wiadomość, że znaleziono wielką ilość śladów tam, gdzie mówił porucznik, i natychmiast wysłano więcej ludzi, by ustalili rejon wypasu głównego stada.

Każdy zwiadowca zabrał ze sobą kilka świeżych luzaków. Będą jechali dopóty, dopóki nie znajdą stada, potem wrócą do kolumny, by powiadomić, jak jest liczne i o ile mil stąd się znajduje. Powiadomią także o obecności nieprzyjaciół, którzy mogliby zasadzić się wokół terenów łowieckich Komanczów.

Gdy kolumna przejeżdżała obok fortu, Dunbar zatrzymał się w nim na chwilę. Wziął zapasy tytoniu, rewolwer i strzelbę, kurtkę, porcję ziarna dla Cisca i w parę minut był już z powrotem u boku Wierzgającego Ptaka i jego pomocników.

Gdy przeprawili się przez rzekę, Wierzgający Ptak skinął na niego i obaj mężczyźni wysunęli się przed czoło kolumny. To wtedy po raz pierwszy Dunbar ujrzał szlak bizonów: gigantyczny, szeroki na pół mili łąn przeoranej ziemi, ciągnący się przez prerię niby jakiś ogromny, wyściełany łajnem gościniec.

Wierzgający Ptak właśnie opisywał na migi coś, czego sensu porucznik nie mógł w pełni uchwycić, gdy na horyzoncie pojawiły się dwa obłoczki kurzu. Para powracających zwiadowców.

Prowadząc zapasowe konie, nadjechali galopem i osadzili wierzchowce przed świętą Dziesięciu Niedźwiedzi, by zdać mu relację.

Wierzgający Ptak podjechał, by się naradzić, a Dunbar, nie wiedząc, o czym mówiono, pilnie przypatrywał się czarownikowi w nadziei, że odgadnie coś z jego wyrazu twarzy.

To co zobaczył, niewiele mu pomogło. Gdyby znał język, zrozumiałby, że stado zatrzymało się na popas w wielkiej dolinie, około dziesięciu mil na południe od obecnej pozycji kolumny, w miejscu, do którego z łatwością mogli dotrzeć przed zmierzchem.

Nagle rozmowa ożywiła się i porucznik odruchowo nachylił się, jakby słuchał. Zwiadowcy gestykulowali szeroko, pokazując najpierw na południe, a potem na wschód. Twarze słuchaczy wyraźnie sposepniały i zadawszy zwiadowcom jeszcze kilka pytań, Dziesięć Niedźwiedzi, nie zsiadając z konia, porozumiał się ze swymi najbliższymi doradcami.

Wkrótce dwóch jeźdźców odłączyło się od zgromadzenia i przegalopowało wzdłuż linii. Gdy odjechali, Wierzgający Ptak rzucił spojrzenie na porucznika, a Dunbar wystarczająco dobrze znał tę twarz, by zrozumieć, że jej wyraz oznacza, iż nie wszystko idzie tak, jak powinno.

Za nim rozległ się tętent kopyt, a obróciwszy się, porucznik ujrzał z tuzin wojowników pędzących ku czołowi kolumny. Prowadził ich zuchwały.

Zatrzymali się przy grupce Dziesięciu Niedźwiedzi, krótko się naradzili i zabierając ze sobą jednego ze zwiadowców, popędzili w kierunku wschodnim.

Kolumna znów ruszyła, a gdy Wierzgający Ptak wrócił na swoje miejsce obok białego żołnierza, dostrzegł w oczach porucznika całą masę pytań. Niepodobna było mu to wyjaśnić - tę złą wróżbę.

W sąsiedztwie wykryto nieprzyjaciół, tajemniczych nieprzyjaciół z innego świata. Swymi uczynkami udowodnili, że są ludźmi bezwartościowymi i bezdusznymi, rozbestwionymi rzeźnikami, którzy nie szanują praw Komanczów. Należało ich ukarać.

Więc Wierzgający Ptak uniknął pytającego wzroku porucznika. Zamiast tego zapatrzył

się na obłok kurzu wzbijany przez oddział Wiatru W Jego Włosach, który ciągnął szlakiem na wschód, i odmówił cichą modlitwę za powodzenie ich wyprawy.

2

Od pierwszej chwili, gdy ujrzał narastające w oddali różowawe wzniesienia, wiedział, że ma przed sobą coś paskudnego. Na różowawych wzniesieniach były czarne cętki, a gdy kolumna podciągnęła bliżej, zobaczył, że się ruszają. Nawet powietrze wydawało się bardziej duszne i porucznik rozpiął następny guzik kaftana.

Wierzgający Ptak celowo wziął go ze sobą na czoło. Ale nie było jego zamiarem karać. Chciał nauczyć, a więcej nauczyć mogło ujrzenie tego na własne oczy niż mówienie o tym. Na czele wrażenie będzie większe. Będzie większe dla nich obu. Wierzgający Ptak także nigdy nie oglądał tego widoku.

Gorzka jak żółć mieszanina wstrętu i żalu, jak rtęć w termometrze, podchodziła z wolna porucznikowi Dunbarowi do gardła. Gdy wraz z Wierzgającym Ptakiem prowadził kolumnę w sam środek terenu masakry, musiał nieustannie przełykać ślinę, by nie wylała się na zewnątrz.

Naliczył dwadzieścia siedem bizonów. I choć nie mógł tego policzyć, uznał, że na każdym cielsku mrowi się przynajmniej tyle samo kruków. Niekiedy łby bizonów pokryte były masą szamoczących się czarnych ptaków, które wrzeszczały, wiły się i trzepotały skrzydłami, walcząc o gałki oczne. Te bizony, którym wyżarły już oczy, padały pastwą większych stad, które dziobały żarłocznie, łącząc tam i z powrotem po tułowiach i wypróżniając się co chwilę jakby dla podkreślenia obfitości uczyty.

Ze wszystkich stron nadciągały wilki. Jak tylko kolumna przejedzie, wgrzyzą się w barki, zady i brzuchy.

Lecz będzie tego aż nadto dla każdego wilka i każdego ptaka w promieniu wielu mil. Porucznik pobieżnie dokonał obliczeń i wyszła mu liczba piętnaście tysięcy. Piętnaście tysięcy funtów padliny rozkładającej się w gorącym popołudniowym słońcu.

Wszystko przeznaczone na zgnicie, pomyślał, zastanawiając się, czy to jakiś arcywróg jego indiańskich przyjaciół pozostawił to makabryczne ostrzeżenie.

Dwadzieścia siedem skór zdarto od szyi po poślądki, a gdy przechodził o parę stóp od szczególnie dużego zwierzęcia, zobaczył, że w jego otwartym pysku brakuje języka. Inne także zostały pozbawione języków. Ale to wszystko. Cała reszta została porzucona.

Porucznik Dunbar pomyślał nagle o zabitym na ulicy człowieku. Podobnie jak te bizony, mężczyzna ten leżał na boku. Kula, którą palnięto go w podstawę czaszki, wychodząc

z drugiej strony, wyrwała mężczyźnie prawą połowę szczęki.

Był wtedy tylko Johnem Dunbarem, czternastoletnim chłopcem. W latach późniejszych widział tysiące zabitych: ludzi pozbawionych całych twarzy, ludzi, których mózg wyciekał na ziemię jak rozlana marmelada. Ale pierwszego zabitego pamiętał najlepiej. Głównie z powodu palców.

Stał tuż za konstabłem, gdy odkryto, że zabitemu odcięto dwa palce. Konstabl rozejrzał się dookoła i rzucił bez konkretnego adresata: „Tego faceta zabito z powodu pierścionków”.

A teraz te martwe, leżące na ziemi bizona, z rozwleczonymi po prerii flakami, tylko dlatego, że ktoś zapragnął ich ozorów i skór. Uderzyło Dunbara to, że jest to ten sam rodzaj zbrodni.

Gdy ujrzał nie narodzone cielę, na wpół zwisające z rozprutego brzucha matki, to samo słowo, które po raz pierwszy usłyszał tamtego wieczora na ulicy, zadźwięczało mu w głowie jak gorejący znak.

Morderstwo.

Spojrzał na Wierzgającego Ptaka. Czarownik wpatrywał się w szczątki nie narodzonego cielęcia z twarzą jak długa posępna maska.

Porucznik Dunbar odwrócił się i popatrzył na kolumnę. Cała horda snuła się po tej rzeźni. Mimo głodu, który odczuwali po wielu tygodniach żywienia się odpadkami, nikt się nie zatrzymał, by uraczyć się porozrzucaną wszędzie dookoła obfitością. Głosy, które przez cały ranek były tak zachryple, teraz stały się czyste, a na twarzach widział przygnębienie zrodzone ze świadomości, że dobry trop nagle okazał się zły.

3

W porze, w której dotarli do terenów łowieckich, konie rzucały już gigantyczne cienie. Podczas gdy kobiety i dzieci zabrały się do urządzania obozu pod osłoną pasma wzgórz, większość mężczyzn pojechała naprzód, by odszukać stado, zanim zapadnie noc.

Porucznik Dunbar pojechał z nimi.

Mniej więcej w odległości mili od nowego obozu natknęli się na trzech zwiadowców, którzy rozbili własny mały obóz o sto jardów od ujścia szerokiego potoku.

Zostawiwszy na dole konie, sześćdziesięciu wojowników Komanczów i jeden biały ruszyli po cichu pod górę zachodnim stokiem prowadzącym na zewnątrz doliny potoku. Gdy zbliżali się do grzbietu, wszyscy przypadli do ziemi i przeczołgali się ostatnie jarde.

Porucznik spojrzał z wyczekiwaniem na Wierzgającego Ptaka i spotkał się ze słabym

uśmiechem. Czarownik pokazał przed siebie i przyłożył palec do ust. Dunbar zrozumiał, że nadeszły.

O parę stóp przed nim ziemia rozciągała się aż po krańce nieba i pojął, że pokonali tylną ścianę klifu. Porywisty preriowy powiew smagnął go po twarzy, gdy uniósł głowę, by zerknąć na wielki spad terenu o sto stóp niżej. Była to wspaniała niecka doliny, szeroka na cztery czy pięć mil i ciągnąca się przynajmniej dziesięć mil. Wszędzie falowały najbujniejsze gatunki traw.

Lecz porucznik ledwie zauważył trawę czy rozmiary doliny. Nawet niebo, zasnuwane teraz chmurami, i zachodzące słońce z cudowną rewią katedralnych promieni nie mogły się równać z wielkim, żywym pledem bizonów, który wyścielał podnóże doliny.

To, że istniało tak wiele tych stworzeń, nie mówiąc już o tym, że skupiły się w jednym pobliskim miejscu, sprawiło, że porucznikowi myśli kłębiły się od nieskończonych liczb. Pięćdziesiąt, siedemdziesiąt, sto tysięcy? Może więcej? Jego umysł wzdragał się przed ich ogromem.

Nie krzyknął, nie skoczył ani nie szepnął słowa w zalęknieniu. Bycie świadkiem takiego zjawiska przesłaniało wszystko z wyjątkiem tego, co z zapartym tchem oglądał. Nie czuł, jak małe, nieregularne w kształtach kamienie wpijają mu się w ciało. Gdy na jego opadniętej szczęce usiadł giez, nawet go nie odgonił. Mógł jedynie mrugać powiekami wobec czarownej powłoki, która zasnuwała mu oczy.

Był świadkiem cudu.

Kiedy Wierzgający Ptak klepnął go w ramię, uświadomił sobie, że przez cały czas miał otwarte usta. Były wysuszone na pieprz preriowym wiatrem.

Tępo odwrócił głowę i rozejrzał się po stoku za sobą.

Indianie zaczęli schodzić.

4

Jechali przez pół godziny, gdy ukazały się ogniska jak dalekie punkciki. Dziwota tego zjawiska była jak sen.

Dom, pomyślał. To jest dom.

Jak to możliwe? Tymczasowy obóz jarzący się ogniskami na dalekiej równinie, zamieszkały przez dwie setki tubylców o innym kolorze skóry, których język był zlepkiem pomruków i krzyków, których wierzenia były wciąż dla niego tajemnicą i pewnie nią pozostaną.

Lecz tej nocy był bardzo zmęczony. Tej nocy była to obietnica błogostanu rodzinnych

stron. To był dom i cieszył się, że go widzi.

Inni, dziesiątki półnagich mężczyzn, z którymi przejechał ostatnich kilka mil, także cieszyli się, że go widzą. Znow zaczęli rozmawiać. I konie go zwietrzyły. Kroczyły teraz, wysoko unosząc kopyta i rwąc się do kłusa.

Żałował, że wśród niewyraźnych cieni wokół siebie nie dostrzeża Wierzgającego Ptaka. Czarownik wiele potrafił powiedzieć swymi oczyma, a w tych ciemnościach, tak intymnie związany z tymi dzikimi ludźmi zbliżającymi się do swego dzikiego obozowiska, czuł się opuszczony bez wymownych oczu Wierzgającego Ptaka.

O pół mili dalej usłyszał głosy i uderzenia w bębny. Szmer przetoczył się poprzez szeregi jego kompanów na wierzchowcach i raptem konie puściły się cwałem. Byli tak ściśnięci i posuwali się z taką chyżością, że przez chwilę porucznik Dunbar poczuł się częścią niepokromionej energii, traktującej wszystko fali ludzi i koni, której nikt nie ośmieliłby się przeciwstawić.

Mężczyźni wyli, wysoko i przenikliwie jak kojoty, a Dunbar, tak bardzo ogarnięty podnieceniem, też wydał kilka poszczekiwań.

Widział płomienie ognisk i sylwetki ludzi krzątających się po obozie. Wiedzieli już o powrocie jeźdźców i niektórzy wybiegli im na spotkanie na prerię.

Obóz wywołał w nim dziwaczne uczucie, uczucie, które podpowiadało mu, że panuje w nim niezwykle ożywienie, że coś niecodziennego wydarzyło się podczas ich nieobecności. Podjeżdżając bliżej, oczy miał szeroko otwarte, by pochwycić jakiś ślad, który wyjaśniłby mu tę zmianę.

Wtedy zobaczył wóz stojący na obrzeżach największego ogniska, równie nie na miejscu, jak nie na miejscu byłaby wytworna karetka pływająca po powierzchni morza.

W obozie byli biali ludzie.

Gwałtownie osadził Cisca, pozwalając się wyprzedzić innym jeźdźcom, podczas gdy sam wolał zostać z tyłu, by zebrać myśli.

Wóz był prymitywnym okazem brzydoty. Podczas gdy Cisco tańczył pod nim nerwowo, porucznik borykał się ze swymi myślami. Gdy wyobraził sobie głosy, które się wraz z nim pojawiły, nie chciał ich słyszeć. Nie chciał widzieć bladych twarzy, które mogły tak bardzo pragnąć zobaczyć jego twarz. Nie chciał odpowiadać na ich pytania. Nie chciał słuchać spóźnionych wiadomości.

Ale wiedział, że nie ma wyboru. Nie miał dokąd pójść. Popuścił Ciscowi trochę cugli i stępa posuwali się naprzód. Stanął w odległości pięćdziesięciu jardów. Indianie zapamiętali tańczyli wokół zsiadających z koni ludzi, którzy wytropili stado. Poczekał, aż odprowadzą

konie, i wtedy przyjrzał się wszystkim twarzom w zasięgu wzroku.

Nie było białych twarzy.

Podeszli bliżej i raz jeszcze Dunbar stanął, starannie przeszukując wzrokiem obozowisko.

Żadnych białych.

Spostrzegł zuchwałego i ludzi z jego niewielkiego oddziałku, który odłączył się od nich po południu. Wydawało się, że są w samym centrum uwagi. To było stanowczo coś więcej niż powitanie. To był rodzaj uhonorowania. Podawali sobie tam i z powrotem długie kije. Wrzeszczeli. Mieszkańcy wioski, którzy zbiegli się, by ich oglądać, także wrzeszczeli.

Porucznik podjechał chyłkiem bliżej i natychmiast zobaczył, że był w błędzie. Nie podawali sobie w krąg patyków. Podawali sobie włócznie. Jedna z nich powróciła do Wiatru W Jego Włosach i Dunbar ujrzał, że unosi ją wysoko w powietrze. Gdy wydał z siebie przeciągłe, wibrujące wycie, Dunbar spostrzegł włosy przywiązane koło ostrza włóczni.

W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że to skalp. Świeży skalp. Włosy były czarne i kręcone.

Pośpiesznie przeniósł wzrok na pozostałe włócznie. Jeszcze dwie inne miały na sobie skalpy: jeden był jasnobrązowy, a drugi rudawy, prawie blond. Szybko spojrzął na wóz i zobaczył to, czego wcześniej nie widział. Poprzez balaski wyzierał ładunek w postaci sterty bizonich skór.

Nagle wszystko stało się jasne jak słońce.

Skóry należały do zamordowanych bizonów, a skalpy należały do ludzi, którzy je zabili, ludzi, którzy jeszcze tego popołudnia byli żywi. Białych ludzi. Porucznik stał zdrtwiał z zamętem w głowie. Nie może w tym brać udziału, nawet jako widz. Musi wyjechać.

Zawracając, natknął się przypadkowo wzrokiem na Wierzgającego Ptaka. Czarownik uśmiechał się szeroko, lecz gdy ujrzał porucznika Dunbara w cieniu po drugiej stronie ogniska, uśmiech zniknął z jego twarzy. Potem, jakby chciał ulżyć porucznikowi w jego zakłopotaniu, odwrócił się plecami.

Dunbar chciał wierzyć, że Wierzgający Ptak sercem jest z nim, że w jakiś niekonkretny sposób rozumie jego zmieszanie. Lecz na razie nie mógł myśleć. Musiał sam się zdecydować i wyjechać.

Okrążając obóz, odnalazł swoje manatki na dalszym jego krańcu i wyjechał na prerię. Jechał dopóty, dopóki nie stracił z oczu ognisk. Potem rozłożył na ziemi śpiwór i leżał wpatrzony w gwiazdy, pragnąc uwierzyć, że ludzie, którzy zostali zabici, byli źli i zasłużyli

na śmierć. Ale to nie było dobre. Nie wiedział przecież tego na pewno, a jeśli nawet... cóż, nie jemu o tym sądzić. Chciał wierzyć, że Wiatr W Jego Włosach, Wierzgający Ptak i reszta ludzi, którzy brali udział w zabójstwie, nie byli aż tak szczęśliwi, że to zrobili. Ale byli. A nade wszystko pragnął wierzyć, że nie jest tu, gdzie jest. Chciał wierzyć, że unosi się ku gwiazdom. Ale nie unosił się.

Usłyszał, że Cisco kładzie się w trawie z ciężkim sapaniem. Potem zrobiło się cicho i Dunbar zamyślił się nad własną osobą. A raczej nad brakiem własnej osobowości. Nie należał do Indian. Nie należał do białych. A nie czas był, by należeć do gwiazd.

Należał właśnie do miejsca, w którym teraz był. Należał donikąd.

Szloch podszedł mu do gardła. By go stłumić, musiał zacisnąć usta. Lecz łkania wciąż nim wstrząsały i niewiele czasu upłynęło, gdy przestał dostrzegać jakikolwiek sens w trzymaniu ich na wodzy.

5

Coś go trąciło. Gdy się obudził, myślał, że lekkie szturchnięcie, które poczuł na plecach, przyśniło mu się. Koc był ciężki i nasiąknięty rosą. Nocą musiał naciągnąć go na głowę.

Uniósł rąbek koca i wyrzwał w mgliste światło poranka. Cisco stał samotnie w trawie kilka stóp przed nim. Strzygł uszami.

I znów to samo lekkie walnięcie w plecy. Porucznik Dunbar odrzucił koc i spojrzał w twarz stojącego tuż nad nim mężczyzny.

Był to Wiatr W Jego Włosach. Jego sroga twarz pomalowana była grudkami ochry. W jednej ręce miał błyszczącą, nowiutką strzelbę. Uniósł ją z wolna i porucznik wstrzymał oddech. Może nadszedł jego czas. Wyobraził sobie swoje włosy dyndające u włóczy zuchwałego.

Lecz Wiatr W Jego Włosach, podniósłszy strzelbę trochę wyżej, uśmiechnął się. Trącił delikatnie porucznika w bok palcem u nogi i powiedział kilka słów w języku Komanczów. Porucznik Dunbar leżał w bezruchu, gdy Wiatr W Jego Włosach wycelował ze strzelby do jakiejś wyimaginowanej zwierzyny. Potem wepchnął sobie w usta kęs wyimaginowanego jedzenia i jak przyjaciel w żartach zrywający z łóżka drugiego przyjaciela, jeszcze raz połaskotał go czubkiem mokasy na zębra.

6

Nadjechali pod wiatr, wszyscy fizycznie sprawni mężczyźni z hordy, wielką, rozciągniętą w półkieszy formacją, poruszającym się półkolem szerokim na pół mili. Jechali

powoli, starając się nie spłoszyć bizonów możliwie do ostatniej chwili, kiedy nastanie czas pogoni.

Jako nowicjusz wśród znawców, porucznik Dunbar pochłonięty był próbami dopatrzania się strategii w polowaniu, w miarę jak stopniowo się rozwijało. Ze swego miejsca blisko środka szyku widział, że kierowali się ku małej, odosobnionej części ogromnego stada. Jeźdźcom składającym się na prawe skrzydło ruchomego półksiężyca prawie udało się odciąć łukiem małą grupkę, podczas gdy środek naciskał na jej tyły. Z lewej strony formacja myśliwska rozwijała się w wydłużającą się nieskończenie prostą linię.

To było okrążenie.

Był na tyle blisko, żeby słyszeć dźwięki: pomukiwania cieląt to tu, to tam, ryki ich matek, od czasu do czasu parsknięcie jednego z masywnych byków. Na wprost niego było wiele tysięcy zwierząt.

Porucznik spojrział na prawo. Najbliższym jeźdźcem był Wiatr W Jego Włosach i zbliżając się do stada, cały zamienił się we wzrok. Zdawało się, że nie zauważa poruszającego się pod nim konia albo kołyszanej się w rękach strzelby. Jego bystre oczy były wszechobecne: lustrowały myśliwych, zdobycz i kurczącą się przestrzeń pomiędzy nimi. Jeśli dałoby się zobaczyć powietrze, zauważyłby każdy najlżejszy podmuch. Był jak człowiek zasluchany w tykanie niewidzialnego zegara.

Nawet porucznik Dunbar, tak niedoświadczony w takich sprawach, wyczuwał narastające wokół niego napięcie. Wiatr całkowicie ustał. Nic nie dolatywało. Nie słyszał już odgłosu kopyt koni łowców. Nawet stado przed nimi nagle ucichło. Śmierć mościła sobie miejsce na prerii z nieuchronnością burzowej chmury.

Gdy znalazł się w odległości stu jardów, garstka kosmatych bestii zrobiła zwrot jak oddział wojska i stanęła twarzą do niego. Uniosły wielkie łby, łapiąc w nozdrza nieruchome powietrze w poszukiwaniu śladu tego, co pochwyciły słuchem, ale czego ich słaby wzrok nie był jeszcze w stanie rozpoznać. Ogony uniosły się do góry, wijąc się ponad zadami jak małe flagi. Największy wśród nich zarył kopytem w trawę, wstrząsnął łbem i parsknął burkliwie, rzucając wyzwanie nagonce zbliżających się jeźdźców.

Dunbar zrozumiał wówczas, że mające właśnie nastąpić zabijanie nie jest dla żadnego z łowców z góry przesądzonym finałem, nie jest jedynie kwestią czasu i że aby zadać śmierć tym zwierzętom, każdy z mężczyzn będzie musiał narazić własne życie.

Jakiś wstrząs przeszedł wzdłuż prawej flanki, poczynając od wierzchołka półksiężyca daleko w przodzie. Łowcy uderzyli.

Ze zdumiewającą prędkością pierwsze uderzenie wyzwoliło reakcję łańcuchową, która

objęła Dunbara w taki sam sposób, w jaki oceaniczny grzywacz porywa nieopatrzego plażowicza.

Bawoły, które stały na wprost niego, odwróciły się i popędziły. W tej samej chwili wszystkie indiańskie kuce wystrzeliły do przodu. Stało się to tak szybko, że Cisco niemal wymknął się spod porucznika. Sięgnął za siebie, gdy spadł mu kapelusz, ale ten jedynie obił mu się o końce palców. Nieważne. Teraz nie można się było zatrzymać, nawet gdyby użył całej swojej siły. Mały bułanek pruł do przodu, połykając przestrzeń, jakby płomienie przypalały mu kopyta, jakby od tego biegu zależało jego życie.

Dunbar spojrzął po linii jeźdźców na prawo i lewo i był przerażony, zobaczywszy, że nikogo tam nie ma. Obejrzał się przez ramię i zobaczył ich, płasko przytulonych do grzbietów wyprężonych w biegu kuców. Jechały najszybciej, jak potrafiły, lecz w porównaniu z Ciskiem marudziły, czyniąc beznadziejne wysiłki, by mu dotrzymać kroku. Z każdą sekundą pozostawały coraz dalej z tyłu i nagle porucznik znalazł się sam na wolnej przestrzeni. Był pomiędzy ścigającymi łowcami a uciekającymi bizonami.

Szarpnął cugłami Cisca, lecz jeśli bułanek w ogóle coś poczuł, nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Szyję wyciągnął daleko w przód, położył po sobie uszy, a nozdrza rozwarł najszerzej jak potrafił, chciwie łapiąc wiatr, który niósł go coraz bliżej stada.

Porucznik Dunbar nie miał czasu na myślenie. Preria ulatywała mu wstecz pod stopami, niebo przetaczało się nad głową, a między jednym a drugim, dokładnie przed nim rozciągała się w długą linię ściana umykających bizonów.

Był teraz tak blisko, że mógł dostrzec mięśnie ich tylnych nóg. Mógł dostrzec spody ich kopyt. Jeszcze sekundy, a będzie mógł ich dotknąć.

Rzucal się w śmiertelną otchłań, jak człowiek w maleńkiej łódce znoszony bez ratunku prądem ku grani wodospadu. Porucznik nie krzyczał. Nie odmówił modlitwy ani nie przeżegnał się. Ale zamknął oczy. W myślach ujrzał twarze matki i ojca. Robili coś, czego nigdy u nich nie widział. Namiętnie się całowali. Wokół nich rozlegał się jakiś łomot, wielkie, przetaczające się werble tysiąca bębnow. Porucznik otworzył oczy i znalazł się w krajobrazie jak ze snu, w dolinie pełnej gigantycznych brązowych i czarnych głazów turlających się w jednym tylko kierunku.

Pędził razem ze stadem.

Straszliwy grzmot dziesiątków tysięcy rozszczępionych racic niósł ze sobą dziwną ciszę potopu i przez parę chwil Dunbar beztrąsko dał się unosić szalonemu milczeniu dzikiego pędu.

Przywarłszy całym ciałem do Cisca, rzucił okiem na kolosalny, ruchomy dywan,

którego był teraz częścią, i wyobraził sobie, że gdyby zechciał, mógłby zsunąć się z końskiego grzbietu i dojść aż do bezpiecznego, wolnego miejsca, przeskakując z garbu na garb, jak chłopiec przekraczający strumień po kamieniach.

Strzelba wyślizgnęła mu się i nieomal wypadła ze spoconej ręki, a gdy to się działo, bawół pędzący z lewej strony, nie dalej niż stopę lub dwie, gwałtownie skręcił. Podrzutem kosmatego łba usiłował przeszyć Cisca. Lecz bułanek był na to zbyt zwinny. Uskoczył i róg jedynie drasnął go w szyję. Ten ruch nieomal zrzucił porucznika Dunbara. Właściwie powinno się to skończyć śmiertelnym upadkiem. Ale bizony były tak ciasno wokół niego stłoczone, że zamiast tego odbił się od grzbietu pędzącego po drugiej stronie bawołu i jakoś zdołał się wyprostować.

W panice porucznik złożył się i strzelił do bizona, który próbował ubóść Cisca. To był kiepski strzał, ale kula strzaskała jedną z przednich nóg zwierzęcia. Kolana się pod nim ugięły, a gdy bawół koziołkował, Dunbar usłyszał trzask łamanego karku.

Nagle wokół niego zrobiło się luźno. Bizony rozpierchły się na huk jego strzelby. Mocno ściągnął Ciskowi wodze i tym razem bułanek usłuchał. Za chwilę już stali w miejscu. Łoskot stada oddalał się.

Przyglądając się, jak stado przed nim coraz bardziej się oddala, zobaczył, że dopadli go towarzysze polowania. Widok obnażonych mężczyzn na wierzchowcach, pędzących razem z tymi zwierzętami jak korki miotane pełno morską falą, na kilka minut odebrał mu mowę. Widział, jak naciągają się ich łuki i jak podnoszą się obłoczki kurzu, gdy bizony, jeden za drugim, padają na ziemię.

Ale nie upłynęło wiele minut, gdy zawrócił. Chciał zobaczyć na własne oczy swoją ofiarę. Chciał potwierdzenia tego, co wydawało się zbyt fantastyczne, by miało być prawdziwe.

Wszystko trwało krócej niż poranne golenie.

7

Od samego początku był to wielki zwierz, lecz po śmierci, leżąc nieruchomo i samotnie w niskiej trawie, wydawał się jeszcze większy.

Porucznik Dunbar, jakby zwiedzał wystawę, okrążył powoli ciało. Zatrzymał się przy monstrualnym łbie bizona, wziął do ręki jeden róg i pociągnął. Łeb był bardzo ciężki. Przejechał dłonią po ciele: przez wełnistą strzechę na garbie, w dół ostro wciętych boków i po delikatnie owłosionym zadzie. Ścisnął w palcach pędzłowaty ogon. Wydawał się śmiesznie mały.

Wracając po swoich śladach, porucznik przykucnął przy łbie bizona i ścisnął zwisającą z dolnej szczęki czarną brodę. Przypominała mu szpicbródkę generała i zastanawiał się, czy ta sztuka była także wysoko postawionym członkiem stada.

Wstał i cofnął się dwa kroki, wciąż poruszony widokiem martwego bizona. Było fascynującą tajemnicą, jak mogło istnieć choćby jedno z tych pysznych stworzeń. A były ich przecież tysiące.

A może miliony, pomyślał.

Nie odczuwał dumy z pozbawienia bawołu życia, ale nie miał także żadnych wyrzutów sumienia. Poza mocnym poczuciem szacunku nie doznawał żadnych wzruszeń. Fizycznie jednak coś odczuwał. Czuł, że skręca mu się żołądek. Słyszał, jak burczy. Ślinka napłynęła mu do ust. Przez wiele dni żywił się skapo i teraz, gapiąc się na wielką kupę mięsa, głód dotkliwie dawał mu się we znaki.

Nie minęło nawet dziesięć minut od wścieklej szarży, gdy było już po polowaniu. Stado zniknęło, pozostawiając za sobą zabite sztuki. Łowcy szwendali się wokół swoich ofiar, czekając, aż na równinę wysypią się kobiety, dzieci i starcy obarczeni rzeźnickim sprzętem. W ich głosach dźwięczało podniecenie i Dunbara uderzyła myśl, że oto zaczyna się rodzaj świętowania.

Nagle przygalopował Wiatr W Jego Włosach z dwoma kamratami. Rozpromieniony z powodu sukcesu, uśmiechając się szeroko, zeskoczył z robiącego bokami kuca. Porucznik zauważył brzydkie rozcięcie tuż pod kolanem wojownika.

Ale Wiatr W Jego Włosach tego nie widział. Wciąż wielce rozradowany, przysunął się do porucznika i palnął go w plecy z dobrodusznym powinszowaniem, które skończyło się tym, że Dunbar rozłożył się jak długi na ziemi.

Śmiejąc się szczerze, Wiatr W Jego Włosach jednym szarpnięciem postawił ogłuszonego porucznika na nogi i wetknął mu w dłoń nóż o szerokim ostrzu. Powiedział coś w języku Komanczów i pokazał na martwego bizona.

Dunbar stał zrezygnowany, gapiąc się jak baran na nóż w swojej ręce. Uśmiechnął się bezradnie i potrząsnął głową. Nie wiedział, co robić.

Wiatr W Jego Włosach wymamrotał jakąś uwagę, która rozśmieszyła jego kompanów, palnął porucznika po ramieniu i odebrał mu nóż. Potem przykląkł na jedno kolano przy brzuchu Dunbarowego bizona.

Z namaszczeniem doświadczonego kelnera wbił nóż głęboko w pierś bizona i oburącz przeciągnął ostrze, rozkrawając ją na oścież. Gdy wysypały się wnętrzności, Wiatr W Jego Włosach wsadził rękę do otrzewnej, grzebiąc jak ktoś, kto szuka czegoś po omacku w

ciemnościach. Znalazł to, czego chciał, kilka razy szarpnął za to mocno i wstał, trzymając oburącz wątrobę tak wielką, że zwisała po bokach. Naśladując znany już ukłon białego żołnierza, ofiarował ten łup oniemiałemu porucznikowi. Przezornie Dunbar przyjął dymiący organ, ale nie mając pojęcia, co robić, uciekł się do niezawodnego ukłonu i najgrzeczniej jak potrafił wręczył wątrobę z powrotem.

Normalnie Wiatr W Jego Włosach mógłby się poczuć znieważony, ale przypomniał sobie, że „Jan” jest białym, a przez to ignorantem. Złożył zatem jeszcze jeden ukłon, wepchnął sobie do ust koniec ciepłej jeszcze wątroby i odgryzł solidny kęs.

Porucznik Dunbar patrzył z niedowierzaniem, jak wojownik podaje wątrobę przyjacielom. Oni również poodgryzali po kawałku surowego mięsa. Jedli je łapczywie, jakby to była świeżutka szarlotka.

Teraz wokół Dunbarowego bawołu zgromadził się mały tłumek, po części konnych, po części pieszych. Był tam Wierzgający Ptak, a także Ta Która Stoi Z Pięścią. Ona, wraz z jedną jeszcze kobietą, zaczęła już oprawiać martwego bizona.

Raz jeszcze Wiatr W Jego Włosach ofiarował mu na wpół zjedzone mięso i raz jeszcze Dunbar wziął je. Trzymał je w osłupieniu, szukając wzrokiem w tłumie, czy nie wyczyta z czyjejs twarzy lub gestu, jak mógłby się z tego wyplątać.

Nikt nie przyszedł mu z pomocą. Patrzyli na niego w milczeniu z niecierpliwym oczekiwaniem i zdał sobie sprawę, że jeśli spróbuje oddać je komu innemu, będzie to zbyt grubymi nićmi szyte. Czekał nawet Wierzgający Ptak.

Więc biorąc do ust wątrobę, Dunbar wmawiał sobie, że to bardzo łatwe, że to nie trudniejsze niż zmusić się do łyżki czegoś, czego się nie cierpi, na przykład czarnej fasoli.

Mając nadzieję, że się nie zadławi, wgrzyzł się w wątrobę. Mięso było niewiarygodnie delikatne. Rozpływało się w ustach. Żując, patrzył na horyzont i przez chwilę, gdy jego organy smakowe wysyłały do mózgu zaskakujący komunikat, porucznik Dunbar zapomniał o milczącej publiczności.

Mięso było wyśmienite.

Niewiele myśląc, ugryzł następny kęs. Na twarzy wykwitł mu samorzutnie uśmiech i triumfalnie porucznik podniósł nad głowę to, co zostało z mięsa.

Jego towarzysze polowania odpowiedzieli na ten gest chórem dzikich wiwatów.

ROZDZIAŁ XIX

1

Podobnie jak wielu ludzi, porucznik Dunbar spędził większą część życia na uboczu, bardziej przyglądając się niż biorąc udział w grze. W chwilach, gdy był czynnym uczestnikiem, jego posunięcia cechowała wybitna niezależność, tak jak to było w przypadku jego doświadczeń wojennych.

Stać ciągle na boku było czymś przygnębiającym.

Coś uległo zmianie w dotychczasowej kolejnie życia, gdy w ferworze uniósł wątrobę, symbol swojej zdobyczy, i usłyszał okrzyki otuchy od towarzyszy polowania. Doznał wtedy uczucia satysfakcji z przynależenia do czegoś, czego całość jest większa od jakiegokolwiek części. Było to uczucie, które od samego początku zapadło w nim głęboko. A w ciągu dni spędzonych na łowieckiej równinie i w ciągu nocy spędzonych w tymczasowym obozie uczucie to mocno się ugruntowało.

Armia niezmordowanie wychwalała żołnierskie cnoty, wartość indywidualnej ofiary w imię Boga, ojczyzny, albo jednego i drugiego. Porucznik starał się jak najlepiej przyswoić sobie te prawidła, ale ośrodkiem jego uczuć związanych ze służbą w armii głównie była głowa. Nie serce. Nie wykraczało to nigdy poza wyświechtaną, pustą patriotyczną retorykę.

Z Komańczami było inaczej.

Byli prymitywnym ludem. Żyli w ogromnym, samotnym, obcym świecie, który przez jego własny lud został wykreślony z mapy jako jedynie setki jałowych mil do przemierzenia.

I różne okoliczności ich życia stały się dla niego mniej istotne. Byli grupką, która żyła i rozkwitała dzięki służbie. Służba była tym, co pozwalało im sterować swym kruchym losem. To oznaczało zawierzać się nieustannie, z ufnością i bez słowa skargi, harmonijnemu duchowi własnego sposobu życia i w tym porucznik Dunbar odnalazł spokój, który przypadł mu do gustu.

Nie rozczarował się. Nie myślał zostać Indianinem. Lecz wiedział, że tak długo, jak jest z nimi, będzie służyć temu samemu duchowi.

To objawienie uczyniło zeń szczęśliwszego człowieka.

2

Oprawianie zwierząt było kolosalnym przedsięwzięciem.

Leżało tam może z siedemdziesiąt zabitych bawołów, rozsypanych jak czekoladowe drażetki po ogromnym klepisku, i przy każdym ciele rodziny uruchomiły przenośne

fabryczki, które pracowały z zadziwiającą szybkością i dokładnością, przetwarzając zwierzęta na produkty codziennego użytku.

Porucznik nie mógł uwierzyć własnym oczom na widok krwi. Wsiąkała w teren łowiska jak rozlany na obrus sok. Pokrywała ramiona, twarze i odzienie rzeźników. Ściekała z kuców i sań przewożących mięso do obozu.

Zabierali wszystko: skóry, mięso, flaki, kopyta, ogony, łby. W ciągu paru godzin nic nie zostało prócz prerii o wyglądzie gigantycznego, świeżo posprzątanego stołu biesiadnego.

Porucznik Dunbar spędził czas oprawiania zwierząt, wałęsając się w towarzystwie pozostałych wojowników. Wstąpił w nich nowy duch. Było tylko dwóch rannych, żaden poważnie. Jeden wysłużony kuc strzaskał przednią nogę, lecz były to niewielkie straty w porównaniu z dostatkiem, który zapewnili myśliwi.

Byli uradowani, mówiły to ich twarze, gdy spotykali się na pogawędkach przez całe popołudnie, paląc, jedząc i snując opowieści. Dunbar nie rozumiał słów, ale treść opowiadań była dość łatwa do uchwycenia. Były to gawędy o otarciu się o śmierć, złamanych łukach i tych, którzy uszli cało.

Kiedy przymówiono się do porucznika, by opowiedział swoją historię, przedstawił pantomimę przygody z taką teatralnością, że wojownicy pękali ze śmiechu. Stało się to najbardziej wziętym upamiętnieniem tego dnia i zmuszony był je powtarzać z pół tuzina razy. Za każdym opowiadaniem rezultat był ten sam. Nim doszedł do połowy, słuchacze trzęśli się, aż bolały ich brzuchy od niepowstrzymanego śmiechu.

Porucznik Dunbar nie miał im tego za złe. Sam także się śmiał. I nie miał za złe roli, jaką w jego wyczynach odegrał przypadek, ponieważ wiedział, że same czyny są prawdziwe. I wiedział, że dzięki nim dokonał czegoś wspaniałego.

Został „jednym z chłopaków”.

3

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył po powrocie tego wieczora do obozu, był jego kapelusz. Siedział na głowie mężczyzny w średnim wieku, którego nie znał.

Zapanowała krótka chwila napięcia, kiedy porucznik Dunbar podszedł bez ogródek szybkim krokiem, pokazał na wojskowy kapelusz, w którym raczej tamtemu mężczyźnie nie było do twarzy, i powiedział suchym tonem: „To moje”.

Wojownik spojrział na niego ze zdziwieniem i zdjął kapelusz. Poobracał go w dłoniach i z powrotem nasadził sobie na głowę. Potem wyjął zza pasa nóż, wręczył go porucznikowi i poszedł swoją drogą, nie odezwawszy się ani słowem.

Dunbar patrzył, jak jego kapelusz, kołysząc się, niknie mu z oczu, a potem wlepił wzrok w trzymany w dłoni nóż. Wyszywana paciorkami pochwa wyglądała na skarb, więc poszedł poszukać Wierzgającego Ptaka, sądząc, że niepomrotnie zyskał na wymianie.

Swobodnie poruszał się po obozie i dokądkolwiek się udał, spotykał się z radosnymi pozdrowieniami.

Mężczyźni chylili głowy z poważaniem, kobiety uśmiechały się, a rozchichotane dzieciaki plątały się ciągle za nim. Horda nie posiadała się ze szczęścia na myśl o mającej nadejść wielkiej uczcie, a obecność porucznika była dodatkowym źródłem radości. Bez oficjalnego ogłoszenia czy przyzwolenia zaczęli traktować go jak żywy, dobry talizman.

Wierzgający Ptak zaprowadził go prosto do wigwamu Dziesięciu Niedźwiedzi, gdzie odbyto małą uroczystość dziękczynną. Starzec wciąż jeszcze był niezwykle krzepki i garb z ubitej przez niego sztuki upieczono jako pierwszy. Gdy był gotów, Dziesięć Niedźwiedzi własnoręcznie odciął poleć, odmówił kilka słów modlitwy do Wielkiego Ducha i uhonorował porucznika, wręczając mu pierwszy kawałek.

Dunbar złożył lekki ukłon, ugryzł kęs i wytwornie wręczył z powrotem poleć Dziesięciu Niedźwiedziom, czym zrobił na starcu wielkie wrażenie. Wódz zapalił fajkę i w dalszym ciągu uhonorował porucznika, ofiarowując mu ją jako pierwszemu.

Palenie fajki przed wigwamem Dziesięciu Niedźwiedzi rozpoczęło szaloną noc. Przed każdym domem płonęło ognisko, a na każdym ognisku piekło się świeże mięso: garby, żebra i cały szereg innych wybornych kąsków.

Oświetlony jak małe miasto, tymczasowy obóz migotał długo w noc, a jego dymy snuły się pod mroczne niebo, niosąc woń, którą czuć było na wiele mil.

Ludzie jedli, jakby to był ostatni posiłek w ich życiu. Kiedy już się obzarli do rozpuku, robili krótkie przerwy, zbijając się w małe grupki, by pogawędzić albo pograć w hazardowe gry. Lecz gdy tylko uleżał im się w brzuchu ostatni posiłek, wracali do ognisk i opychali się na nowo.

Jeszcze noc nie zapadła na dobre, a już porucznik Dunbar czuł się, jakby zjadł całego bizona. Krążył po obozie z Wiatrem W Jego Włosach i przy każdym ognisku traktowano tę parę po królewsku.

Byli właśnie w drodze do jeszcze jednej grupki żarłoków, gdy porucznik zatrzymał się w cieniu najbliższego wigwamu i wytłumaczył na migi Wiatrowi W Jego Włosach, że boli go brzuch i chce się położyć spać.

Ale Wiatr W Jego Włosach nie słuchał zbyt uważnie. Jego uwagę przykuł kaftan porucznika. Dunbar zerknął na swój gors z rzędem metalowych guzików, a potem spojrzął

towarzyszowi łowów w twarz. Oczy lekko zalśniły wojownikowi, gdy wyprostowany palec przytknął do jednego z guzików.

- Chcesz to? - spytał porucznik, a na dźwięk jego słów blask przygaś w oczach Wiatru W Jego Włosach.

Wojownik nie odezwał się. Przyjrzał się opuszcze palca, by sprawdzić, czy coś odlatzło z guzika.

- Jeśli chcesz - powiedział porucznik - mogę ci to dać.

Rozpiął guziki, uwolnił ramiona z rękawów i wręczył kaftan wojownikowi.

Wiatr W Jego Włosach wiedział, że dostaje prezent, ale nie przyjął go od razu. Zamiast tego zaczął odpinać przepiękny napierśnik z polerowanych puszczeli, który zawieszony miał na szyi. To właśnie wręczył Dunbarowi, zaciskając zarazem drugą brązową dłoń na kaftanie.

Porucznik pomógł mu poradzić sobie z guzikami, a kiedy już Wiatr W Jego Włosach miał go na sobie, widać było, że jest zachwycony jak dzieciak w Boże Narodzenie. Dunbar próbował zwrócić piękny napierśnik, lecz spotkał się z odmową. Wiatr W Jego Włosach gwałtownie potrząsnął głową i zamachał rękami. Gestami nakazał białemu żołnierzowi włożyć go na siebie.

- Nie mogę tego przyjąć - wyjąkał porucznik. - To nie jest... nie jest uczciwa transakcja... Rozumiesz?

Ale Wiatr W Jego Włosach nie chciał nawet o tym słyszeć. Dla niego była bardziej niż uczciwa. Napierśniki miały w sobie moc i zrobienie ich było czasochłonne. Lecz kaftan był też czymś w tym rodzaju.

Określił Dunbara dookoła, upiął mu ozdobną zbroję na piersi i mocno docisnął rzemienie.

Tak więc transakcja doszła do skutku i obaj byli szczęśliwi. Wiatr W Jego Włosach wychrzakał pożegnanie i ruszył w kierunku najbliższego ogniska. Nowy nabytek był za ciasny i świerzbiła go od niego skóra. Ale to niewiele znaczyło. Był pewien, że kaftan okaże się istotnym dodatkiem do jego zestawu talizmanów. Z czasem może się okazać, że posiada w sobie potężną moc uzdrowicielską, szczególnie metalowe guziki i złote pagony na ramionach.

To była wielka zdobycz.

4

Za wszelką cenę pragnąc uniknąć jedzenia, a wiedząc, że jeśliby siedł na przetrzał obozu, i tak mu je wcisną, porucznik Dunbar wymknął się ukradkiem na prerię i okrążył

tymczasowy obóz w nadziei, że dojrzy wigwam Wierzgającego Ptaka i pójdzie od razu spać.

Przy drugim pełnym okrążeniu spostrzegł wigwam oznaczony rysunkiem niedźwiedzia, a wiedząc, że tipi Wierzgającego Ptaka powinno być rozbite nie opodal, zagłębił się ponownie w obóz.

Nie uszedł daleko, gdy zatrzymał go jakiś dźwięk. Znalazł się za nie oznakowanym wigwamem. Tuż przed nim po ziemi rozlewał się blask ogniska i właśnie od tego ogniska dochodził dźwięk. To był śpiew, wysoki, powtarzalny i wyraźnie kobiecy.

Trzymając się ściany wigwamu, porucznik Dunbar wyjrzał ukradkiem.

Około pół tuzina kobiet, mając chwilę wytchnienia od codziennych mozołów, śpiewało i tańczyło nierównym kręgiem wokół ogniska. O ile mógł się zorientować, nie było w tym nic podniosłego. Śpiew przerywany był beztroskim śmiechem i odniósł wrażenie, że taniec ten jest improwizacją, czymś pomyślanym wyłącznie gwoli zabawy.

Wzrok jego przypadkiem padł na napierśnik. Był teraz oświetlony pomarańczowawym poblaskiem ogniska i porucznik nie mógł się oprzeć, by nie pogładzić dłonią po podwójnym rzędzie podobnych do rurek kości, które zakrywały mu teraz całą pierś i brzuch. Jakże dziwną rzeczą było ujrzeć takie piękno i taką siłę, mieszkające pospołu w jednym przedmiocie, i to w tym samym czasie. Zrodziło się w nim szczególne uczucie.

Zachowam to na zawsze, pomyślał z rozmarzeniem.

Gdy ponownie podniósł wzrok, kilka tancerek odłączyło się i zbiło w grupkę uśmiechniętych, szepczących kobiet, których aktualnym tematem był oczywiście biały mężczyzna noszący kościany napierśnik. Przyglądały mu się bez żenady i choć tego nie zauważył, w oczach miały diabelskie ogniki.

Będąc przez wiele tygodni nieustannym tematem dyskusji, porucznik był im dobrze znany: jako domniemany bóg, pajac, bohater i element tajemnicy. W swej nieświadomości porucznik osiągnął rzadką rangę w kulturze Komanczów, rangę, którą być może najbardziej sobie ceniły należące do tej kultury kobiety.

Stał się sławą.

A teraz jego sława i przyrodzona mu miła powierzchowność zostały w oczach kobiet wielce uwypuklone przez dodanie zdumiewającego napierśnika.

Skłonił się niepewnie i z zażenowaniem wstąpił w krąg światła ogniska, zamierzając przejść i nie przerywać im dłużej zabawy.

Lecz gdy je mijał, jedna z kobiet porywczo sięgnęła i delikatnie ujęła go za rękę. Jej dotyk go zmroził. Wlepił oczy w chichoczące teraz nerwowo kobiety, zastanawiając się, czy aby nie zamierzają spletać mu jakiegoś figla.

Dwie lub trzy zaczęły śpiewać, a gdy podjęto taniec, wiele kobiet pociągnęło go za ramiona. Proszono go, by się do nich przyłączył.

W pobliżu nie było wielu ludzi. Żadna publika nie zaglądała mu przez ramię.

Ponadto, powiedział sobie, trochę ruchu dobrze zrobi na trawienie.

Taniec był powolny i prosty. Unieś stopę, zatrzymaj ją w powietrzu, postaw z powrotem. Unieś drugą stopę, zatrzymaj ją, postaw z powrotem. Szybko chwycił, o co chodzi, i nie minęło wiele czasu, gdy zgrał się z resztą tancerek, uśmiechając się szeroko i doskonale bawiąc.

Do tańca nigdy nie trzeba go było namawiać. Była to jedna z jego ulubionych rozrywek. Gdy dał się porwać muzyce kobiecych głosów, coraz wyżej unosił stopy, podrywając je i opuszczając z dużą dozą inwencji. Zaczął zataczać kręgi rękoma, coraz pełniej poddając się rytmowi. Wreszcie, gdy już szło mu całkiem dobrze, porucznik, nie przestając się uśmiechać, przymknął oczy i dał się całkowicie ponieść ekstazie ruchu.

Przez to nie był w stanie zauważyć, że krąg zaczyna się kurczyć. Dopiero kiedy wpadł na plecy tańczącej przed nim kobiety, zdał sobie sprawę, jak blisko znalazł się pośladków tancerek. Z niepokojem spojrzął na krąg kobiet, ale dodały mu odwagi radosnymi uśmiechami. Dunbar rzucił się dalej w wir tańca.

Niekiedy czuł teraz na plecach dotyk niedwuznacznie miękkich piersi. Jego gors stale natykał się na pośladek przed sobą. Gdy chciał się cofnąć, piersi znowu napierały.

Wszystko to było równie oszałamiające, co podniecające. Tak długo już nie czuł na sobie kobiecego dotyku, że wydał mu się on czymś całkowicie nowym, zbyt nowym, by wiedzieć, co z nim zrobić.

Gdy krąg się zacieśniał, twarze kobiet niczego nie zdradzały. Nie znikał z nich uśmiech. Nie zmniejszał się też nacisk pośladków i piersi.

Nie podnosił już stóp. Były za bardzo ściśnięte, a jemu pozostało jedynie kołysać się w miejscu.

Krąg rozpierchnął się, a przed nim wyrosła kobieta. Jej dłonie dotykały go figlarnie, pieszcząc jego plecy, brzuch i pośladki. Nagle zaczęły ocierać się o najintymniejsze miejsce, z przodu spodni.

Jeszcze chwila, a porucznik wzięby nogi za pas, ale nim zdołał się ruszyć, kobiety ulotniły się.

Patrzył, jak uskakują w ciemność niby zawstydzone pensjonarki. Potem odwrócił się, żeby zobaczyć, co też takiego je wystraszyło.

Stał samotnie przy ognisku, połyskujący i złowieszczy w czapce przyozdobionej

głową sowy. Wierzgający Ptak burknął coś do niego, ale porucznik nie potrafił powiedzieć, czy jest zirytowany, czy nie.

Czarownik odwrócił się od ogniska, a porucznik Dunbar, jak szczeniak, który podejrzewa, że mógł zrobić coś złego, ale nie został jeszcze ukarany, poszedł za nim.

5

Jak się okazało, nie było żadnych konsekwencji spotkania z tańczącymi kobietami. Lecz ku swej rozpaczycy Dunbar ujrzał, że ognisko przed wigwamem Wierzgającego Ptaka obsiadł tłum wciąż uczujących biesiadników, którzy nalegali, by schrupał pierwsze pieczone żeberko, które właśnie wyciągano z ognia.

Tak więc porucznik został jeszcze chwilę i napawał się owacjami wokół siebie, wmuszając w swój rozdęty żołądek jeszcze więcej mięsa.

Po godzinie oczy same mu się zamykały, a gdy napotkały spojrzenie Wierzgającego Ptaka, czarownik wstał. Zabrał białego żołnierza do wigwamu i zaprowadził go do legowiska, które specjalnie dla niego usłano przy ścianie.

Porucznik Dunbar padł na narzutę i zaczął ściągać buty. Był tak śpiący, że nie pomyślał nawet, by powiedzieć dobranoc, i tylko zdążył zauważyć plecy czarownika, gdy ten opuszczał wigwam.

Dunbar pozwolił, by drugi but upadł gdzie bądź na podłogę, a sam zwinął się na łóżku. Zastłonił sobie oczy ramieniem i odpiął w sen. Tuż przed zapadnięciem w nieświadomość myśli jego wypełniły się wolno płynącym strumieniem ciepłych, nie ukierunkowanych, niejasno erotycznych obrazów. Wokół niego poruszały się kobiety. Nie potrafił rozróżnić ich twarzy, ale słyszał pomruk ich miękkich głosów. Widział, jak ich kształty przysuwają się coraz bliżej, wirując jak fałdy sukni na wietrze.

Czuł, jak lekko go dotykają, a gdy dał się im ponieść, poczuł na sobie ucisk nagiego ciała.

6

Ktoś chichotał mu nad uchem, gdy bezskutecznie próbował unieść powieki. Były zbyt ciężkie. Ale chichot nie ustał i wkrótce doszło do niego, że w nosie wierci go jakiś zapach. Narzuta z bizoniej skóry. Teraz usłyszał, że coś chichocze nie nad jego uchem, ale niedaleko. W tym samym pomieszczeniu.

Zmusił się do otwarcia oczu i odwrócił głowę w stronę dźwięków. Nie było nic widać, więc uniósł się lekko. W wigwamie było cicho, a blade sylwetki rodziny Wierzgającego Ptaka nie poruszały się. Zdawało się, że wszyscy śpią.

Wtedy ponownie usłyszał chichot. Był wysoki i wdzięczny, niewątpliwie kobiecy, i dochodził skądś po przeciwnej stronie namiotu. Porucznik podniósł się trochę bardziej, na tyle by zerknąć ponad dogasającym ogniskiem na środku pomieszczenia.

Kobieta znów zachichotała, a do jego uszu dobiegł niski i delikatny męski głos. Zobaczył dziwny tobolek, który zawsze wisiał nad łóżkiem Wierzgającego Ptaka. Dźwięki dochodziły stamtąd.

Dunbar nie potrafił odgadnąć, co się dzieje, więc przetarłszy szybko oczy, uniósł się jeszcze ździebełko wyżej.

Dostrzegał teraz sylwetki dwojga ludzi; ich głowy i ramiona wystawały z legowiska, a ich szybkie poruszenia wydawały się całkiem nie na miejscu o tak późnej porze. Porucznik zmrużył oczy, próbując przeniknąć ciemność.

Ciała przemieściły się nagle. Jedno uniosło się nad drugim, a potem oba stopiły się w jedno. Nastąpił moment absolutnej ciszy, a potem przeciągły, cichy jęk, jak czyjeś odetchnięcie, dotarł do jego uszu i Dunbar zorientował się, że się kochają.

Czując się skończonym osłem, szybko opadł na łóżko w nadziei, że żadne z kochanków nie widziało jego zagapionej, głupiej, gamoniowatej gęby.

Bardziej leżąc niż śpiąc, spoczywał na narzucie, wsłuchany w miarowe, natarczywe odgłosy miłosnych zapasów. Jego oczy przywykły do ciemności i dostrzegał teraz zarys śpiącej najbliżej niego osoby.

Rytmiczne unoszenie się i opadanie pośłania było dla niego znakiem, że śpi głęboko. Leżała na boku, odwrócona do niego tyłem. Ale rozpoznał zarys głowy i zmierzwione miedziane włosy. Ta Która Stoi Z Pięścią spała sama i zaczął się nad nią zastanawiać. Może sobie być białą z krwi, ale we wszystkim innym jest jedną z nich. Mówi ich językiem, jakby to był jej język ojczysty. Angielski to dla niej obcy język. Nie zachowuje się, jakby działała pod przymusem. Nie ma najmniejszej oznaki, by miała być niewolnicą. Wydaje się, że jest teraz w hordzie na całkowicie równych prawach. Słusznie odgadł, że została wzięta za młodu.

Gdy zastanawiał się, jak tu z powrotem zasnąć, pytania dotyczące kobiety, która należała do dwóch ludów, stopniowo splotły się ze sobą i pozostało tylko jedno.

Ciekaw jestem, czy jest szczęśliwa w życiu, zastanawiał się.

To pytanie zapadło mu w głowę, leniwie zlewając się z odgłosami Wierzgającego Ptaka i jego żony w miłosnym uścisku.

Potem, bez najmniejszego wysiłku, pytanie zaczęło się motać, począwszy od powolnego wirowania, z każdym obrotem nabierając prędkości. Zataczało koła coraz szybciej, aż porucznik Dunbar stracił je z oczu i zasnął.

ROZDZIAŁ XX

1

Spędzili w tymczasowym obozie niepełne trzy dni, a trzy dni to mało czasu na dokonanie daleko idącej zmiany.

Ale właśnie tak się stało.

Odmienił się bieg życia porucznika Dunbara.

Nie było jednego szumnego wydarzenia, które byłoby tej zmiany świadectwem. Nie miał wizji mistycznych. Nie ukazał mu się Bóg. Nie został pasowany na wojownika Komanczów.

Nie było żadnego przełomowego momentu ani nie pozostało żadne świadectwo, które ktoś mógłby wskazać i powiedzieć, że było to wtedy a wtedy, o tej czy o tamtej porze.

Było to jak jakiś piękny, tajemniczy wirus przebudzenia, który po długim okresie inkubacji wysunął się na czoło jego życia.

Rankiem następnego dnia po polowaniu obudził się z niezwykle jasnością myśli. Porucznik nie miał żadnego kaca po przespanej nocy i całkiem poważnie zastanawiał się, od jakiego czasu nie zdarzyło mu się obudzić w takim stanie. Na pewno od czasów, gdy był chłopcem.

Nogi mu się spociły, więc pozbierał buty i przekradł się pomiędzy śpiącymi w wigwamie, w nadziei, że na zewnątrz znajdzie jakieś miejsce, gdzie będzie mógł wymyć się między palcami stóp. Znalazł takie miejsce natychmiast po wyjściu z tipi. Całe mile porośniętej trawą prerii były zmoczone rosą. Zostawiwszy buty przed wigwamem, porucznik pomaszerował na wschód, wiedząc, że gdzieś tam znajduje się stado kuców. Chciał doglądać Cisca.

Pierwsze różane pasma świtu przedarły się przez ciemności, a on idąc patrzył zdjęty lękiem, niepomny na przemoczone rosą nogawki spodni.

Każdy dzień rozpoczyna się cudem, pomyślał nagle.

Pasma rozrastały się, z sekundy na sekundę zmieniając kolory.

Czymkolwiek jest Bóg, dziękuję Bogu za ten dzień.

Tak mu się spodobały te słowa, że wypowiedział je głośno.

„Czymkolwiek jest Bóg, dziękuję Bogu za ten dzień.”

Ukazały się pierwsze końskie łby, spiczaste uszy rysujące się na tle świtu. Zobaczył także głowę Indianina. Pewnie to chłopiec, który bez przerwy się śmieje.

Znalazł Cisca bez większych kłopotów. Bułanek zarżał na widok zbliżającego się pana

i serce wezbrało w poruczniku. Koń położył miękki pysk na piersi Dunbara i obaj stali przez dłuższą chwilę w bezruchu, dając się osnuć porannemu chładowi. Porucznik łagodnie uniósł szczękę Cisca i chuchnął mu w oba nozdrza.

Zdjęte ciekawością, pozostałe konie zaczęły się tłoczyć dookoła nich, ale zanim stały się dokuczliwe, porucznik Dunbar założył Ciscowi uzdę i ruszył z powrotem do obozu.

Jazda w powrotnym kierunku wywierała nie mniejsze wrażenie niż spacer w tę stronę. Tymczasowa wioska była doskonale dostrojona do zegara natury i budziła się do życia powoli, jak dzień.

Rozpalono kilka ognisk i robiła wrażenie, jakby w ciągu krótkiego czasu, który upłynął od jego wyjścia, wszyscy już wstali. W miarę jak robiło się jaśniej, jakby ktoś podkręcał stopniowo knot lampy, jaśniejsze robiły się także poruszające się po obozie sylwetki.

- Cóż za harmonia - powiedział stłumionym głosem porucznik, idąc z ręką przewieszoną przez kłęb Cisca.

A potem pogrążył się w zawilej serii głębokich i abstrakcyjnych myśli dotyczących zalet harmonii, które nie opuszczały go przez cały czas śniadania.

2

Tego ranka wyruszyli ponownie i Dunbar zabił następnego bizona. Tym razem utrzymał Cisca w ryzach podczas szarży i zamiast rzucić się w środek stada, przepatrzył jego skraj w poszukiwaniu stosownego zwierzęcia, po czym je przegonił. Choć mierzył bardzo starannie, za pierwszym strzałem przeniósł za wysoko i trzeba było drugiej kuli, by dokończyć roboty.

Wzięta na cel krowa była duża i został pochwalony za dobry wybór przez dziesiątki wojowników, którzy podjechali, żeby przyjrzeć się zdobyczy. Nie było już tego podniecenia, które towarzyszyło łowom w pierwszym dniu. Tego dnia nie jadł już świeżej wątroby, ale we wszystkim, co robił, czuł się bardziej kompetentny.

Raz jeszcze kobiety i dzieci wysypały się na równinę, by oprawić zwierzęta, i późnym popołudniem tymczasowy obóz był zapchany mięsem. Niezliczone kozły do suszenia uginające się pod ciężarem tysięcy funtów mięsa wyrastały jak grzyby po deszczu i dalej ucztowano, zjadając świeżo upieczone przysmaki.

Wkrótce po powrocie do obozu młodszy wojownicy i pewna liczba chłopców, niezdolnych jeszcze do wstąpienia na wojenną ścieżkę, zorganizowali turniej wyścigów konnych. Serce rosło w Tym Który Dużo Się Śmieje, gdyż jechał na Ciscu. Swoją prośbę

przedstawił z takim szacunkiem, że porucznik nie potrafił mu odmówić i musiało minąć kilka gonitw, zanim uświadomił sobie ze zgrozą, że zwycięzcy obdarowywani są końmi pokonanych. Oburącz trzymał kciuki za Tego Który Dużo Się Śmieje i szczęśliwie dla porucznika chłopiec wygrał wszystkie swoje trzy gonitwy.

Potem oddano się hazardowi i Wiatr W Jego Włosach wciągnął porucznika do gry. Z wyjątkiem tego, że grano kośćmi, była dlań zupełnie nieznaną i nauka jej arkanów kosztowała Dunbara cały zapas tytoniu. Niektórzy gracze zainteresowani byli spodniami z żółtymi lampasami, ale przehandlowawszy już kapelusz i kaftan, porucznik pomyślał, że powinien przynajmniej utrzymać jakieś pozory noszenia munduru.

Ponadto, przy takim obrocie spraw, straciłby spodnie i nie miałby w czym chodzić.

Podobał im się także napierśnik, ale i on był poza stawką. Zaoferował parę starych butów, które miał na sobie, ale dla Indian nie przedstawiała ona żadnej wartości. Wreszcie porucznik postawił swoją strzelbę i gracze jednomyślnie ją zaakceptowali. Zakład o strzelbę wywołał duże poruszenie i gra natychmiast poszła o wysokie stawki, przyciągając wielu kibiców.

Teraz porucznik wiedział już, co robi, i w miarę jak toczyła się gra, szczęście się do niego uśmiechnęło. Miał dobrą passę, a kiedy opadł kurz po jego kolejce rzutów, nie tylko zachował strzelbę, ale stał się teraz nowym właścicielem trzech doskonałych kuców.

Przegranii oddali swoje skarby z takim wdziękiem i humorem, że Dunbar czuł się zobowiązany odpowiedzieć tym samym. Największego i najsilniejszego z kuców podarował Wiatrowi W Jego Włosach. Potem ciągnąc za sobą w orszaku całą chmurę ciekawskich, przeprowadził pozostałe dwa konie przez obóz i dotarłszy do wigwamu Wierzgającego Ptaka, wręczył cugle czarownikowi.

Wierzgający Ptak był uradowany, ale i zakłopotany. Gdy ktoś wytłumaczył mu, skąd wzięły się konie, rozejrzał się, odszukał wzrokiem Tę Która Stoi Z Pięścią i zawołał ją, pokazując, że chce, by porozmawiała w jego imieniu. Stojąc i słuchając czarownika, przedstawiała okropny widok. Rzeźnicka robota sprawiła, że ramiona, twarz i fartuch zbryzgane miała krwią.

Zasłaniała się nieumiejętnością, potrząsając odmownie głową, lecz Wierzgający Ptak nalegał, a niewielki tłumek przed wigwamem zamilkł, ciekaw, czy potrafi wyrazić po angielsku to, o co prosi Wierzgający Ptak.

Wbiła wzrok w ziemię i po wielekroć mieliła słowo w ustach. Potem spojrzała na porucznika i spróbowała.

- Dankuję - powiedziała.

Twarz porucznika skurczyła się.

- Co? - rzucił w odpowiedzi, zmuszając się do uśmiechu.

- Danki.

Szturchnęła się palcem w ramię i wskazała ręką w kierunku kuców.

- Kuń.

- Dziękujesz? - odgadł porucznik. - Dziękujesz mi?

Ta Która Stoi Z Pięścią przytaknęła.

- Tak - powiedziała wyraźnie.

Porucznik Dunbar wyciągnął rękę, by wymienić uścisk dłoni z Wierzgającym Ptakiem, ale powstrzymała go. Jeszcze nie skończyła i trzymając palec w górze, weszła między kuce.

- Kuń - powiedziała, wskazując wolną ręką na porucznika. Powtórzyła słowo i pokazała na Wierzgającego Ptaka.

- Jeden dla mnie? - dopytywał się porucznik, używając tych samych gestów rąk. - A jeden dla niego?

Ta Która Stoi Z Pięścią odetchnęła uszczęśliwiona i wiedząc, że ją zrozumiał, blado się uśmiechnęła.

- Tak - powiedziała i bez udziału świadomości jeszcze jedno stare słowo, bezbłędnie wymówione, wymknęło jej się z ust. - W porządku.

Zabrzmiało to tak dziwnie, takie twarde, właściwe angielskie słowo, że porucznik Dunbar głośno się roześmiał, a Ta Która Stoi Z Pięścią, jak nastolatka, która łapie się na palnięciu jakiegoś głupstwa, zakryła dłonią usta.

To był ich żart. Wiedziała, że słowo wyrwało się jej bezwiednie, i wiedział to także porucznik. Popatrzyli z zadumą na Wierzgającego Ptaka i pozostałych. Twarze Indian były jednak nieporuszone i gdy oczy oficera kawalerii i kobiety, która należała do dwóch ludów, spotkały się znowu, igrały w nich płomyki śmiechu z czegoś wewnątrz nich, co tylko oni sami byli w stanie podzielić. Nie było sposobu, by trafnie to wyjaśnić pozostałym. Nie było to zresztą aż tak zabawne, by się tym kłopotać.

Porucznik Dunbar nie zatrzymał sobie drugiego kuca. Zamiast tego zaprowadził go do wigwamu Dziesięciu Niedźwiedzi i sam o tym nie wiedząc, zyskał jeszcze większą pozycję. Tradycja Komanczów żądała od bogatych, by rozdali swój dobytek mniej szczerze obdarowanym przez los. A Dunbar to odwrócił i starzec pozostał w przekonaniu, że biały człowiek jest naprawdę niezwykle.

Tej samej nocy, gdy porucznik Dunbar siedział przy ognisku Wierzgającego Ptaka,

sluchajac rozmowy, ktorej nie rozumial, zobaczył przypadkiem Tę Która Stoi Z Pięścią. Kucała kilka stóp dalej i patrzyła na niego. Nachyliła głowę, a oczy jej płonęły ciekawością. Zanim zdążyła odwrócić wzrok, skinięciem głowy pokazał na rozmawiających wojowników, zrobił oficjalną minę i zasłonił sobie z jednej strony usta dłonią.

- W porządku - głośno wyszeptał.

Wtedy szybko się odwróciła. Ale w tym momencie usłyszał jej wyraźny chichot.

3

Nie było sensu zostawać ani chwili dłużej. Mieli tyle mięsa, ile byli w stanie udźwignąć. Krótco po brzasku wszystko było już spakowane, a wczesnym przedpołudniem kolumna była już w drodze. Podróż powrotna, z wysoko wyładowanymi saniami, zajęła dwukrotnie więcej czasu i ściemniało się, gdy wreszcie dotarli do Fort Sedgewick.

Podciągnięto sanie załadowane kilkuset funtami suszonego mięsa i wyładowano je w magazynie. Nastąpiła lawina pożegnań i karawana wyruszyła w górę strumienia ku stałemu obozowi, odprowadzana wzrokiem przez porucznika Dunbara stojącego w progu darniowej chaty.

Bez ukrytego zamysłu jego oczy przeszukiwały półmrok otaczający długą, hałaśliwą kolumnę w nadziei ujżenia Tej Która Stoi Z Pięścią.

Nie mógł jej nigdzie znaleźć.

4

Porucznik przyjął swój powrót z mieszanymi uczuciami.

Uznawał fort za swój dom i to uspokajało. Dobrze było zdjąć buty, rzucić się na prycę i wyciągnąć na niej, nie będąc obserwowanym. Spod półprzymkniętych powiek przyglądał się, jak migocze knot w lampie, a potem leniwie przeniósł wzrok na spokojne otoczenie chaty. Wszystko było na swoim miejscu, on tak samo.

A jednak, nim upłynęło kilka minut, spostrzegł, że jego prawa stopa podryguje z próżną energią.

- Co robisz? - zapytał sam siebie, uspokajając nogę. - Przecież nie jesteś nerwowy.

Od tej pory nie upłynęła nawet minuta, gdy złapał się na tym, że niecierpliwie bębni palcami prawej ręki po piersi.

Nie był nerwowy. Był znudzony. Znudzony i samotny.

Przedtem mógł sięgnąć w takich chwilach po kapciuch, skrócić sobie papierosa i zająć się jego paleniem. Ale nie miał już tytoniu. Mógłby równie dobrze rzucić okiem na rzekę, pomyślał, i z tym postanowieniem wskoczył z powrotem w buty i wyszedł na zewnątrz.

Zatrzymał się, myśląc o napierśniku, który miał już dla niego tak wielką wartość. Rozwieszony był na wojskowym siodle, które przyniósł z magazynku. Cofnął się do środka, pragnąc tylko na niego popatrzeć.

Nawet w wątlým świetle lampy jaskrawo połyskiwał. Porucznik Dunbar przeciągnął dłonią po kościach. Były jak szkło. Kiedy go wziął do ręki, rozległ się mocny grzechot, gdy kość musnęła kość. Lubił jego chłodny, twardy dotyk na nagiej piersi.

„Spojrzenie na rzekę” zamieniło się w długi spacer. Była znów prawie pełnia księżycy i porucznik nie potrzebował latarni, lekko stąpając po piętrzącym się nad rzeką urwistym brzegu.

Nie śpieszył się, często przystając, by przyjrzeć się rzece, uginającej się na wietrze gałęzi albo skubiącemu krzewy królikowi. Wszystko pozostawało nie zmącone jego obecnością.

Poczuł się niewidzialny. Lubił to uczucie.

Po upływie prawie godziny zawrócił i ruszył do domu. Gdyby ktoś był tam w chwili, gdy przechodził, łatwo by zobaczył, że porucznik, mimo lekkości kroku i całej uwagi poświęcanej otoczeniu, raczej nie był niewidzialny.

A w każdym razie nie w chwilach, gdy stawał wpatrzony w księżyc. Unosił wtedy głowę, odwracał się całym ciałem w stronę magicznego światła, a napierśnik rozbłyskiwał najjaskrawszą bielą, jak naziemna gwiazda.

5

Następnego dnia wydarzyła się rzecz dziwna.

Poranek i część popołudnia spędził, usiłując zakrzętnąć się wokół domostwa: posegregował resztki zapasów, spalił trochę bezużytecznych przedmiotów, zastanowił się nad bezpiecznym sposobem przechowania mięsa i napisał kilka rozdziałów dziennika.

Wszystko to robił bez przekonania. Pomyślał o ponownym podstemplowaniu zagrody dla koni, ale uznał, że znów byłoby to majsterkowanie dla własnej przyjemności. Majstrował już dla własnej przyjemności. Miał potem poczucie bezcelowości.

Gdy słońce mocno już chyliło się ku zachodowi, odkrył, że ma ochotę na jeszcze jedną przechadzkę po prerii. To był nudny dzień. Pot, który zlewał go podczas żmudnych robót, przesiąkł spodnie, tworząc u nasady ud plamy piekącego gorąca. Nie widział powodu, żeby to nieprzyjemne uczucie miało towarzyszyć mu podczas przechadzki. Tak więc Dunbar poszedł w prerię bez ubrania, mając nadzieję, że natknie się na Dwie Skarpety.

Ominąwszy rzekę, poszedł na przestrzał ogromnego stepu, który pulsował na

wszystkie strony swoim własnym życiem.

Trawa osiągnęła swoją szczytową wysokość i w niektórych miejscach muskała go w biodra. Nad głową niebo pokryte było pierzastymi białymi chmurkami, które wyglądały jak wycięte w czystym błękitnie nieba.

Na małym wzniesieniu o milę od fortu położył się w głębokiej trawie. Osłonięty ze wszystkich stron od wiatru, sycił się ostatnim ciepłem słońca i z rozmarzeniem gapił się na wolno płynące chmury.

Porucznik obrócił się na bok, by poopalać plecy. Gdy poruszył się w trawie, ośladnęło nim nagle uczucie, którego nie zaznał od tak dawna, że w pierwszej chwili nie był pewien, co naprawdę czuje.

Trawa za nim delikatnie zaszeleściła pod podmuchem wiatru. Słońce otulało jego plecy jak koc suchego ciepła. Uczucie buchało coraz wyżej i Dunbar poddał mu się.

Ręka mu opadła na brzuch, a gdy to się stało, porucznik przestał myśleć. Jego czyn nie był podyktowany niczym szczególnym, żadnymi wizjami, słowami ani wspomnieniami. Tylko czuł i nic więcej.

Kiedy odzyskał świadomość, spojrzął na niebo i zobaczył, że ziemia obraca się wokół chmur. Przewrócił się na plecy, wyciągnął ramiona wzdłuż ciała jak martwy i przez chwilę dawał się unosić swemu łożu z traw i ziemi.

Potem zamknął oczy i zdrzemnął się na pół godziny.

6

Rzucał się tej nocy i przewracał z boku na bok, a myśli jego przeskakiwały z tematu na temat, jakby przeszukiwały długą amfiladę pokojów, by znaleźć miejsce spoczynku. Wszystkie pokoje albo były zamknięte, albo nieprzytulne, aż wreszcie doszedł do miejsca, do którego w głębi duszy świadomie dążył przez cały czas.

Pokój był pełen Indian.

Ta myśl była tak prosta, że rozważał, czy nie udać się w tej samej chwili do obozu Dziesięciu Niedźwiedzi. Ale wydawało się to zbyt pochopne.

Wstanę wcześniej, pomyślał. Może tym razem zostanę tam parę dni.

Obudził się wcześniej, jeszcze zanim zaczęło świtać, lecz uzbroił się w cierpliwość i nie wstał, powściągnąwszy chęć pognania na łeb na szyję do wioski. Chciał tam pojechać bez pochopnych oczekiwań i został w łóżku do brzasku.

Kiedy miał już na sobie całe ubranie oprócz koszuli, porwał ją i wsunął jedno ramię do rękawa. Zatrzymał się, wyglądając przez okno chaty, żeby upewnić się co do pogody. W

pomieszczeniu było już ciepło, a na zewnątrz prawdopodobnie jeszcze cieplej.

Będzie upał, pomyślał wyciągając ramię z rękawa.

Napierśnik wisiał teraz na kołku, a porucznik, sięgając po niego, zdał sobie sprawę, że pragnie go nosić przez cały czas, niezależnie od pogody.

Spakował koszulę z powrotem do plecaka, na wszelki wypadek.

7

Dwie Skarpety czekał na zewnątrz.

Gdy zobaczył, że porucznik Dunbar ukazuje się w drzwiach, uskoczył dwa lub trzy kroki, zwinął się w kłębek, usunął na bok o parę stóp i przywarował, dysząc jak szczeniak.

Dunbar zartobliwie zadarł głowę.

- Co cię napadło?

Wilk uniósł łeb na dźwięk głosu porucznika. W spojrzeniu jego było tyle nachalności, że Dunbar zachichotał.

- Chcesz iść ze mną?

Dwie Skarpety zerwał się na równe nogi, wlepił ślepią w porucznika i ani drgnął.

- No dobra, idziemy.

8

Wierzgający Ptak obudził się, rozmyślając o Janie i o tym, co porabia w forcie białego człowieka.

„Jan.” Cóż za dziwaczne imię. Próbował domyślić się, co też może znaczyć. Pewnie Młody Jeździec. Albo Szybki Jeździec. Najprawdopodobniej coś wspólnego z konną jazdą.

Dobrze było mieć za sobą pierwsze polowanie sezonu. Po pojawieniu się w końcu bizonów został rozwiązany problem wyżywienia, a to oznaczało, że może powrócić do swojego wypieszczanego planu z pewną systematycznością. Podejmie go jeszcze dzisiaj. Czarownik udał się do wigwamów dwóch bliskich doradców i spytał ich, czy zechcą z nim tam pojechać. Był zaskoczony, z jakim entuzjazmem wyrazili chęć jazdy, niemniej jednak wziął to za dobry znak. Nikt już się nie obawiał. Rzeczywiście ludzie chyba czuli się swobodnie z białym żołnierzem. W rozmowach, które posłyszał w ciągu ostatnich paru dni, były nawet wyrazy sympatii dla niego.

Wierzgający Ptak wyjeżdżał z obozu, mając szczególnie dobre przeczucia co do nadchodzącego dnia. We wczesnych stadiach jego planu wszystko poszło dobrze. Przygotowanie gruntu wreszcie się skończyło. Mógł teraz przejść do dzieła i wybadać białą rasę.

Porucznik Dunbar oszacował, że musi przejechać około czterech mil. Spodziewał się, że najdalej po dwóch milach wilk dawno już nie będzie. Po trzech milach zaczął naprawdę się dziwić. A teraz, na czwartej mili, był w zupełnej kropce.

Zagłębili się w wąską, trawiastą nieckę, wcinającą się klinem między dwa stoki, a wilk nadal go nie odstępował. Nigdy przedtem nie szedł za nim tak daleko.

Porucznik lekko zeskoczył z grzbietu Cisca i wlepił wzrok w Dwie Skarpety. Swoim zwyczajem wilk także stanął. Gdy Cisco pochylił łeb, żeby poskubać trawę, Dunbar ruszył pieszo w kierunku Dwóch Skarpet, myśląc, że będzie zmuszony wycofać się pod naciskiem. Lecz łeb i wystające z trawy uszy nie drgnęły, a kiedy porucznik zatrzymał się w końcu, znajdował się nie dalej niż o jard.

Gdy Dunbar przykucnął, wilk przekrzywił łeb wyczekująco, ale poza tym nie wykonał żadnego ruchu.

- Nie sądzę, żeby tam, dokąd idę, powitano cię z otwartymi ramionami - odezwał się głośno, jakby gawędził z zaufanym sąsiadem.

Spojrzał na słońce. - Robi się gorąco; dlaczego nie pójdziesz do domu?

Wilk słuchał uważnie, ale wciąż się nie ruszał.

Porucznik zakołysał się na palcach i wstał.

- No dalej, Dwie Skarpety - powiedział rozdrażniony - zmykaj do domu.

Zamachał groźnie rękami i Dwie Skarpety pierzchnął na bok.

Porucznik znów groźnie zamachał i wilk uskoczył, ale było oczywiste, że nie ma zamiaru iść do domu.

- W porządku - powiedział Dunbar z naciskiem - nie idź do domu. Ale zostań. Zostań tutaj.

Dla podkreślenia słów pogroził mu palcem i zrobił w tył zwrot. Właśnie był odwrócony plecami, gdy usłyszał wycie. Nie było donośne, ale ciche, zawodzące i wyraźne.

Wycie.

Porucznik odwrócił głowę, a Dwie Skarpety siedział z zadartym pyskiem, z oczami wbitymi w porucznika Dunbara, pojękując jak nadąsane dziecko.

Dla widza z zewnątrz byłoby to wspaniałe widowisko, ale dla porucznika, który tak dobrze go znał, przebrała się miarka.

- Marsz do domu! - ryknął Dunbar, nacierając na Dwie Skarpety. Jak syn, który nadużył cierpliwości ojca, wilk położył po sobie uszy i dał drapak, czmychając z

podwiniętym ogonem.

W tym samym czasie porucznik Dunbar puścił się biegiem w przeciwnym kierunku, myśląc, że zdoła dopaść Cisca, odjechać cwałem i okpić Dwie Skarpety.

Przedzierał się przez trawę, obmyślając swój plan, gdy wilk nadbiegł, wesóło podskakując obok niego.

- Do domu - warknął porucznik i skręcił nagle ku swojemu prześladowcy. Dwie Skarpety podskoczył do góry jak przerażony królik, zapominając w nagłej panice ucieczki o łapach. Gdy wylądował, porucznik był tylko o krok od niego. Sięgnął do nasady ogona Dwóch Skarpet i ścisnął za nią. Wilk wystrzelił do przodu, jakby wybuchła pod nim petarda, a Dunbar roześmiał się tak serdecznie, że musiał przystanąć.

Dwie Skarpety, ryjąc ziemię, wyhamował w odległości dwudziestu jardów i obejrzał się z wyrazem takiego zakłopotania, że porucznik nie mógł się powstrzymać, by go nie pożałować.

Pomachał mu na pożegnanie i krztusząc się ze śmiechu zawrócił tylko po to, by przekonać się, że Cisco ruszył z powrotem drogą, którą tu przybyli, skubiąc najwyborniejszą trawę.

Porucznik puścił się lekkim truchtem, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu na wspomnienie Dwóch Skarpet uciekającego przed jego dotknięciem.

Dunbar dał szaleńczego szusa, gdy poczuł, że coś chwyta go za kostkę u nogi, a potem puszcza. Okręcił się wokół, gotów stawić czoło niewidzialnemu napastnikowi.

Stał tam Dwie Skarpety, sapiąc jak bokser w przerwie między rundami.

Porucznik Dunbar spoglądał na niego przez kilka sekund.

Dwie Skarpety zerknął od niechcienia w kierunku domu, jakby myślał, że gra dobiega końca.

- Więc dobrze - powiedział łagodnie porucznik, unosząc ręce na znak poddania. - Możesz iść albo zostać tutaj. Nie mam już na to czasu.

Mógł to być leciutki hałas albo coś, co przyniósł wiatr. Cokolwiek to było, Dwie Skarpety to wychwycił. Okręcił się raptownie i ze zjeżoną sierścią wbił ślepią w szlak. Dunbar skierował wzrok w ten sam punkt i natychmiast zobaczył Wierzgającego Ptaka w towarzystwie dwóch mężczyzn. Byli blisko i przyglądali mu się z grzbietu skarpy.

Dunbar ochoczo pomachał rękami i zaczął wołać „Witajcie”, podczas gdy Dwie Skarpety zaczął wymykać się chyłkiem.

Wierzgający Ptak i jego przyjaciele przyglądali się przez jakiś czas, wystarczająco długo, żeby obejrzeć całe widowisko. Byli wielce rozbawieni. Wierzgający Ptak wiedział również, że był świadkiem czegoś bezcennego, czegoś, co podsunęło mu rozwiązanie jednej z łamigłówek wiążących się z białym człowiekiem... łamigłówki, jaką było jego imię.

Mężczyzna powinien mieć prawdziwe imię, pomyślał zjeżdżając na spotkanie z porucznikiem Dunbarem, a szczególnie gdy jest to biały, który postępuje jak ten.

Przypomniał sobie jego stare imiona, jak Człowiek Który Błyszczący Jak Śnieg, i parę nowych, którymi go przezywano, na przykład Ten Który Znajduje Bizony. Tak naprawdę żadne z nich nie pasowało. A już na pewno nie Jan.

Był pewien, że to jest właściwe. Współgrało z osobowością białego żołnierza. Pod tym imieniem ludzie go zapamiętają. A sam Wierzgający Ptak, mając na poparcie swoich słów dwóch świadków, był obecny przy tym, jak Wielki Duch je objawił.

Powtórzył je sobie kilkakrotnie, zjeżdżając ze skarpy. Jego brzmienie było równie dobre jak ono samo.

Tańczący Z Wilkami.

ROZDZIAŁ XXI

1

Był to w jakimś spokojnym sensie jeden z najpomyślniejszych dni w życiu porucznika Dunbara.

Rodzina Wierzgającego Ptaka powitała go z ciepłem i szacunkiem, dzięki któremu poczuł się kimś więcej niż zwykłym gościem. Byli prawdziwie szczęśliwi, że go widzą.

Wraz z Wierzgającym Ptakiem zasiedli do palenia fajki, które dzięki nieustannym, acz przyjemnym przerwom przeciągnęło się do późnego popołudnia.

Pogłoska o imieniu porucznika Dunbara i o tym, jak je otrzymał, rozeszła się po obozie jak zwykle z zadziwiającą szybkością i wszelkie męczące podejrzenia, które ludzie mogliby żywić w stosunku do białego żołnierza, rozwiały się pod wpływem tych tchnących otuchą wieści.

Nie był bogiem, ale nie był również podobny do żadnych owłosionych ust, z którymi się dotychczas zetknęli. Był człowiekiem magii. Wojownicy nieustannie wpadali, niektórzy, żeby się przywitać, inni, chcąc jedynie rzucić okiem na Tańczącego Z Wilkami.

Porucznik większość z nich rozpoznał. Z przybyciem każdego wstawał i po swojemu lekko się skłaniał. Niektórzy się odkłaniali. Nieliczni podawali rękę, tak jak to widzieli u niego.

O niewielu rzeczach byli w stanie porozmawiać, ale porucznik coraz lepiej radził sobie na migi, a w każdym razie dość dobrze, żeby podać udoskonaloną wersję dokonań ostatniego polowania. Wokół tego skupiła się zasadnicza część odwiedzin. Po paru godzinach nieustanny napływ gości przerzedził się, a potem ustał i Dunbar właśnie zastanawiał się, dlaczego nie widział Tej Która Stoi Z Pięścią i czy jest ona zapisana w kolejce, gdy wszedł Wiatr W Jego Włosach.

Zanim wymieniono powitania, uwagę obu mężczyzn przyciągnęły przedmioty, które wymienili: rozpięty kaftan i lśniący napierśnik. Dla obu była to okazja, by upewnić się raz jeszcze byстрыm spojrzeniem.

Kiedy wymieniali uścisk dłoni, porucznik Dunbar pomyślał: lubię tego faceta; miło go znów widzieć.

Te same uczucia zdominowały myśli Wiatru W Jego Włosach i zasiedli razem do przyjaznej pogawędki, mimo że żaden nie rozumiał, co mówi drugi.

Wierzgający Ptak kazał żonie podać jedzenie i cała trójka zabrała się wkrótce do posiłku złożonego z pemikanu i jagód. Jedli bez słowa.

Po posiłku nabito następną fajkę i obaj Indianie zatopili się w rozmowie, której treści porucznik nie był w stanie odgadnąć. Z gestykulacji i tonu wywnioskował jednak, że sprawa dotyczyła czegoś, co wykraczało poza ramy błahej pogaduszki.

Wydawało się, że planują jakąś akcję, więc nie był zaskoczony, gdy pod koniec rozmowy obaj mężczyźni wstali i wychodząc z wigwamu poprosili go, by za nimi podążył.

Dunbar poszedł krok w krok za nimi na tyły tipi Wierzgającego Ptaka, gdzie czekała na nich skrytka z różnymi materiałami. Obok wysokiego stosu suchego chrustu stała zgrabna sterta giętkich wierzbowych palików.

Dwaj mężczyźni odbyli następną, krótszą jeszcze dyskusję, a potem zabrali się do roboty. Gdy porucznik ujrzał wyłaniający się kształt, tu i ówdzie przyłożył się do jego powstania, ale zanim zdążył istotnie dopomóc, drewno zostało zamienione w wysoką na cztery lub pięć stóp cienistą altankę.

Mały odcinek pozostał odkryty, by umożliwić wejście, i porucznik Dunbar został poproszony do środka jako pierwszy. Nie było tam dosyć miejsca, żeby stanąć, ale gdy już usiadł, uznał, że miejsce to jest przestronne i zaciszne. Chrust stanowił dobrą osłonę przed słońcem i był wystarczająco przewiewny, by zapewnić dopływ świeżego powietrza.

Dopiero gdy skończył ten szybki przegląd, zdał sobie sprawę, że Wierzgający Ptak i Wiatr W Jego Włosach zniknęli. Jeszcze tydzień temu byłby zaniepokojony ich nagłą rejteradą. Lecz, podobnie jak Indianie, pozbył się podejrzliwości. Porucznik był zadowolony, siedząc spokojnie oparty o zaskakująco mocną tylną ścianę, zasłuchany w odgłosy obozu Dziesięciu Niedźwiedzi, w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń.

Nie kazały na siebie długo czekać.

Minęło zaledwie kilka minut, gdy usłyszał zbliżające się kroki. Wierzgający Ptak wsunął się przez otwór wejściowy i usiadł wystarczająco daleko, by dzieliła ich spora przestrzeń.

Cień padający przez otwór wejściowy mówił Dunbarowi, że ktoś inny jeszcze czeka na zewnątrz. Bez zastanowienia uznał, że to Wiatr W Jego Włosach.

Wierzgający Ptak delikatnie zawołał. Cień przesunął się przy akompaniamencie brzęczących dzwoneczków i w wejściu pojawiła się schylona postać Tej Która Stoi Z Pięścią.

Dunbar odskoczył jak oparzony, robiąc jej miejsce, podczas gdy ona kluczyła między nimi i w ciągu kilku sekund, które zabrało jej znalezienie sobie miejsca, porucznik zobaczył wiele nowych rzeczy.

Dzwoneczki były przyszyte po bokach misternie wyszywanych paciorkami mokasynów. Jej irchowa suknia wyglądała jak część dziedzictwa, coś, o co się dba i czego nie

wkłada się na co dzień. Stanik usiany był małymi krągłymi kośćmi ułożonymi w wiele rzędów. Były to zęby łosia.

Na nadgarstku od jego strony nosiła bransoletę z grubej blachy. Wokół szyi kryzę z takich samych puszczeli, jakie on nosił na piersi. Jej świeże, pachnące włosy spływały na plecy splecione w pojedynczy warkocz, ukazując wyraźnie wysklepione czoło i twarz o wystających kościach policzkowych, którą już dostrzegł przedtem. Wydała mu się teraz delikatniejsza i bardziej kobieca. I bardziej biała.

Porucznikowi zaświtało w głowie, że altankę zbudowano dla nich na miejsce schadzki. I w czasie, w którym się sadowiła, zdał sobie sprawę, jak bardzo wyczekiwał na ponowne z nią spotkanie.

Nadal uparcie nie patrzyła na niego, ale gdy Wierzgający Ptak coś do niej wymamrotał, zebrała się na odwagę, by uczynić pierwszy krok, i powiedzieć „witaj”.

Zdarzyło się, że odwrócili głowy, otwarli usta i wypowiedzieli to słowo równocześnie. Oba „witaj” zderzyły się ze sobą w dzielącej ich przestrzeni, a ci, którzy je wymówili, dziwnie wycofali się po tak przypadkowym początku.

Wierzgający Ptak dostrzegł w tym zdarzeniu dobrą wróżbę. Ujrzał dwoje ludzi o podobnym umyśle. A ponieważ miał nadzieję, że właśnie tak będzie, uderzyło go to swą wymową.

Czarownik stłumił chichot. Potem wskazał na porucznika Dunbara i chrząknął, jakby chciał powiedzieć: „No dalej... ty zaczynasz”.

- Witaj - rzekł uprzejmie.

Podniosła głowę. Miała rzeczowy wyraz twarzy, ale nie dostrzegł w nim dawnej wrogości.

- Wytaj - odpowiedziała.

2

Tego dnia długo siedzieli w altance, przez większość czasu powracając do kilku prostych słów, które zamienili podczas tego pierwszego oficjalnego posiedzenia. Miało się ku zachodowi i wszyscy troje byli już znużeni bezustannym, koślawym powtarzaniem w kółko tego samego, gdy do Tej Która Stoi Z Pięścią dotarło angielskie tłumaczenie jej imienia.

Była tym tak podniecona, że natychmiast zaczęła uczyć go porucznika Dunbara. Najpierw musiała dać do zrozumienia, o co jej chodzi. Wskazała na niego i powiedziała „Jan”, potem pokazała na siebie i nie powiedziała nic. W tym samym geście uniosła do góry palec, co miało znaczyć: „Zaczekaj. Pokażę ci”.

Miał postępować według następującego wzoru: wykonywać, o cokolwiek ona go poprosi, a potem odgadnąć nazwę czynności po angielsku. Chciała, żeby wstał, ale w altance nie było to możliwe, więc wypchnęła obu mężczyzn na zewnątrz, gdzie mieli pełną swobodę ruchów.

Porucznik Dunbar kolejno zgadywał „wstawać”, „wstaje”, „podnosi się”, „na nogi”, zanim wpadł na „stoi”. Z „z” poszło łatwiej, „ta” już kiedyś przerobili, a „pięść” zrozumiał za pierwszą próbą. Gdy już wiedział, jak to jest po angielsku, nauczyła go w języku Komanczów.

Doszedłszy do tego punktu, jedno po drugim opanował „Wiatr W Jego Włosach”, „Dziesięć Niedźwiedzi” i „Wierzgający Ptak”.

Porucznik Dunbar był podniecony. Poprosił o coś do rysowania i używając drzazgi zwęglonego drewna, zapisał fonetycznie cztery imiona Komanczów na cienkim skrawku białej kory.

Ta Która Stoi Z Pięścią przez cały czas zachowywała się z rezerwą. Ale w głębi duszy była roztrzęsiona. Gdy tysiące drzwi, tak długo zamkniętych, otwały się na oścież, angielskie słowa pryskały jej w głowie jak iskry. Była rozgorączkowana tą lekcją.

Za każdym razem, gdy porucznik odczytywał listę zapisaną na skrawku kory, i za każdym razem, gdy wymawiał imiona niemal tak, jak powinno się je wymawiać, nagradzała go bladym uśmiechem i wypowiadała słowo „tak”.

Jeśli o to chodzi, porucznik Dunbar nie musiał oglądać jej uśmiechu, by wiedzieć, że nagradzany jest z serca. Słyszał to w tonie, jakim wypowiadała słowo, i widział to w sile bijącej z jej jasnobrązowych oczu. Słyszeć, jak wypowiada te słowa, po angielsku i w języku Komanczów, było czymś dla niej szczególnym. Na ich dźwięk jej wewnętrzne rozdygotanie przechodziło w mrowienie w całym ciele. Porucznik wyczuwał to.

Nie była już tą samą kobietą, tak smutną i zagubioną, którą znalazł na prerii. Tamta chwila była teraz czymś minionym. Był szczęśliwy, widząc, jak bardzo się zbliżyła.

Najlepszy ze wszystkiego był mały kawałek kory, który trzymał w ręce. Ścisnął go mocno, zdecydowany nigdzie go nie zawieruszyć. Był to pierwszy wycinek mapy, która poprowadzi go w nieznaną jeszcze przyszłość z tymi ludźmi. Od tej chwili tak wiele rzeczy stanie się możliwych.

Jednakże najgłębiej poruszony takim obrotem spraw był Wierzgający Ptak. Dla niego był to cud najwyższego rzędu, na równi z obecnością przy czymś przepastnym, jak narodziny lub śmierć.

Ziściło się jego marzenie.

Gdy usłyszał, jak porucznik wymawia w języku Komanczów jego imię, czuł się tak, jakby mur nie do przejścia zamienił się nagle w dym. A oni przechodzili na przestrzał. Oni się porozumiewali.

Równie mocno urósł w jego oczach obraz Tej Która Stoi Z Pięścią. Nie była już Komanczem. Uczyniwszy z siebie most dla ich słów, stała się kimś więcej. Podobnie jak porucznik, tak i on wysłyszał to w brzmieniu jej angielskich słów i ujrzał to w bijącej z jej oczu nowej sile. Coś dodano, coś, czego przedtem brakowało, i Wierzgający Ptak wiedział, co to takiego. Jej pogrzebana przed laty biała krew znów płynęła, jej nie rozcieńczona biała krew.

Brzemie tych wydarzeń było nawet ponad siły Wierzgającego Ptaka i jak profesor, który wie, kiedy nadchodzi dla uczniów czas odpoczynku, rzekł Tej Która Stoi Z Pięścią, że wystarczy tego jak na jeden dzień.

Cień rozczarowania przemknął jej po twarzy. Potem spuściła głowę i potulnie przytaknęła.

Jednakże w tym momencie przyszła jej do głowy cudowna myśl. Spojrzała w oczy Wierzgającego Ptaka i z szacunkiem spytała, czy może zrobić jeszcze jedną rzecz.

Chciała nauczyć białego żołnierza jego własnego imienia.

To był świetny pomysł, tak świetny, że Wierzgający Ptak nie mógł odmówić swej przybranej córce. Kazał jej kontynuować.

Natychmiast przypomniała sobie słowo. Widziała je, ale nie potrafiła go powiedzieć. I nie mogła sobie przypomnieć, jak to robiła, będąc dziewczynką. Mężczyzna czekał, a ona usiłowała sobie przypomnieć.

Wtedy porucznik Dunbar bezwiednie uniosł rękę, by strząsnąć komara, który bzyczał mu nad uchem, a ona ujrzała wszystko od nowa.

Chwyliła zawieszoną w próżni dłoń porucznika, a koniuszki palców drugiej ręki lekko oparła na jego biodrach. I zanim którykolwiek z mężczyzn zdołał zareagować, powiodła Dunbara do chropowatego, ale niewątpliwego wspomnienia walca.

Po kilku sekundach wycofała się skromnie, pozostawiając porucznika Dunbara w stanie szoku. Musiał dokonywać wysiłków, by przypomnieć sobie, o co chodziło w tym ćwiczeniu.

I nagle rozjaśniło mu się w głowie. Potem pojaśniło mu w oczach i jak jedyny chłopiec w klasie, który zna prawidłową odpowiedź, uśmiechnął się do swojej nauczycielki.

3

Od tego momentu łatwo już było pojąć resztę.

Porucznik Dunbar przyklęknął na jedno kolano i zapisał imię na samym dole swojego elementarza z kory. Jego oczy przykuł wygląd imienia po angielsku. Wydawało się większe niż takie sobie zwykłe imię. Im dłużej na nie patrzył, tym bardziej mu się podobało.

Powiedział do siebie: Tańczący Z Wilkami.

Porucznik powstał, złożył krótki ukłon w stronę Wierzgającego Ptaka i tak jak lokaj mógłby anonsować przybycie gościa zaproszonego na obiad, niewyszukanie i bez fanfar, wypowiedział swoje imię raz jeszcze.

Tym razem powiedział je w języku Komanczów.

„Tańczący Z Wilkami”.

ROZDZIAŁ XXII

1

Tej nocy Tańczący Z Wilkami został w wigwamie Wierzgającego Ptaka. Był wyczerpany, ale jak to często się zdarza, zbyt zmęczony, żeby zasnąć. Wydarzenia tego dnia podskakiwały mu w głowie jak kukurydza w rondlu.

Gdy wreszcie porucznik zaczął zapadać w nieświadomość, zanurzył się w półmrok snu, jakiego nie pamiętał od wczesnej młodości. W otoczeniu gwiazd unosił się poprzez zimną, milczącą próżnię przestrzeni - pozbawiony ciężaru mały chłopiec, zagubiony w świecie srebra i czerni.

Ale nie bał się. Było mu przytulnie i ciepło pod osłoną łoża z baldachimem, a być miotanym jak pojedyncze ziarenko we wszechświecie, nawet na wieki, nie było ciężką próbą. Było radością.

Tak właśnie zasnął pierwszej nocy w odwiecznym letnim obozie Komanczów.

2

W ciągu następnych miesięcy porucznik Dunbar wielokrotnie zasypiał w obozie Dziesięciu Niedźwiedzi.

Często powracał do Fort Sedgewick, lecz w pierwszym rzędzie skłaniało go do tych wizyt poczucie winy, a nie szczerą ochotę. Nawet będąc tam, wiedział, że zachowuje tylko cieniutką warstwę pozorów. A przecież czuł się do tego zmuszony. Wiedział, że nie ma logicznego uzasadnienia, by nadal tam zostawać. Będąc teraz pewnym, że armia porzuciła posterunek, a jego wraz z nim, myślał o powrocie do Fort Hays. Spełnił już swój obowiązek. Doprawdy jego oddanie posterunkowi i Armii Stanów Zjednoczonych było przykładne. Mógł teraz odejść z podniesioną głową.

Powstrzymywał go zew innego świata, świata, który dopiero co zaczął zgłębiać. Nie wiedział dokładnie, kiedy to się stało, ale przyszło mu na myśl, że jego marzenie o przydziale nad granicę, marzenie, które w sobie wyklarował, by służyć na obrzeżach wojskowej służby, od samego początku zmierzało do bezkresnej przygody, którą teraz przeżywał. Kraje, armie i konne szarże przybladły w jej świetle. Odkrył w sobie wielkie pragnienie i nie bardziej był zdolny je uśmierzyć, niżli umierający potrafi odmówić szklanki wody.

Chciał zobaczyć, co się stanie, i dlatego zarzucił myśl o powrocie do armii. Ale nie zarzucił całkiem myśli o powrocie armii do niego. Wcześniej czy później musiała wrócić.

Tak więc podczas wizyt w forcie zaprzętały go błahostki: od czasu do czasu naprawa

dziury w zadaszeniu, wymiatanie pajęczyn z kątów darniowej chaty, pisanie następnych rozdziałów dziennika.

Narzucił sobie te prace jako nieco wydumany sposób podtrzymania kontaktu z dawnym życiem. Choć tak bardzo dał się pochłonać Komańczom, nie mógł znaleźć w sobie dość sił, by wszystko porzucić, a pusta krzątanina, której się oddawał, pozwalała mu chwycić się strzępów przeszłości. Odwiedzając fort z połowiczną regularnością, zachowywał dyscyplinę w momencie, gdy nie była ona już dłużej koniecznością, a to czyniąc, zachowywał także ideę porucznika Johna J. Dunbara z Armii Stanów Zjednoczonych.

Poszczególne rozdziały dziennika nie przynosiły już obrazu jego dni. Większość z nich nie wykraczała poza przybliżone określenie daty, krótki komentarz o pogodzie albo stanie zdrowia i podpis. Nawet gdyby chciał, byłaby to nazbyt ogromna praca przedstawić obraz nowego życia, które teraz wiódł. Poza tym to była sprawa osobista.

Niezmiennie przechadzał się w dół stoku nad rzekę, mając zwykle za plecami Dwie Skarpety. Wilk był jego pierwszym prawdziwym towarzyszem i porucznik zawsze cieszył się na jego widok. Ich wspólnie spędzony w milczeniu czas był czymś, co pielęgnował.

Przystawał na kilka minut nad brzegiem strumienia, wpatrzony w prąd wody. Jeśli było odpowiednio jasno, mógł się przejrzeć wyraźnie jak w lustrze. Włosy urosły mu poniżej ramion. Twarz nieustannie chłostana słońcem i wiatrem ściemniała. Obracał się na wszystkie strony jak modny elegant, zachwycając się napierśnikiem, który nosił teraz jak mundur. Z wyjątkiem Cisca nic, co mógłby nazwać własnym, nie przedstawiało większej od niego wartości.

Niekiedy odbicie w wodzie rodziło w nim dreszcz zakłopotania. Wyglądał teraz tak bardzo podobnie do nich. Gdy tak się zdarzało, dziwnie kiwał się na jednej nodze, podnosząc drugą na taką wysokość, by woda mogła odbić wizerunek spodni z żółtymi lampasami i wysokich, czarnych butów do konnej jazdy.

Od czasu do czasu rozważał, czy nie zrzucić ich dla legginów i mokasynów, ale odbicie w wodzie za każdym razem podpowiadało mu, że stanowią jego część. W pewnym sensie były również częścią dyscypliny. Będzie nosił spodnie i buty, aż się rozlecą. Potem zobaczy.

W takie dni, gdy czuł się bardziej Indianinem niż białym, włókł się przez urwisko noga za nogą, a fort jawił mu się jako starożytna budowla, upiorny relikwiarz tak dawno minionej przeszłości, że aż trudno było uwierzyć, iż kiedykolwiek miał z nią jakiś związek.

Z upływem czasu jazdy do Fort Sedgewick stały się mordegą. Wizyt było coraz mniej i stały się coraz rzadsze. Ale nie przestał jeździć na swoje stare leże.

Wioska Dziesięciu Niedźwiedzi stała się centrum jego życia, lecz pomimo ogromnej łatwości, z jaką się tam zadomowił, porucznik Dunbar funkcjonował jako człowiek z zewnątrz. Kolor jego skóry, akcent, spodnie i buty wyróżniały go jako przybysza z innego świata i podobnie jak Ta Która Stoi Z Pięścią, szybko stał się człowiekiem należącym do dwóch ludów.

Jego wtapianie się w świat Komanczów nieustannie spowalniały szczątki świata, który pozostawił za sobą, i kiedy Dunbar próbował zastanawiać się nad swym prawdziwym miejscem w życiu, wzrok jego stawał się nagle nieobecny. Jakiś opar, bezbarwny i nieokreślony, zasnuwał jego umysł, jak gdyby zawieszeniu w nim uległy normalne procesy. Po paru sekundach opar się unosił i mógł zająć się swoimi sprawami, nie całkiem świadom tego, co go opadło.

Na szczęście w miarę upływu czasu ten urok ustępował.

Pierwszych sześć tygodni pobytu w obozie Dziesięciu Niedźwiedzi toczyło się wokół jednego, bardzo szczególnego miejsca: małej, skleconej z gałęzi altanki na tyłach wigwamu Wierzgającego Ptaka.

To właśnie tam, podczas codziennych wielogodzinnych spotkań, porucznik Dunbar po raz pierwszy swobodnie rozmawiał z czarownikiem.

Ta Która Stoi Z Pięścią czyniła nieustanne postępy, nabierając biegłości, i pod koniec pierwszego tygodnia cała trójka odbywała już długotrwałe rozmowy.

Od dawna porucznik uważał Wierzgającego Ptaka za dobrego człowieka, lecz gdy Ta Która Stoi Z Pięścią zaczęła tłumaczyć na angielski obszerne partie jego przemyśleń, Dunbar odkrył, że ma do czynienia z inteligencją, która przewyższa wszystko, co dotąd znał.

Z początku przeważnie padały pytania i odpowiedzi. Porucznik Dunbar opowiedział historię swego przybycia do Fort Sedgewick i nie wyjaśnionego osamotnienia. Choć interesująca, historia ta przygnębiła Wierzgającego Ptaka. Tańczący Z Wilkami prawie nic nie wiedział. Nie wiedział nawet, jaką misję ma do spełnienia armia, nie mówiąc już o dokładnych planach. Ze spraw wojskowych nie można się było niczego dowiedzieć. Był zwykłym żołnierzem.

Biała rasa to zupełnie co innego.

- Dlaczego biali przybywają do naszego kraju? - częstokroć pytał Wierzgający Ptak.

A Dunbar odpowiadał: - Nie sądzę, żeby chcieli przybywać do tego kraju. Myślę, że chcą jedynie przezeń przejść.

Wierzgający Ptak kontrował: - Teksańczycy są już w naszym kraju, wycinając drzewa i rozpruwając ziemię. Zabijają bizona i zostawiają je w trawie. Już się tak dzieje. Już jest o tylu ludzi za dużo. Ilu jeszcze przybędzie?

W tym miejscu porucznik krzywił się i mówił: - Nie wiem.

- Słyszałem, jak powiadano - ciągnął czarownik - że biali chcą jedynie, by w kraju zapanował pokój. Dlaczego zawsze przybywają z żołnierzami o owłosionych ustach? Dlaczego teksańscy zwiadowcy ścigają nas, jeśli chcemy tylko, by nas pozostawiono w spokoju? Mówiono mi o rozmowach, które odbyli wodzowie białych z moimi braćmi. Mówiono mi, że rozmowy były pokojowe i poczyniono wiele obietnic. Ale powiedziano mi też, że obietnice są zawsze łamane. Gdyby przybyli do nas wodzowie białych, jak moglibyśmy poznać ich prawdziwe zamysły?

Czy powinniśmy przyjąć od nich podarunki? Powinniśmy podpisywać ich papiery, by pokazać, że między nami będzie pokój? Gdy byłem chłopcem, wielu Komanczów udało się do domu prawnego w Teksasie na wielkie spotkanie z białymi wodzami i zostali tam zastrzeleni. Porucznik usiłował udzielić rozsądnych odpowiedzi na pytania Wierzgającego Ptaka, ale w najlepszym razie były to słabo uzasadnione domysły, a gdy go naciskano, nieuchronnie kończył mówiąc: - Tak naprawdę to nie wiem.

Pilnował się, ponieważ widział, że za pytaniami Wierzgającego Ptaka kryje się głęboka troska, a nie mógł zdobyć się na powiedzenie tego, co naprawdę myśli. Gdyby kiedykolwiek biali przybyli tu w znacznej sile, indiański lud, choćby nie wiem jak dzielnie walczył, zostanie nieodwołalnie pokonany. Poniesie klęskę w starciu z samym uzbrojeniem.

Nie mógł zarazem powiedzieć Wierzgającemu Ptakowi, by nie przejmował się swoimi troskami. Powinien być zatroskany. Porucznik po prostu nie mógł powiedzieć mu prawdy. Nie mógł także powiedzieć czarownikowi kłamstw. Była to sytuacja patowa i widząc, że znalazł się w ślepych zaułku, Dunbar skrywał się za murem niewiedzy, czekając na pojawienie się nowych, bardziej przypadających do smaku tematów.

Lecz w każdym dniu, jak rdza, która nie daje się zmyć wodą, powracało jedno nadrzędne pytanie.

- Ilu jeszcze przybędzie?

4

Stopniowo Ta Która Stoi Z Pięścią zaczęła wyczekiwać na chwilę, które spędzi w skleconej z gałęzi altance.

Po tym jak został zaakceptowany przez horde, Tańczący Z Wilkami przestał stanowić

tak poważny problem jak kiedyś. Jego związki ze społecznością białych przybladły i chociaż to, co reprezentował, nadal budziło grozę, sam żołnierz już jej nie budził.

Z początku jawność wszelkich działań podejmowanych w altance krępowała Tę Która Stoi Z Pięścią. Edukacja Tańczącego Z Wilkami, jego obecność w obozie i jej kluczowa rola pośredniczki były stałymi tematami rozmów w wiosce. Towarzyszący temu rozgłos wprawiał ją w zakłopotanie, zupełnie jakby była śledzona. Była szczególnie wyczulona na ewentualną krytykę za wymigiwanie się od codziennych obowiązków, których spełniania oczekiwano od każdej kobiety Komanczów. To prawda, że zwolnił ją od nich sam Wierzgający Ptak, niemniej jednak nie przestała się martwić.

Po dwóch tygodniach jednak nie ziściła się żadna z jej obaw, nowy zaś szacunek, jaki ją otaczał, miał zbawienny wpływ na jej osobowość. Łatwiej jej przychodził uśmiech, prościej się trzymała. Powaga jej nowej roli naznaczyła jej kroki poczuciem dostojeństwa, które każdy mógł łatwo dostrzec. Życie jej stawało się znaczniejsze i w głębi duszy wiedziała, że to dobrze.

Inni ludzie też to wiedzieli.

Pewnego popołudnia zbierała chrust, gdy jedna z jej przyjaciółek, podszedłszy nagle, powiedziała z odcieniem dumy:

- Ludzie gadają o tobie.

Ta Która Stoi Z Pięścią wyprostowała się, nie będąc pewną, jak ma rozumieć tę uwagę.

- Co mówią? - spytała przy gaszonym głosem.

- Mówią, że uprawiasz czary. Mówią, że może powinnaś zmienić imię.

- Na jakie?

- Och, nie wiem - odrzekła przyjaciółka. - Może na Czarodziejski Język albo coś podobnego. To tylko takie gadanie.

Gdy tak szły razem w zapadającym zmierzchu, Tej Która Stoi Z Pięścią chodziło po głowie to, co usłyszała. Gdy znowu się odezwała, były już na krańcach obozu.

- Lubię moje imię - rzekła, wiedząc, że wieść o jej życzeniu szybko rozejdzie się po obozie. - Pozostanę przy nim. W kilka nocy później wracała do tipi Wierzgającego Ptaka, załatwiwszy naturalną potrzebę, gdy usłyszała, że w pobliskim wigwamie ktoś zaczął śpiewać. Przystanąła, nasłuchując w osłupieniu słów pieśni.

Komańcze mają most

Stąd do innego świata

Most ma na imię Ta Która Stoi Z Pięścią.

Zbyt zakłopotana, by słuchać dalej, pośpiesznie wróciła do łóżka. Ale naciągając derki po brodę, nie myślała źle o pieśni. Myślała tylko o słowach, które usłyszała, i po chwili zastanowienia wydały jej się całkiem dobre.

Tej nocy spała głębokim snem. Gdy się zbudziła następnego ranka, było już jasno. Gramoląc się, by nadrobić straconą część dnia, wypadła z wigwamu i stanęła jak wryta.

Tańczący Z Wilkami wyjeżdżał z obozu na małym bułanym koniu. Był to widok, który zasmucił jej serce bardziej, niż mogła to sobie wyobrazić. Myśl o jego wyjeździe nie wzburzyła jej tak bardzo, ale myśl o tym, że może nie wrócić, przygnębiła ją tak dalece, iż odbiło się to na jej twarzy.

Ta Która Stoi Z Pięścią zapłonila się na myśl, że ktoś może ją w tym stanie zobaczyć. Szybko rozejrzała się dokoła i przybrała nieco jaśniejszy odcień czerwieni.

Przyglądał jej się Wierzgający Ptak.

Serce jej dziko zabiło, gdy usiłowała doprowadzić się do porządku. Czarownik nadchodził.

- Dzisiaj nie będzie rozmowy - powiedział, przypatrując się jej tak uważnie, że aż ścisnęło ją w dołku.

- Wiem - odrzekła próbując zachować obojętny ton.

Ale ujrzała w jego oczach ciekawość, ciekawość, która domagała się wyjaśnień.

- Lubię uczestniczyć w rozmowach - podjęła. - Jestem szczęśliwa, że mogę tworzyć białe słowa. - Chce obejrzeć fort białego człowieka. Wróci o zachodzie słońca.

Czarownik jeszcze raz przyjrzał jej się z bliska i powiedział:

- Jutro będzie więcej rozmów.

5

Dzień płynął jej minuta po minucie.

Spoglądała na słońce, jak znużony urzędnik liczy każde tyknięcie zegara. Nic nie porusza się tak wolno jak odliczany czas. Z tego powodu miała ogromne trudności w skupieniu się na swoich obowiązkach.

Gdy nie liczyła czasu, pogrążała się w marzeniach.

Teraz, kiedy wyłonił się jako prawdziwa osobistość, znajdowała w nim wiele rzeczy godnych podziwu. Niektóre z nich można było przypisać ich wspólnej białej rasie. Inne były właściwe tylko jemu. Wszystkie rodziły jej zainteresowanie.

Odczuwała zagadkową dumę na myśl o wyczynach, których dokonał, wyczynach, które znane były całemu jej ludowi.

Na wspomnienie odgrywanych przezeń scenek śmiała się. Czasami był bardzo zabawny. Zabawny, ale nie głupi. We wszystkim, co robił, wydawał się szczerzy, otwarty, pełen szacunku i dobrego humoru. Była przekonana, że te cechy są u niego prawdziwe.

Jego widok w napierśniku z początku wydał jej się nie na miejscu, podobnie jak nie na miejscu byłby Komańcz w cylindrze. Ale nosił go dzień w dzień, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. I nigdy go nie zdejmował. Było oczywiste, że go uwielbia.

Włosy miał kędzierzawe jak ona, a nie grube i proste jak pozostali. I nie próbował tego zmienić.

Nie zmienił także butów i spodni, lecz nosił je w ten sam naturalny sposób co napierśnik. Te rozmyślenia doprowadziły ją do wniosku, że Tańczący Z Wilkami jest uczciwym człowiekiem. Każda istota ludzka szczególnie rozplywa się nad pewnymi cechami charakteru, a dla Tej Która Stoi Z Pięścią cechą taką była uczciwość.

Zaduma nad Tańczącym Z Wilkami nie ustępowała i w miarę jak mijało popołudnie, pojawiały się coraz śmielsze myśli. Wyobrażała sobie, jak powraca o zachodzie słońca. Wyobrażała sobie ich razem w altance następnego dnia.

Późnym popołudniem, gdy kłęczała nad brzegiem rzeki, napełniając wodą dzban, naszedł ją jeszcze jeden obraz. Byli razem w altance. On mówił o sobie, a ona słuchała. Ale byli tam tylko we dwoje.

Wierzgający Ptak odszedł.

6

Marzenie jej spełniło się już następnego dnia.

Cała trójka właśnie zasiadła do rozmowy, gdy przyniesiono wieść, że grupa młodych wojowników ogłosiła zamiar wyruszenia na wyprawę wojenną przeciw Pawnisom. Ponieważ nie było uprzednio o tym mowy, a zaangażowani w to młodzi ludzie byli niedoświadczeni, Dziesięć Niedźwiedzi pośpiesznie zwołał naradę.

Wierzgający Ptak został zawezwany i nagle byli już sami.

Cisza, która zapadła w altance, była tak ciężka, że oboje poczuli zdenerwowanie. Każde z nich chciało mówić, ale zastanawiali się, co i jak powiedzieć, i to ich powstrzymywało. Siedzieli oniemiała.

Ta Która Stoi Z Pięścią zdecydowała się w końcu na pierwsze słowa, ale było za późno.

On już zwracał się do niej, nieśmiało, ale dobitnie wypowiadając te słowa. - Chcę się dowiedzieć czegoś o tobie - powiedział.

Odwróciła głowę, próbując zebrać myśli. Angielski wciąż sprawiał jej kłopoty. Nie mogąc pozbiierać myśli, urywanym z wysiłku głosem wydobyła z siebie wyraźnymi, choć nie wolnymi od zająknięć słowami.

- Cc... co wiesz... chcesz wiedzieć? - zapytała.

7

Przez resztę poranka opowiadała mu o sobie, przyciągając łapczywą uwagę porucznika historiami z czasów, gdy była białą dziewczynką, z okresu porwania i długiego życia wśród Komanczów.

Ilekcóż próbowała zakończyć opowieść, zadawał następne pytanie. Choćby nie wiem jak pragnęła, nie była w stanie przestać mówić o sobie.

Zapytał, w jaki sposób zyskała sobie imię, a ona opowiedziała mu historię swojego przybycia do obozu przed wielu laty. Wspomnienia z pierwszego miesiąca były mgliste, ale dobrze pamiętała dzień, w którym nadano jej imię.

Nie została oficjalnie przysposobiona przez nikogo, nie uznano jej też za członka hordy. Jedynie pracowała. Gdy już z powodzeniem radziła sobie z powinnościami, praca stała się mniej niewolnicza i nauczono ją więcej o różnych stronach życia na prerii. Lecz im dłużej pracowała, tym niechętniej znosiła swój niski stan. A niektóre kobiety dokuczały jej bezlitośnie.

Pewnego ranka przed wigwamem przyłożyła najgorszej z tych kobiet. Jako młoda i nie wyćwiczona, nie miała nadziei na wygranie walki. Ale cios pięścią, jaki zadała, był mocny i doskonale wymierzony. Trzasnęło kobietę w samiotki podbródek i zwała ją bez czucia. Kopnęła na dokładkę swoją prześladowczynię i z zaciśniętą pięścią stanęła twarzą w twarz z innymi kobietami - drobna, biała dziewczyna gotowa zmierzyć się z każdą, która się pojawi.

Żadna nie podjęła wyzwania. Tylko patrzyły. W parę chwil potem wszystkie wróciły do swoich zajęć, zostawiając niktzemną kobietę tam, gdzie upadła.

Po tym nikt już nie dokuczał małej białej dziewczynie. Opiekująca się nią rodzina szczerze okazywała jej sympatię i droga do zostania Komanczem została przetarta. Od tej pory jest Tą Która Stoi Z Pięścią.

Gdy opowiedziała tę historię, w altance zapanował szczególny rodzaj ciepła. Porucznik Dunbar chciał poznać dokładne miejsce na podbródku tamtej kobiety, w które trafiła jej pięść, a Ta Która Stoi Z Pięścią bez wahania trąciła go knykciami w szczękę.

Gdy to zrobiła, porucznik wlepił w nią wzrok.

Powoli wywracał oczami, a potem padł jak długi.

To był dobry żart i posunęła go dalej, cucąc go lekkim potrząśnięciem za ramię.

Ta drobna wymiana dała im poczucie swobody, ale choć było to dobre, trochę zaniepokoiło zarazem Tę Która Stoi Z Pięścią. Nie chciała, żeby zadawał jej osobiste pytania, pytania o jej status jako kobiety. Wyczuwała, że pytania te wiszą w powietrzu, i widmo ich rozpraszało jej uwagę. To sprawiło, że stała się nerwowa i mniej komunikatywna.

Porucznik wyczuł jej rezerwę. To sprawiło, że także stał się nerwowy i mniej komunikatywny.

Zanim się zorientowali, znów zapadło między nimi milczenie.

A jednak porucznik to powiedział. Nie wiedział dokładnie dlaczego, ale było to coś, o co musiał spytać. Gdyby teraz to pominął, nigdy nie zdobyłby się na to pytanie. Więc zapytał.

Niby od niechcenia wyciągnął nogę i ziewnął.

- Jesteś mężatką? - spytał.

Ta Która Stoi Z Pięścią spuściła głowę i wbiła oczy w podolek. Krótco potrząsnęła głową ze skrępowaniem i odrzekła:

- Nie.

Właśnie miał znów coś powiedzieć, gdy zerwała się na nogi i wyszła z altanki.

Nie było jej, zanim Dunbar zdołał za nią krzyknąć. Załamany, siedział jak tknięty paraliżem w altance, przeklinając siebie za to, że zadał to pytanie, a przy tym żywiąc jednak słabą nadzieję, iż to, co zostało popsute, da się znów naprawić. Ale w tym względzie nic nie był w stanie uczynić. Nie mógł prosić Wierzgającego Ptaka o radę. Nie mógł nawet porozmawiać z Wierzgającym Ptakiem.

Przez dziesięć niespokojnych minut siedział samotnie w altance. Potem ruszył ku stadu kuców. Potrzebował spaceru i przejażdżki.

Ta Która Stoi Z Pięścią także pojechała na przejażdżkę. Przeprowadziła się przez rzekę i zakosami podążała przez nadbrzeżne głązy, próbując uporządkować myśli.

Nie miała wiele szczęścia.

Jej uczucia do Tańczącego Z Wilkami były w strasznym pomieszaniu. Nie tak dawno temu nienawidziła samej myśli o nim. Przez kilka ostatnich dni poza nim nie myślała o niczym innym. A tak wiele było jeszcze innych sprzeczności.

Z nagłym przestraszeniem zdała sobie sprawę, że ani razu nie pomyślała o swoim zmarłym mężu. Tak niedawno jeszcze był ośrodkiem jej życia, a teraz o nim zapomniała. Zrodziło się w niej poczucie winy.

Zawróciła kuca i ruszyła z powrotem, odpędzając myśli o Tańczącym Z Wilkami

długą litanią modlitw za zmarłego męża.

Nie było jeszcze widać wioski, gdy jej kuc uniósł głowę i parsknął jak konie, gdy wyczuwają niebezpieczeństwo.

Coś wielkiego trzasnęło w krzakach za jej plecami, a wiedząc, że tak wiele hałasu może narobić jedynie niedźwiedź, Ta Która Stoi Z Pięścią popędziła kuca do domu.

Przeprawiała się z powrotem przez rzekę, gdy ni stąd, ni zowąd, wpadła jej do głowy myśl.

Zastanawiam się, czy Tańczący Z Wilkami kiedykolwiek widział niedźwiedzia, powiedziała do siebie.

Ta Która Stoi Z Pięścią na tym się zatrzymała. Nie może na to pozwolić, musi skończyć z tym ciągłym myśleniem o nim. To jest nie do zniesienia.

Dotarłszy do przeciwległego brzegu, kobieta należąca do dwóch ludów powzięła już postanowienie, że jej rola jako tłumacza będzie od tej pory kwestią interesu, jak handel. Nie posunie się dalej, nawet w myślach.

Skończy z tym.

ROZDZIAŁ XXIII

1

Samotna przejażdżka porucznika Dunbara zawiodła go także nad brzeg rzeki. Lecz podczas gdy Ta Która Stoi Z Pięścią pojechała na południe, on skierował się na północ.

Pomimo że dzień był skwarny, po przejechaniu mili lub dwóch oddalił się od rzeki. Zapуścił się na otwarty teren z tą myślą, że w otoczeniu bezkresnej przestrzeni wreszcie poczuje się lepiej.

Porucznik bardzo podupadł na duchu.

Bez przerwy stawał mu przed oczami jej obraz, gdy wychodziła z altanki, i usiłował w nim odnaleźć coś, czego mógłby się uchwycić jak nadziei. Ale w jej odejściu była jakaś nieodwracalność, która zrodziła w nim straszne poczucie, że oto pozwolił, by coś cudownego wymknęło mu się z rąk, zanim jeszcze zdołał to pochwycić.

Porucznik łajał się bezlitośnie za to, że nie pobiegł za nią. Gdyby to zrobił, może rozmawialiby teraz szczęśliwie, mając drażliwą sprawę, cokolwiek to było, już uładzoną i za sobą.

Chciał jej opowiedzieć coś o sobie. Teraz może nigdy do tego nie dojść. Chciał znów być razem z nią w altance. A zamiast tego włóczył się tutaj w kółko, błędząc pod piekącym słońcem jak zbłąkana dusza.

Nigdy nie był tak daleko na północ od obozu i zaskoczyło go, jak gruntownie zmienił się krajobraz. Przed nim były prawdziwe wzgórza, nie zwykłe stepowe pagórki. Wzgórza przechodziły w głębokie, postrzępione kaniony. Skwar połączony z nieustannym samokrytycyzmem doprowadził jego umysł do stanu wrzenia i czując nagle zawroty głowy, spiął lekko Cisca kolanami. Pół mili przed sobą zauważył cienisty wylot mrocznego kanionu, który wdzierał się w prerię.

Ściany po obu stronach piętrzyły się na ponad sto stóp i mrok, jaki ogarnął konia i jeźdźca, natychmiast przyniósł ochłodę. Lecz gdy tak kluczyli ostrożnie przez usiane głazami dno kanionu, miejsce nabrało złowróżbnego wyglądu. Ściany zamykały się nad nimi coraz ciaśniej. Czuł, jak nerwowo napinają się mięśnie Cisca, i w niczym nie zmaconej ciszy popołudnia z narastającą świadomością zdawał sobie sprawę z głuchego bicia własnego serca.

Nabrał niezachwianej pewności, że zagłębili się w coś zamierzchnego. Może tkwiło w tym zło.

Zaczął już myśleć o zawróceniu z drogi, gdy dno kanionu nagle poszerzyło się. Daleko w przodzie, w przestrzeni dzielącej ściany kanionu, dostrzegł kępę topoli o

połyskujących w blasku słońca wierzchołkach.

Uporawszy się jeszcze z kilkoma spiralami i zakrętami, on i Cisco w jednej chwili wypadli na dużą, naturalną polanę, na której rosły topole. Nawet w pełni lata miejsce to było niezwykle zielone i choć nie mógł nigdzie dojrzeć strumienia, wiedział, że musi tu gdzieś być woda.

Bułanek wygiął w łuk szyję i łapał wiatr w nozdrza. Pewnie on także był spragniony, więc Dunbar puścił cugle. Cisco ominął topole i pobiegł dalsze sto jardów, aż do podnóża prostopadłej skalnej ściany, która znaczyła koniec kanionu. Tam się zatrzymał.

U jego stóp, pokryte błoną liści i glonów, znajdowało się małe źródło szerokie na sześć stóp. Zanim porucznik zdążył zeskoczyć, pysk Cisca przebił się przez kozuch na powierzchni i koń pił długimi haustami.

Gdy porucznik ukląkł obok konia, opierając się dłońmi o brzeg źródła, coś przyciągnęło jego wzrok. U podnóża skalnej ściany była szczelina. Wcinała się w głąb klifu i u wejścia była na tyle wysoka, że człowiek mieścił się bez schylania głowy.

Porucznik Dunbar zanurzył twarz obok Cisca i szybko pił. Ściągnął koniowi uzdę, rzucił ją koło źródła i zagłębił się w mroki szczeliny.

W środku panował cudowny chłód. Podłoże pod stopami było miękkie i o ile zdołał się zorientować, nie było tam nikogo. Ale gdy omiół wzrokiem grunt, nie miał wątpliwości, że człowiek jest tutaj na stałe zadomowiony. Zwęglone drwa z tysiąca ognisk rozsiane były po ziemi jak wyskubane pióra.

Strop zaczął się kurczyć, a gdy porucznik go dotknął, sadza z tysiąca ognisk zbrukała mu opuszki palców.

Ponieważ nadal kręciło mu się w głowie, usiadł, opadając tak ciężko na ziemię, że aż jęknął.

Siedział zwrócony w stronę, z której przyszedł, a wejście, o sto jardów dalej, wyglądało jak okno wystawione na słońce popołudnia. Cisco z zadowoleniem skubał kępiastą trawę koło źródła. Za nim liście topoli połyskiwały jak lusterka. Gdy chłód go otulił, porucznik Dunbar poczuł się nagle zdjęty pulsującym, wszechogarniającym zmęczeniem. Podłożywszy sobie ramiona pod głowę, wyciągnął się na gładkiej, piaszczystej ziemi i wlepił wzrok w sklepienie.

Lita skała była poczerniała od dymu, a poniżej widniały wyraźne znaki. W kamieniu były wyżłobione głębokie bruzdy, a przyjrząwszy się im, Dunbar zdał sobie sprawę, że zrobiła je ludzka ręka.

Morzył go sen, ale był zbyt zafascynowany znakami. Usiłował nadać im jakiś sens,

podobnie jak obserwator gwiazd, który wyteża się, by połączyć w całość kontur Byka.

Znaki bezpośrednio nad jego głową nagle poukładały się w całość. Był tam bizon, wyrysowany niezdarnie, ale ze wszystkimi istotnymi szczegółami. Nawet niewielki ogon sterczał mu do góry.

Obok bizona stał myśliwy. Trzymał w ręku kij, najprawdopodobniej włócznię. Była wycelowana w bizona.

Teraz sen nie dawał się już odegnąć. Przyszła mu do głowy myśl, że być może źródło było zakażone, ale powieki opadły mu pod niewidzialnym ciężarem.

Zamknawszy oczy wciąż widział bizona i myśliwego. Myśliwy wydał mu się znajomy. Nie była to dokładna replika, ale miał w twarzy coś z Wierzgającego Ptaka, coś przekazywanego z dziada pradziada przez stulecia.

Potem myśliwy stał się nim.

A potem odszedł.

2

Drzewa opadły z liści.

Na ziemi leżały łąty śniegu.

Było bardzo zimno.

Wielki krąg niezliczonych prostych żołnierzy bez życia czekał z bronią u nogi.

Przechodził od jednego do drugiego, zaglądając im w przemrożone, sine twarze i szukając oznak życia. Nikt go nie poznawał.

Wśród nich był jego ojciec, a z ręki zwisała mu jak naturalne przedłużenie ciała charakterystyczna lekarska torba. Zobaczył utopionego kolegę z chłopięcych lat. Zobaczył właściciela stajni w swoim dawnym miasteczku, który bił konie, gdy nie szły równo. Zobaczył generała Granta, nieruchomego jak sfinks, z głową zwieńczoną żołnierskim kaszkietem. Zobaczył mężczyznę o wodnistych oczach z księżowską koloratką. Zobaczył prostytutkę z martwą twarzą wysmarowaną różem i pudrem. Zobaczył swoją cycastą nauczycielkę ze szkoły powszechnej. Zobaczył słodką twarz matki z zamrzniętymi łzami na policzkach.

Nieprzebrana armia jego życia przewijała mu się przed oczami, jakby nigdy nie miało być jej końca. Były tam działa, wielkie, metalicznie połyskujące armaty na kołach.

Ktoś nadchodził do czekającego kręgu żołnierzy.

To był Dziesięć Niedźwiedzi. Szedł zwinnie w trzaskającym mrozie, z cienkim kocem zarzuconym na kościste ramiona. Wyglądając jak turysta, zatrzymał się przed samym

wylotem jednego z dział. Czerwonoskóra dłoń wyslizgnęła się spod koca, pragnąc pomacać lufę.

Wielkie działo wypaliło i Dziesięć Niedźwiedzi rozwiął się w chmurze dymu. Górna część jego ciała powoli koziółkowała pod martwym, zimowym niebem. Jak woda z sikawki, krew lała się z miejsca, gdzie kiedyś miał talię. Jego twarz była śmiertelnie blada. Kosmyki włosów leniwie falowały mu nad uszami.

Wystrzeliły inne działa i tak jak Dziesięć Niedźwiedzi, wigwamy z jego wioski poleciały w powietrze. Wirowały w przestrzeni jak ciężkie papierowe trąbki, a kiedy znów spadły na ziemię, tipi powbijały się w twarde jak żelazo grunt niczym kijki.

Armia nie miała teraz twarzy. Jak stado plażowiczów pędzących w upalny dzień nad brzeg morza, rzuciła się na ludzi z wigwamów, którzy pozostali bez dachu nad głową.

Najpierw ciśnięto na bok niemowlęta i małe dzieci. Poleciały wysoko w powietrze. Gałęzie bezlistnych drzew przesywały na wylot maleńkie ciała i tam wisząc, dzieci piszczały, brocząc spływającą po pniach drzew krwią, podczas gdy armia nie przerywała swego dzieła.

Otwierała mężczyzn i kobiety jak bożonarodzeniowe prezenty, strzelając im w głowę i zrywając pokrywy czaszek; rozpruwając brzuchy bagnetami, a potem rozwierając skórę niecierpliwymi dłońmi; odrąbując i wyszarpując członki.

Wewnątrz każdego Indianina były pieniądze. Z ich członków wysypywało się srebro. Ich brzuchy wymiotowały zielonymi banknotami. Złoto tkwiło w ich czaszkach jak cukierki w słojach.

Wielka armia oddalała się wozami po brzegi wyładowanymi bogactwem. Niektórzy żołnierze biegli obok wozów, zbierając z ziemi to, co się wysypało.

W szeregach armii wybuchły walki i długo jeszcze po jej zniknięciu odgłosy utarczek przecinały powietrze jak błyskawice za górami.

Jeden żołnierz został z tyłu, idąc w smutku i oszołomieniu poprzez pole zasłane ciałami.

To był on.

Serca rozkawałkowanych ludzi były jeszcze, wybębniając równym rytmem kadencję, która brzmiała jak muzyka.

Wsunął rękę pod kaftan i patrzył, jak unosi się i opada wraz z uderzeniami jego własnego serca. Zobaczył, że oddech zamarza mu przed twarzą. Wkrótce on także zamarznie.

Leżał pośród ciał, a gdy się wyciągnął, z ust wymknęło mu się długie, żałobne westchnienie. Miast wąteć, westchnienie wzmagало się. Okrzyki terenu rzezi, świszcząc mu

coraz szybciej za uszami, wyjękując przesłanie, którego nie potrafił zrozumieć.

3

Porucznik Dunbar przemarzył do szpiku kości.

Było ciemno.

Wiatr wpadał ze świstem przez szczelinę.

Skoczył na równe nogi, trzasnął głową o sklepienie z litej skały i z powrotem opadł na kolana. Mrugając oczami, w których stanęły mu gwiazdy, dostrzegł srebrzystą poświatę sączącą się przez otwór szczeliny. Księżyc.

Przerażony, Dunbar wygramolił się w małym przykucu, trzymaną nad głową ręką obmacując sklepienie. Kiedy już mógł bez przeszkód stanąć prosto, pobiegł do wylotu szczeliny i nie zwolnił kroku, zanim nie znalazł się w lśniącej księżycowej poświacie polanki.

Cisca nie było.

Porucznik gwizdnął wysoko i przenikliwie.

Nic.

Poszedł w głąb polanki i znów zagwizdał. Usłyszał, że wśród topól coś się porusza. Potem usłyszał ciche rzenie i w świetle księżyca skóra bułanka zamigotała jak bursztyn, gdy koń wybiegał spomiędzy drzew.

Dunbar szedł właśnie po uzdę, którą zostawił nad źródłem, gdy w powietrzu coś zatrzepotało. Obejrzał się w sam raz, by dostrzec płowy kształt wielkiej rogatej sowy, gdy szybowała koło łba Cisca, a potem wzbiła się stromo, znikając w końcu wśród gałęzi najwyższej topoli.

Lot sowy był niepokojąco niesamowity i musiał wyrzucić na Ciscu wrażenie, bowiem gdy porucznik go dotknął ręką, mały konik cały drżał z przestachu.

4

Wycofali się tą samą drogą z kanionu, a gdy znów znaleźli się na otwartej prerii, odczuli tego rodzaju ulgę, jakiej doznaje pływak, wynurzając się na powierzchnię po długim, głębokim nurkowaniu.

Porucznik Dunbar lekko pochylił się w siodle i Cisco popędził przed siebie, niosąc go przez srebrzysty step lekkim galopem.

Jechał bez ikry, przestraszony tym, że się obudził i że żyje, i próbował nabrać dystansu do dziwnego, zatrwającego snu. Nieważne, skąd przyszedł ten sen, i nieważne, co oznacza. Obrazy były na razie zbyt świeże i zapadły zbyt głęboko, by je pouładzać. Odegnął te halucynacje, zastąpiwszy je innymi myślami, które snuł zasłuchany w łagodny tętent kopyt

Cisca.

Ogarniało go poczucie siły, narastające z każdą przebytą milą. Wyczuwał je w swobodnym cwale Cisca i wyczuwał je we własnej jedności: jedności z koniem, prerią i perspektywą powrotu cało do wioski, która była teraz jego domem. Podświadomie wiedział, że czeka go rozrachunek z Tą Która Stoi Z Pięścią i że będzie musiał przyswoić sobie ten groteskowy sen i znaleźć mu miejsce gdzieś w swojej przyszłości.

Na razie jednak były to drobne sprawy. Nie przerażały go w najmniejszym stopniu, ponieważ nabrał przeświadczenia, że jego życie jako ludzkiej istoty nagle stało się pustą kartą, a tablice jego historii zostały wymazane do czysta. Przyszłość stała przed nim otworem w takim samym stopniu jak w dniu narodzin i to sprawiało, że duch jego wzlatał. Był jedynym człowiekiem na ziemi, królem bez poddanych, wędrującym po bezkresnej krainie swego życia.

Cieszył się, że są Komańczami, a nie Kiowami, bo przypomniał sobie teraz ich przydomek, zasłyszany albo przeczytany w pogrzebanej przeszłości.

Władcy Równin, tak właśnie ich nazywano. A on był jednym z nich.

Porwany falą rozmarzenia, upuścił wodze i skrzyżował ręce, kładąc dłonie płasko na napierśniku osłaniającym mu pierś.

- Jestem Tańczący Z Wilkami - krzyknął głośno. - Jestem Tańczący Z Wilkami.

5

Gdy nadjechał tej nocy, Wierzgający Ptak, Wiatr W Jego Włosach oraz kilku innych mężczyzn siedzieli przy ognisku.

Czarownik był tak zaniepokojony, że wysłał mały oddział w czterech kierunkach na zwiady, by poszukali białego żołnierza. Ale nie było powszechnego alarmu. Zrobiono to po cichu. Powrócili z niczym i Wierzgający Ptak przestał o tym myśleć. Gdy dochodziło do spraw wykraczających poza zasięg jego wpływów, zawsze zdawał się na mądrość Wielkiego Ducha.

Bardziej od zniknięcia Tańczącego Z Wilkami zaniepokoiło go to, co ujrzał na twarzy i w zachowaniu Tej Która Stoi Z Pięścią. Zauważył, że na wspomnienie jego imienia czuje się nieswojo, jakby miała coś do ukrycia.

Lecz i to, stwierdził, nie leżało w jego mocy. Okaże się we właściwym czasie, czy doszło między nimi do czegoś istotnego.

Ulżyło mu, kiedy zobaczył podjeżdżającego do ogniska bułanka i jego jeźdźca.

Porucznik zsunął się z grzbietu Cisca i pozdrowił w języku Komanczów mężczyzn

siedzących przy ogniu. Odpowiedzieli na powitanie i czekali, aż poda jakiś ważki powód swojej nieobecności.

Dunbar stał przed nimi jak nieproszony gość, mnąc w dłoniach cugle Cisca i patrząc po ich twarzach. Wszyscy widzieli, że umysł ma czymś zaprzątnięty.

Po paru sekundach jego spojrzenie padło prosto na Wierzgającego Ptaka, a czarownik pomyślał, że nigdy nie widział, żeby porucznik wyglądał na tak spokojnego i przekonanego.

Wtedy Dunbar się uśmiechnął. To był wątyły uśmiech, pełen ufności.

W nienagannym języku Komanczów powiedział: „Jestem Tańczący Z Wilkami”.

Potem odwrócił się plecami do ogniska i powiódł Cisca nad rzekę, by go porządnie napić.

ROZDZIAŁ XXIV

1

Pierwsza narada u Dziesięciu Niedźwiedzi pozostała nie rozstrzygnięta, ale następnego dnia po powrocie porucznika Dunbara zwołano drugie zgromadzenie, i tym razem osiągnięto rzetelny kompromis.

Zamiast natychmiast wyruszyć, jak chcieli tego młodzi ludzie, wyprawa wojenna przeciw Pawnisom odłożona zostanie o tydzień potrzebny na niezbędne przygotowania. Zdecydowano również, że wezmą w niej udział doświadczeni wojownicy.

Poprowadzi ją Wiatr W Jego Włosach, a Wierzgający Ptak będzie również im towarzyszył, zapewniając krytyczne duchowe przewodnictwo w praktycznych sprawach wyboru miejsca obozowania i godziny ataku, a także odczytując niewidoczne wróżby, z których niejedna z pewnością się ukaże. Miała to być mała wyprawa około dwudziestu wojowników i będą oni raczej szukać łupów niż zemsty.

Ta grupa wzbudzała wielkie zainteresowanie, ponieważ wielu młodych ludzi miało po raz pierwszy wyruszyć w charakterze w pełni opierzonych wojowników, a przydanie im tak znamienitych wodzów wywołało takie podniecenie, że podminowana została stateczna w normalnych warunkach codzienność obozu Dziesięciu Niedźwiedzi.

Codziennosc porucznika Dunbara, naruszona już owym dziwnym dniem i nocą w starym kanionie, także została podminowana. Tak wiele się działo, że spotkania w altance z chrustu wciąż były przerywane, i po dwóch takich dniach zaprzestano ich całkowicie.

Choć wielce nagabywany, Wierzgający Ptak był szczęśliwy, poświęcając całkowitą uwagę planowanemu wypadowi. Ta Która Stoi Z Pięścią była zadowolona, że zyskała czas na ochłonięcie, a Tańczący Z Wilkami też był z tego rad. Widział całkiem jasno, że dziewczyna zachowuje dystans wysiłkiem woli, i już z tego samego powodu, jeśli nie z innych, poczuł ulgę, widząc, że posiedzenia dobiegły końca.

Przygotowania do wyprawy wojennej intrygowały go, więc w miarę możliwości nie odstępował ani na krok Wierzgającego Ptaka.

Wydawało się, że czarownik utrzymuje kontakty z całym obozem, a Tańczący Z Wilkami był zachwycony, że znalazł się w samym środku, nawet jeśli był tylko obserwatorem. Chociaż daleko mu było do płynności, bliski był rozumienia istoty tego, co mówiono, w języku znaków zaś był już tak biegły, że w ostatnich dniach poprzedzających wyruszenie wyprawy rzadko wołano po Tę Która Stoi Z Pięścią.

Dla dawnego porucznika Dunbara była to pierwszorzędną nauka. Zasiadał na wielu

radach, podczas których każdemu z członków wyprawy wielce starannie i taktownie przydzielano obowiązki. Czytając między liniami, spostrzegł, że wśród wielu wybitnych zdolności Wierzgającego Ptaka żadna nie liczyła się bardziej niż umiejętność wyrobienia w każdym z ludzi poczucia, iż jest on postacią o kluczowym znaczeniu w nadchodzącej ekspedycji.

Tańczący Z Wilkami starał się również spędzać wiele czasu z Wiatrem W Jego Włosach. Jako że Wiatr W Jego Włosach wielokrotnie walczył z Pawnisami, jego opowieści o tych potyczkach cieszyły się dużym wzięciem. Rzeczywiście miały one zasadnicze znaczenie dla przygotowania młodszych członków wyprawy. Nieformalne wykłady ze sztuki wojennej odbywały się w wigwamie lub wokół wigwamu Wiatru W Jego Włosach i w miarę upływu dni Tańczący Z Wilkami złapał bakcyła.

Z początku bakcyl był nieszkodliwy, jakieś tam leniwe rozważania, jakby też to było na wojennej ścieżce. Koniec końców ogarnęło go pragnienie, by wyruszyć szlakiem przeciw wrogom Komanczów.

Cierpliwie czekał na odpowiedni moment, kiedy będzie mógł poprosić, żeby go ze sobą zabrali. Miał rozmaite okazje, ale gdy nadchodziła właściwa chwila, nie mógł znaleźć języka w gębie. Onieśmiał go strach, że ktoś powie nie.

Na dwa dni przed zaplanowanym wyruszeniem wyprawy niedaleko obozu spostrzeżono duże stado antylop i garstka wojowników, a wśród nich Tańczący Z Wilkami, wyjechała na poszukiwanie świeżego mięsa.

Przy użyciu tej samej techniki okrążenia, którą zastosowali przy bizonach, ludziom udało się zabić znaczną liczbę zwierząt, prawie sześćdziesiąt sztuk.

Świeże mięso zawsze witane było z radością, lecz co ważniejsze, pojawienie się antylop i udane polowanie uznano za znak, że mała wojna przeciwko Pawnisom przyniesie sukces. Wyjeżdżający mężczyźni czuli się pewniej, mając świadomość, że ich rodziny nie będą nękane brakiem pożywienia, nawet gdyby nie było ich kilka tygodni.

Tego samego popołudnia odtąńczono taniec dziękczynny i wszyscy byli w doskonałym nastroju. Wszyscy z wyjątkiem Tańczącego Z Wilkami. W miarę jak mijała noc, przyglądał się wszystkiemu z oddali, coraz bardziej markotny. Myślał tylko o tym, że go zostawiają, i nie mógł znieść tej myśli.

Kluczył tak, żeby znaleźć się blisko Tej Która Stoi Z Pięścią, a kiedy taniec ruszył, stanął obok niej.

- Chcę porozmawiać z Wierzgającym Ptakiem - powiedział. Coś jest nie w porządku, pomyślała. Próbowwała wyczytać z jego oczu jakieś oznaki, ale nie znalazła żadnych.

- Kiedy?

- Teraz.

2

Z jakiegoś powodu nie mógł się uspokoić. Był w nienaturalny dla siebie sposób zdenerwowany i rozdrażniony i kiedy szli do wigwamu, widziała to zarówno Ta Która Stoi Z Pięścią, jaki i Wierzgający Ptak.

Gdy usiedli w tipi Wierzgającego Ptaka, jego niepokój nadal był widoczny. Czarownik pominął zwykłe formalności i szybko przeszedł do sedna.

- Mów, co masz do powiedzenia - powiedział za pośrednictwem Tej Która Stoi Z Pięścią.

- Chcę jechać.

- Dokąd? - spytała.

Tańczący Z Wilkami poruszył się nerwowo, zbierając się na odwagę.

- Przeciw Pawnisom.

Zostało to przekazane Wierzgającemu Ptakowi.

Z wyjątkiem tego, że oczy zrobiły mu się trochę większe, czarownik wydawał się nieporuszony.

- Dlaczego chcesz prowadzić wojnę z Pawnisami? - zapytał logicznie. - Nic złego ci nie zrobili.

Tańczący Z Wilkami chwilę myślał.

- Są nieprzyjaciółmi Komanczów.

To nie spodobało się Wierzgającemu Ptakowi. W tej prośbie było coś wymuszonego. Tańczący Z Wilkami zbyt przynaglał.

- Na ten wypad mogą jechać tylko wojownicy Komanczów - powiedział matowym głosem.

- Byłem wojownikiem w armii białego człowieka dłużej niż niektórzy z młodych mężczyzn, którzy jadą, terminowali w tym rzemiośle. Niektórzy z nich po raz pierwszy biorą udział w wojnie.

- Zostali wyuczeni na sposób Komanczów - rzekł łagodnie czarownik. - Ty nie. Sposób białego człowieka nie jest sposobem Komanczów.

- Nie nauczę się sposobu Komanczów, zostając w obozie - odpowiedział cicho.

Dla Wierzgającego Ptaka było to trudne. Szkoda, że do tego doszło.

Żywił do Tańczącego Z Wilkami głęboką sympatię. Czuł się za białego żołnierza

odpowiedzialnym i biały żołnierz pokazał, że jest wart ryzyka, jakie podjął Wierzgający Ptak. Więcej niż wart.

Z drugiej strony wspiął się na wysokie i otoczone czią stanowisko dzięki ofiarnemu pozyskiwaniu wiedzy. Był teraz mądry i zdolny rozumieć świat na tyle dobrze, by oddawać wielkie usługi swemu ludowi.

I Wierzgający Ptak właśnie był rozdarty pomiędzy sympatią do jednego człowieka a służbą dla całej społeczności. Wiedział, że nie ma dyskusji. Cała jego mądrość podpowiadała, że zabranie Tańczącego Z Wilkami byłoby błędem.

Gdy tak zmagął się z tym zagadnieniem, usłyszał, że Tańczący Z Wilkami mówi coś do Tej Która Stoi Z Pięścią.

- Prosi, żebyś porozmawiał o tym z Dziesięcioma Niedźwiedziami - powiedziała.

Wierzgający Ptak spojrział w pełne nadziei oczy swego protegowanego i zawahał się.

- Tak uczynię - rzekł.

3

Tańczący Z Wilkami spał kiepsko tej nocy. Przeklinał siebie za to, że jest zbyt podniecony, by zasnąć. Wiedział, że żadna decyzja nie zostanie mu oznajmiona aż do następnego dnia, a jutro wydawało mu się zbyt odległe. Przez całą noc spał dziesięć minut, a dwadzieścia trwał na jawie. Na pół godziny przed świtem ostatecznie dał sobie spokój i poszedł się wykapać nad rzekę.

Myśl o łażeniu po obozie w oczekiwaniu na jakąś wiadomość wydała mu się nie do zniesienia, więc gdy Wiatr W Jego Włosach spytał go, czy nie chce pojechać na zwiad w poszukiwaniu bizonów, natychmiast skorzystał z nadarzającej się sposobności. Przejechali szmat drogi na wschód i było już dobrze po południu, gdy powrócili do obozu.

Pozwolił Temu Który Dużo Się Śmieje odprowadzić Cisca do stada kuców i z dziko bijącym sercem wkroczył do wigwamu Wierzgającego Ptaka.

Nie było tam nikogo.

Był już zdecydowany czekać, aż ktoś wróci, ale przez tylną ścianę usłyszał kobiece głosy zmieszane z łoskotem jakichś robót i im dłużej nasłuchiwał, tym mniej rozumiał z tego, co się tam dzieje. Nie minęło wiele minut, gdy ciekawość wypędziła go z wigwamu.

Dokładnie naprzeciw domostwa Wierzgającego Ptaka, o kilka jardów od altanki, spotkał Tę Która Stoi Z Pięścią i żony czarownika dokonujące ostatnich poprawek w nowo wzniesionym wigwamie.

Kładły ostatnie szwy i zanim się odezwał, przyglądał się przez parę chwil ich pracy.

- Gdzie jest Wierzgający Ptak?

- Z Dziesięcioma Niedźwiedziami - odrzekła.

- Zaczekam na niego - powiedział Tańczący Z Wilkami odwracając się, żeby odejść.

- Jeśli chcesz - rzekła, nie zadając sobie nawet tyle trudu, żeby oderwać wzrok od swojej roboty - możesz poczekać tu w środku.

Przerwała, żeby wytrzeć perelki potu, które spływały jej po skroniach, i spojrzała mu w twarz.

- Robimy to dla ciebie.

4

Rozmowa z Dziesięcioma Niedźwiedziami nie trwała długo, a przynajmniej nie trwała długo jej zasadnicza część.

Starzec był w dobrym nastroju. Jego wysłużone kości lubiły słoneczną pogodę i chociaż nie wychodził, radowała go perspektywa pomyślnej wyprawy przeciw znieprawionym Pawnisom. Jego wnuki były okrągłutkie od letniego ucztowania jak pączki w maśle, a jego wszystkie trzy żony były ostatnio bardzo wesole.

Wierzgający Ptak nie mógł wybrać lepszej pory, by zobaczyć się z nim w delikatnej sprawie.

Gdy czarownik opowiadał o prośbie Tańczącego Z Wilkami, Dziesięć Niedźwiedzi słuchał z niezmaconym spokojem. Zanim odpowiedział, nabił ponownie fajkę.

- Powiedziałeś mi, co jest w jego sercu - wycharczał starzec. - A co jest w twoim?

Podał Wierzgającemu Ptakowi fajkę.

- Moje serce mi mówi, że jest zbyt zapalony. Chce za dużo, za szybko. Jest wojownikiem, ale nie jest Komanczem. Nie od razu zostanie Komanczem.

Dziesięć Niedźwiedzi uśmiechnął się.

- Zawsze mówisz dobrze, Wierzgający Ptaku. I widzisz to właściwie.

Starzec zapalił fajkę i podsunął mu ją.

- A teraz powiedz mi - rzekł - w czym chciałbyś zasięgnąć mojej rady?

5

Z początku był to dla niego straszliwy zawód. Porównywalny jedynie z degradacją. Ale jeszcze bardziej bolesny. Nigdy nie był tak rozczarowany.

A mimo to zaszokowało go, jak szybko minęło rozgoryczenie z tego powodu. Minęło niemal natychmiast po wyjściu z wigwamu Wierzgającego Ptaka i Tej Która Stoi Z Pięścią.

Leżał na nowym posłaniu w swoim nowym domu i zastanawiał się nad tą zmianą.

Zaledwie parę minut temu otrzymał wiadomość, a teraz już nie był tym wcale zdruzgotany. Teraz było to zaledwie drobne rozczarowanie.

To ma coś wspólnego z tym miejscem, pomyślał, z tymi ludźmi. To ma coś wspólnego z życiem, które nie rozpieszcza.

Wierzgający Ptak wszystko bardzo dokładnie urządził. Przyszedł na czele dwóch kobiet niosących derki, Tą Która Stoi Z Pięścią i jedną ze swych żon. Gdy posłali nowe łóżko, żona odeszła, a oni troje, Wierzgający Ptak, Ta Która Stoi Z Pięścią i Tańczący Z Wilkami, stali na środku tipi, patrząc na siebie.

Wierzgający Ptak ani razu nie wspomniał o wypadzie albo decyzji, która wypadła na jego niekorzyść. Po prostu zaczął mówić.

- Byłoby dobrze, gdybyś pod moją nieobecność rozmówił się z Tą Która Stoi Z Pięścią. Powinieneś to zrobić w moim wigwamie, by moja rodzina była przy tym obecna. Chcę, żeby cię poznali, kiedy mnie nie będzie, i chcę także, żebyś ty poznał ich. Będę się czuł lepiej, wiedząc, że troszczysz się o moją rodzinę, gdy jestem poza domem. Przyjdź do mojego ogniska i jedz, jeśli jesteś głodny.

Po tym zaproszeniu na obiad czarownik odwrócił się raptownie i wyszedł, a Ta Która Stoi Z Pięścią udała się za nim.

Patrząc, jak odchodzą, Tańczący Z Wilkami był zaskoczony, że uczucie przygnębienia rozwiało się. W jego miejsce pojawiło się uniesienie. Wcale nie czuł się mały. Czuł się większy.

Rodzina Wierzgającego Ptaka pozostanie pod jego opieką i z góry się cieszył na myśl o służeniu im w tej roli. Znow będzie razem z Tą Która Stoi Z Pięścią i to także dodawało mu otuchy.

Wyprawa wojenna potrwa jakiś czas, a to da mu sposobność poduczenia się języka Komanczów. A wiedział, że ucząc się, zyskuje więcej niż język. Jeśli będzie bardzo ciężko pracował, gdy powrócą jego mentorzy, będzie na zupełnie innym poziomie. Spodobał mu się ten pomysł.

W wiosce rozległy się bębny. Rozpoczął się wielki taniec pożegnania i chciał tam pójść. Uwielbiał tańczyć.

Tańczący Z Wilkami sturlał się z łóżka i rozejrzył po swoim wigwamie. Był pusty, ale niezadługo pomieści mizerne zasoby jego życia i miło było pomyśleć, że znow ma się coś, co można nazwać własnym.

Uniósł zasłone wejściową wigwamu i zatrzymał się w panującym na zewnątrz półmroku. Po swojemu przemarzył porę obiadu, ale dym z kuchennych ognisk w powietrzu

wciąż jeszcze był gęsty i jego zapach go nasycił.

Wówczas Tańczącemu Z Wilkami przyszła do głowy pewna myśl.

Powinienem tu zostać, powiedział sobie, to o wiele lepszy pomysł.

Ruszył tam, skąd dochodziły odgłosy bębnow.

Gdy dotarł do głównej alei, wpadł na dwóch znajomych wojowników. Na migi spytali go, czy będzie tego wieczora tańczył. Tańczący Z Wilkami przytaknął z takim entuzjazmem, że mężczyźni roześmiali się.

ROZDZIAŁ XXV

1

Po wyruszeniu wyprawy wioska pogrążyła się w codziennym pasterskim żywocie, w pozbawionej czasu przemianie świtu w dzień i zmierzchu w noc, która na pozór czyniła z prerii jedyne miejsce na ziemi.

Tańczący Z Wilkami szybko wpadł w rytm tego cyklu, poruszając się w nim jak w błogim śnie. Życie wypełnione konną jazdą, polowaniem i wypadami na zwiady było fizycznie wyczerpujące, lecz jego ciało dobrze się do niego przystosowało i gdy ustalił się już jego codzienny rytm, większość czynności przychodziła bez wysiłku.

Rodzina Wierzgającego Ptaka zabierała mu sporo czasu. Kobiety zasadniczo wykonywały całą pracę w obozie, ale on czuł się zobowiązany doglądać ich powszedniego życia, a także życia dzieci, a w rezultacie jakimś sposobem cały czas miał ręce pełne roboty.

Wiatr W Jego Włosach obdarował go podczas pożegnalnego tańca łukiem i kołczanem strzał. Był podekscytowany darem i zwrócił się do starszego wojownika zwanego Kamienne Ciele, który nauczył go najistotniejszych szczegółów ich użycia. W ciągu tygodnia obaj zostali przyjaciółmi i Tańczący Z Wilkami regularnie pojawiał się w wigwamie Kamiennego Cielęcia.

Nauczył się, jak dbać o broń i jak dokonywać szybkich napraw. Nauczył się słów wielu ważnych pieśni i sposobu ich śpiewania. Obserwował, jak Kamienne Ciele roznieca ogień za pomocą małego zestawu drewnianych narzędzi, i zobaczył, jak sporządza swoje własne amulety. Na tych lekcjach był chętnym uczniem i szybko pojmował, tak szybko, że Kamienne Ciele nadał mu przydomek Prędkiego.

Codziennie przez parę godzin był na zwiadach, podobnie jak to robiła większość mężczyzn. Wyjeżdżali w trzy - lub czteroosobowych grupkach i w krótkim czasie Tańczący Z Wilkami posiadał elementarną wiedzę o najniezbędniejszych rzeczach, na przykład jak rozpoznawać, czy ślady są świeże, albo określać warunki pogodowe.

Swoim tajemniczym zwyczajem bizona przychodziły i odchodziły. Były dni, że nie widzieli ani jednego, a były i takie, że widzieli ich tyle, iż wyglądało to na żarty.

Zwiady okazały się pomyślne w dwóch liczących się sprawach. Można było zdobyć świeże mięso, a okolice były wolne od nieprzyjaciół.

Już po kilku dniach dziwił się, czemu wszyscy ludzie nie mieszkają w wigwamach. Gdy pomyślał o miejscach, w których mieszkał przedtem, stawały mu przed oczami jedynie skupiska sterylnych pokojów.

Dla niego wigwam był prawdziwym domem. Był chłodny nawet w najbardziej upalne dni i bez względu na wrzawę dookoła miało się wrażenie, że wewnątrz jest enklawą spokoju.

Doszło do tego, że uwielbiał czas, który spędzał tam w samotności.

Jego ulubioną porą dnia było późne popołudnie i najczęściej można go było znaleźć niedaleko zasłony wejściowej wigwamu, gdy zapatrzony w zmieniające się układy chmur i zasluchany w lekki poświst wiatru wykonywał jakąś drobną robotę, na przykład czyszczenie butów.

Nie musiał wkładać w to żadnego wysiłku, by takie późne popołudnia wyłączały maszynerię jego umysłu, pozwalając temu umysłowi zażyć odświeżającego wytchnienia.

2

Nie minęło jednak wiele czasu, gdy jedna strona jego życia zdominowała wszystkie pozostałe.

Była to Ta Która Stoi Z Pięścią.

Znów zaczęły się ich rozmowy, tym razem pod niekrepującym, ale wszechobecnym okiem rodziny Wierzgającego Ptaka.

Czarownik zostawił polecenie kontynuowania spotkań, ale bez przewodnictwa Wierzgającego Ptaka nie było wyraźnego nastawienia na udzielanie lekcji.

Kilka pierwszych dni upłynęło przeważnie na mechanicznych, mało ekscytujących powtórkach.

W pewien sposób i to było dobre. Dziewczyna wciąż była zmieszana i zakłopotana. Oschłość ich pierwszych spotkań sam na sam sprzyjała podjęciu watka przeszłości. Dała jej konieczny dystans, który pomógł jej znów się z nim oswoić.

Tańczący Z Wilkami był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Nudę ich wzajemnych kontaktów oszacować można było w zestawieniu z jego szczerym pragnieniem załatania wszystkiego, co popękało w ich wzajemnym związku, i przez pierwszych kilka dni cierpliwie czekał w nadziei na odwilż.

Nauka języka Komanczów postępowała dobrze, ale wkrótce stało się oczywiste, że siedzenie w wigwamie przez cały ranek nie sprzyja szybkości, z jaką się uczył. Tak wiele rzeczy, o których musiał wiedzieć, znajdowało się na zewnątrz. A poza tym wtrącanie się rodziny wydawało się nie mieć końca.

Lecz czekał bez słowa skargi, pozwalając Tej Która Stoi Z Pięścią omijać słowa, których nie umiała wytłumaczyć.

Pewnego popołudnia, tuż po południowym posiłku, nie potrafiąc znaleźć słowa na

trawę, Ta Która Stoi Z Pięścią wzięła go w końcu na spacer. Jedno słowo prowadziło do następnego i tego dnia wrócili do wigwamu po przeszło godzinie. W tym czasie przechadzali się po wiosce tak bardzo zajęci rozmową, że czas minął im niepostrzeżenie.

Ten rozkład zajęć powtórzył się, a nawet zageścił, w dniach następnych. Stali się zwykłym widokiem - para ludzi pogrążonych w rozmowie, niepomnych na wszystko z wyjątkiem przedmiotów stanowiących treść ich wysiłków: kość, zasłona wejściowa, słońce, kopyto, kociołek, pies, kij, niebo, dziecko, włosy, derka, twarz, daleko, blisko, tu, tam, trzeźwy, głupi i tak dalej, i tak dalej.

Z każdym dniem język zapuszczał w nim głębiej korzenie i wkrótce Tańczący Z Wilkami był już w stanie mówić więcej niż pojedyncze słowa. Układały się one w zdania, a on wiązał je ze sobą z gorliwością, która była przyczyną wielu błędów.

„Ogień rośnie na prerii.”

„Jedzenie wody mi służy.”

„Czy ten człowiek to kość?”

Był jak dobry biegacz, który upada co trzy kroki, ale wściekle przedzierał się przez grzęzawisko nowego języka i samym tylko wysiłkiem woli poczynił znaczne postępy.

Nawet największa ilość pomyłek nie była w stanie osłabić go na duchu i przelaził przez każdą przeszkodę z tym rodzajem dobrego humoru i zdecydowania, który sprawia, że człowiek wydaje się bardzo zabawny.

Coraz mniej przebywali w wigwamie. Na zewnątrz była wolna przestrzeń, a w wiosce panował szczególny spokój. Zrobiła się niezwykle wyciszona.

Wszyscy myślą byli z ludźmi, którzy wyruszyli na spotkanie niepewnych wydarzeń w kraju Pawnisów. Każdego nieznośnie długiego dnia krewni i przyjaciele mężczyzn na wojennej wyprawie coraz goręcej modlili się o ich bezpieczeństwo. Wydawało się, że z dnia na dzień modlitwy stały się jedną jedyną, najbardziej rzucającą się w oczy cechą obozowego życia, wpłatając się w każdy posiłek, spotkanie i najdrobniejszą nawet czy krótkotrwałą pracę.

Świętość, która okryła całunem obóz, dała doskonałą otoczkę poczynaniom Tańczącego Z Wilkami i Tej Która Stoi Z Pięścią. Inni ludzie, tak bardzo zatopieni w oczekiwaniu i modlitwie, niewiele uwagi zwracali na białą parę. Poruszali się w pogodnej, dobrze chronionej szklanej bańce, w ich własnym światku.

Codziennie spędzali razem trzy lub cztery godziny, nie tykając się i nie rozmawiając o sobie. Na zewnątrz ściśle zachowywali pozory. Razem śmiali się z niektórych rzeczy i wymieniali uwagi o zwyczajnych zjawiskach, na przykład o pogodzie. Lecz ich wzajemne uczucia pozostawały przez cały czas w ukryciu. Ta Która Stoi Z Pięścią była ostrożna, jeśli

chodzi o uczucia, a Tańczący Z Wilkami to szanował.

3

Głęboka zmiana nastąpiła w dwa tygodnie po wyruszeniu wyprawy.

Pewnego późnego popołudnia, po długim zwiadzie w brutalnym słońcu, Tańczący Z Wilkami powrócił do wigwamu Wierzgającego Ptaka, nie znalazł w nim nikogo i myśląc, że cała rodzina poszła nad rzekę, skierował się ku wodzie.

Były tam żony Wierzgającego Ptaka, które szorowały dzieci. Nigdzie w pobliżu nie było Tej Która Stoi Z Pięścią. Poszwendał się tam, dopóki dzieciaki nie obryzgały go wodą, a potem wspiął się na ścieżkę prowadzącą do wioski.

Słońce prażyło wciąż bezlitośnie i gdy ujrzał altankę, pociągnęła go myśl o panującym w niej cieniu.

Wsunął się do połowy ciała, gdy zdał sobie sprawę, że w środku jest ona. Regularne posiedzenie już się odbyło i oboje byli zakłopotani.

Tańczący Z Wilkami usiadł w przyzwoitej odległości od niej i rzucił powitanie.

- Jest... jest gorąco - odpowiedziała, jakby chciała przeprosić za swoją obecność.

- Tak - zgodził się. - Bardzo gorąco.

Choć nie musiał, otarł sobie czoło. To był głupi sposób na pokazanie jej, że znalazł się tutaj z tego samego powodu.

Lecz robiąc ten sztuczny gest, Tańczący Z Wilkami znieruchomiał. Naszła go nagła chęć, chęć powiedzenia jej, co czuje.

Właśnie zaczął mówić. Powiedział jej, że jest zmieszany. Powiedział jej, jak dobrze być tutaj. Opowiedział jej o wigwamie i o tym, jak dobrze jest go mieć. Wziął oburącz napierśnik i powiedział jej, co o nim myśli, że dla niego jest to coś wspaniałego. Przyłożył go do policzka i rzekł: Kocham go.

A potem rzekł:

- Ale jestem białym... i jestem żołnierzem. Czy to dobrze dla mnie, że tutaj jestem, a może to głupota? Czy jestem głupcem?

Widział w jej oczach napiętą uwagę.

- Jest żadnym... nie wiem - odpowiedziała.

Zapadło krótkie milczenie. Widział, że czekała.

- Nie wiem, dokąd pójść - rzekł spokojnie. - Nie wiem, gdzie mógłbym być.

Powoli odwróciła głowę i wyjrzała na zewnątrz.

- Wiem - powiedziała.

Była wciąż pogrążona w myślach, patrząc nieruchomo na popołudnie w wiosce, gdy powiedział:

- Chcę być tutaj.

Znów odwróciła się do niego. Jej twarz wydawała się ogromna. Zachodzące słońce nadało jej miękkiego blasku. Jej oczy, rozszerzone uczuciem, miały ten sam poblask. - Tak - powiedziała, doskonale rozumiejąc, co czuje.

Spuściła głowę. Gdy znów podniosła wzrok, Tańczący Z Wilkami czuł się połknięty, dokładnie tak samo, jak wtedy z Timmonsem, gdy był po raz pierwszy na prerii. Jej oczy były oczami osoby przepojonej uczuciem, pełnej piękności, które niewielu mężczyznom dane było zaznać. Były wieczne.

Tańczący Z Wilkami zakochał się, gdy to zobaczył.

Ta Która Stoi Z Pięścią już wcześniej się zakochała. To zdarzyło się wtedy, gdy zaczął mówić. Nie od razu, ale krok po kroku, aż końcu nie mogła się tego wyprzeć. Ujrzała w nim siebie samą. Zobaczyła, że mogą być jednym.

Jeszcze chwilę porozmawiali i zapadli w milczenie. Przez kilka minut wpatrywali się w popołudnie w wiosce, każde z nich wiedząc, co czuje drugie, lecz nie odważając się mówić.

Czar prysnął, gdy napatoczył się jeden z małych synków Wierzgającego Ptaka, zajrzał do środka i spytał, co tu robią.

Ta Która Stoi Z Pięścią uśmiechnęła się na to wtargnięcie i powiedziała mu w języku Komanczów:

- Jest gorąco. Siedzimy w cieniu.

To było dla małego chłopca tak przekonywające, że wszedł do środka i opadł na podolek Tej Która Stoi Z Pięścią. Przez chwilę szamotali się na żarty, ale harmider nie trwał długo.

Chłopczyk nagle usiadł i powiedział Tej Która Stoi Z Pięścią, że jest głodny.

- W porządku - rzekła w języku Komanczów i wzięła go za rękę.

Spojrzała na Tańczącego Z Wilkami.

- Jeść?

- Tak. Jestem głodny.

Wyszli na czworakach z altanki i ruszyli w stronę wigwamu Wierzgającego Ptaka, żeby rozpalić ognisko.

4

Następnego ranka na pierwszym planie była wizyta u Kamiennego Cielęcica. Wpadł do

wigwamu wojownika o wczesnej porze i natychmiast został zaproszony do środka na śniadanie.

Po jedzeniu obaj mężczyźni wyszli na zewnątrz, by porozmawiać, a Kamienne Ciele nie przestawał strugać wierzbiny na nowy pęk strzał. Była to najbardziej wyszukana rozmowa, jaką, nie licząc Tej Która Stoi Z Pięścią, z kimkolwiek przeprowadził.

Kamienne Ciele był pod wrażeniem, że Tańczący Z Wilkami, będący od tak niedawna wśród nich, mówi już w języku Komanczów. I to mówi dobrze.

Starszy wojownik był również pewien, że Tańczący Z Wilkami czegoś chce, a kiedy rozmowa nagle zeszła na Tę Która Stoi Z Pięścią, pojął, że to musi być właśnie to.

Tańczący Z Wilkami starał się to przedstawić możliwie niezobowiązująco, ale Kamienne Ciele był zbyt starym lisem, żeby nie widzieć, że pytanie ma doniosłe znaczenie dla gościa.

- Czy Ta Która Stoi Z Pięścią jest zameżna?

- Tak - odrzekł Kamienne Ciele.

To odkrycie ścięło z nóg Tańczącego Z Wilkami jak najgorsza wieść. Milczał.

- Gdzie jest jej mąż? - spytał w końcu. - Nie widuję go.

- Nie żyje.

To była możliwość, której nigdy nie brał pod uwagę.

- Kiedy umarł?

Kamienne Ciele podniósł wzrok znad roboty.

- To niegrzecznie mówić o zmarłych - rzekł. - Ale ty jesteś nowy, więc ci powiem. To było mniej więcej w czasie czerwonego księżyca, na wiosnę. W dniu, kiedy ją znalazłeś i przywiozłeś z powrotem, była w żałobie.

Tańczący Z Wilkami nie zadał już ani jednego pytania, ale Kamienne Ciele z własnej woli dorzucił parę faktów. Wspomniał o względnie wysokiej pozycji zmarłego i braku dzieci w jego małżeństwie z Tą Która Stoi Z Pięścią.

Czując potrzebę przetrwania tego, co usłyszał, Tańczący Z Wilkami podziękował swojemu informatorowi i odszedł.

Kamienne Ciele zastanawiał się mimochodem, czy coś jest między dwojgiem tych ludzi, lecz zdecydował, że to nie jego interes, i wrócił do roboty.

5

Tańczący Z Wilkami zrobił jedyną rzecz, na którą mógł liczyć, że pozwoli mu ochłonać. Odnalazł Cisca w stadzie kuców i wyjechał z wioski. Wiedział, że ona będzie na

niego czekała w wigwamie Wierzgającego Ptaka, lecz jego myśli krążyły w dzikim tempie wokół tego, co mu powiedziano, i nie mógł teraz myśleć o spojrzeniu jej w twarz.

Pojechał w dół rzeki i po jednej czy dwóch milach postanowił udać się do samego Fort Sedgewick. Nie był tam prawie dwa tygodnie i czuł, że coś pcha go tam teraz, jakby jakimś dziwnym sposobem to miejsce mogło mu coś podpowiedzieć.

Już z daleka przekonał się, że burze u schyłku lata położyły kres zadaszeniu. Zostało zerwane z większości podpórek. Sam brezent był paskudnie wystrzępiony. To co pozostało, łopotało na wietrze jak poszarpany grotzagiel statku widma.

Dwie Skarpety czekał koło urwiska, więc rzucił staremu kumplowi płat suszonego mięsa, który zabrał ze sobą do przegryzienia. Nie był głodny.

Polne myszy rozpierzchły się, gdy zajrzał do przegniłego magazynu. Zniszczyły tylko jedną pozostawioną przez niego rzecz - jutowy wór pełen zapleśniałych sucharów.

W darniowej chacie, która kiedyś była jego domem, położył się na pryczy, wpatrzony w rozsypujące się ściany.

Zdjął z kołka pęknięty ojcowski zegarek, mając zamiar wsunąć go do kieszeni spodni. Ale popatrzył na niego przez kilka sekund i odłożył z powrotem.

Jego ojciec nie żył od sześciu lat. A może to już siedem? Matka umarła jeszcze dawniej. Potrafił sobie przypomnieć szczegóły swego życia z nimi, ale ludzie... wydawało mu się, jakby ludzie odeszli przed stu laty.

Zauważył leżący na jednym ze składanych krzeseł dziennik i wziął go do ręki. To było dziwne, gdy tak kartkował rozdziały. One także wydały mu się stare i martwe, jak coś z minionego życia.

Czasami śmiał się z tego, co napisał, ale ogólnie był poruszony. Tu zostało zapisane jego życie, tu tkwiły kawałki pamięci. Teraz była to tylko ciekawostka, bez znaczenia na przyszłość. Ale warto było obejrzeć się za siebie i zobaczyć, jak daleko zaszedł.

Gdy dotarł do końca, było tam kilka pustych kartek i przyszedł mu do głowy kapryśny pomysł, że przydałoby się postscriptum, coś trafnego, a może tajemniczego.

Lecz kiedy uniósł w górę oczy, żeby pomyśleć, na tle pustki darniowej ściany widział tylko ją. Widział silnie umięśnione łydki śmigające pod oblamowaniem jej codziennej irchowej sukienki. Widział długie piękne ręce, wystające z jej rękawów. Widział swobodną krzywiznę piersi pod jej stanikiem. Widział wystające kości policzkowe, wysokie, wyraziste czoło, wieczne oczy i węzeł zmierzwionych, miedzianego koloru włosów.

Pomyślał o jej nagłych napadach wściekłości i o blasku otaczającym jej twarz w altance. Pomyślał o jej skromności, godności i o jej bólu.

Podziwiał wszystko, co ujrzał, i wszystko, o czym pomyślał.

Gdy wzrok jego padł ponownie na rozłożone na kolanach puste stronice, wiedział już, co napisać. Nie posiadał się z radości, widząc, jak przyobleka się to w słowa.

późne lato, 1863

Kocham Tę Która Stoi Z Pięścią.

Tańczący Z Wilkami

Zamknął dziennik i pieczołowicie ułożył go na środku łóżka, myśląc kapryśnie, że zostawi go tutaj, by potomność miała sobie nad czym łamać głowę.

Wyszedłszy na zewnątrz, Tańczący Z Wilkami poczuł ulgę, widząc, że Dwie Skarpety zniknął. Wiedząc, że więcej go nie zobaczy, odmówił modlitwę za swego protoplastę wilka, życząc mu dobrego życia przez wszystkie lata, jakie mu pozostały.

Potem wskoczył na krzepki grzbiet Cisca, wykrzyczał pożegnanie w języku Komanczów i pogalopował co koń wyskoczy.

Gdy spojrzał przez ramię na Fort Sedgewick, zobaczył tylko otwartą, falującą prerię.

6

Czekała już prawie godzinę, zanim jedna z żon Wierzgającego Ptaka zapytała: Gdzie jest Tańczący Z Wilkami?

Oczekiwanie było bardzo ciężkie. Każdą minutę wypełniały myśli o nim. Kiedy zadano jej to pytanie, usiłowała sformułować odpowiedź takim tonem, żeby zataić prawdziwe uczucia.

- Ach, tak... Tańczący Z Wilkami. Nie, nie wiem, gdzie jest.

Wyszła na zewnątrz, żeby popytać. Ktoś widział, jak wyjeżdżał wczesną porą, udając się na południe, i słusznie zgadła, że pojechał do fortu białego człowieka.

Nie chcąc wiedzieć, dlaczego odjechał, rzuciła się do wykańczania juków, przy których pracowała, starając się wymazać rozpraszające ją obrazy obozowego życia, by skupić się jedynie na nim.

Ale to nie wystarczało.

Chciała być z nim sam na sam, nawet jeśli miałoby to być tylko w myślach, więc po popołudniowym posiłku wyruszyła główną ścieżką nad rzekę.

Zazwyczaj o tej porze panował tam spokój i była zadowolona, nie znalazłszy nikogo nad brzegiem wody. Zdjęła mokasyny, weszła na gruba kłodę, sterczącą jak molo i siadając na niej okrakiem, zamoczyła nogi w niosącej chłód płyciźnie.

Pozostał zaledwie ślad wiatru, który nie wystarczał, by uśmierzyć skwar dnia.

Położyła dłonie na udach, rozluźniła ramiona i siedziała wpatrzona na wółprzymkniętymi oczyma w wolno płynącą rzekę.

Gdyby tak teraz przyszedł po nią. Gdyby tak spojrzął na nią tymi stalowymi oczami, zaśmiał się swoim zabawnym śmiechem i powiedział „idziemy”. Poszłaby natychmiast, nieważne dokąd. Nagle przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie, wyraźnie jakby to było wczoraj. Jazda powrotem, ona na wół świadoma, a on cały zbryzgany jej krwią. Przypomniała sobie poczucie bezpieczeństwa, jakiego doznała, jego ramiona wokół jej kibici, swoją twarz wtuloną w wydzielający ostrą woń materiał jego kurtki.

Teraz wiedziała już, co to znaczy. Zrozumiała, że to, co czuje teraz, jest tym samym, co czuła wówczas. Wtedy było to tylko ziarenko, zagrzebane w ziemi i niewidoczne, i nie wiedziała, co ono oznacza. Ale Wielki Duch wiedział. Wielki Duch sprawił, że ziarenko wzeszło. Wielki Duch w swej Wielkiej Tajemniczości krok po kroku natchnął ziarenko wołą życia.

To uczucie jakiego doznała, poczucie bezpieczeństwa. Teraz wie, że nie było to bezpieczeństwo odczuwane w obliczu wroga, burzy lub krzywdy. Nie było to w ogóle nic fizycznego. To było bezpieczeństwo, jakie odczuła w swoim sercu. Od tej pory jest tam przez cały czas. Zdarzyła się najdziwniejsza z rzeczy tego świata, pomyślała. Wielki Duch nas połączył.

Kręciło jej się w głowie z zadziwienia, jak do tego wszystkiego doszło, gdy posłyszała o kilka kroków dalej ciche pluskanie wody.

Kucał na małym skrawku plaży, powoli i bez pośpiechu ochlapując sobie twarz wodą. Spojrzął na nią i nie starając się nawet otrzeć ściekającej mu po twarzy wody, uśmiechnął się jak mały chłopiec.

- Jak się masz - powiedział. - Byłem w forcie.

Powiedział to tak, jakby byli ze sobą przez całe życie. Odrzekła mu w ten sam sposób.

- Wiem.

- Możemy trochę porozmawiać?

- Tak - odpowiedziała. - Czekałam na to.

W oddali, na szczycie ścieżki, rozbrzmiały głosy.

- Dokąd moglibyśmy pójść? - spytał.

- Znam takie jedno miejsce.

Szybko zerwała się na nogi i idąc krok lub dwa kroki w przodzie przed Tańczącym Z Wilkami, zaprowadziła go do starej bocznej dróżki, którą znalazła tamtego dnia, gdy Wierzgający Ptak poprosił ją, by przypomniała sobie biały język.

Maszerowali w milczeniu, otoczeni miękkim człapaniem własnych kroków, poszumem wierzb i śpiewem ptaków, od których roilo się w zaroślach.

W głębi piersi serca im łomotały na myśl o tym, co ma się zdarzyć, i z niepokoju, kiedy i gdzie to nastąpi.

W końcu rozpostarła się przed nimi odosobniona polanka, na której wspominała przeszłość. Nadal bez słowa, usiedli po turecku naprzeciw wielkiej, pochylonej ku rzece topoli.

Nie mogli mówić. Wydawało się, że wszystkie inne dźwięki zamarły. Wszędzie była cisza.

Ta Która Stoi Z Pięścią schyliła głowę i spostrzegła rozdarty szew na nogawce od spodni. Spoczęły tam jej dłonie, w połowie ud.

- Są podarte - wyszeptała, lekko błędząc końcami palców po rozdarciu. Gdy znalazła się tam jej dłoń, nie mogła jej oderwać. Małe palce leżały nieruchomo, złączone razem.

Jakby popychane niewidzialną siłą, ich głowy zwróciły się delikatnie ku sobie. Splotły się ich palce. Dotyk był żarliwy jak samo zespolenie. Żadne z nich nie potrafiło prześledzić biegu zdarzeń, które do tego doprowadziły, ale w chwilę potem wymieniali pocałunek.

Nie był to głęboki pocałunek, po prostu muśnięcie, a potem lekkie złączenie warg.

Lecz przypieczętował on miłość między nimi.

Przytulili się policzkami, a gdy nosy wypełniły się im wonią drugiej osoby, zapadli w sen. We śnie kochali się, a kiedy skończyli i leżeli obok siebie pod wielką topolą, Tańczący Z Wilkami spojrzął jej w oczy i zobaczył łzy.

Odczekał chwilę, ale nie była w stanie mówić.

- Powiedz mi - wyszeptał.

- Jestem szczęśliwa - rzekła. - Jestem szczęśliwa, że Wielki Duch pozwolił mi dożyć tej chwili.

- Mam to samo uczucie - powiedział ze zwilgotniałymi oczami.

Ciasno przylgnęła do niego i zaczęła płakać. Gdy szlochała, trzymał ją mocno, nie obawiając się spływającej po jej twarzy radości.

7

Kochali się całe popołudnie, odbywając w przerwach długie rozmowy. Gdy w końcu na polance zaczęły kłaść się cienie, usiedli czując, że jeśli pobędą tu dłużej, ich nieobecność zostanie zauważona.

Wpatrywali się w migotanie wody, gdy rzekł:

- Rozmawiałem z Kamiennym Cieleciem... Wiem, dlaczego uciekłaś tamtego dnia... dnia, w którym spytałem cię, czy jesteś mężatką.

Wtedy podniosła się i wyciągnęła rękę. Wziął ją, a ona przyciągnęła go do swoich stóp.

- Przeżyłam z nim dobre życie. Odszedł ode mnie, ponieważ nadchodziłeś ty. Teraz tak to widzę.

Wyprowadziła go z polanki i ruszyli w drogę powrotną, tuląc się do siebie w marszu. Gdy znaleźli się w zasięgu ledwie słyszalnych głosów dochodzących od strony wioski, stanęli nasłuchując. Główna ścieżka była o parę kroków przed nimi.

Ścisnąwszy dłonie, kochankowie instynktownie wślizgnęli się pomiędzy wierzby i jakby miało im to pomóc w przetrwaniu nadchodzącej nocy rozłąki, połączyli się, robiąc to tak szybko, jak pośpieszny jest pocałunek na pożegnanie.

O dwa lub trzy kroki od głównej drogi prowadzącej do wioski zatrzymali się raz jeszcze, a gdy trzymali się w objęciach, ona wyszeptała mu do ucha:

- Jestem w żałobie i nasi ludzie nie przystaliby na to, gdyby dowiedzieli się o naszej miłości. Musimy naszą miłość starannie skrywać, dopóki nie nadejdzie czas, by wszyscy ją ujrzeli.

Skinął głową, że rozumie, uściskali się krótko, a potem przemknęła przez poszycie zarośli.

Tańczący Z Wilkami odczekał wśród wierzb dziesięć minut, a potem podążył za nią. Kiedy dowlóknął się pod górę do wioski, był zadowolony, że jest sam.

Poszedł prosto do swojego wigwamu i usiadł na łóżku, wpatrując się przez uchyloną zasłonę w resztki dziennego światła i z rozmarzeniem myśląc o ich wspólnym popołudniu pod topolą.

Kiedy zapadł zmierzch, położył się na grubych derkach i uświadomił sobie, że jest wyczerpany. Przewracając się na bok, odnalazł na swej ręce zapach jej obecności. Zapadł w sen w nadziei, że pozostanie tam przez całą noc.

ROZDZIAŁ XXVI

1

Następnych parę dni upłynęło Tańczącemu Z Wilkami i Tej Która Stoi Z Pięścią w euforii.

Z ich warg nie znikał uśmiech, policzki pały im kryjomą miłością, a gdy szli, zdawało się, że ich stopy nie dotykają ziemi.

W towarzystwie innych osób byli dyskretni, wystrzegając się, by nie okazać zewnętrznych oznak uczucia. Byli tak zaprzętni zachowaniem sekretu, że lekcje języka stały się nawet bardziej zasadnicze niż przedtem. Jeśli byli w wigwamie sami, korzystali z okazji, by trzymać się za ręce i kochać się palcami. Lecz dalej się nie posuwali.

Przynajmniej raz dziennie starali się spotykać po kryjomu, zwykle nad rzeką. Od tego nie mogli się powstrzymać, ale znalezienie całkiem odosobnionego zakamarka zabierało wiele czasu, bowiem Ta Która Stoi Z Pięścią szczególnie gryzła się myślą, że mogą zostać odkryci.

Od samego początku myśleli o małżeństwie. Było to coś, czego oboje pragnęli. I im wcześniej, tym lepiej. Lecz główny szkopuł tkwił w jej wdowieństwie. W obyczajach Komanczów nie było ściśle zalecanego okresu żałoby i zwolnienia z niej mógł udzielić jedynie ojciec kobiety. Jeśli nie miała ojca, odpowiedzialność ta spoczywała na wojowniku, który był jej głównym żywicielem. W przypadku Tej Która Stoi Z Pięścią mogła ona zwrócić się o zwolnienie tylko do Wierzgającego Ptaka. On jeden był władny stanowić, od kiedy przestaje być wdową. A to mogło potrwać długo. Tańczący Z Wilkami próbował dodać otuchy swojej ukochanej, mówiąc, że wszystko się ułoży i nie ma się co martwić. Lecz ona i tak się martwiła. W przystępie jednej z fal przygnębienia wywołanego tą sprawą zaproponowała, by razem uciekli. Ale on tylko się roześmiał i nie podejmowano więcej tego tematu.

Korzystali z okazji. Dwukrotnie w ciągu czterech dni, które nastąpiły po ich zespoleniu nad rzeką, wychodziła w ciemnościach wczesnego poranka z wigwamu Wierzgającego Ptaka i wślizgiwała się nie zauważona do tipi Tańczącego Z Wilkami. Leżeli ze sobą do pierwszego brzasku i rozmawiali szeptem, obejmując swoje nagie ciała pod derką.

Wziąwszy wszystko razem, postępowali tak, jak można tego oczekiwać od dwojga ludzi całkowicie zatraconych w miłości. Byli uszlachetnieni, przezorni i zdyscyplinowani.

I niemal nikogo nie oszukali.

Każdy w obozie, kto był na tyle dorosły, by wiedzieć, jak wygląda miłość między

mężczyzną a kobietą, dostrzegał ją na twarzach Tej Która Stoi Z Pięścią i Tańczącego Z Wilkami.

Większość ludzi nie mogła w głębi duszy zdobyć się na to, by potępić miłość, niezależnie od okoliczności. Ci nieliczni, którzy mogli się poczuć obrażeni, trzymali język za zębami z braku dowodów. Co ważniejsze, ich więź nie stanowiła zagrożenia dla ogółu hordy. Nawet starsi, konserwatywni jej członkowie musieli przyznać, że ich ewentualny ożenek byłby całkiem rozsądny.

W końcu oboje byli białymi.

2

Piątej nocy po spotkaniu nad rzeką Ta Która Stoi Z Pięścią musiała się znów z nim zobaczyć. Poczekała, aż wszyscy w wigwamie Wierzgającego Ptaka zasną. Odczekała jeszcze długą chwilę po tym, jak odgłosy lekkiego chrapania wypełniły tipi, chcąc zyskać pewność, że jej wyjście pozostanie nie zauważone.

Uświadomiła sobie właśnie, że w powietrzu unosi się silny zapach deszczu, gdy ciszę rozdarł nagły szwargot podnieconych głosów. Głosy były na tyle głośne, by wszystkich obudzić, i w parę sekund później pozrywali się z posłań i wybiegli na zewnątrz.

Coś się przydarzyło. Cała wioska była na nogach. Pobiegła główną aleją w ciżbie innych ludzi, pędzących w stronę wielkiego ogniska, które wydawało się być ośrodkiem zainteresowania. W zamieszaniu na próżno szukała wzrokiem Tańczącego Z Wilkami i dostrzegła go dopiero, gdy zbliżyła się do ogniska.

Kiedy precyzyjnie się do siebie przez tłum, zauważyli nowych Indian skupionych niedaleko ogniska. Było ich z pół tuzina. Wielu innych leżało rozciągniętych na ziemi, niektórzy martwi, inni straszliwie poranieni. Byli to Kiewowie, odwieczni przyjaciele i towarzysze wypraw myśliwskich Komanczów.

Sześciu nietkniętych mężczyzn było wprost oszalałych ze strachu. Płomiennie gestykulowali, rozmawiając na migi z Dziesięcioma Niedźwiedziami i dwoma lub trzema jego najbliższymi doradcami. Widzowie zamilkli w oczekiwaniu, przysłuchując się, jak rozwija się opowieść Kiewów.

Ona i Tańczący Z Wilkami niemal już pokonali dzielącą ich przestrzeń, gdy kobiety zaczęły krzyczeć. W chwilę potem zgromadzenie rozpierzchło się, a kobiety i dzieci pobiegły do swoich wigwamów, garnąc się ku sobie w panice. Wojownicy zbili się w gromadę wokół Dziesięciu Niedźwiedzi i ze wszystkich ust dobywało się jedno słowo. Przetaczało się ono po wiosce jak grzmot, który zaczął wstrząsać czarnym niebem nad głową.

Było to słowo dobrze znane Tańczącemu Z Wilkami, bo wielokroć słyszał je w rozmowach i opowieściach.

„Pawnisi.” Z Tą Która Stoi Z Pięścią u boku przepchnął się bliżej wojowników stłoczonych wokół Dziesięciu Niedźwiedzi. Gdy przypatrywali się im, mówiła mu na ucho, co przydarzyło się Kiowom.

Wyruszyli małą grupą, mniej niż dwudziestu mężczyzn, na poszukiwanie bizonów jakieś dziesięć mil na północ od obozu Komanczów. Tam uderzyła na nich potężna wojenna wyprawa Pawnisów, co najmniej osiemdziesięciu wojowników, a może więcej. Zostali zaatakowani w ostatnich blaskach zachodu słońca i nikt z nich nie uszedłby z życiem, gdyby nie zmrok i lepsza znajomość terenu.

Zatarli ślady odwrotu najlepiej jak potrafili, ale przy tak wielkiej armii było tylko kwestią czasu, kiedy Pawnisi natrafią na ten obóz. Możliwe, że nawet już zajęli pozycje. Kiowowie sądzą, że na przygotowania zostało najwyżej parę godzin. To, że nastąpi atak, najpewniej o świcie, było z góry przesądzone.

Dziesięć Niedźwiedzi zaczął wydawać rozkazy, których ani Ta Która Stoi Z Pięścią, ani Tańczący Z Wilkami nie byli w stanie dosłyszeć. Wyraźnie jednak było widać po wyrazie twarzy starca, że jest zaniepokojony. Dziesięciu najwaleczniej szych wojowników z hordy było poza obozem z Wierzgającym Ptakiem i Wiatrem W Jego Włosach. Ludzie, którzy pozostali, byli dobrzy w walce, lecz jeśli nadchodzi aż osiemdziesięciu Pawnisów, będą mieli oni niebezpieczną przewagę liczebną.

Zgromadzenie koło ogniska przekształciło się w dziwny rodzaj anarchii, gdy pomniejsi wojownicy rozchodzili się w różnych kierunkach za ludźmi, którzy w ich odczuciu najlepiej ich poprowadzą.

Tańczący Z Wilkami miał mieszane uczucia. Wszystko wydawało się tak zdezorganizowane. Grzmot nad głowami rozlegał się w coraz mniejszych odstępach czasu i zdawało się, że deszcz jest nieunikniony. Może pomóc Pawnisom podejść niepostrzeżenie. Ale teraz była to jego wioska, więc puścił się pędem za Kamiennym Cieleciem, owładnięty jedną tylko myślą.

- Pójdę za tobą - powiedział, kiedy go dopadł.

- To będzie ciężka walka - odrzekł. - Pawnisi nigdy nie przychodzą po konie. Przychodzą po krew.

Tańczący Z Wilkami przytaknął.

- Weź broń i przyjdź do mojego wigwamu - rozkazał stary wojownik.

- Ja po nią pójde - zaofiarowała się Ta Która Stoi Z Pięścią i z płaczącą się między

łydkami sukienką rzuciła się do biegu, pozwalając Tańczącemu Z Wilkami udać się za Kamiennym Cielęciem.

Usiłował policzyć, ile nabojów ma do karabinu i marynarskiego rewolweru, kiedy przypomniał sobie coś, co zatrzymało go na środku drogi.

- Kamienne Cielę - wrzasnął. - Kamienne Cielę.

Wojownik odwrócił się do niego.

- Mam strzelby - wyrzucił z siebie Tańczący Z Wilkami. - W ziemi, niedaleko fortu białego człowieka jest dużo strzelb.

Natychmiast zrobili w tył zwrot i powrócili do ogniska.

Dziesięć Niedźwiedzi wciąż wypytywał myśliwych z plemienia Kiowa.

Biedacy, i tak już na wpół szaleni po przeżyciach, w których o mały włos nie utracili życia, wzdrygnęli się na widok Tańczącego Z Wilkami i trzeba było szybkiej wymiany słów, by ich uspokoić.

Twarz Dziesięciu Niedźwiedzi drgnęła, gdy Kamienne Cielę powiedział mu o strzelbach.

- Jakie strzelby? - zapytał łąpczywie.

- Strzelby białych żołnierzy... karabiny - odpowiedział Tańczący Z Wilkami.

Dla Dziesięciu Niedźwiedzi była to trudna decyzja. Mimo że zaakceptował Tańczącego Z Wilkami, w jego starej krwi Komańcza było coś, co kazało mu nie w pełni ufać białemu człowiekowi. Strzelby były w ziemi i wykopanie ich zabierze sporo czasu. Pawnisi już teraz mogli być blisko i będzie potrzebował każdego człowieka do obrony wioski. Należało jeszcze rozważyć i to, że do fortu białego człowieka była daleka droga. A deszcz mógł spaść lada minuta.

Ale walka rozegra się tuż obok i wiedział, że strzelby mogą wiele zmienić. Najprawdopodobniej Pawnisi nie mieli ich wiele. Do świtu zostało jeszcze trochę godzin i było dość czasu na jazdę tam i z powrotem do fortu owłosionych ust.

- Strzelby są w skrzyniach... Przykryte gałęziami - powiedział Tańczący Z Wilkami, przerywając jego myśli. - Będziemy potrzebowali tylko kilku ludzi i sanie, żeby przywieźć je z powrotem.

Starzec musiał podjąć ryzyko. Kazał Kamiennemu Cielęciu wziąć ze sobą Tańczącego Z Wilkami i jeszcze dwóch ludzi i sześć kuców, cztery pod wierzch i dwa do dźwigania strzelb. Kazał im to zrobić szybko.

3

Gdy dotarł do swojego wigwamu, Cisco był już osiodłany i stał przed wejściem. W środku paliło się ognisko, a Ta Która Stoi Z Pięścią kuciała obok niego, mieszając coś w małej miseczce.

Jego broń, strzelba, wielki marynarski rewolwer, łuk, wypchany strzałami kołczan i nóż o długim ostrzu leżały starannie poukładane na podłodze.

Przypasywał sobie rewolwer, gdy przyniosła mu miseczkę.

- Nadstaw twarz - poleciła mu.

Stał nieruchomo, gdy posmarowała palec czerwoną substancją z miseczki.

- To ty powinienesz robić, ale nie ma czasu, a poza tym nie wiesz jak. Więc zrobię to za ciebie.

Szybkimi, pewnymi pociągnięciami nakreśliła pojedynczą poziomą kreskę w poprzek jego czoła i dwie pionowe wzdłuż każdego z policzków. Za pomocą kropek nałożyła odcisk łapy wilka na jedną z kresk na policzku, a potem cofnęła się o krok, żeby przyjrzeć się swemu dziełu.

Kiwnęła głową z aprobatą, gdy Tańczący Z Wilkami zarzucił sobie na plecy łuk i kołczan ze strzałami.

- Umiesz strzelać? - zapytał.

- Tak - odrzekła.

- Więc weź to.

Wręczył jej strzelbę.

Nie było uścisków ani słów pożegnania.

Wyszedł z namiotu, wskoczył na Cisca i już go nie było.

4

Oddalili się od rzeki, kierując się jak najprostszą drogą poprzez step.

Niebo budziło grozę. Wydawało się, jakby cztery burze zbiegły się w jedną. Błyskawice rozjarzały się wokół nich jak artyleryjskie pociski.

Musieli się zatrzymać, gdy jedno z sań obluźowały się w uprzęży, a gdy je naprawiano, Tańczącego Z Wilkami opadła budząca dreszcze myśl. A co będzie, jeśli nie zdoła odnaleźć strzelb? Od dawna nie widział znaku z bizoniego żebra. Nawet jeśli wciąż był tam, gdzie wetknął go w ziemię, mógł być trudny do odszukania. W duchu jęknął wobec takiej perspektywy.

Gdy dotarli do fortu, deszcz zaczynał padać wielkimi ciężkimi kroplami. Zaprowadził

ich tam, gdzie spodziewał się znaleźć to miejsce, ale w ciemnościach nic nie widział. Powiedział im, czego mają szukać, i cała czwórka na kucach rozsunała się w wachlarz, przeszukując wysoką trawę, by napotkać długi, biały kawałek kości. Deszcz siekł coraz gęściej i minęło dziesięć minut, a żebra ani śladu. Wiał wiatr i błyskawice rozświetlały niebo co kilka sekund. Poświata, jaką rzucały na ziemię, nie na wiele się zdała, gdyż zarazem oślepiała szukających.

Po dwudziestu ponurych minutach Tańczący Z Wilkami całkiem upadł na duchu. Teraz ponownie przeszukiwali ten sam teren i wciąż nic.

Wówczas wydało mu się, że poprzez wiatr, deszcz i grzmoty usłyszał jakiś trzask pod którymś kopytem Cisca.

Tańczący Z Wilkami zawołał pozostałych i zeskoczył na ziemię. Wkrótce wszyscy czterej na rękach i na kolanach obmacywali na ślepo trawę.

Kamienne Ciele nagle skoczył na równe nogi. Wymachiwał długim, białym kawałkiem żebra.

Tańczący Z Wilkami stanął w miejscu, gdzie zostało znalezione, i czekał na najbliższy zygzak błyskawicy. Gdy niebo znów się rozjarzyło, szybko rzucił okiem na stare zabudowania Fort Sedgewick i używając ich jako punktu orientacyjnego, ruszył na północ, powoli odmierzając kroki.

Jeszcze parę stąpień i preria pod jednym z butów zrobiła się gąbczasta, więc zawołał na pozostałych. Mężczyźni rzucili się na kolana, żeby pomóc mu kopać. Ziemia dawała się łatwo odgarnąć i w parę minut później wydobyli z błotnistej grobu dwa długie pudła ze strzelbami.

5

Byli w drodze zaledwie pół godziny, gdy burza rozpętała się na dobre, zsyłając wielkie, pędzące ściany deszczu. Nie sposób było cokolwiek zobaczyć i czterech mężczyzn konwojujących przez równinę dwie pary sań musiało po omacku szukać drogi powrotnej.

Lecz mając świadomość wagi swojej misji, nie ustali ani na chwilę i podróż z powrotem odbyli w zadziwiającym tempie.

Gdy wreszcie w zasięgu ich wzroku pojawiła się wioska, burza ustała. Nad chmurami pokazało się na skłębionym niebie kilka długich, szarych pasm i w pierwszych wątych promieniach dziennego światła zobaczyli, że wioska nadal jest bezpieczna.

Ruszyli właśnie w dół prowadzącego do obozu zbocza, gdy w górze rzeki rąbnęła spektakularna salwa błyskawic. Na dwie lub trzy sekundy pioruny rozświetliły krajobraz z

jasnością dziennego światła.

Zobaczył to Tańczący Z Wilkami i zobaczyli to również inni.

Długa linia jeźdźców przeprowiała się przez rzekę nie dalej niż pół mili powyżej wioski.

Błyskawica znów rozdarła ciemność i zobaczyli, że nieprzyjaciel znika w zaroślach. Plan był oczywisty. Podejdą od północy, korzystając z nadrzecznych szuwarów, by zbliżyć się na sto jardów do wioski. Potem zaatakują.

Za jakieś dwadzieścia minut Pawnisi zajmą pozycje.

6

W każdej pace były dwadzieścia cztery strzelby. Tańczący Z Wilkami osobiście wydawał je wojownikom cisnącym się wokół wigwamu Dziesięciu Niedźwiedzi, podczas gdy starzec przekazywał im ostatnie polecenia.

Chociaż wiedział, że główny atak nastąpi od strony rzeki, było rzeczą prawdopodobną, że wyślą oddział dywersyjny od strony otwartej prerii, dając w ten sposób prawdziwym napastnikom okazję do najechnania na tyły wioski. Wyzaczył dwóch cieszących się posłuchem wojowników i garstkę innych do pomocy, by stawili czoło spodziewanej szarzy od strony prerii. Potem klepnął Tańczącego Z Wilkami po ramieniu, a wojownicy słuchali jego słów.

- Gdybyś był białym żołnierzem - rzekł starzec z kwaśną miną - i miał wszystkich tych ludzi ze strzelbami, co byś uczynił?

Tańczący Z Wilkami chwilę się zastanowił.

- Ukryłbym się w wiosce...

Z ust wojowników stojących w zasięgu jego głosu popłynęły drwiące okrzyki. Dziesięć Niedźwiedzi uciszył ich gestem ręki i napomnieniem.

- Tańczący Z Wilkami jeszcze nie skończył - rzekł surowo.

- Ukryłbym się w wiosce, za wigwamami. Pilnowałbym jedynie zarośli, a nie tych, którzy nadejdą od strony prerii. Pozwoliłbym, by nieprzyjaciel pokazał się pierwszy. Pozwoliłbym, by nieprzyjaciel myślał, że walczymy po drugiej stronie i że zdobycie obozu przyjdzie mu łatwo. Potem kazałbym ludziom ukrytym za wigwamami wyskoczyć z wrzaskiem i uderzyć na nieprzyjaciela z nożami i maczugami. Zepchnąłbym nieprzyjaciela do rzeki i zabił tyłu, żeby już nigdy więcej nie próbowali w ten sposób.

Starzec słuchał uważnie. Spojrzał po twarzach wojowników i podniósł głos.

- Tańczący Z Wilkami i ja jesteśmy tego samego zdania. Powinniśmy zabić tyłu, żeby

nigdy nie próbowali w ten sposób. Idźmy teraz spokojnie.

Ludzie rozproszyli się bezszelestnie po wiosce z nowymi karabinami i zajęli pozycje za wigwamami od strony rzeki.

Zanim Tańczący Z Wilkami zajął swoje miejsce za nimi, wślizgnął się do wigwamu Wierzgającego Ptaka. Dzieci były stłoczone pod derkami, a obok nich siedziały kobiety. Żony Wierzgającego Ptaka trzymały na kolanach tomahawki. Ta Która Stoi Z Pięścią miała strzelbę. Nie odezwały się ani słowem, a Tańczący Z Wilkami też nic nie powiedział. Chciał się tylko upewnić, czy są gotowe. Przekradł się koło altanki i zatrzymał za własnym wigwamem. Był jednym ze stojących najbliżej rzeki. Po drugiej stronie stał Kamienne Ciele. Skinęli na siebie głowami i skupili uwagę na otwartym terenie przed sobą. Opadał łagodnie jakieś sto jardów, kończąc się zaroślami.

Deszcz zelżał, ale wciąż utrudniał obserwację. Pękate chmury wisiały im nad głowami, a półmrok świtu niemal nie dawał światła. Niewiele widzieli, ale był pewien, że oni tam są.

Tańczący Z Wilkami tam i z powrotem przeglądał linię tipi na lewo i na prawo od siebie. Za każdym stali stłoczeni wojownicy Komanczów, czekając ze strzelbami w pogotowiu. Był tam nawet Dziesięć Niedźwiedzi.

Teraz światło stało się mocniejsze. Burzowe chmury unosiły się w górę, a wraz z nimi odchodził deszcz. Nagle przedarło się słońce i w minutę później z ziemi zaczął unosić się opar podobny do mgły.

Tańczący Z Wilkami zerknął poprzez mgłę na zarośla i zobaczył ciemne sylwetki ludzi przemykających jak duchy wśród wierzb i topoli.

Zaczynał odczuwać coś, czego od dawna nie odczuwał. Była to owa nieuchwytna rzecz, która sprawiała, że ciemniały mu oczy, która wprawiała w ruch maszynę nie do zatrzymania.

Nieważne, jak wielcy, jak liczni i jak potężni byli ludzie, którzy poruszali się tam w mgle, nie było ich się co bać. Byli wrogami i stali u jego progu. Pragnął z nim walczyć. Nie mógł się doczekać, kiedy będzie z nimi walczyć.

Za jego plecami rozległy się strzały. Oddział dywersyjny uderzył na małą grupkę obrońców na drugim froncie.

Odgłosy potyczki nasilały się, a on przebiegał wzrokiem po linii. Kilku zapaleńców próbowało wyrwać się i pobiec do walki, ale starsi wojownicy dobrze się spisali, utrzymując ich w ryzach, by nikt nie wyskoczył przedwcześnie. Ponownie przepatrzył mgły wiszące nad zaroślami.

Nadciągali powoli, niektórzy pieszo, inni na koniach. Cał po cał wspinali się na zbocze - mroczni nieprzyjaciele z upiętymi w czub włosami, marzący o masakrze.

Kawaleria Pawnisów szła za piechurami, a Tańczący Z Wilkami chciał, żeby znalazła się na przodzie. Chciał, żeby konni wzięli na siebie cały impet salwy.

Podciągnijcie konie, błagał w milczeniu. Podciągnijcie je.

Spojrzał po linii w nadziei, że zaczekają jeszcze kilka sekund, i zaskoczony zobaczył wbitych w siebie wiele par oczu. Nie odrywali od niego wzroku, jakby czekali na znak.

Tańczący Z Wilkami uniósł rękę nad głową.

Wibrujący gardłowy dźwięk dobiegł z podnóża stoku. Narastał coraz bardziej, buchając w ciszy deszczowego poranka jak gorące powietrze. Pawnisi wykrzykiwali sygnał do ataku.

Gdy ruszyli szarżą, kawaleria wysunęła się przed piechurów.

Tańczący Z Wilkami opuścił rękę i wyskoczył zza wigwamu z uniesionym karabinem. Pozostali Komańcze ruszyli za nim.

Ogień z ich strzelb dosięgnął jeźdźców z odległości około dwudziestu jardów i załamał szarżę Pawnisów tak gładko, jak ostry nóż gładko przecina skórę. Ludzie walili się z koni jak porzucane z półki zabawki, a tych, którzy w istocie nie zostali trafieni, ogłuszył wstrząs pękających bąbli wystrzałów z czterdziestu karabinów.

Oddawszy salwę, Komańcze ruszyli do kontrataku, wylewając się potokiem zza kurtyny niebieskawego dymu, by runąć na oślepionego nieprzyjaciela.

Szarża była tak wściekła, że Tańczący Z Wilkami zderzył się całym ciałem z pierwszym napotkanym Pawnisem. Gdy niezdarnie potoczyli się po ziemi, przytknął lufę marynarskiego rewolweru do twarzy mężczyzny i strzelił.

Potem strzelał do ludzi, gdziekolwiek się pojawili w tym zamięcie, i szybko, jednego po drugim, zabił dwóch dalszych.

Coś dużego lupnęło go mocno od tyłu, niemal zwalając z nóg. Był to jeden z ocalałych kuców bojowych Pawnisów. Chwycił go za uzdę i wskoczył mu na grzbiet.

Pawnisi byli jak kurczaki opadnięte przez sforę wilków i już się cofali, rozpaczliwie usiłując dotrzeć pod osłonę zarośli. Tańczący Z Wilkami złapał wysokiego wojownika, który szukał ratunku w ucieczce, i obalił go na ziemię. Próbował strzelić mu w tył głowy, ale strzał nie nastąpił. Zakręciwszy lufą młynka, palnął umykającego wojownika kolbą rewolweru. Pawnis padł dokładnie przed nim i Tańczący Z Wilkami poczuł, jak kopyta kuca tratują leżące ciało.

Na wprost inny Pawnis, z głową obwiązaną jasnoczerwoną przepaską, usiłował

podnieść się z ziemi. On także uciekał w zarośla.

Tańczący Z Wilkami zajadłe kopnął piętami w boki kuca, a gdy zrównali się z uciekinierem, rzucił się na mężczyznę z przepaską i zsuwając się z końskiego grzbietu, chwycił go u nasady szyi. Pęd rzucił ich razem splecionych przez ostatnie metry otwartej przestrzeni i twardo rąbnęli o dużą topolę. Tańczący Z Wilkami trzymał mężczyznę oburącz za głowę. Grzmocił jego czaszką o pień drzewa, aż zdał sobie sprawę, że żrenice wojownika są martwe. Złamana gałąź u dołu pnia przeszła Pawnisa jak rożen. Widok był odrażający.

Gdy odstąpił od niego, martwy człowiek osunął się, a jego ramiona żałośnie obwisły po bokach Tańczącego Z Wilkami, jakby chciał objąć swego zabójcę. Tańczący Z Wilkami odskoczył kawałek dalej i ciało zważyło się na twarz.

W tej samej chwili uświadomił sobie, że wrzask ustał.

Było już po walce.

Oslabszy nagle, podążył skrajem zarośli, wszedł na główną ścieżkę i zbiegł truchtem do rzeki, omijając po drodze ciała Pawnisów. Około tuzin Komanczów na koniach, a wśród nich Kamienne Ciele, ścigał niedobitki oddziału Pawnisów na drugim brzegu.

Tańczący Z Wilkami patrzył za nimi, dopóki walczący nie zniknęli z pola widzenia. Potem powoli poszedł z powrotem. Wspinając się po zboczu, usłyszał okrzyk wojenny. Gdy dotarł na grzbiet stoku, rozpostarło się przed nim pole bitwy, na którym jeszcze niedawno sam stawał do walki.

Wyglądało jak opuszczony w pośpiechu teren pikniku. Wszędzie porozrzucone były odpadki. Leżało tam wiele ciał Pawnisów. Wojownicy Komanczów krzatali się między nimi w podnieceniu.

- Ja zabiłem tego - co chwila ktoś wołał.

- A ten jeszcze oddycha - oznajmiał ktoś inny, nakłaniając najbliższego stojącego, by pomógł go wykończyć.

Kobiety i dzieci wyszły z wigwamów i pędziły na pole bitwy. Bezcieszczono niektóre zwłoki.

Tańczący Z Wilkami stał jak skamieniały, zbyt wyczerpany, by wycofać się w zarośla, i zbyt przepełniony obrzydzeniem, by podejść bliżej.

Zobaczył go jeden z wojowników i zakrzyknął.

- Tańczący Z Wilkami!

Zanim się spostrzegł, wokół było pełno wojowników Komanczów. Jak mrówki toczące pod górę kamyk, wepchnęli go na pobojuwisko. Po drodze obwoływali jego imię.

W oszołomieniu pozwolił się prowadzić, niezdolny pojąć ich bezbrzeżnego szczęścia.

Byli przepojeni radością z leżącej u ich stóp śmierci i zniszczenia, i Tańczący Z Wilkami nie mógł tego zrozumieć.

Lecz gdy tak stał słuchając, jak wykrzykują jego imię, powoli przyszło zrozumienie. Nigdy nie brał udziału w takiej walce, ale stopniowo zaczął patrzeć na zwycięstwo nieco inaczej.

Zabijania nie dokonano w imię jakichś mrocznych politycznych celów. Nie była to bitwa o terytoria, bogactwa albo o odzyskanie wolności. Ta bitwa nie miała jaźni.

Została wydana, by bronić domostw stojących zaledwie o parę stóp dalej. I po to, by bronić stłoczonych w środku żon, dzieci i ukochanych. Stoczono ją dla zachowania zapasów żywności, które pozwolą im przetrwać zimę, zapasów żywności, które wszyscy z takim wysiłkiem gromadzili.

Dla każdego z członków hordy było to wielkie, osobiste zwycięstwo.

Nagle poczuł się dumny, słysząc, jak wykrzykują jego imię, a gdy znów przejrzał na oczy, opuścił wzrok i rozpoznał jednego z ludzi, których zabił.

- Tego ja zastrzeliłem - wrzasnął.

Ktoś krzyknął mu nad uchem:

- Tak, widziałem, jak go zabijałeś.

Niezdługo Tańczący Z Wilkami krążył wraz z innymi, wołając po imieniu do rozpoznanych przez siebie Komańczo w.

Słońce rozlało się nad wioską, a wojownicy rozpoczęli spontaniczny taniec zwycięstwa, nawołując się poklepywaniem po plecach i okrzykami triumfu wśród płasów po polu zasłanym martwymi Pawnisami.

7

Dwóch nieprzyjaciół zostało zabitych przez siły broniące wioski od frontu. Na głównym polu bitwy leżały dwadzieścia dwa ciała. Dalsze cztery znaleziono w zaroślach, a drużynie pościgowej Kamiennego Cielęcia udało się zabić trzech. Ilu rannych się wymknęło, nie wiedział nikt.

Siedmiu Komanczów było poranionych, w tym tylko dwóch poważnie, ale prawdziwym cudem była liczba zabitych. Komańcze nie stracili ani jednego wojownika. Nawet najstarsi ludzie nie pamiętali tak jednoznacznego zwycięstwa. Przez dwa dni wioska upajała się triumfem. Honory posypały się na wszystkich mężczyzn, ale jeden wojownik był wynoszony pod niebiosa bardziej od innych. Wojownikiem tym był Tańczący Z Wilkami.

Przez wszystkie te miesiące na równinach sposób, w jaki postrzegali go tubylcy,

zmieniał się wielokrotnie. A teraz kółko się zamknęło. Teraz spoglądano na niego w sposób zbliżony do pierwotnych wyobrażeń. Nikt oficjalnie nie wystąpił, nazywając go bogiem, lecz w życiu tych ludzi zajmował miejsce zaraz po nim.

Przez okrągły dzień widać było młodzieńców nie odstępujących jego wigwamu. Dziewczęta otwarcie z nim flirtowały. W myślach każdego na pierwszym miejscu było jego imię. Żadna rozmowa, bez względu na temat, nie mogła się odbyć bez wzmianki o Tańczącym Z Wilkami.

Ostateczne uhonorowanie przyszło od Dziesięciu Niedźwiedzi. W nieznanym dotychczas geście obdarował bohatera fajką z własnego wigwamu.

Tańczący Z Wilkami lubił być ośrodkiem zainteresowania, ale też nie czynił nic, żeby je wzbudzać. Nagła nieustająca popularność zaciążyła nad rozkładem jego dni. Wydawało się, że stale ktoś płącze się pod nogami. Najgorsze ze wszystkiego było to, że pozostawało mu mało własnego czasu, który mógł spędzić z Tą Która Stoi Z Pięścią.

Ze wszystkich ludzi w obozie być może właśnie on przyjął z największą ulgą powrót Wierzgającego Ptaka i Wiatru W Jego Włosach.

Po wielu tygodniach na szlaku nie udało im się jeszcze dopaść nieprzyjaciela, gdy u podnóża górskiego łańcucha złapały ich nagle i nietypowe o tej porze roku śnieżyce.

Odczytując to jako znak nadejścia wczesnej i surowej zimy, Wierzgający Ptak odwołał wyprawę i pognali do domu, by poczynić przygotowania do wielkiej wędrówki na południe.

ROZDZIAŁ XXVII

1

Jeśli członkowie wyprawy żywili nawet jakieś obawy przed powrotem z pustymi rękami, to niewiarygodne wieści o pogromie Pawnisów rozwiały je całkowicie.

Efekt ubocznym ich powrotu do domu było zmniejszenie temperatury popularności, jaką cieszył się Tańczący Z Wilkami. Nie był przez to mniej poważany, lecz uwaga w dużej części przeniosła się z powrotem na Wierzgającego Ptaka i Wiatr W Jego Włosach z racji ich tradycyjnej wysokiej pozycji. Wszystko powoli wracało do normy.

Chociaż Tańczący Z Wilkami nie dawał publicznie żadnych tego oznak, Wierzgający Ptak był zdumiony postępem, jaki poczynił. Nie można było pomijać jego nieustraszoneści i zręczności w odparciu ataku Pawnisów, ale to właśnie postęp na drodze do stania się Komanczem, a szczególnie opanowanie języka wzbudziły zdziwienie czarownika.

Starał się tylko dowiedzieć czegoś o białej rasie i nawet dla człowieka o doświadczeniu Wierzgającego Ptaka trudno było pogodzić się z faktem, że ten samotny biały żołnierz, który jeszcze przed paroma miesiącami nie widział na oczy Indianina, teraz był Komanczem.

Jeszcze trudniej było uwierzyć, że stał się przywódcą innych Komanczów. Ale każdy mógł na własne oczy zobaczyć tego dowody: w tych młodzieńcach, którzy szukali jego towarzystwa, i w sposobie, w jaki wszyscy o nim mówili. Wierzgający Ptak nie potrafił sobie wyobrazić, jak do tego mogło dojść. W końcu doszedł do wniosku, że jest to po prostu część Wielkiej Tajemnicy otaczającej Wielkiego Ducha.

Szczęśliwie był w stanie pogodzić się z tak szybkim rozwojem wypadków. To przetańczyło ścieżkę następnej niespodziance. Powiedziała mu o tym jego żona, gdy pierwszej nocy po powrocie leżeli w łóżku.

- Jesteś tego pewna? - zapytał, całkiem zbity z tropu. - Trudno mi w to uwierzyć.

- Kiedy ujrzysz ich razem, nie będziesz miał wątpliwości - wyszeptała poufale. -

Widać to na pierwszy rzut oka.

- Jak myślisz, czy to dobrze?

Żona odpowiedziała na to pytanie chichotem.

- A czy kiedykolwiek nie jest dobrze, gdy to się zdarza? - przygadała mu, przytulając się do niego trochę mocniej.

2

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił następnego ranka Wierzgający Ptak, było pojawienie się u wejścia do wigwamu sławnej osoby z twarzą tak zachmurzoną, że Tańczącego Z Wilkami aż zatkało.

Wymienili pozdrowienia i usiedli.

Tańczący Z Wilkami właśnie zaczął nabijać swoją nową fajkę, gdy Wierzgający Ptak, w niezwykłym dla siebie pokazuje złych manier, przerwał swemu gospodarzowi.

- Umiesz dobrze mówić - odezwał się.

Tańczący Z Wilkami przestał ugniatać tytoń w główce fajki.

- Dziękuję - odrzekł. - Lubię mówić w języku Komańczo w.

- Więc powiedz mi... co jest między tobą i Tą Która Stoi Z Pięścią?

Tańczący Z Wilkami niemal upuścił fajkę. Wyjąkał kilka niezrozumiałych dźwięków, zanim zdołał wykrztusić coś sensownego.

- O czym ty mówisz?

Twarz Wierzgającego Ptaka zapłonęła gniewem, gdy powtarzał pytanie.

- Czy jest coś między tobą a nią?

Tańczącemu Z Wilkami nie spodobał się ten ton. Jego odpowiedź rzucona była jak wyzwanie.

- Kocham ją.

- Chcesz się z nią ożenić?

- Tak.

Wierzgający Ptak pomyślał nad tym przez chwilę. Mógł mieć zastrzeżenia do miłości jako takiej, ale nie mógł znaleźć w niej nic zdroźnego tak długo, jak długo gościła ona w małżeństwie.

Powstał.

- Zaczekaj tu w wigwamie - powiedział surowo. Zanim Tańczący Z Wilkami zdążył odpowiedzieć, czarownika już nie było.

Był gotów powiedzieć „tak” w każdej chwili. Szorstkie maniery Wierzgającego Ptaka napęłniły go bojaźnią bożą. Siadł tam, gdzie stał.

3

Wierzgający Ptak wpadł na chwilę do wigwamu Wiatru W Jego Włosach i Kamiennego Cielęcia, goszcząc w każdym tipi około pięciu minut.

Wracając do własnego wigwamu, znowu kiwał głową ze zdumienia. W jakimś sensie

tego oczekiwał. A jednak nie przestawało to być zadziwiające.

Ach, Wielka Tajemnica, westchnął w duchu. Zawsze próbuję przewidzieć jej nadejście i nigdy mi się to nie udaje.

Gdy wszedł, ona siedziała w wigwamie.

- Ta Która Stoi Z Pięścią - warknął, podrywając ją na baczność. - Już nie jesteś wdową.

Z tymi słowami wycofał się przez otwór wejściowy wigwamu i poszedł poszukać swego ulubionego kuca. Potrzebował długiej, samotnej jazdy.

4

Tańczący Z Wilkami nie czekał długo na pojawienie się u swego progu Wiatru W Jego Włosach i Kamiennego Cielecia. Zobaczył, że zaglądnę do środka.

- Co ty tu robisz? - zapytał Wiatr W Jego Włosach.

- Wierzgający Ptak kazał mi czekać.

Kamienne Cieleć uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Może będziesz musiał chwilę poczekać. - Stłumił śmiech. - Przed paroma minutami Wierzgający Ptak wyjechał w prerię. Wyglądało, że się nie śpieszy.

Tańczący Z Wilkami nie wiedział, co zrobić ani co powiedzieć. Zauważył głupi uśmiezek na twarzy Wiatru W Jego Włosach.

- Możemy wejść? - spytał przebiegle wielki wojownik.

- Tak, proszę... proszę, usiądźcie.

Obaj goście zajęli miejsca naprzeciw Tańczącego Z Wilkami. Zachowywali się łobuzersko jak uczniaki.

- Czekam na Wierzgającego Ptaka - powiedział oschłym tonem. - Czego chcecie?

Wiatr W Jego Włosach lekko pochylił się do przodu. Wciąż uśmiechał się głupkowato.

- Ludzie gadają, że chcesz się ożenić.

Tańczący Z Wilkami zaczął mienić się na twarzy. W przeciągu kilku sekund jej kolor przeszedł z blad różowego odcienia w najgłębszą, najbardziej soczystą czerwień.

Obaj goście roześmiali się w głos.

- Z kim? - wyskrzecztał słabym głosem.

Wojownicy zrobili równocześnie niepewne miny.

- Z Tą Która Stoi Z Pięścią - rzekł Wiatr W Jego Włosach. - Tak słyszeliśmy. Czy to o nią chodzi?

- Ona jest w żałobie - powiedział płacząco. - Ona jest...

- Od dziś nie - przerwał mu Kamienne Ciele. - Dzisiaj została zwolniona. Zrobił to Wierzgający Ptak.

Tańczący Z Wilkami głośno przełknął ślinę.

- Naprawdę?

Obaj mężczyźni przytaknęli, poważniejąc teraz, a Tańczący Z Wilkami uświadomił sobie, że oto na jego oczach dokonuje się zgodny z obyczajem ceremoniał prowadzący do tego małżeństwa. Do jego małżeństwa.

- Co powinienem zrobić?

Goście rozejrzeli się po niemal pustym wigwamie ze srogimi minami. Zakończyli tę krótką inspekcję, smutno potrząsając głowami.

- Jesteś strasznie biedny, przyjacielu - powiedział Wiatr W Jego Włosach. - Nie wiem, czy możesz się ożenić. Musisz ofiarować trochę rzeczy, a tutaj nie widzę za dużo.

Tańczący Z Wilkami także się rozejrzał, z każdą sekundą robiąc coraz smutniejszą minę.

- Nie, nie mam wiele - przyznał.

Zapadła krótka chwila milczenia.

- Możecie mi pomóc? - zapytał.

Obaj mężczyźni odegrali tę scenę niezwykle przekonująco. Kamienne Ciele skrzywił wymijająco twarz. Wiatr W Jego Włosach spuścił głowę i zmarszczył brwi.

Po chwili milczenia, która wydała się Tańczącemu Z Wilkami nie do zniesienia długa, Kamienne Ciele westchnął głęboko i spojrzał mu prosto w oczy.

- Może da się coś zrobić - powiedział.

5

Wiatr W Jego Włosach i Kamienne Ciele mieli swój dobry dzień. Chodząc po wiosce i dobijając targów o konie, nieźle się naśmiewali z Tańczącego Z Wilkami, a szczególnie z jego zabawnego wyrazu twarzy.

Śluby zazwyczaj były spokojnymi uroczystościami, ale wyjątkowość państwa młodych, w tak ścisłym połączeniu z wielkim zwycięstwem nad Pawnisami, sprawiała, że wszędzie aż kipiało od zyczliwości i radosnych oczekiwań.

Ludzie pragnęli mieć swój udział w nowince, jaką była składka na Tańczącego Z Wilkami. Naprawdę cała wioska chciała się do niej przyczynić.

Ci, którzy mieli mnóstwo koni, byli szczęśliwi, mogąc wnieść swój wkład. Nawet

biedniejsze rodziny pragnęły ofiarować zwierzęta, na które nie mogły sobie pozwolić. Ciężko było odwieść od tego tych ludzi, ale jakoś to zrobiono.

Zgodnie z punktem ustalonego z góry planu ofiarodawcy z różnych części obozu zaczęli przyprowadzać konie z pierwszym brzaskiem, a gdy wstała poranna zorza, przed wigwamem Tańczącego Z Wilkami stało ponad dwadzieścia dobrych kuców.

Z Kamiennym Cielęciem i Wiatrem W Jego Włosach w charakterze nauczycieli, przyszły pan młody powiódł kuce rządkiem do wigwamu Wierzgającego Ptaka i przywiązał je przed wejściem.

Szczodropliwość współmieszkańców wioski była naprawdę wzruszająca. Ale chcąc ofiarować coś drogiego swemu sercu, odparał wielki marynarski rewolwer i zostawił go przed progiem.

Potem wrócił do siebie, odesłał nauczycieli i spędził kapryśną noc na oczekiwaniu.

O świcie wymknął się na zewnątrz, żeby rzucić okiem na wigwam Wierzgającego Ptaka. Wiatr W Jego Włosach, powiedział, że jeśli oświadczyzny zostaną przyjęte, koni nie będzie. Jeśli nie, wciąż będą stały przed wigwamem.

Koni nie było.

Przez następną godzinę doprowadził swój wygląd do porządku. Starannie się ogolił, wypolerował buty, oczyścił napierśnik i natłuścił włosy.

Właśnie skończył przygotowania, gdy z zewnątrz dobiegł go głos Wierzgającego Ptaka.

- Tańczący Z Wilkami.

Żałując, że jest sam jak palec, pan młody pochylił się w otworze wejściowym i wyszedł.

Czekał tam Wierzgający Ptak, wyglądający niezwykle przystojnie w swoim komplecie ozdób. Kilka kroków za nim stała Ta Która Stoi Z Pięścią. Za nimi zgromadziła się cała wioska, przyglądając się z namaszczeniem.

Wymienił z czarownikiem powitalne formułki i uważnie słuchał, gdy Wierzgający Ptak palnął mowę o tym, czego oczekuje się od męża Komańcza.

Tańczący Z Wilkami nie mógł oderwać wzroku od drobnej postaci panny młodej. Stała nieporuszona, z lekko pochyloną głową. Miała na sobie dobrą irchową sukienkę ozdobioną przy staniku zębami łosia. Stopy miała znów obute w specjalne mokasyne, a wokół szyi kryzę z małych puszczeli.

Raz, gdy Wierzgający Ptak zaczął mówić, podniosła oczy, a Tańczący Z Wilkami, zobaczywszy w całej okazałości jej urzekającą twarz, nabrał niezbitą pewności. Nigdy nie

zdoła się na nią napatrzeć.

Zdawało się, że Wierzgający Ptak nigdy nie skończy mówić, ale wreszcie skończył.

- Czy słyszeliście wszystko, co powiedziałem? - zapytał czarownik.

- Tak.

- Dobrze - wymamrotał Wierzgający Ptak. Odwrócił się do Tej Która Stoi Z Pięścią i kazał jej podejść.

Szła z ciągle opuszczoną głową, a Wierzgający Ptak chwycił ją za rękę. Podał ją Tańczącemu Z Wilkami i kazał mu zabrać dziewczynę do środka.

Małżeństwo zostało zawarte w chwili, gdy przechodzili przez próg. Gdy to zrobili, mieszkańcy wioski rozeszli się spokojnie i oddalili do swoich domów.

Przez całe popołudnie ludzie z obozu Dziesięciu Niedźwiedzi nadchodzili małymi grupkami i składali podarki na progu nowo poślubionych, zatrzymując się tylko na krótką chwilę, niezbędną, by zostawić dary. O zachodzie słońca przed wigwamem piętrzył się imponujący stos prezentów.

Było to jak na Boże Narodzenie białych ludzi.

Chwilowo ten piękny gest wspólnoty przeszedł nie zauważony przez młodą parę. W dniu ślubu nie widzieli ani ludzi, ani prezentów. W dniu ślubu zostali w domu. A zasłona wejściowa wigwamu pozostała spuszczone.

ROZDZIAŁ XXVIII

1

W dwa dni po ślubie zwołano naradę na wysokim szczeblu. Ostatnie ciężkie ulewy, które nadeszły późną porą roku, odświeżyły wysychającą trawę i postanowiono odłożyć wędrowkę na zimowe leża ze względu na stada kuców. Zostając trochę dłużej, konie będą mogły nabrać parę funtów wagi więcej, co może okazać się kluczowe dla przetrwania zimy. Horda odwlecze wyjazd z letniego obozu o dalsze dwa tygodnie.

Nikt nie był bardziej zadowolony z takiego obrotu rzeczy niż Tańczący Z Wilkami i Ta Która Stoi Z Pięścią. Beztrasko przepłynęli przez pierwsze dni małżeństwa i nie pragnęli, by uległ przerwaniu ten szczególny rytm. Już samo wstawanie z łóżka było dość ciężkie. Zwijanie obozu i maszerowanie setkami mil w długiej, hałaśliwej kolumnie było chwilowo nie do pomyślenia.

Postanowiła spróbować zająć w ciążę, więc przechodzący obok ludzie rzadko widzieli podniesioną zasłonę wigwamu.

Gdy Tańczący Z Wilkami w końcu się wyłonił, stał się obiektem bezustannych przycinków ze strony swoich dwóch drużbów. Wiatr W Jego Włosach był szczególnie bezlitosny w tych zaczepkach. Gdy tylko Tańczący Z Wilkami wpadał na fajkę, nieodmiennie witały go pozdrowienia pełne troski o zdrowie jego męskości albo udane zaskoczenie, że nie jest w łóżku. Wiatr W Jego Włosach próbował nawet obarczyć go przydomkiem Jedna Pszczoła, czyniąc tym aluzję do nie mającego końca zapyłania jednego kwiatka, ale, na szczęście dla młodego małżonka, imię nie przyłgnęło do niego.

Żarciki spływały po Tańczącym Z Wilkami jak po kacze. Posiadanie kobiety, której pragnął, sprawiało, że czuł się niezwykczony i nic nie mogło go zranić.

To, co zostało z życia poza wigwamem, było w pełni zadowalające. Codziennie jechał na polowanie, prawie zawsze z Wiatrem W Jego Włosach i Kamiennym Cieleciem. Wszyscy trzej zostali świetnymi kompanami i rzadko można było ujrzeć, by któryś wyjeżdżał bez towarzystwa pozostałych.

Rozmowy z Wierzgającym Ptakiem toczyły się dalej. Teraz były one wartkie i nie było ograniczeń tematów. Apetyt Tańczącego Z Wilkami na wiedzę znacznie przewyższał chętkę Wierzgającego Ptaka i czarownik szeroko rozwodził się o wszystkim, od historii plemienia po ziołolecznictwo. Zagrzewało go gorące zainteresowanie, jakie jego uczeń przejawiał dla spraw duchowych, i z miłą chęcią zaspokajał ten apetyt.

Religia Komanczów była prosta w swoim zakorzenieniu w naturalnym środowisku

zwierząt i żywiołów, które ich otaczały. Jednakże praktyki religijne były złożone. Roili się od rytuałów i tabu, których samo wypełnianie zabierało ludziom sporo czasu.

Jego nowe życie było bogatsze niż kiedykolwiek i uwidoczniło się to w sposobie, w jaki Tańczący Z Wilkami się nosił. Bez dramatycznych wydarzeń tracił z wolna naiwność, nie wyzbywając się jednak powabu. Stawał się bardziej męski, nie porzucając całkiem kokieterii, i gładko wszedł w rolę szarego człowieka, nie tracąc nic z piętna wybitnej osobistości.

Wierzgający Ptak, zawsze nastrojony na dźwięki duszy wszelkich rzeczy, był niepomnie dumny ze swego protegowanego i pewnego popołudnia, po poobiedniej przechadzce, położył dłoń na ramieniu Tańczącego Z Wilkami i rzekł:

- Jest wiele szlaków w tym życiu, ale tym, który najbardziej się liczy, niewielu ludzi jest w stanie podążać... nawet ludzi z plemienia Komanczów. To szlak prawdziwego człowieczeństwa. Myślę, że ty jesteś na tym szlaku. Ciesz się, że to widzę. To radość dla mego serca.

Tańczący Z Wilkami zapamiętał te słowa w chwili, gdy zostały wypowiedziane, i zachował je na zawsze. Ale nie powiedział nikomu. Nawet Tej Która Stoi Z Pięścią. Uczynił je częścią własnych „leków”.

2

Zostało jeszcze tylko parę dni do wielkiej wędrówki, gdy Wierzgający Ptak przyszedł któregoś ranka i powiedział, że zamierza się wybrać w szczególne miejsce. Jazda tam i z powrotem zajmie cały dzień i być może część nocy, lecz jeśli Tańczący Z Wilkami zechce pojechać, będzie mu bardzo miło.

Przecięli samo serce prairii, przez wiele godzin jadąc w kierunku północno - wschodnim. Ogrom przestrzeni, w jaką wtargnęli, był przytłaczający i żaden z mężczyzn nie mówił wiele.

W połowie dnia skręcili prosto na południe i w ciągu godziny kuce stały już na wierzchołku długiego zbocza, które opadało ku rzece, rozciągnięte na milę.

Daleko na wschodzie i na zachodzie widzieli zarys i kolor wody. Lecz na wprost nich rzeka zniknęła.

Była zasłonięta kolosalnym lasem.

Tańczący Z Wilkami kilkakrotnie zamrugał oczami, jakby chciał odegnać uludę. Z tej odległości trudno było ocenić dokładną wysokość, ale wiedział, że drzewa były wysokie. Niektóre z nich musiały mierzyć po sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt stóp.

Gaj rozciągał się w dół rzeki na większą część mili, a jego ogrom szalenie

kontrastował z pustym krajobrazem wszędzie dookoła. Był jak dziwaczny twór jakiegoś tajemniczego ducha.

- Czy to miejsce naprawdę istnieje? - zapytał półzartem.

Wierzgający Ptak roześmiał się.

- Może nie. Dla nas, a nawet dla niektórych naszych nieprzyjaciół... to święte miejsce. Powiadają, że tutaj odradza się zwierzyzna. Drzewa dają schronienie wszelkiemu zwierzęciu stworzonemu przez Wielkiego Ducha. Powiadają, że tutaj się wylęgają, gdy zaczyna się życie, a potem nieustannie powracają do miejsca narodzin. Nie byłem tu od długiego czasu. Napoimy konie i rzucimy okiem.

Gdy podjechali bliżej, widmo drzew stało się jeszcze potężniejsze, a zagłębiając się w las, Tańczący Z Wilkami poczuł się mały. Pomyślał o Ogrodach Edenu.

Lecz kiedy drzewa zamknęły się wokół nich, obaj mężczyźni poczuli, że coś jest nie w porządku.

Nie było żadnego dźwięku.

- Jest cicho - zauważył Tańczący Z Wilkami.

Wierzgający Ptak nie odpowiedział. Nadśluchiwał i przypatrywał się z kocią uporczywością.

Gdy wdarli się w głąb lasu, cisza zaczęła ich dławić i Tańczący Z Wilkami poczuł dreszcz, uświadomiwszy sobie, że tylko jedna rzecz na świecie mogła stworzyć tę dźwiękową próżnię. Wyczuwał jej woń. Jej smak miał na końcu języka.

W powietrzu była śmierć.

Wierzgający Ptak nagle osadził konia. Ścieżka rozszerzała się, a Tańczący Z Wilkami, wyglądając przez ramię swego mentora, zachwiał się na widok piękna, które ujrzał.

Przed nimi był otwarty teren. Drzewa rosły w odstępach pozostawiających między pniami dość wolnej przestrzeni, by pomieścić wszystkie wigwamy, ludzi i konie z obozu Dziesięciu Niedźwiedzi. Światło słoneczne sączyło się na ściółkę lasu wielkimi ciepłymi plamami.

Przed oczami stanęła mu wizja utopii zaludnionej świętą rasą, wiodącą spokojny żywot w zgodzie z wszystkimi żyjącymi stworzeniami.

Nic, co stworzone ludzką ręką, nie mogło równać się zasięgiem ani pięknem z tą katedrą na wolnym powietrzu.

Jednakże ludzka ręka zdolna była ją zniszczyć. Dowód już mieli przed oczami.

Miejsce to zostało straszliwie zbezczeszczone.

Drzewa rozmaitej wielkości leżały tam, gdzie zostały ścięte, niektóre przywalone

innymi, jak wykałaczkami rozsypane po blacie stołu. Większość z nich nie została ociosana z gałęzi i nie potrafił sobie wyobrazić, w jakim celu mogły zostać ścięte.

Popędzili konie naprzód, a wówczas Tańczący Z Wilkami zdał sobie sprawę z tajemniczego brzęczącego dźwięku.

Z początku, myśląc, że to rojące się pszczoły albo osy, przyjrzał się gałęziom nad głową, próbując dociec, gdzie znajduje się gniazdo owadów.

Lecz gdy podjechali bliżej w kierunku środka katedry, zdał sobie sprawę, że hałas nie dochodzi z góry. Dochodził z dołu. I wywołany był poruszeniami skrzydeł tysięcy uczujących much.

Gdziekolwiek spojrzeł, ziemia usłana była ciałami albo kawałkami ciał. Były to drobne zwierzęta, borsuki, skunksy i wiewiórki. Większość z nich była nietknięta. Niektórym brakowało ogonów. Leżały, gnijąc tam, gdzie zostały zastrzelone bez innej wyraźnej przyczyny niż ćwiczenia w strzelaniu.

Pierwotnym celem masakry były jelenie rozciągnięte na ziemi wszędzie dokoła. Niewiele ciał było w całości, nie licząc ran postrzałowych. Większość było okaleczonych.

Tępe, martwe oczy wpatrywały się w niego z przepysznych głów, które zostały niezdarnie odrąbane od szyj. Kilka z nich leżało oddzielnie na leśnej ściółce. Inne były zwalone w nieładzie na stosy, nieraz po pół tuzina. W jednym miejscu, pokancerowane głowy zostały ułożone nosami do siebie, jakby prowadziły rozmowę. To miało być dowcipne.

Nogi były jeszcze bardziej groteskowe. One także zostały jednym cięciem odrąbane od ciał, które niegdyś dźwigały. Opierając się gniciu, wyglądały pogodnie i pięknie, jakby nadal były całkowicie sprawne.

Lecz było to smutne: delikatne, rozszczipione kopyta i zgrabne, porośnięte futrem nogi... wiodące donikąd. Członki pozrzucone były w małe wiązki jak drewno na opał i gdyby zadali sobie trud liczenia, wynik przekroczyłby setkę.

Mężczyźni byli zmęczeni długą drogą, ale żaden nie uczynił nic, by zsiąść z konia. Jechali dalej.

Zagłębienie na wielkiej polanie odsłoniło ustawione obok siebie cztery zrujnowane chaty, cztery paskudne wrzody ropiejące na ściółce lasu.

Ludziom, którzy ścięli tak wiele drzew, najwidoczniej brakło ambicji, gdy przyszło do budowania. Ale nawet gdyby się przykładali, rezultat najpewniej byłby taki sam. Siedziby, jakie udało im się wznieść, były plugawe nawet jak na ich wyobrażenia.

Według żadnych norm nie było to miejsce stosowne do zamieszkania.

Butelki whisky, wyrzucone po wypiciu, leżały w dużych ilościach wokół okropnych

chat. Było tam także mnóstwo innych bezużytecznych przedmiotów, pęknięty kubek, pozszywany do połowy pas, zmiążdżone łożysko strzelby, wszystko zostawione byle gdzie.

Na ziemi pomiędzy dwiema chatami znaleźli parę dzikich indyków, związanych razem za nogi, a poza tym nietkniętych.

Za budynkami trafili na szeroki rów, po brzegi wypełniony zgniłymi tułowiami zamordowanych jeleni odartych ze skóry, pozbawionych nóg i bezgłowych.

Brzęczenie much było tak głośne, że Tańczący Z Wilkami musiał krzyczeć, by dało się słyszeć jego słowa.

- Zaczekamy na tych ludzi?

Wierzgający Ptak nie chciał krzyczeć. Podciągnął bokiem kuca do Tańczącego Z Wilkami.

3

- Odjechali przed tygodniem, może wcześniej. Napoimy konie i wracamy do domu.

W ciągu pierwszej godziny drogi powrotnej żaden z mężczyzn nie odezwał się ani słowem. Wierzgający Ptak patrzył smutno przed siebie, podczas gdy Tańczący Z Wilkami wbił wzrok w ziemię, wstydząc się za białą rasę, do której należał, i myśląc uporczywie o śnie, jaki miał w prastarym kanionie.

Nikommu o nim nie powiedział, lecz teraz czuł, że musi. Poza tym teraz nie wydawało się to już takim snem. Może było wizją.

Gdy zatrzymali się, by dać odetchnąć koniom, opowiedział Wierzgającemu Ptakowi o śnie, który miał wciąż świeżo w pamięci, nie oszczędzając mu żadnego szczegółu.

Czarownik, nie przerywając, słuchał długiej opowieści Tańczącego Z Wilkami. Kiedy dobiegła końca, posepnie wbił wzrok w swoje stopy.

- Wszyscy byliśmy martwi?

- Wszyscy, którzy tam byli - powiedział Tańczący Z Wilkami - ale wszystkich nie widziałem. Nie widziałem ciebie.

- Dziesięć Niedźwiedzi powinien usłyszeć ten sen - rzekł Wierzgający Ptak.

Z powrotem wskoczyli na konie i spiesznie przebyli prerię, przybywając z powrotem do obozu na krótko przed zachodem słońca.

4

Obaj mężczyźni zdali sprawę ze zbezczeszczenia świętego gaju, czynu, który mógł być jedynie dziełem licznej wyprawy myśliwskiej białych. Martwe zwierzęta w lesie były niewątpliwie ubocznym celem. Prawdopodobnie myśliwi tropili bizony i będą je

dziesiątkowali na znacznie większą skalę.

Dziesięć Niedźwiedzi, gdy usłyszał tę wieść, kilkakrotnie pokiwał głową. Ale nie zadał żadnych pytań.

Potem Tańczący Z Wilkami po raz drugi opowiedział swój przerażający sen.

Starzec wciąż się nie odzywał, jak zawsze z nieprzeniknioną twarzą. Gdy Tańczący Z Wilkami skończył, nie rzucił żadnej uwagi. Wziął natomiast fajkę i rzekł: - Zapalmy ją.

Tańczący Z Wilkami zdawał sobie sprawę, że Dziesięć Niedźwiedzi zastanawia się nad tym, co usłyszał, ale gdy fajka krążyła wokół, robił się niecierpliwy, chcąc zrzucić z serca jakiś ciężar.

W końcu odezwał się: - Będę jeszcze mówił.

Starzec skinął głową.

- Gdy Wierzgający Ptak i ja zaczęliśmy po raz pierwszy ze sobą rozmawiać - zaczął Tańczący Z Wilkami - postawiono mi pytanie, na które nie umiałem odpowiedzieć. Wierzgający Ptak wielokrotnie wypytywał mnie: „Jak wielu białych nadejdzie?“, a ja mówiłem: „Nie wiem“. To prawda. Nie wiem, ilu ich przyjdzie. Ale jedno wam powiem. Będzie ich wielu.

Białych jest wielu, więcej, niż ktokolwiek z nas by zliczył. Jeśli zechcą wydać wam wojnę, zrobią to przy pomocy tysięcy żołnierzy o owłosionych ustach. Żołnierze będą mieli wielkie wojenne strzelby, zdolne strzelać do takiego obozu jak ten i wszystko w nim zniszczyć.

To napawa mnie lękiem. Lękam się nawet mojego snu, bo wiem, że może się sprawdzić. Nie potrafię powiedzieć, co należy zrobić. Ale pochodzę z białej rasy i znam ich. Teraz znam ich od strony, od jakiej przedtem ich nie znałem. Lękam się o wszystkich Komanczów.

Dziesięć Niedźwiedzi kiwał potakująco głową podczas tej przemowy, ale Tańczący Z Wilkami nie potrafił powiedzieć, jak starzec przyjmuje jego słowa.

Wódz chwiejnie powstał i postąpił parę kroków przez wigwam, zatrzymując się koło łóżka. Sięgnął do wiszącej nad nim torby na przybory, wyciągnął z niej zawiniątko wielkości melona i podreptał z powrotem do ogniska.

Usiadł z chrząknięciem.

- Myślę, że masz rację - powiedział do Tańczącego Z Wilkami. - Trudno powiedzieć, co robić. Jestem starym człowiekiem, który pamięta wiele zim, ale nawet ja nie jestem pewien, co robić, gdy rzecz idzie o białych ludzi i ich żołnierzy o owłosionych ustach. Lecz pozwól, że coś ci pokażę.

Jego węzlaste palce szarpnęły za rzemień z nie wyprawionej skóry i w jednej chwili zawiniątko się rozsuptało. Odwinął brzegi worka, ukazując stopniowo okruch zardzewiałego metalu wielkości ludzkiej głowy.

Wierzgający Ptak nigdy przedtem nie widział tego przedmiotu i nie miał pojęcia, co to może być.

Tańczący Z Wilkami także go nie widział. Ale wiedział, co to jest. Widział rysunek czegoś podobnego w jakiejś książce z historii wojskowości. To był hełm hiszpańskiego konkwistadora.

- Ci ludzie jako pierwsi przybyli do naszego kraju. Przybyli na koniach... wtedy nie mieliśmy koni... i strzelali do nas z wielkich ognistych kijów, jakich nigdy przedtem nie widzieliśmy. Szukali błyszczącego metalu, a my baliśmy się ich. To było za czasów dziadka mojego dziadka.

Koniec końców przepędziliśmy tych ludzi.

Starzec długo i mocno ssał fajkę, zaciągając się wielokrotnie. - Potem zaczęli przychodzić Meksykanie. Musieliśmy wydać im wojnę i powiodło się nam. Bardzo się nas boją i nie przychodzą już tutaj.

Za moich czasów zaczęli przybywać biali ludzie. Tekszańcy. Byli jak wszyscy inni, którzy znajdują w naszym kraju coś, co pragną mieć. Biorą to bez pytania. Rozgniewali się, gdy zobaczyli, że przebywamy w naszym własnym kraju, a kiedy nie robiliśmy tego, czego żądali, próbowali nas zabić. Zabijali kobiety i dzieci, jakby to byli wojownicy.

Gdy byłem młody, walczyłem z Tekszańcami. Zabiliśmy ich wielu i ukradliśmy trochę ich kobiet i dzieci. Jednym z tych dzieci jest żona Tańczącego Z Wilkami.

Po jakimś czasie były rozmowy pokojowe. Spotkaliśmy się z Tekszańcami i doszliśmy z nimi do ugody. Ugody zawsze były łamane. Gdy tylko biały człowiek chciał od nas czegoś nowego, nie było już słów na papierze. Zawsze tak się działo.

Byłem już tym zmęczony i przed wielu laty przywiodłem ludzi z mojej hordy tutaj, z dala od białych. Długi czas żyliśmy tu w spokoju.

Ale to już ostatni skrawek naszego kraju. Nie mamy już dokąd pójść. Kiedy myślę o białych ludziach przychodzących teraz do naszego kraju, jest tak, jak rzekłem. Trudno powiedzieć, co robić.

Zawsze byłem człowiekiem miłującym pokój, szczęśliwym, że jest w swoim własnym kraju, i niczego nie chciałem od białych. Zupełnie niczego. Ale myślę, że masz rację. Myślę, że będą wciąż przychodzili.

Kiedy o tym myślę, patrzę na to zawiniątko, wiedząc, co jest w środku, i jestem

pevien, że będziemy walczyć o zachowanie naszego kraju ze wszystkim, co w nim jest. Nasz kraj jest wszystkim, co posiadamy. Jest wszystkim, czego pragniemy.

Będziemy walczyć o jego zachowanie.

Ale nie sądzę, żebyśmy musieli walczyć tej zimy, a po tym wszystkim, coście mi powiedzieli, myślę, że nadszedł już czas, by wyruszyć.

Jutro rano zwiniemy wioskę i udamy się do obozu zimowego.

ROZDZIAŁ XXIX

1

Zasypiając tej nocy, Tańczący Z Wilkami uświadomił sobie, że zaczyna go gryźć jakaś myśl. Gdy obudził się następnego ranka, wciąż w nim tkwiła i chociaż wiedział, że to coś wspólnego z obecnością białych myśliwych o pół dnia konnej jazdy od obozu oraz ze snem i przemową Dziesięciu Niedźwiedzi, nie mógł uchwycić jej sensu.

W godzinę po brzasku, gdy rozbierano obóz, przyszło mu na myśl, z jak wielką ulgą powitał odjazd. Obóz zimowy będzie jeszcze bardziej odległym miejscem od tego. Ta Która Stoi Z Pięścią sądziła, że jest w ciąży, i oczekiwał, że daleki obóz da schronienie jego nowej rodzinie.

Nikt nie będzie w stanie ich tam osiągnąć. Będą anonimowi. On sam będzie już istniał tylko w oczach swego przybranego ludu.

I nagle go olśniło, olśniło go na tyle brutalnie, że niespodziewanie serce zaczęło mu dziko łomotać w piersi.

Istnieje.

I tak głupio pozostawił za sobą tego dowód. Pełne personalia porucznika Johna J. Dunbara zostały na piśmie wszem wobec podane do wiadomości. Leżały sobie spokojnie na pryczy w darniowej chacie wśród kartek jego dziennika.

Ponieważ mieli niewiele do roboty, Ta Która Stoi Z Pięścią poszła pomóc kilku innym rodzinom. Odnalezienie jej w przedwyjazdowym zamieszaniu zajęłoby dobrą chwilę, a on nie chciał tracić czasu na wyjaśnienia. Teraz każda minuta istnienia dziennika stanowiła groźbę.

Pobiegł do stada kuców, niezdolny do myślenia o czymkolwiek z wyjątkiem odzyskania kompromitującego zapisu.

Ledwie wraz z Ciskiem przybył do obozu, od razu pobiegł do Wierzgającego Ptaka.

Czarownik zachnął się na to, co powiedział mu Tańczący Z Wilkami. Około południa chcieli już być w drodze i nie będą w stanie czekać, gdyby długa droga tam i z powrotem do fortu białego człowieka zabrała więcej czasu, niż przewidywano.

Lecz Tańczący Z Wilkami był twardy jak gład i Wierzgający Ptak niechętnie pozwolił mu jechać. Jeśli się spóźni, łatwo mu będzie podążyć ich szlakiem, lecz czarownik ponaglał go, żeby się uwinął. Nie lubił tego rodzaju niespodzianek w ostatniej chwili.

2

Mały bułanek był szczęśliwy, mogąc znów pędzić przez prerię. W ciągu ostatnich

kilku dni powietrze zrobiło się rześkie, a tego ranka wiał lekki wiatr. Cisco uwielbiał, gdy wiatr wiał mu w chrapy, i przelecieli mile dzielące ich od fortu.

Przed nimi wyłoniło się ostatnie dobrze znane wzniesienie i Tańczący Z Wilkami przypadł płasko do grzbietu konia, nakłaniając go, by ostatnie pół mili pokonał pełnym cwałem.

Przeskoczyli wzniesienie i popędzili w dół skarpy do starego posterunku.

Tańczący Z Wilkami ujrzał wszystko w jednym oszalamiającym mgnieniu.

Fort Sedgewick roił się od żołnierzy.

Przebyli jeszcze dalszych sto jardów, zanim zdołał osadzić Cisca. Bułanek wściekle zarył i zatańczył w miejscu, a Tańczący Z Wilkami musiał za wszelką cenę go uspokoić. Borykał się ze swoimi myślami, usiłując pojąć nierzeczywisty widok tętniącego życiem wojskowego obozu.

Wokół dawnego magazynu i darniowej chaty rozbito dziesięć namiotów. Niedaleko jego dawnej kwatery stacjonowały dwie zamontowane na lawetach armaty Hotchkissa. Wałaca się zagroda była zapchana końmi. A całe to miejsce roило się od ludzi w mundurach. Spacerowali, rozmawiali, pracowali.

O pięćdziesiąt jardów przed nim ustawiony był furgon, a na jego skrzyni siedziało czterech wpatrzonych w niego z osłupieniem szeregowców.

Zarysy ich twarzy były nie dość wyraźne, więc nie dostrzegł, że to jeszcze chłopcy.

Kilkunastoletni żołnierze nigdy nie widzieli dzikiego Indianina, ale w ciągu paru tygodni szkolenia, które przeszli po wcieleniu do armii, przypominano im nieustannie, że wkrótce będą walczyć ze zdraдлиwym, podstępnyim i krwiożerczym przeciwnikiem. A teraz ni mniej, ni więcej, tylko wybałuszali oczy na widok tegoż nieprzyjaciela.

Wpadli w panikę.

Tańczący Z Wilkami zobaczył, że unoszą karabiny, i właśnie w tym momencie Cisco stanął dęba. Nie był w stanie nic zrobić. Salwa była kiepsko wymierzona i Tańczący Z Wilkami w momencie strzałów gładko wyleciał z siodła, lądując bez szwanku na ziemi.

Lecz jedna z kul trafiła Cisca prosto w pierś i pocisk przebił mu sam środek serca. Był martwy, zanim zdążył upaść na ziemię.

Niepomny na wrzeszczących żołnierzy, którzy rzucili się w jego kierunku, Tańczący Z Wilkami doczołgał się z powrotem do padłego konia. Chwycił łeb Cisca i uniósł jego pysk. Lecz nie było w nim życia.

Ogarnęło go oburzenie. Ułożyło się ono w jego myślach w zdanie. Co wyście zrobili. Obrócił się na tupot pędzących nóg, gotów wykrzyknąć te słowa.

Gdy odwrócił twarz, trzasnęła w nią kolba karabinu. Wokół zapadła ciemność.

3

Czuł odór brudu. Twarz miał wciśniętą w klepisko. Słyszał dźwięk stłumionych głosów, a kilka słów dotarło do niego wyraźnie.

- Sierżancie Murphy... przychodzi do siebie.

Tańczący Z Wilkami odwrócił twarz i skrzywił się z bólu, gdy złamana kość policzkowa zetknęła się z twardo ubitym klepiskiem.

Dotknął palcem zmasakrowanej twarzy i ponownie wzdrygnął się, kiedy ból przeszył mu całą połowę głowy.

Usiłował otworzyć oczy, ale udało mu się podnieść tylko jedną powiekę. Druga była całkiem zapuchnięta. Kiedy przejrzał na zdrowe oko, zorientował się, gdzie jest. Był w starym magazynie.

Ktoś kopnął go w bok.

- Ty tam, wstawaj.

Czubkiem buta odwrócono go na plecy i Tańczący Z Wilkami odskoczył przed dotykiem. Zatrzymała go tylna ściana magazynu.

Tam usiadł, wpatrując się zdrowym okiem najpierw w twarz stojącego nad nim brodatego sierżanta, a potem w zaciekawione twarze stłoczonych przy drzwiach białych żołnierzy.

Ktoś za jego plecami nagle krzyknął: „Przejdźcie dla majora Hacha” i twarze w drzwiach odsunęły się.

Do magazynu weszło dwóch oficerów, młody, gładko ogolony porucznik i o wiele starszy mężczyzna noszący długie siwe bokobrody i źle dopasowany mundur. Starszy mężczyzna miał małe oczka. Na złotych epoletach widniały insygnia majora w kształcie liści dębu.

Obaj oficerowie patrzyli na niego z odrazą.

- Co on za jeden, sierżancie? - zapytał major sztywnym, ostrożnym tonem.

- Jeszcze nie wiem, sir.

- Mówi po angielsku?

- Także tego nie wiem, sir... Ej, ty... mówisz po angielsku?

Tańczący Z Wilkami zamrugał zdrowym okiem.

- Rozmawiać? - sierżant znów indagował, przykładając palce do warg. - Rozmawiać?

Trącił nogą czarny jeździecki but jeńca i Tańczący Z Wilkami wyprostował się na

siedząco. To nie był gest groźby, gdy to uczynił, lecz zobaczył, że obaj oficerowie odskoczyli do tyłu.

Bali się go.

- Ty rozmawiać? - jeszcze raz spytał sierżant.

- Mówię po angielsku - powiedział znużonym głosem Tańczący Z Wilkami. - Boli mnie, kiedy mówię... Jeden z waszych chłopców złamał mi policzek.

Żołnierze byli zaszokowani, słysząc nienagannie wypowiedziane słowa, i przez chwilę stali wpatrzeni w niego jak oniemiała.

Tańczący Z Wilkami wyglądał na białego i wyglądał na Indianina. Nie sposób było powiedzieć, która połowa jest prawdziwa. Teraz przynajmniej wiedzieli, że jest białym.

Podczas tej ciszy inni żołnierze znów stłoczyli się przy drzwiach i Tańczący Z Wilkami odezwał się do nich:

- Jeden z tych tępych kretynów zastrzelił mojego konia.

Major puścił mimo uszu tę uwagę.

- Kim jesteś?

- Jestem porucznik John J. Dunbar, Armia Stanów Zjednoczonych.

- Dlaczego jesteś ubrany jak Indianin?

Tańczący Z Wilkami nie mógłby odpowiedzieć na to pytanie, nawet gdyby chciał. Ale nie chciał.

- To jest mój posterunek. - powiedział. - Przyjechałem z Fort Hays w kwietniu, ale nikogo tu nie było.

Major i porucznik odbyli krótką rozmowę, szepcząc sobie coś do ucha.

- Masz na to dowód? - spytał porucznik.

- Pod łóżkiem w drugiej chacie jest złożona kartka papieru z moimi rozkazami. Na łóżku jest mój dziennik. Powiem wam wszystko, co powinniście wiedzieć.

Dla Tańczącego Z Wilkami wszystko się skończyło. Podparł dłonią zdrową połówkę głowy. Pękało mu serce. Na pewno horda zostawi go. Kiedy już wykaraska się z tej kabały, o ile w ogóle mu się to uda, będzie za późno, żeby ich dogonić. Cisco leżał tam martwy. Chciało mu się płakać. Ale nie ośmielił się. Zwiesił tylko głowę.

Ktoś wyszedł z pomieszczenia, ale nie podniósł wzroku, żeby zobaczyć kto. Uleciało kilka sekund i nagle usłyszał, jak sierżant szepcze grubiańsko:

- Zostało się Indiańcem, no nie?

Tańczący Z Wilkami uniósł głowę. Sierżant pochylał się nad nim, łypiąc okiem.

- No nie?

Tańczący Z Wilkami nie odpowiedział. Głowa bezwolnie opadła mu z powrotem na rękę i nie podniósł oczu, dopóki nie pojawił się ponownie major z porucznikiem.

Tym razem porucznik przeprowadzał rozmowę.

- Jak się nazywasz?

- Dunbar... D - u - n - b - a - r... John, J.

- Czy to są twoje rozkazy?

Trzymał w górze kartkę pozólkłego papieru. Tańczący Z Wilkami musiał zerknąć kątem oka, żeby ją dojrzeć.

- Tak.

- Tutaj jest nazwisko Rumber - powiedział groźnie porucznik. - Data została wstawiona ołówkiem, ale reszta jest atramentem. Podpis oficera, który wydał rozkaz, jest zamazany. Nieczytelny. Co masz na ten temat do powiedzenia?

Tańczący Z Wilkami usłyszał w głosie porucznika podejrzliwość. Zaczęło do niego docierać, że ci ludzie mu nie wierzą.

- To są rozkazy, które otrzymałem w Fort Hays - powiedział matowym głosem.

Porucznik skrzywił się. Wyglądał na nieusatysfakcjonowanego.

- Przeczytaj dziennik - rzekł Tańczący Z Wilkami.

- Nie ma żadnego dziennika - odrzekł młody oficer.

Tańczący Z Wilkami przyjrzał mu się uważnie, pewien, że kłamie.

Ale porucznik mówił prawdę.

Dziennik znalazł jeden z żołnierzy szpiczy, która jako pierwsza dotarła do Fort Sedgewick. Był to niepiśmienny szeregowiec nazwiskiem Sheets i wsunął książkę za kaftan, myśląc, że będzie z tego dobry papier toaletowy. Sheets usłyszał teraz, że zginął jakiś dziennik, o którym dziki biały człowiek twierdził, że należy do niego. Może powinien go zwrócić. Może daliby mu nagrodę. Ale zaraz zaniepokoił się, że może otrzymać naganę. Albo i gorzej. Niejeden raz przesiedział w areszcie wojskowym za drobne kradzieże. Tak więc dziennik pozostał ukryty pod płaszczem.

- Chcemy, żebyś nam powiedział, co znaczy twoja obecność tutaj - mówił dalej porucznik. Teraz brzmiało to jak przesłuchanie. - Jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, dlaczego nie nosisz munduru?

Tańczący Z Wilkami przesunął się pod ścianę magazynu.

- Co tu robi armia?

Major i porucznik znów ze sobą poszeptali. I znowu odezwał się porucznik.

- Powierzono nam odzyskanie skradzionej własności, włączając w to białych jeńców

wziętych w trakcie wrogich napaści.

- Nie było tutaj napaści ani nie ma tu żadnych białych jeńców - skłamał Tańczący Z Wilkami.

- Sami się o tym przekonamy - odparował porucznik.

Oficerowie ponownie zaczęli szeptać i tym razem rozmowa zaczęła się odkaszlnięciem porucznika.

- Damy ci okazję dostarczenia dowodów lojalności wobec twojej ojczyzny. Jeśli zaprowadzisz nas do wrogiego obozu i posłużysz nam za tłumacza, twój postępek zostanie ponownie rozpatrzony.

- Jaki postępek?

- Twój zdradziecki postępek.

Tańczący Z Wilkami uśmiechnął się.

- Myśli pan, że jestem zdrajcą?

Głos porucznika uniósł się gniewnie.

- Chcesz współpracować czy nie?

- Nie macie tutaj nic do roboty. To wszystko, co mam do powiedzenia.

- Wobec tego nie mamy innego wyjścia, jak tylko wsadzić cię do aresztu. Możesz sobie tam posiedzieć i przemyśleć swoje położenie. Jeśli zdecydujesz się współpracować, powiedz sierżantowi Murphy'emu i wtedy porozmawiamy.

Z tymi słowami major i porucznik wyszli z magazynu.

Sierżant Wilcox wyznaczył dwóch ludzi do pełnienia warty przy drzwiach i Tańczący Z Wilkami został sam.

4

Wierzgający Ptak zwlekał, jak długo się dało, ale wczesnym popołudniem obóz Dziesięciu Niedźwiedzi wyruszył w długi marsz, kierując się przez równiny na południe. Ta Która Stoi Z Pięścią nalegała, żeby poczekać na jej męża, i wpadła w histerię, gdy zmuszono ją do odjazdu. Żony Wierzgającego Ptaka musiały szorstko ją potraktować, zanim w końcu przyszła do siebie.

Lecz Ta Która Stoi Z Pięścią nie była jedyną zaniepokojoną wśród Komanczów. Wszyscy się niepokoiли. Tuż przed wyruszeniem zwołano naradę i wysłano do fortu białego człowieka po Tańczącego Z Wilkami trzech młodych zwiadowców na szybkich kucach.

Tańczący Z Wilkami siedział trzy godziny, walcząc z bólem zmiążdżonej twarzy, i w końcu powiedział strażnikowi, że musi wyjść za potrzebą.

Idąc w kierunku urwiska, ściśnięty pomiędzy dwoma wartownikami, poczuł obrzydzenie do tych ludzi i ich obozu. Nie podobał mu się ich zapach. Dźwięk ich głosu wydawał mu się zgrzytliwy. Nawet ich sposób poruszania się uznał za ordynarny i niezgrabny.

Wysiusiał się na skraju urwiska i obaj żołnierze poprowadzili go z powrotem. Myślał o ucieczce, gdy do obozu wtoczył się furgon z trzema żołnierzami załadowany drewnem i zatrzymał się nie opodal.

Jeden z mężczyzn na furgonie beztrąsko przywołał kolegę z obozu i Tańczący Z Wilkami zobaczył, jak wysoki żołnierz idzie w ich kierunku. Gdy wysoki mężczyzna podchodził, ludzie na pace uśmiechali się do siebie.

Usłyszał, jak jeden z nich mówi: „Patrzaj no, co my ci tu wieziem, Burns?”

Mężczyźni na pace zaczęli coś wywlekać, a potem przerzucili to przez burtę wozu. Stojący obok wysoki mężczyzna odskoczył przerażony, gdy pod nogi upadło mu z łomotem ciało Dwóch Skarpet.

Mężczyźni zeskoczyli z furgonu. Naśmiewali się z wysokiego mężczyzny, gdy ten cofał się przed martwym wilkiem.

Jeden z drwali zarechotał: „Spora stuka, no nie, Burns?”

Dwóch drwali podniosło z ziemi Dwie Skarpety, chwytając za głowę i tylne łapy. Potem, przy akompaniamencie śmiechów wszystkich żołnierzy, zaczęli ścigać wysokiego po podwórku.

Tańczący Z Wilkami pokonał dzielącą ich odległość tak szybko, że nikt nawet nie drgnął, gdy runął na żołnierzy niosących Dwie Skarpety. Zanim się spostrzegli, rąbiąc pięścią bez opamiętania zwalił jednego z nich bez czucia na ziemię.

Skoczył za drugim, kopniakiem podcinając mu nogi, gdy ten próbował uciekać. A potem jego dłonie zacisnęły się na gardle mężczyzny. Twarz mu zsiniała i Tańczący Z Wilkami ujrzał, że oczy zachodzą mu mgłą, gdy coś uderzyło go w tył głowy i znów zapadła przed nim ciemna kurtyna.

Kiedy odzyskał przytomność, zmierzchało. W głowie mu tak pulsowało, że w pierwszej chwili nic nie zauważył. W pierwszej chwili usłyszał tylko lekki grzechot przy każdym poruszeniu. Potem poczuł chłodne żelazo. Ręce miał skute łańcuchem. Poruszył

nogami. Także były skute.

Gdy major i porucznik znów przyszedli zadawać mu pytania, odpowiedział morderczym błyskiem w oku i wypuł z siebie długą wiązkę przekleństw Komanczów. Za każdym razem, gdy o coś pytali, odpowiadał w języku Komanczów. W końcu mieli tego dość i zostawili go.

Późnym popołudniem wielki sierżant postawił przed nim miskę owsianki.

Tańczący Z Wilkami przewrócił ją kopnięciem spętanych nóg.

6

Zwiadowcy Wierzgającego Ptaka przynieśli straszliwe wieści koło północy.

Naliczyli w forcie białego człowieka ponad sześćdziesięciu uzbrojonych po zęby żołnierzy. Widzieli bułanego konika leżącego bez życia na stoku. I tuż przed zmierzchem ujrzeni, jak prowadzono Tańczącego Z Wilkami nad nadrzeczne urwisko z nogami i rękami w kajdanach.

Horda natychmiast rozpoczęła odwrót. Spakowali rzeczy i wyruszyli nocą w małych grupach najwyżej dwunastu ludzi, udając się w najróżniejszych kierunkach. Mieli się spotkać po wielu dniach w obozie zimowym.

Dziesięć Niedźwiedzi wiedział, że nigdy nie zdoła ich powstrzymać, więc nawet nie próbował. Oddział dwudziestu wojowników, a wśród nich Wierzgający Ptak, Kamienne Ciele i Wiatr W Jego Włosach, wyruszył w ciągu godziny, obiecując nie wdawać się w walkę z nieprzyjacielem, dopóki nie będą pewni powodzenia.

7

Major Hatch podjął decyzję późną nocą, jeszcze tego samego dnia. Nie miał zamiaru kłopotać się drażliwą sprawą dzikiego, na wpół zindianicznego białego, który siedział mu na karku. Major nie był marzycielskim wizjonerem i od samego początku był zbity z tropu i przestraszony swoim egzotycznym jeńcem.

Nie przyszło krótkowzrocznemu oficerowi do głowy, że mógłby użyć Tańczącego Z Wilkami z wielkim pożytkiem jako waluty przetargowej. Chciał jedynie się go pozbyć. Jego obecność tutaj i tak już naruszyła dyscyplinę. Wysłanie go z powrotem do Fort Hays wydawało się świetnym pomysłem. Jako jeńiec o wiele bardziej przyda się majorowi tam niż tutaj. Schwywanie renegata postawi go w doskonałym położeniu wobec generalicji. W armii będzie się mówiło o tym jeńcu, a jeśli będą mówić o jeńcu, najpewniej równie często pojawi się na ich ustach nazwisko człowieka, który go schwytał.

Major zdmuchnął lampę i ziewając z zadowoleniem, okrył się kocem. Wszystko świetnie się uda, pomyślał. Nie można było życzyć sobie lepszego rozpoczęcia kampanii.

Przyszli po jeńca wczesną porą następnego ranka.

Sierżant Murphy kazał dwóm ludziom postawić Tańczącego Z Wilkami na nogi i zapytał majora:

- Mamy go ubrać w mundur, sir, trochę go odpuć?

- Ależ skąd - ostro odrzekł major. - No dalej, wsadzajcie go na wóz.

Do powrotnej drogi wyznaczono sześciu ludzi: dwóch konnych na przodzie, dwóch konnych z tyłu, jednego na koźle i jednego na pace do pilnowania jeńca.

Pojechali prosto na wschód, na przestrzał falującej prerii, którą tak bardzo kochał. Lecz tego jasnego grudniowego poranka nie było miłości w sercu Tańczącego Z Wilkami. Nic nie powiedział swoim ciemierzcom, woląc tłuc się w tyle furgonu, zasłuchany w monotonny brzęk łańcuchów, i rozważać w myślach swoje szansę.

Nie było sposobu pokonania eskorty. Może udałoby mu się zabić jednego, lub nawet dwóch. Ale potem zabiliby jego. Mimo to pomyślał, że można by spróbować. Nie byłoby takie złe umrzeć walcząc z tymi ludźmi. Byłoby to lepsze niż wylądować w jakimś ponurym więzieniu.

Za każdym razem, kiedy pomyślał o niej, pękało mu serce. Gdy wyobraźnia ukazywała mu jej twarz, zmuszał się do myślenia o czym innym. Musiał to robić co kilka minut. Był to najgorszy rodzaj agonii.

Wątpił, by ktokolwiek go szukał. Wiedział, że będą chcieli, ale nie mógł sobie wyobrazić, by Dziesięć Niedźwiedzi wystawił na szwank bezpieczeństwo wszystkich swoich ludzi dla ratowania jednego człowieka. Tańczący Z Wilkami sam tego by nie zrobił.

Z drugiej strony był pewien, że wysłali zwiadowców i że wiedzą już o jego rozpaczliwym położeniu. Jeśli dotrwali dostatecznie długo, by zobaczyć, że wywożą go na furgonie pod strażą jedynie sześciu ludzi, może być jakaś szansa.

W miarę jak dłużył się ranek, Tańczący Z Wilkami czepił się tej myśli jak ostatniej nadziei. Za każdym razem, gdy wóz zwalniał, żeby pokonać jakieś wzniesienie, albo zjeżdżał w koryto strumienia, wstrzymywał oddech, modląc się o świst strzały albo huk strzelby.

Było już koło południa, a niczego takiego nie usłyszał.

Długo już byli z dala od rzeki, ale znowu się pojawiła. Szukając brodu, jechali wzdłuż jej brzegu przez ćwierć mili, zanim żołnierze na przodzie znaleźli uczęszczaną przeprawę na bizonim szlaku.

Rzeka nie była szeroka, ale nadrzeczne zarośla były wyjątkowo gęste, dość gęste na

zasadzkę. Gdy wóz zaskrzypiał, tocząc się po zboczu, Tańczący Z Wilkami miał uszy i oczy otwarte.

Dowodzący sierżant krzyknął do woźnicy, żeby się zatrzymał przed wjazdem do rzeki, i poczekali, aż przeprawi się sierżant z jeszcze jednym człowiekiem. Długą minutę albo i dwie przeszukiwali zarośla. Potem sierżant złożył dłonie w trąbkę i krzyknął, żeby wóz przejeżdżał.

Tańczący Z Wilkami zacisnął pięści i przeszedł do pozycji kucającej. Nic nie widział i nic nie słyszał.

Ale wiedział, że tam są.

Sposobił się do skoku, gdy świsnęła pierwsza strzała, i skoczył o wiele szybciej niż strażnik na wozie, który wciąż gmerał przy karabinie, kiedy Tańczący Z Wilkami zarzucił mu na szyję łańcuch od kajdan.

Za nim rozległy się strzały karabinowe, a on ściągnął ciasno łańcuch, czując, jak ciało pod nim wiotczeje, w miarę jak zaciska się gardło żołnierza.

Kątem oka dostrzegł, jak sierżant wali się z konia na twarz ze strzałą głęboko wbitą w lędźwie. Woźnica zeskoczył przez burtę. Stał po kolana w wodzie, strzelając na oślep z pistoletu.

Tańczący Z Wilkami wylądował na nim całym ciężarem i krótką chwilę mocowali się w wodzie, zanim odzyskał swobodę ruchów. Posługując się łańcuchem jak dwuręcznym biczem, sieknął woźnicę przez głowę i żołnierz sflaczał, powoli osuwając się w płytką wodę. Tańczący Z Wilkami zadawał mu następne, ziejące nienawiścią ciosy, nie ustając, aż zobaczył, że woda robi się czerwona.

W dole rzeki rozległo się wycie. Tańczący Z Wilkami spojrzał w porę, by zobaczyć ostatniego z oddziału, który próbował ucieczki. Musiał być ranny, ponieważ zwisał bezwładnie w siodle.

Wiatr W Jego Włosach był tuż za plecami skazanego na zgubę żołnierza. Gdy konie ich zrównały się, Tańczący Z Wilkami usłyszał głuchy łomot tomahawka Wiatru W Jego Włosach roztrzaskującego ludzką czaszkę.

Za nim była cisza, a kiedy się odwrócił, zobaczył ludzi z tylnej straży martwo rozciągniętych w wodzie.

Wielu wojowników kłuło ciała włóczniami i bardzo się ucieszył, ujrzawszy, że jednym z nich jest Kamienne Ciele.

Jakaś dłoń chwyciła go za ramię i Tańczący Z Wilkami, obróciwszy się, spojrzał prosto w rozpromienioną twarz Wierzgającego Ptaka.

- Cóż za wspaniała walka - krzyknął triumfująco czarownik. - Dostaliśmy ich wszystkich z taką łatwością i nikt nie jest nawet ranny.

- Ja zabiłem dwóch - odwrzasnął Tańczący Z Wilkami. Uniósł wysoko w górę skute łańcuchami ręce i krzyknął: - Tym.

Oswobodzicielski oddział nie tracił czasu. Po gorączkowych poszukiwaniach znaleźli przy zwłokach sierżanta klucze od kajdan Tańczącego Z Wilkami.

Potem wskoczyli na konie i pogalopowali, kierując się szlakiem, który o wiele mil na południowy zachód omijał Fort Sedgewick.

ROZDZIAŁ XXX

1

Niespodziewanie na uciekających ludzi Dziesięciu Niedźwiedzi spadł wczesny śnieg, pokrywając na grubość cala cały szlak, aż do zimowego obozu.

Wszyscy znakomicie się czuli i w sześć dni później rozproszone grupki połączyły się u podnóża gigantycznego kanionu, który na wiele miesięcy miał stać się ich domem.

Miejsce to było przesiąknięte historią Komanczów i słusznie nazwano je Tutaj Kroczy Wielki Duch. Kanion był długi na wiele mil i w niejednym miejscu na milę szeroki, niektóre zaś z jego stromych ścian mierzyły od szczytu do podnóża pół mili. Od niepamiętnych czasów spędzali tutaj zimy i było to doskonałe miejsce, zapewniające paszę i obfitość wody dla ludzi i kuców oraz dające idealną osłonę przed zamieciami, które przez całą zimę hulały w wyższych partiach. Leżało zarazem daleko poza zasięgiem nieprzyjaciół.

Inne hordy także tutaj spędzały zimę i zapanowała wielka radość, gdy starzy przyjaciele i krewni zobaczyli się ponownie po raz pierwszy od wiosny.

Jednakże po połączeniu wioska Dziesięciu Niedźwiedzi zamarła w oczekiwaniu, niezdolna spokojnie wypoczywać, zanim nie nadejdą wieści o losie wyprawy mającej odbić Tańczącego Z Wilkami.

Późnym rankiem, nazajutrz po powrocie, do obozu wpadł jak strzała zwiadowca z wiadomością, że szlakiem nadjeżdża oddział. Powiedział, że jest wśród nich Tańczący Z Wilkami. Ta Która Stoi Z Pięścią wybiegła na drogę przed wszystkimi. Biegąc krzyczała, a gdy w zasięgu jej wzroku pojawili się jeźdźcy jadący gęsiego pod górę, zawołała go po imieniu.

Nie przestała go wołać, dopóki nie znalazł się w jej ramionach.

2

Wczesny śnieg był zapowiedzią przerażającej zamieci, która spadła na obóz tego popołudnia.

Przez następne dwa dni ludzie nie wychodzili z wigwamów.

Tańczący Z Wilkami i Ta Która Stoi Z Pięścią prawie z nikim się nie widzieli.

Wierzgający Ptak troszczył się jak umiał najlepiej o twarz Tańczącego Z Wilkami, łagodząc opuchliznę i próbując przyspieszyć ozdrowienie za pomocą leczniczych ziół. Jednakże nic nie dało się zrobić z kruchą, zmiażdżoną kością policzkową i trzeba było ją zostawić, by zrosła się siłami natury.

Tańczący Z Wilkami wcale nie przejmował się raną. Przygniatał go poważniejszy problem i zmagając się z nim, nie był skłonny z nikim się widzieć.

Rozmawiał jedynie z Tą Która Stoi Z Pięścią, ale niewiele zostało powiedziane. Większość czasu leżał w wigwamie jak chory. Leżała obok niego, zastanawiając się, co się stało, ale czekała, aż sam jej to powie, wiedząc, że koniec końców to zrobi.

Zaczął się trzeci dzień zamieci, gdy Tańczący Z Wilkami poszedł na długi samotny spacer. Kiedy powrócił, kazał jej usiąść i oznajmił jej swoją nieodwołalną decyzję.

Wtedy odwróciła się od niego i siedziała przez prawie godzinę ze spuszczoną głową, w milczącym zamyśleniu.

W końcu powiedziała: - Czy musi tak być? Jej oczy szklily się smutkiem.

Tak - odrzekł spokojnie.

Westchnęła żałośnie, z trudem powstrzymując łzy.

- Więc niech tak będzie.

3

Tańczący Z Wilkami poprosił o zwołanie rady. Chciał pomówić z Dziesięcioma Niedźwiedziami. Poprosił także, by byli obecni Wierzgający Ptak, Wiatr W Jego Włosach, Kamienne Ciele i wszyscy, których Dziesięć Niedźwiedzi uzna za godnych wysłuchania.

Spotkali się następnego wieczora. Zamieć dogorywała i wszyscy byli w dobrym nastroju. Jedli i palili swoim zwyczajem podczas ożywionej części wstępnej, opowiadając z przejęciem historie o walce nad rzeką i odbiciu Tańczącego Z Wilkami.

Przeczekał to w dobrym humorze. Był szczęśliwy, że znajduje się wśród przyjaciół.

Lecz gdy rozmowa zaczęła w końcu przygasać, skorzystał z pierwszej chwili milczenia i wypełnił ją tymi słowami:

- Chcę powiedzieć wam, co mi leży na sercu - rzekł i w ten sposób oficjalnie rozpoczęła się narada.

Ludzie wiedzieli, że pojawi się coś ważnego, i słuchali z napiętą do ostateczności uwagą. Dziesięć Niedźwiedzi zwrócił się ku mówiącemu lepiej słyszającym uchem, nie chcąc stracić ani jednego słowa.

- Nie przebywałem wśród was bardzo długo, ale w sercu czuję, jakby to było całe moje życie. Jestem dumny, że jestem Komanczem. Zawsze będę dumny, że jestem Komanczem. Kocham zwyczaje Komanczów i kocham każdego z was, jakbyśmy byli z tej samej krwi. W sercu i w duchu zawsze będę z wami. Więc musicie wiedzieć, że ciężko mi rzec, iż muszę was opuścić. Wigwam wybuchnął okrzykami zdziwienia ludzi wściekłych i nie

wierzących własnym uszom. Wiatr W Jego Włosach skoczył na równe nogi, drepcząc w miejscu i wymachując rękami, co miało oznaczać lekceważenie dla głupiego pomysłu.

Tańczący Z Wilkami siedział w bezruchu podczas tej wrzawy.

Wpatrywał się w ogień z rękami złożonymi na podolku.

Dziesięć Niedźwiedzi podniósł rękę i nakazał ludziom przestać mówić. W wigwamie znów zapadła cisza.

Wiatr W Jego Włosach jednak wciąż jeszcze panoszył się dokoła i Dziesięć Niedźwiedzi warknął na niego:

- Chodź tutaj i siadaj, Wietrze W Jego Włosach. Nasz brat jeszcze nie skończył.

Wiatr W Jego Włosach markotnie usłuchał, a kiedy się usadowił, Tańczący Z Wilkami mówił dalej:

- Zabicie tych żołnierzy nad rzeką było dobrym uczynkiem. Uczyniło mnie wolnym, a moje serce wezbrało radością, gdy ujrzałem moich braci nadchodzących mi na pomoc.

Nie obchodzi mnie wcale to, że zabiliśmy tych ludzi. Cieszę się, żeśmy to zrobili.

Ale nie znacie białych ludzi tak, jak ja ich znam. Żołnierze myślą, że jestem jednym z nich, który zszedł na złą drogę. Myślą, że ich zdradziłem. W ich oczach jestem zdrajcą, ponieważ wybrałem życie wśród was. Nie obchodzi mnie, czy mają rację, czy nie, ale zapewniam was, że tak właśnie sądzą.

Biali ludzie będą ścigać zdrajcę nawet wówczas, gdy zaprzestaną już pościgu za innymi ludźmi. Dla nich zdrajca jest czymś najgorszym, czym może być żołnierz. Więc będą mnie ścigać, aż mnie dopadną. Nie zostawią mnie w spokoju.

Kiedy mnie dopadną, dopadną i was. Będą chcieli mnie powiesić i będą żądali tej samej kary dla was. Może ukarają was, nawet jeśli odejdę. Nie wiem.

Gdyby to chodziło tylko o nas, mężczyzn, mógłbym zostać, ale tu chodzi nie tylko o nas. Są jeszcze wasze żony i wasze dzieci, a także żony i dzieci waszych przyjaciół. To ugodzi w cały lud.

Nie mogą mnie znaleźć wśród was. To wszystko. Właśnie dlatego muszę odejść. Powiedziałem o tym Tej Która Stoi Z Pięścią i odejdziemy razem.

Przez kilka sekund nikt nawet nie drgnął. Wszyscy wiedzieli, że ma rację, ale nikt nie wiedział, co powiedzieć.

- Dokąd pójdziesz? - zapytał w końcu Wierzgający Ptak.

- Nie wiem. Daleko. Daleko od tego kraju.

Znów zapadło milczenie. Gdy stało się już wręcz nieznośne, Dziesięć Niedźwiedzi lekko zakaszłał.

- Dobrze mówiłeś, Tańczący Z Wilkami. Twoje imię będzie żyło w sercach naszego ludu, jak długo będą żyli Komańcze. Dopilnujemy, by pozostało żywe. Kiedy odchodzisz?

- Kiedy ustanie śnieżycy - powiedział miękko Tańczący Z Wilkami.

- Śnieżycy ustanie jutro - rzekł Dziesięć Niedźwiedzi. - Powinniśmy teraz położyć się spać.

4

Dziesięć Niedźwiedzi był niezwykłym człowiekiem.

Pokonał przeciwności losu nie sprzyjające długowieczności na równinach i z każdym kolejnym rokiem swego życia gromadził potężny zapas wiedzy. Ta wiedza urastała, aż w końcu zwała się pod własnym ciężarem do środka, i w jesieni swego życia Dziesięć Niedźwiedzi osiągnął szczyt... Stał się mędrce.

Zawodziły go stare oczy, ale w zamgleniu widział z jasnością, której nikt, nawet Wierzgający Ptak, nie był w stanie dorównać. Słuch miał przytępiony, ale jakimś cudem nie zdarzało się, by dźwięki, które miały jakieś znaczenie, nie dotarły do jego uszu. A ostatnio zaczęło się zdarzać coś najbardziej niezwykłego. Nie polegając już na swoich zmysłach, które zaczęły zawodzić, Dziesięć Niedźwiedzi naprawdę zaczął czuć życie innych ludzi. Od lat chłopięcych obdarzony był szczególną przenikliwością, ale to było o wiele więcej. To było widzenie całym swoim jestestwem i miał czuć się starym i niepotrzebnym, Dziesięć Niedźwiedzi napędzany był dziwną, tajemniczą mocą, która na niego spływała.

Lecz moc, na której nadejście tak długo czekał i która wydawała się niezawodna, załamała się. Pełne dwa dni po naradzie z Tańczącym Z Wilkami wódz siedział w wigwamie i palił, zastanawiając się, co stało się złego.

„Śnieżycy ustanie jutro.”

Te słowa nie były rozważne. Wypląnęły z niego bez przemyślenia, pojawiając się na języku, jakby umieścił je tam sam Wielki Duch.

Ale śnieżycy nie ustała. Burza przybrała na sile. Pod koniec drugiego dnia zasy sięgały wysoko skórzanych ścian tipi. Z godziny na godzinę rosły coraz wyżej. Tańczący Z Wilkami czuł, jak wspinają się cal po calu po ścianach jego własnego wigwamu.

Starzec stracił apetyt i zapomniał o wszystkim z wyjątkiem fajki i ognia. Każdą minutę na jawie spędzał wpatrzony w płomienie, które tańczyły na samym środku jego domu. Zaklinał Wielkiego Ducha, by ulitował się nad starym człowiekiem i obdarował go ostatnim okrucieństwem zrozumienia, ale wszystko to nie zdało się na nic.

W końcu Dziesięć Niedźwiedzi zaczął myśleć, że to przerachowanie się jest znakiem.

Zaczął myśleć, że jest to zew, by kończyć to życie. A gdy był już całkowicie pogodzony z tą myślą i zaczął próbę swojej pieśni śmierci, zdarzyło się coś fantastycznego.

Stara kobieta, która przez wszystkie lata była jego żoną, ujrzała, jak nagle wstaje od ogniska, otula się kocem i wychodzi z wigwamu. Spytała, dokąd idzie, ale Dziesięć Niedźwiedzi nic nie odpowiedział.

Tak naprawdę nawet jej nie usłyszał. Słuchał głosu, który pojawił się w jego głowie. Głos wypowiadał tylko jedno zdanie, a Dziesięć Niedźwiedzi słuchał jego polecenia.

Głos mówił: „Idź do wigwamu Tańczącego Z Wilkami”.

Niepomny wysiłku, Dziesięć Niedźwiedzi przedzierał się przez kopny śnieg. Gdy dotarł do wigwamu na skraju obozu, zawahał się, zanim zapukał.

Wokół nie było nikogo. Śnieg padał grubymi, mokrymi i ciężkimi płatami. Czekając, Dziesięć Niedźwiedzi pomyślał, że słyszy śnieg, pomyślał, że słyszy każdy płatek spadający na ziemię. Ten dźwięk był niebiański i trzęsąc się z zimna, Dziesięć Niedźwiedzi poczuł, że kręci mu się w głowie. Przez moment myślał, że przeszedł już granicę tego świata.

Krzyknął jastrzęb, a kiedy podniósł wzrok na ptaka, ujrzał dym wartko wijący się z dymnika wigwamu Tańczącego Z Wilkami. Zamrugał, strząsając śnieg z powiek, i zaskrobał w zasłonę wejściową.

Gdy się podniosła, na spotkanie wyszła mu wielka ściana ciepła. Owinęła się wokół starca, wessała go obok Tańczącego Z Wilkami i jakby była żywą istotą, wprowadziła go do wnętrza wigwamu. Stał na środku domu i poczuł, że znów kręci mu się w głowie. Teraz kręciło mu się z ulgą, bowiem w czasie, który zabrało mu przejście sprzed wigwamu do jego wnętrza, rozwiązał zagadkę swego błędu.

To nie był jego błąd. Błąd został popełniony przez kogo innego i prześlizgnął się tak, że Dziesięć Niedźwiedzi go nie zauważył. Mówiąc: „Śnieżyca ustanie jutro”, jedynie przyczynił się do błędu.

Śnieg miał rację. Powinien był na pierwszym miejscu słuchać śniegu. Dziesięć Niedźwiedzi uśmiechnął się i zadarł głowę. Jakież to proste. Jak mógł tego nie zauważyć? Wciąż jeszcze wiele się muszę nauczyć, pomyślał.

Człowiek, który popełnił błąd, stał teraz obok niego, lecz Dziesięć Niedźwiedzi nie gniewał się na Tańczącego Z Wilkami. Uśmiechnął się tylko na widok wyrazu zakłopotania na twarzy młodego człowieka.

Tańczący Z Wilkami zdołał tylko znaleźć tyle języka w gębie, żeby powiedzieć: „Proszę... siadź przy moim ogniu”.

Gdy Dziesięć Niedźwiedzi się usadowił, dokonał krótkiego przeglądu wigwamu i to

potwierdziło wszystko, co już wcześniej powiedziała mu jego wirująca głowa. To był szczęśliwy, dobrze utrzymany dom. Rozchylił koc, pozwalając, by do wnętrza weszło więcej ciepła z ogniska.

- To miłe ognisko - rzekł dobrotliwie. - W moim wieku dobry ogień znaczy więcej niż cokolwiek innego.

Ta Która Stoi Z Pięścią postawiła przed każdym z mężczyzn miseczkę z jedzeniem, a potem wycofała się na swoje posłanie w głębi wigwamu. Tam wzięła jakąś robótkę. Ale jednocześnie nadstawiała uszu, by podsłuchać rozmowę, która niechybnie za chwilę się zacznie.

Przez kilka minut mężczyźni jedli w milczeniu, a Dziesięć Niedźwiedzi starannie przeżuwał swoje pożywienie. Wreszcie odstawił miskę na bok i lekko zakaszłał.

- Rozmyślałem od tamtej pory, kiedy mówiłeś w moim wigwamie. Zastanawiałem się, jak też się miewa twoje nieczułe serce, i pomyślałem, że warto będzie samemu sprawdzić.

Rozejrzał się po wigwamie. Potem spojrzał prosto w twarz Tańczącego Z Wilkami.

- To miejsce nie wydaje się tak znów nieczułe.

- Nnno nie - wyjąkał Tańczący Z Wilkami. - Jesteśmy tutaj bardzo szczęśliwi.

Dziesięć Niedźwiedzi uśmiechnął się i kiwnął głową. - Jest tak, jak myślałem, że będzie.

Zapadła cisza. Dziesięć Niedźwiedzi wpatrywał się w płomienie, a oczy zamykały mu się stopniowo. Tańczący Z Wilkami uprzejmie czekał, nie wiedząc, co ma robić. Może powinien zapytać, czy starzec nie zechce się położyć. Szedł podczas śnieżycy. Ale wydawało się, że jest już za późno na to pytanie. Wydawało się, że dostoyny gość już drzemie.

Dziesięć Niedźwiedzi poruszył się i odezwał, wypowiadając te słowa w taki sposób, iż zdawało się, że mówi przez sen.

- Myślałem o tym, co powiedziałaś... co powiedziałaś o przyczynach, dla których odchodzisz.

Nagle jego oczy otwały się szeroko i Tańczący Z Wilkami był zaskoczony ich blaskiem. Lśniły jak gwiazdy.

- Możesz odejść od nas, kiedy tylko zechcesz... ale nie z tych powodów. Te powody nie są słuszne. Wszyscy żołnierze o owłosionych ustach na świecie mogą sobie przeszukiwać nasz obóz i żaden nie znajdzie osoby, której szukają, jednego z takich jak oni, zwanego Por Rucz Nik.

Dziesięć Niedźwiedzi rozłożył ręce, a głos zdrztał mu radośnie. - Tutaj nie ma tego, który zwie się Por Rucz Nik. W tym wigwamie znajdują jedynie wojownika Komanczów,

dobrego wojownika Komanczów, i jego żonę.

Te słowa zapadły Tańczącemu Z Wilkami w serce. Obejrzał się przez ramię na Tę Która Stoi Z Pięścią. Zobaczył na jej twarzy uśmiech, ale nie patrzyła w jego stronę. Nie mógł na to nic powiedzieć.

Gdy znów spojrzął na Dziesięć Niedźwiedzi, zobaczył, że starzec przypatruje się prawie gotowej fajce, która wystawała z futerału. Pokazał kościstym palcem na przedmiot swego zainteresowania.

- Robisz fajkę, Tańczący Z Wilkami?

- Tak.

Dziesięć Niedźwiedzi wyciągnął ręce i Tańczący Z Wilkami złożył w nich fajkę. Starzec zbliżył ją do twarzy, oglądając ze wszystkich stron. - Z tego może być naprawdę świetna fajka... Jak się z niej pali?

- Nie wiem - odrzekł Tańczący Z Wilkami. - Jeszcze nie próbowałem.

- Popal ją przez chwilę - powiedział Dziesięć Niedźwiedzi, wręczając mu fajkę z powrotem. - Dobrze jest tak spędzać czas.

ROZDZIAŁ XXXI

Tej zimy lepiej było nie wychodzić spod koców. Nie licząc od czasu do czasu jakiejś myśliwskiej wyprawy, Komańcze rzadko kiedy odważali się wyjść z wigwamów. Ludzie spędzali tak wiele czasu przy ogniskach, że ta pora roku została nazwana Zimą Wielu Dymów.

Na wiosnę wszyscy niecierpliwie pragnęli udać się w drogę i z pierwszym ruszeniem lodów znów byli na szlaku.

Tego roku rozbito nowy obóz, z dala od dawnego koło Fort Sedgewick. Było to dobre miejsce, obfite w wodę i trawę dla kuców. Bizony znów nadciągnęły tysiącami i łowy były pomyślne, a tylko niewielu mężczyzn zostało rannych. U schyłku tego lata urodziło się wiele dzieci, więcej niż pamiętali najstarsi ludzie.

Trzymali się z dala od uczęszczanych szlaków, nie widzieli białych i spotkali tylko kilku meksykańskich kupców. Tak mało trosk uczyniło ludzi szczęśliwymi.

Ale fala ludzkiego przyływu, taka, której nie ujrzysz ani nie usłyszysz, wzbierała na wschodzie. Niedługo ich zaleje. Szczęśliwe chwile tego lata były ostatnimi w ich życiu. Ich czas upływał i wkrótce miał przeminąć na zawsze.